

Gdy tak siedzimy  
nad bimbrem  
Ojczyzna nam umiera  
Gnija w celach koledzy  
Wolno się kręci powielacz  
Drukujemy ulotki  
O tym, że jeszcze żyjemy  
Grozi nam za to wyrok  
Dziesięciu lat więzienia  
Gdzieś niedaleko  
Patrol jednego  
z nas zatrzymał  
Pijemy jego zdrowie  
Wierzymy, że  
nas nie wyda

# Bibuła

2024

**Bibouka**

2024

**Redakcja:** Jacek Giżyński, Jan Strękowski

**Współpraca:** Joanna Bachtin, Grzegorz Majchrzak, Szczepan Rudka, Katarzyna Strękowska

**Opracowanie graficzne:** Jacek Giżyński

Reprodukowane przez nas materiały pochodzą ze zbiorów Szczepana Rudki, Ketila Heyerdahla, Archiwum Komisji Krajowej „Solidarności” i Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku, Marii Prosińskiej-Jacki, Agnieszki Żuławskiej-Umedy oraz Jana Strękowskiego.

**Druk i oprawa:**

FomatKa

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego  
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

# Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.



Wydawca:

Stowarzyszenie Wolnego Słowa

00-626 Warszawa, ul. Marszałkowska 7, tel. (22) 405 66 30

[www.sws.org.pl](http://www.sws.org.pl)

Wydanie I, Warszawa, 2024

ISBN 978-83-62699-19-3

W stanie wojennym wyjechało z Polski za granicę parę milionów ludzi. Wśród nich byli także tacy, którzy w nowym miejscu kontynuowali to, co robili w kraju. Wielu z nich stało się oficjalnymi lub nieoficjalnymi przedstawicielami podziemia. Co znaczyło, że byli do naszej dyspozycji dzień i noc. Piszemy o tym trochę, mając nadzieję, że skłoni to innych do przyjrzenia się temu zjawisku.

A poza tym – jak zwykle, mydło i powidło. W tym garść mniej lub bardziej fortunnych zdarzeń z życia w tzw. podziemności.

*Jan Strękowski*

Leszek  
Karuga

Mgły

bez drobitu nr. 2

Leszek Szaruga

### **Ptaki, obłoki, ryby**

Uczę się patrzeć. Ten ptak, który  
Przed chwilą przeleciał nie jest  
Ani za, ani przeciw. Obłoki (to  
Banał) nie uznają granic. Ryby  
W oceanach płyną tylko ku swemu  
Przeznaczeniu. Nasi umarli mówią  
Wszystkimi językami. Wszystko ma  
Swoje miejsce. A to znaczy: swoje.

### **Za mostkiem**

Ból za mostkiem: oto sygnał – czas  
rozpocząć marsz na drugą stronę  
Słów, światła. Nie: to nie jest droga  
w ciemność i ciszę. Odbywa się  
w milczeniu, to prawda, i w mroku,  
lecz to przejście przez mostek  
kruchy jak wypalona kość, jak  
zetłała resztką ucztę kanibali  
sprzed tysiącleci, ucztę w blasku  
ognia, gdzieś w głębi pieczary. To  
tam właśnie wracamy, tam,  
ku cieniom na ścianie, z którymi  
od tak dawna rozmawiamy bez słów.

15 października 2024 r. w wieku 78 lat zmarł Leszek Szaruga (Aleksander Wirpsza). Poeta, krytyk literacki, prozaik, dziennikarz, eseista, literaturoznawca, tłumacz.

Więzień Marca 68, współpracownik „Kultury” paryskiej, redaktor „Pulsu”, „Wezwania” i wielu innych pism podziemnych i emigracyjnych. Współpracownik „Tygodnika Wojennego” (rubryka „Socrealia”). Redaktor AS-a (Agencja „Solidarność”).

Jeden z poetów tzw. Nowej Fali, publikujący w PRL wyłącznie w drugim obiegu i na emigracji.



Berlin, 27.06.1987

Drogi Janku,

bardzo mnie ten list od Ciebie ucieszył - nareszcie głos kogoś normalnego. No, oczywiście, jest tu jeszcze Lothar. Pozostali to kupa gnoja, a w każdym razie pomieszanie z poplątaniem.

Przede wszystkim sprawa "serii debiutów". Przekazałem całość Jurkowi B., wie o tym Joanna i przez nią należy wszystko załatwiać. Zrób swoją drogą kopię Wróblewskiego i wyślij do mnie. Chcę ~~xxx~~ ewentualnie coś o tym - w charakterze wstępu - napisać i wysłać do kraju. Przy okazji: powtórz naszym przyjacielom, a Jurkowi w szczególności, że im przedzej się ukazać, choćby dwa pierwsze tomy serii, tym lepiej - jestem tu przez Mecenasą tego przedsięwzięcia dość silnie naciskany, a poza tym, gdy się coś już w tej materii ryszy, jestem w stanie używać dalsze pieniądze, i to zapewne niemałe, a także, co Jurka powinno szczególnie ucieszyć, dobrą maszynę, ze zmiennymi czcionkami (nawet IBM). Ciśnij więc w moim imieniu jak najsilniej. Chciałbym na Targach Frankfurckich dysponować co najmniej dwiema książkami z tej serii.

Kiedy wracam - nie wiem. W tej chwili sytuacja z Mamą tak się skomplikowała, że nie mam odwagi jej opuścić. Zakłada się, że będzie żyła jeszcze 4-8 miesięcy, ale to, oczywiście, nie są opinie ostateczne. Rzecz może się wydłużyć. W każdym razie, niezależnie od tego, jak to długo potrwa, pozostaną z Mamą do końca - pierdolę wszystkie przepisy paszportowe, potem mogą mnie nie wypuszczać, mam to w dupie. Ale nie chcę mieć takiego numeru, jaki miałem z Ojcem.

"Archipelag" pewnie pada. Szkoda, że nie skontaktowałeś się ze mną przed wysłaniem tekstów do Wieckowskiego. Po pierwsze - nie dostaniesz od niego ani grosza (chyba, że cudem); po drugie - w tej chwili w Berlinie lepiej współpracować z "Poglądem" (z różnych względów, których ci w liście wykłuzczać nie będę) - poza tym "P" płaci. Jeśli byś coś miał przed wyjazdem, to wyślij do mnie: interesuje mnie zwłaszcza proza, możliwie krótka i możliwie dużo. \*

Acha - gratuluję nagrody!

Przy okazji: przyslij mi adres Teosia Boka, nie mam go tutaj, a muszę się z nim pilnie skontaktować.

Niewykluczone, że kilka wierszy Ewy ukaze się po niemiecku. Ale to na razie tylko możliwość. Zobaczymy. W każdym razie zaczynam tu szum wokół najzdrowszej poezji. \*\*

Usciski *definh*

*Oczywiście, także pobrać...*

*\* P.S. do tej potrawy wydana "antologija" i muzyki; Audytor. y.*

# Przedstawiciele



# Solidaritet Norge – Polen i przedstawicielstwa „Solidarności”

*Bjørn Cato Funnemark*

Solidaritet Norge – Polen (Solidarność Norwesko – Polska, SNP), największa organizacja wspierająca podziemną „Solidarność” zagranicą, miała od początku swojego istnienia w swoich władzach zarówno Norwegów jak i Polaków. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych połowa członków zarządu organizacji była polska. Większość polskich członków tego zarządu miała za sobą działalność w podziemiu lub internowanie po wprowadzeniu stanu wojennego, ewentualnie odbywali wyrok w więzieniu.

Część z nich i również inni działacze SNP, byli przedstawicielami konkretnych regionów NSZZ „Solidarność”, czy innych ugrupowań opozycji lub pism podziemnych.

## **Przedstawicielstwa działaczy SNP**

Takie przedstawicielstwo istniało zresztą i zanim organizacja Solidaritet Norge – Polen powstała w kwietniu 1981 roku. W latach 70. Andrzej Jachowicz, Polak z Litwy i Władysław Gauza, obaj emigranci polityczni w Norwegii, działali tu na rzecz ROP-CiO w Polsce. Kiedy Leszek Moczulski odszedł z ROPCiO i założył nową partię polityczną KPN, Gauza został jednym z oficjalnych zagranicznych przedstawicieli tej partii.

Jachowicz, skupiał się za to na mobilizowaniu Norwegów do poparcia dla nowopowstałej organizacji NSZZ „Solidarność”. Na pierwszym zjeździe Solidaritet Norge – Polen w 1981 roku został wiceprzewodniczącym tej organizacji, w której w pierwszych latach odgrywał kluczową rolę. Chociaż Gauza nie piastował żadnych formalnych funkcji w SNP, brał udział w wielu jej akcjach. Jeśli działo się coś bardzo ważnego dotyczącego ruchu podziemnego „Solidarności” w Polsce, spotykaliśmy się nieformalnie w trójkę z Andrzejem i Władkiem, żeby to przedyskutować i wyciągać wnioski dla naszej działalności w SNP w Norwegii.

Znacznie większy wpływ na działalność Solidaritet Norge – Polen miały jednak przedstawicielstwa późniejszych członków naszego zarządu. Wśród nich największa była grupa wrocławska. Niektórzy z nich byli związani z Solidarnością Walczącą (SW). Oficjalnym przedstawicielem SW na Skandynawię był członek zarządu SNP Jerzy Jankowski. Jurek działał bardzo aktywnie na rzecz SW, ale nie był jedynym z naszych działaczy, który miał stały kontakt z podziemnym ruchem Solidarności Walczącej. Jarosław Pawlak, który dzięki sprawnej pomocy norweskiej dyplomacji w trudnej sytuacji wy dostał się prosto z podziemia przez Berlin Zachodni do Norwegii, miał również częsty i bliski kontakt z podziemiem SW. Korzystała z tego SNP, zwłaszcza w czasie kiedy Jarek pracował ze mną w biurze SNP (właściwie biuro Komitetu Helsińskiego).

Na stronach internetowych IPN-u znajdujemy dokument, w którym Jarek występuje jako „niejawny przedstawiciel SW». Drugi dokument, który pochodzi od bezpieki,

opisuje, że jest „głęboko zakonspirowanym przedstawicielem SW w Norwegii”, który „dysponuje własnym kanałem łączności do SW w kraju”. Jako działacz Solidarności Walczącej wymieniany jest w dokumentacji tej organizacji również kolejny członek zarządu SNP, Marek Tumidajewicz.

Mój pobyt we Wrocławiu w 1987 roku w czasie wizyty Papieża Jana Pawła II w Polsce (kiedy po raz pierwszy dostałem wizę do Polski), podczas którego spotkałem się z przedstawicielem kierownictwa SW, zorganizował Jarek. Spotkanie odbyło się w prywatnym mieszkaniu na Psim Polu we Wrocławiu, w środku nocy. Przedstawiciel SW (bodajże Andrzej Zarach, tak powiedział po moim powrocie do Norwegii Jarek) wszedł do mieszkania przez balkon. Po krótkim wstępie bez słów (wszystko odbywało się pisemnie przy pomocy małej tabliczki, w Polsce zwanej znikopisem, w której po przeczytaniu ręcznie napisanego tekstu wycierało się to co napisano, żeby dalej pisać i tak dalej), zaczęło się rozliczanie członków zarządu SNP pochodzących z Wrocławia. Przedstawiciel SW przeszedł całą listę tych nazwisk, rozliczając ich z tego co obiecali w stosunku do tego, co załatwili lub nie załatwili. Ciekawe dla mnie było między innymi to, że rozliczył nie tylko przedstawiciele SW w naszym zarządzie, ale wszystkich członków zarządu SNP pochodzących z Wrocławia. Wśród nich również naszego wiceprzewodniczącego Aleksandra Gleichgewichta i Wiktora Kowalskiego, który był przedstawicielem wrocławskiego pisma podziemnego „Walka” na granicę.

### Wrocław i Gdańsk

Głównymi odbiorcami pomocy ze strony Solidaritet Norge – Polen (Solidarność Norwesko – Polska) były organizacje podziemnej „Solidarności” we Wrocławiu i Gdańsku. W samych władzach SNP Wrocław był najmocniej reprezentowany. Podczas gdy w zarządzie SNP było aż siedmiu bardzo aktywnych przedstawicieli Dolnego Śląska (wśród nich również Krystyna Sobierajska z „Solidarności” w Legnicy), znalazła się na dobrą sprawę tylko dwójka działaczy, którzy w ramach SNP działali na rzecz gdańskiego podziemia. Obaj byli związani z „Solidarnością” w Porcie Gdańskim. Wiesław Wika – Czarnowski został członkiem zarządu SNP już w 1984 roku, podczas gdy Andrzej Michałowski zasilił SNP dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych. Andrzej był od 1982 roku członkiem RKK regionu gdańskiego i zanim przyjechał do Norwegii w 1987 roku, zdążył też być więźniem politycznym w Gdańsku.

W swojej książce „Moja Solidarność”, Andrzej pisze o tym, że „z upoważnienia Tajnej Komisji Zakładowej Solidarności Portu Gdańskiego, Wiesław Wika – Czarnowski i ja udaliśmy się na spotkanie w norweskim parlamencie” (str.457). W 1987 roku pomogli oni, w ramach swojej działalności, doprowadzić do zawarcia umowy o współpracy pomiędzy Związkiem Transportowców w Oslo (Oslo Transportarbeiderforbund) a Komisją Zakładową „Solidarności” w Porcie Gdańskim. Przewodniczącym wymienionego norweskiego związku zawodowego był członek zarządu SNP Per Østvold. Poza tym zarówno Andrzej jak i Wiesiek pracowali na rzecz całego regionu gdańskie-

go i „Solidarności” w całej Polsce. Podobnie było z wszystkimi innymi naszymi aktywnymi działaczami.

Co do członków zarządu SNP z innych polskich regionów, Elżbieta Maliszewska pomagała „Solidarności” w Łodzi, Paweł Gajowniczek między innymi „Tygodnikowi Wojennemu”, Dariusz Brzozowski „Solidarności” w Elblągu, a Ewa i Marek Sobociński swojemu regionowi toruńskiemu. Wiele też było pomocy, o której w kierownictwie SNP wcale nie wiedzieliśmy.

### Toruń

Marek Sobociński, który był internowany w obozie w Strzebielinku, przyjechał do Norwegii w 1984 roku. Tu został członkiem zarządu SNP w drugiej połowie lat osiemdziesiątych. Do wyjazdu został zmuszony przez władzy PRL-u. – Otrzymałem paszport w jedną stronę – mówi Marek i opowiada, że przed wyjazdem odbył ważną rozmowę z przewodniczącym regionu toruńskiego Antonim Stawikowskim. – Staraj się pomóc – powiedział mi Stawikowski – mówi Marek. – I dał mi szereg instrukcji.

Marek został oficjalnym przedstawicielem Zarządu Regionu Toruńskiego nie tylko na Norwegię, ale na cały Zachód. Będąc na emigracji, Marek otrzymywał grypsy z Torunia od wiceprzewodniczącego regionu Jacka Stankiewicza, z którym kilka lat wcześniej siedział w jednej celi w obozie dla internowanych w Strzebielinku. Poprzez SNP i samodzielnie, Marek załatwiał dużo potrzebnych rzeczy dla regionu toruńskiego. M.in. pieniądze na potrzeby drukarni. Udało się mu również załatwić potrzebne materiały dla artystów plastyków w podziemiu toruńskim i gdzie indziej, dla kolegów z jego własnej branży. Dla regionu Marek załatwiał pieniądze i konieczne do druku materiały dla podziemnego pisma zarządu Regionu Toruńskiego TIS („Toruński Informator Solidarności”). Marek dodaje, że poza tym: „robiłem dla nich grafikę”.

Wszyscy członkowie zarządu SNP oraz inni aktywni działacze organizacji spośród Polaków, których wyraźnie przybyło w drugiej połowie lat 80., pomagali jak mogli zarówno ruchowi podziemnemu „Solidarności” jako takiemu, jak w szczególności swojemu własnemu regionowi, pismu czy osobnemu ugrupowaniu.

Z moją żoną Romaną mieliśmy kontakt z Górnym Śląskiem, ale na dobrą sprawę tylko z Kazimierzem Świtoniem. Poza tym starałem się we współpracy ze Sławkiem Czarlewskim z Biura „Solidarności” zagranicą o pomoc dla inicjatyw związanych z Ruchem Młodej Polski (jak na przykład pismo „Polityka Polska”), których interesy Sławek reprezentował. Spotykaliśmy się od czasu do czasu w Paryżu. W Norwegii uruchomiliśmy razem z Knutem Olavem Nesse (norweski prawnik działacz studencki) i kilkoma innymi wówczas młodymi ludźmi regularny kontakt z grupą norweskich parlamentarzystów z konserwatywnej, chadeckiej i ludowej partii. Udało się zorganizować trochę pomocy i dla takiej inicjatywy politycznej. Pomoc przekazał Sławek, a przy okazji wspieraliśmy w miarę możliwości też niektóre inne pisma podziemne jak „Głos” Antoniego Macierewicza i krakowskie pismo „Arka”. Pomoc dla „Arki” przekazaliśmy przez ich przedstawiciela we Francji Wojciecha Sikorę.

# Reprezentowali nas zagranicą

Wezwanie. Niezależne Pismo Literackie, Warszawa

Przedstawiciel za granicą:

Wojciech Frąckiewicz, Paryż, Francja, po kilku numerach: Marek Michalski, Sztokholm, Szwecja

Wydawnictwo Przedświt, Warszawa

Przedstawiciel poza krajem: Andrzej Więckowski, potem Wojciech Drozdek, Berlin Zach.

Bez Dekretu. Pismo członków i sympatyków „Solidarności”, Kraków

Przedstawiciel za granicą: Agnieszka Kołakowska, Paryż, Francja

Brulion, Kraków

Przedstawiciel za granicą: Krzysztof Winnicki, Nowy Jork, USA

Obecność. Niezależne Pismo Literackie, Wrocław

Przedstawiciele na Zachodzie: Wiktor Grotowicz, Monachium, Niemcy, Wiktor Kowalski, Oslo, Norwegia

Przegląd Wiadomości Agencyjnych, Warszawa

Przedstawiciele za granicą: Bogdan Zmorzyński, Hamburg, Niemcy, Bożena Magott, Krzysztof Jussac, Paryż, Francja, Paweł Gajowniczek, Oslo, Norwegia, od 1989 także: Krzysztof Sójka, Toronto, Kanada, Aleksander Kocłęga, Melbourne, Australia

Samorządna Rzeczpospolita, Warszawa

Przedstawiciel za granicą: Paweł Gajowniczek, Oslo, Norwegia

Tygodnik Wojenny, Warszawa

Przedstawiciele za granicą: Paweł Gajowniczek, Oslo, Norwegia, Bogdan Zmorzyński, Hamburg, Niemcy, Bożena Magott, Paryż, Francja, do 1983 Andrzej Zwaniecki, Sztokholm, Szwecja

Biuletyn Łódzki, Łódź

Przedstawiciel za granicą: Anna Zmorzyńska, Hamburg, Niemcy

Puls. Nieregularny Kwartalnik Literacki. Łódź

Przedstawicielstwo: Puls Publications, Londyn, Wlk. Bryt.

Most. Wolne Pismo, Warszawa

Przedstawiciel na Zachodzie: Krzysztof Turowski, Paryż, Francja

Wydawnictwo CDN, Warszawa

Przedstawicielstwo: Puls Publications, Londyn, Wlk. Bryt.

Obóz, Warszawa

Przedstawicielstwo za granicą: przedstawiciel Wyd. CDN (Puls Publications)

ABC. Adriatyk, Bałtyk, Morze Czarne, Warszawa

Stały współpracownik na Zachodzie: Tadeusz Kadenacy

Arka. Wolne pismo. Eseistyka, krytyka, literatura, inne formy, Kraków

Przedstawiciel: Wojciech Sikora, Paryż, Francja

Wyd. Rytm

Przedstawiciele: Marek Przykowski, Montreal, Kanada, potem Jacek Sygnarski, Szwajcaria

Orientacja na Prawo, pismo L-DPN, Warszawa

Przedstawiciele: Jerzy Grębski, Maria Nowak, Szwajcaria

Vacat. Miesięcznik społeczno-polityczny, Warszawa

Przedstawiciel: Mieczysław Grudziński, Francja

Walka. Pismo polityczno–społeczne Solidarności Walczącej, Wrocław

Przedstawiciel: Wiktor Kowalski, Oslo, Norwegia

*Oprac. js.*

# Solidarność po norwesku

## (o pismach i biuletynie organizacji Solidaritet Norge – Polen)

Bjørn Cato Funnemark

Solidaritet Norge – Polen (Solidarność Norwesko – Polska, SNP), która była największą organizacją wspierającą podziemną „Solidarność” zagranicą w latach osiemdziesiątych, prowadziła szeroką działalność informacyjno – publicystyczną. Od początku stanu wojennego aż do 1991 roku wychodziły „Biuletyn Informacyjny SNP” („SNP’S Informasjons-Bulletin”, od 1984 r. jako „Solidaritet’s Nytt”) oraz „Czasopismo Solidarność” („Tidsskriftet Solidaritet”), chociaż w ostatnich latach rzadziej niż na samym początku. Poza tym w latach 1982 i 1983 wydawaliśmy różne zeszyty i broszurki na ważne tematy związane z działalnością „Solidarność” i sytuacją polityczną w PRL-u. Wszystkie publikacje ukazywały się wyłącznie w języku norweskim, poza „Biuletynem”, którego niektóre numery miały także polską wersję.

### „SNP’S Informasjons-Bulletin”

Największe znaczenie wśród tych publikacji miał „Biuletyn Informacyjny SNP”, który wychodził w miarę regularnie od stycznia 1982 roku. „Biuletyn” nie był sprzedawany, lecz dostarczany bezpłatnie oddziałom SNP rozrzuconym po całej Norwegii i najważniejszym norweskim gazetom, naszemu radiu i jedynej wówczas norweskiej telewizji. „Biuletyn” był skrzętnie wykorzystywany przez norweskich dziennikarzy. Był on dla nich na dobrą sprawę jedyną alternatywną informacją i bardzo potrzebnym przeciwnym punktem widzenia dla informacji pochodzącej od PRL – owskich władz.

„Biuletyn” spajał kontakt między naszą organizacją SNP a norweskimi dziennikarzami. Ponadto gdy działacze „Solidarność”, którzy wcześniej byli internowani lub przyjechali prosto z działalności podziemnej w kraju, stopniowo zaczęli zasilić naszą organizację, byliśmy w stanie zorganizować spotkania dla norweskich dziennikarzy w Polsce z ludźmi „Solidarność”. Dzięki „Biuletynowi” sami dziennikarze szukali kontaktu z nami.

Byłem redaktorem „Biuletynu SNP” od początku do końca. W pierwszym roku istnienia tej publikacji i na początku następnego „Biuletyn” miał wieloosobową redakcję, która poza mną składała się z następujących osób: Ewa Sowińska (z zawodu architektka i ciocia Antoniego Macierewicza), Małgorzata Matusiak i Piotr Jarczak. Sowińska była poza tym sekretarką redakcji „Tidsskriftet Solidaritet” i moją najbliższą współpracownicą w centrum informacyjnym SNP, jak wówczas nazywano pion informacji organizacji. Oboje, i Matusiak (przewodnicząca SNP od 1985 do 1986 roku), i Jarczak byli ze Szczecina.

Głównym źródłem informacyjnym dla „Biuletynu” były polskie pisma podziemne, które od wiosny 1982 roku różnymi kanałami zaczęły docierać do nas do Norwegii. Umieszczaliśmy w „Biuletynie” norweskie tłumaczenia wybranych artykułów, między innymi następujących tytułów: „Tygodnik Wojenny”, „Tygodnik Mazowsze”, gdański „Por-

towiec", „KOS", „PWA", wrocławski „Z dnia na dzień", „Biuletyn Dolnośląski", „Wiadomości Bieżące", „Obserwator Wielkopolski" i „Polityka Polska". Wszystkie komunikaty Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej „Solidarności" (TKK) były również natychmiast tłumaczone dla „Biuletynu".

Do wiosny 1982 roku korzystaliśmy głównie z Radia Wolna Europa, radia Głos Ameryki i artykułów międzynarodowych gazet jak na przykład: „Frankfurter Allgemeine Zeitung", „Daily Telegraph", „Financial Times", „Neue Zürcher Zeitung", „Le Figaro", „Le Monde", „Pravda" czy emigracyjnego pisma „Russkaja Mysl", a także z organów PZPR jak „Trybuna Ludu" czy „Trybuna Robotnicza" oraz z polskojęzycznych gazet na Zachodzie, jak londyński „Dziennik Polski" i różnych publikacji przedstawicielstw i komitetów „Solidarności", między innymi w Paryżu i w Nowym Jorku.

W pierwszych latach istnienia „Biuletynu" przeprowadzaliśmy rozmowy z różnymi przedstawicielami „Solidarności" na Zachodzie, którzy przyjechali lub przyjeżdżali do Norwegii. Często gościem był Mirosław Chojecki. Wielokrotnie przyjeżdżali również Józef Chwał, przewodniczący Solidarności Rolników Indywidualnych Regionu Warmińsko – Mazurskiego i Leszek Dłouchy, były redaktor naczelny pisma „Solidarności" w Szczecinie „Jedność". Byli u nas poza tym Mieczysław Tarnowski z „Solidarności" Wałbrzyskiej, Stefan Palka, przywódca strajku w kopalni Manifest Lipcowej w Jastrzębiu Zdroju, Józef Przybylski, członek prezydium MKS w Gdańsku, Sławomir Czarlewski z Ruchu Młodej Polski i członek biura brukselskiego „Solidarności" oraz Błażej Wyszkowski (brat Krzysztofa) z „Solidarności" w Kościerzynie. Wyszkowski był zresztą także autorem jednego z tekstów w „Biuletynie".

Poza tym zamieściliśmy w „Biuletynie" przetłumaczone na norweski artykuły z prasy podziemnej autorstwa Zbigniewa Bujaka, Władysława Frasnyniuka, Zbigniewa Romaszewskiego, Karola Modzelewskiego i innych znanych działaczy podziemnego ruchu „Solidarności".

Głównymi tematami „Biuletynu" były: działalność podziemnej „Solidarności", informacja o ważnych poczynaniach władz PRL-u, a zwłaszcza ich represjach wobec opozycji. Poświęciliśmy sporo uwagi informacji o więźniach politycznych w Polsce, co miało duże znaczenie dla pomocy tym działaczom i związkowcom w Norwegii, którzy zajmowali się pomocą dla nich i ich rodzin.

Informowaliśmy również obficie o działalności naszych własnych oddziałów SNP w całej Norwegii. Trochę pisaliśmy też o walce o wolność w innych krajach Europy wschodniej, przede wszystkim o krajach bałtyckich, które wtedy jeszcze były częścią Związku Radzieckiego.

W pierwszych latach finansowaliśmy druk wszystkich naszych publikacji z naszych ogólnych środków. Później otrzymaliśmy sporo dotacji na „Biuletyn" i „Pismo" od norweskiej fundacji Wolnego Słowa (Fritt Ord), utworzonej przez kombatantów norweskiego ruchu oporu z czasów II wojny światowej. Oprócz drukarzy wszyscy angażowali się w tę, jak również pozostałą część działalności SNP, bez wynagrodzeń.



## „Tidsskriftet Solidaritet”

„Czasopismo Solidarność” było pod względem wyglądu zewnętrznego naszą najbardziej ambitną publikacją. Pismo było, choć nie od samego początku, dostępne w norweskich kioskach z gazetami i czasopismami. Kioski należały (i należą) do tej samej fundacji, która finansowo hojnie nam pomagała.

Zacząło się już przed stanem wojennym, gdy Einar Braathen (wtedy muzyk rockowy, później naukowiec) opublikował cztery numery pisma „Solidaritets – Bulletin” („Biuletyn Solidarności”). Pierwszy numer „Czasopisma Solidarności” pojawił się z kolei tuż po ogłoszeniu w Polsce stanu wojennego, bo już 14 grudnia 1981 roku, z nową redakcją i nową koncepcją. Redaktorem naczelnym tego pierwszego numeru był późniejszy dyplomata norweski Dag Mjaaland. Drugi i trzeci numer, które wyszły zimą i wiosną 1982 roku, redagowała Polka i dziennikarka mieszkająca w Oslo, Natasza Piękniewska – Sandbu. Pismo było w pierwszych latach swojego istnienia kwartalnikiem, to znaczy przynajmniej starało się nim być.

Jesienią tego roku przejąłem „Pismo”. Wymieniona już Ewa Sowińska została sekretarką redakcji i stworzyliśmy znowu całkiem nową redakcję. Wśród członków tej redakcji znajdujemy między innymi profesora polonistyki na uniwersytecie w Oslo – Ole Michaela Selberga, Jadwigę Kvasdheim, która jedyna z zespołu przeszła do „Pisma” z „Biuletynu Solidarności” i dwu Czechów z doświadczeniem z ruchu Karty '77, Michaela Konůpka i Radka Doupoveca. Powieściopisarz Konůpek przynosił nam nowe artykuły do każdego numeru pisma. Doupovec odpowiadał w redakcji między innymi za tytułową stronę pisma. Najczęściej umieszczał tam własne dzieła, ale czasami dostarczał ilustracje innych czeskich artystów, na przykład znanego czeskiego malarza i grafika oraz byłego więźnia politycznego Jana Kristofori, który notabene urodził się przed drugą wojną światową na Zakarpaciu, kiedy ten region należał jeszcze do Czechosłowacji.

Główną tematyką „Pisma” była aktualna sytuacja polskiej podziemnej opozycji. Pisaliśmy też o wydarzeniach w Czechosłowacji i w innych krajach socjalistycznych oraz o działalności SNP w Norwegii. Członkami tej, już trzeciej redakcji pisma, byli również Arne Borg, który w pierwszej połowie lat 80. odpowiadał w SNP za sprawy związków zawodowych oraz Frode Bakken, wieloletni norweski działacz na rzecz Karty 77. Artykuły do „Pisma” przynosili nie tylko członkowie redakcji, ale również inni działacze SNP, sympatycy „Solidarności” i pozostałej części opozycji w Europie wschodniej oraz polityczni emigranci w Norwegii, jak na przykład Mykoła Radejko, działacz Ukraińskiej UPA, który po wojnie dostał się do Norwegii dzięki pomocy ze strony polskiego WiN.

Poza tym umieszczaliśmy w piśmie sporo tłumaczeń artykułów z polskich pism podziemnych, takich autorów jak na przykład Kornel Morawiecki, Leszek Kołakowski, Zbigniew Bujak, Aleksander Hall czy Jacek Kuroń. Regularnie publikowaliśmy kalendarium najważniejszych wydarzeń w podziemiu i w PRL-u.

## Inne publikacje SNP

W 1982 i 1983 latach wydawaliśmy poza tym różne zeszyty i broszurki na określone tematy, które przede wszystkim miały pomóc Norwegom lepiej zrozumieć czym jest ruch „Solidarności” i to co się działo w Polsce. Te publikacje ukazywały się także wyłącznie w języku norweskim.

Charakter szkoleniowo – kształcący miała na przykład broszurka „*Hva vet du om Polen?*” („*Co wiesz o Polsce?*”), która zawierała między innymi następujące artykuły: kalendarium historii PZPR pod tytułem „*35 lat złamanych obietnic*”, zaczynając od wielkiego strajku w Poznaniu w 1956 roku. Było w niej także o „*Polskiej drodze do socjalizmu bez sukcesu*”, o protestach robotniczych w Trójmieście i Szczecinie, o KOR i ROP-CiO w latach 70., o WZZ – ach w Gdańsku, i o podobnych inicjatywach w Szczecinie i w Katowicach oraz o roli Kościoła katolickiego w Polsce. Pozostałe artykuły z tej książki zajmują się sumarycznie historią NSZZ „Solidarność” do 1982 roku i początkiem stanu wojennego. Książeczka została wydana przez oddział SNP w Oslo, który w dużym stopniu działał niezależnie od zarządu krajowej organizacji.

Z inicjatywy naszego ówczesnego wiceprzewodniczącego Andrzeja Jachowicza i z moją przedmową ukazał się w marcu 1982 roku „*Program NSZZ Solidarność na I. Zjeździe w Gdańsku 5-10.9 i 26.9 – 10.10 w 1981 roku*”. Dokumenty zostały przetłumaczone z polskiego na szwedzki przez Marię Borowską i ze szwedzkiego na norweski przez „*Polen – gruppen ved Buskerud folkehøyskole*”, tzn. „Zespół polski” na uniwersytecie ludowym w Darbu w regionie Buskerud.

Książeczka „*Polens Historie*” („*Historia Polski*”), która była przeznaczona dla kół samokształceniowych w oddziałach lokalnych SNP w różnych miastach Norwegii, zawierała między innymi artykuł profesora Selberga na temat „*Polskiej polityki mniejszościowej wobec Ukraińców w latach 1918 – 1982*”, tekst profesora historii Jensa Pettera Nielsena pod tytułem „*Polska w okresie Piłsudskiego*”, wykład Geira Lundby’ego (przewodniczący SNP w latach 1984 – 85) o historii Polski po drugiej wojnie światowej, artykuł Aleksandra Halla na temat przyszłości „Solidarności” oraz mój tekst o polskiej opozycji po drugiej wojnie światowej.

Wydaliśmy (w 1982 roku) trzy tak zwane „Zeszyty tematyczne” (temahefter). Pierwszy z nich zajmował się historią „Solidarności” od sierpnia 1980 do grudnia 1981 roku. Drugi zeszyt był poświęcony literaturze podziemnej i zawierał oprócz długiego artykułu Stefana Bratkowskiego, różne przedruki z „*Tygodnika Wojennego*”, „*Solidarności Walczącej*” i innych pism podziemnych. Trzeci, który się ukazał pod tytułem „*Polska pod terrorem*”, naświetlił czytelnikowi bliżej stan wojenny, rolę ZOMO i wojska, i opisał bardziej szczegółowo obozy internowania oraz wymienił nazwiska działaczy opozycji, którzy zostali zabici przez władzę PRL-u na początku stanu wojennego.

Na końcu należy też wymienić osobną publikację, która zawierała statuty organizacji Solidaritet Norge – Polen, które zostały uchwalone na pierwszym zjeździe SNP w Oslo w kwietniu 1982 roku.

Wszystkie wymienione publikacje zostały wydane w Oslo. Oprócz tego wychodziły również, najczęściej okazynie, lokalne publikacje w naszych oddziałach poza stolicą (także w oddziale w Oslo). Z tego, co się pojawiło w innych miastach, najwięcej uwagi zwróciło na siebie Radio Solidarność (Radio Solidaritet) w oddziale SNP w Trondheim, które powstało w 1984 roku z inicjatywy wiceprzewodniczącego tego oddziału Andrzeja Tomaszewicza. Radio Solidarność w Trondheim w Norwegii środkowej było jedną z dwu rozgłośni „Solidarności” w Europie, obok działającego już od 17 grudnia 1981 roku Radia Solidarność (Radio Solidarité) w Paryżu.

Od początku stanu wojennego, aż do początków nowego ustroju demokratycznego w Polsce w 1989 roku, przygotowywaliśmy i publikowaliśmy również meldunki prasowe na temat ważnych wydarzeń bezpośrednio związanych z „Solidarnością” oraz różnych akcji Solidaritet Norge – Polen. Mieliśmy, jak już wspomniano, częsty kontakt z dziennikarzami głównych gazet oraz radia i telewizji w Norwegii. Nasze publiczne radio, które miało znacznie większe znaczenie wtedy niż obecnie, korzystało często z naszej pomocy i zwłaszcza w drugiej połowie lat 80. ich dziennikarze prosili nieustannie o telefoniczne rozmowy z działaczami „Solidarności”. Chętni do rozmowy byli na przykład zawsze Andrzej Gwiazda czy Władysław Frasyniuk, podczas gdy dostęp do Lecha Wałęsy był bardzo utrudniany przez jego otoczenie, które nas (mnie) do niego nie dopuszczało. Kiedy dzwoniłem do Wałęsy z norweskiego radia zawsze odbierał ktoś inny, nierzadko Adam Kinaszewski, kto podawał jakiś powód, dlaczego rozmowa z Wałęsą w tamtym momencie nie jest możliwa. Nawet argument o norweskiej nagrodzie Nobla dla Wałęsy za bardzo nie pomagał.

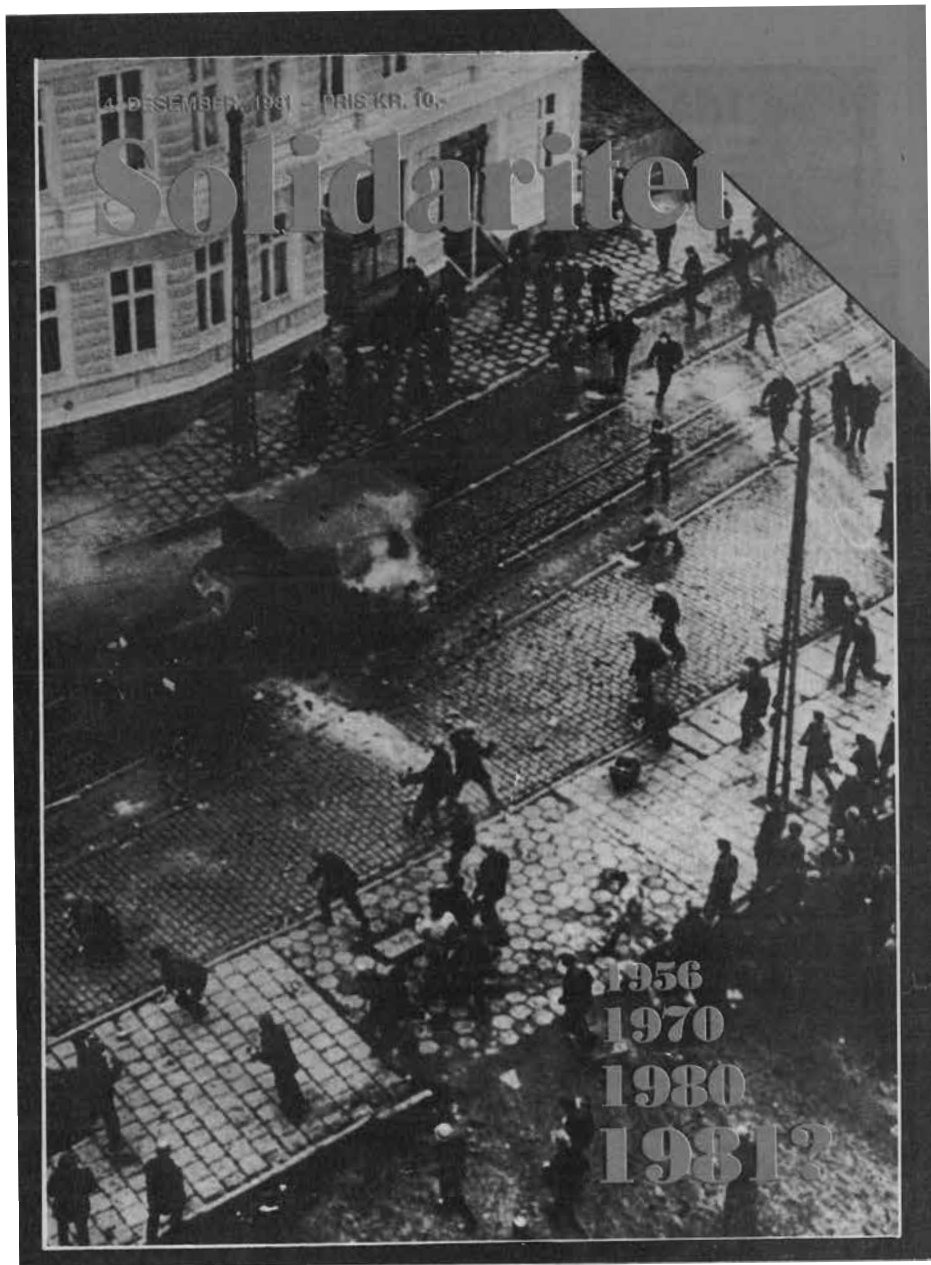
Muszę powiedzieć, że o ile na początku stanu wojennego część wpływowych norweskich dziennikarzy, zwłaszcza telewizyjnych, niechętnie mówiła o „Solidarności” i unikała rozmów z Lechem Wałęsą, to później wyraźna większość norweskich korespondentów i komentatorów w swoich analizach i reportażach stała po stronie „Solidarności”, demokracji i wolności. Sądzę, że jako SNP mieliśmy na tę zmianę pewien wpływ.

WIADOMOŚCI

- 1/ "Solidaritet Norge-Polen" rozwija się nadal. Obecnie organizacja ta zrzesza 60 Grup Lokalnych oraz 100 związków zawodowych. Szczególnie cieszy fakt, że NSZZ "Solidarność" i Lech Wałęsa są równie popularni w dużych miastach (Oslo, Bergen), jak i w małych miejscowościach w całej Norwegii
- 2/ Dzień "Solidarność z "Solidarnością" " obchodzony był w całym kraju. Jak wspomniano w "Biuletynie Informacyjnym" nr 4/82 na demonstracji w Oslo obok Tera Halvorsena (przewodniczący norweskiej centrali związkowej) oraz Einara Hagnessa ("SN-P") przemawiał Józef Chwał-a-członek KKP NSZZ "Solidarność" Rolników Indywidualnych. Szkoda, że norweski DTV nie znalazł miejsca w swoim programie na transmisję z przemówienia J. Chwały, który przyjechał z Zurychu specjalnie na demonstrację w Oslo.  
Członkowie "Solidarności": J. Chwała, M. Tarnowski i B. Wyszowski uczestniczyli w spotkaniach organizowanych przez "SN-P" w różnych miejscowościach Norwegii.
- 3/ Moss: 3 lutego odbył się tutaj koncert rockowy, z którego dochód (6 tys. koron) przeznaczony został dla NSZZ "Solidarność".  
Małgorzata Matusiak (OBS NSZZ "Solidarność" w Szczecinie) wygłosiła krótki apel, w którym podkreśliła, że pomimo terroru, jaki ma miejsce w Polsce, partia komunistyczna nie jest w stanie zniszczyć narodu polskiego i NSZZ "Solidarność".
- 4/ Stavanger: Na początku lutego zawiązała się tutaj Grupa Lokalna "SN-P"
- 5/ Kongsberg: 3 lutego w tutejszym kościele odbył się koncert dedykowany Polsce, a zorganizowany przez "SN-P", Arbeiderpartiet (Partia Pracy) i ruch związkowy. Dochód z koncertu przeznaczony jest dla NSZZ "Solidarność".
- 6/ Trondheim: Na demonstracji "Solidarność z "Solidarnością" zebrało się tutaj około 700 osób
- 7/ Harestua: Około 100 osób (ponad 10% ogółu mieszkańców), uczestniczyło w zebraniu założycielskim "SN-P" - Oddział Harestua
- 8 / Narvik: Romana Budny (NSZZ "Solidarność") przemawiając na koncercie dedykowanym "Solidarności" wspomniała słowa Jana Pawła II: "Nie ma Europy sprawiedliwej bez Polski niepodległej".
- 9/ Hamar: "Stwierdzenie, że działalność "Solidarności" jest przyczyną wprowadzenia "stanu wojennego" w Polsce jest jednym z mitów, który musimy szczególnie zwalczać. Władze polskie negocjując z "Solidarnością" przygotowały się znacznie wcześniej (przed 13 XII) do wprowadzenia "stanu wojennego" - stwierdził Ketil Meyerdaahl, przewodniczący "SN-P" na zebraniu, które miało tutaj miejsce 3 lutego
- 10/ Fredrikstad: Na przełomie stycznia i lutego założono tu Grupę Lokalną "SN-P". Rzecznik "SN-P" podkreślił szczególnie niezależność polityczną organizacji.









**SOLIDARITET  
NORGE-  
POLEN**

Na początku stycznia 1982r. utworzono Dział Informacyjny "S.N-P."

Celem tego działu jest informowanie społeczeństwa norweskiego o wydarzeniach w Polsce, o aktywności społeczeństw i instytucji zachodnich na rzecz "Solidarności" i narodu polskiego; prostowanie błędnych opinii i komentarzy prasowych, radiowych i telewizyjnych dotyczących "Solidarności" i Polski. W związku z tym dział ten wydaje co tydzień własny biuletyn, który wysyłany jest do wszystkich związków zawodowych, grup lokalnych "S.N-P.", Norweskiej Agencji Prasowej. Utrzymujemy kontakty z Radiem i Telewizją. Wydajemy również biuletyny tematyczne oraz ukazując się co 1-2 miesiące czasopismo "Solidaritet".

W związku z zadaniami tego działu, koordynowaniem pewnych akcji na rzecz "Solidarności" zależy nam na współpracy z grupami "Solidarności" w innych krajach. Wysyłamy na razie część naszych materiałów /w języku angielskim i norweskim/. Następną przesyłką dostarczymy tłumaczenia oraz posiadane przez nas materiały z Polski i Norwegii w języku polskim /ewentualnie część w angielskim/.

Bardzo prosimy o wysłanie nam informacji o Waszej działalności, Waszych propozycji oraz posiadanych przez Was wiadomości z Polski,

*Matgorzata Matusiak*

**SOLIDARITET  
NORGE - POLEN**



# Norweska pomoc dla Solidarności w okresie stanu wojennego

(Notatki z bieżącej działalności organizacji Solidaritet Norge – Polen w latach 1982 i 1983)

Solidaritet Norge – Polen (SNP) była w okresie stanu wojennego największą organizacją wspierającą podziemną „Solidarność” poza granicami PRL. W tym tekście przedstawione są urywki z zeszytu, który się znajdował w siedzibie SNP w centrum Oslo i na początku stanu wojennego służył jako środek komunikacji pomiędzy działaczami tej organizacji. Jak wiadomo w tym czasie nie było smartfonów, SMS-ów czy facebooka.

Chociaż centralne biuro organizacji znajdowało się w centrum stolicy Norwegii, informacje zawarte w tym zeszycie pokazują jak Norwegowie i Polacy w całym kraju od północy do południa Norwegii zaangażowani byli w pomocy dla „Solidarności”. W 1982 roku SNP miała około 60 oddziałów lokalnych w całym kraju.

Krótkie meldunki zostały zapisane w wymienionym zeszycie z myślą o tym, aby konkretny działacz lub sekretariat organizacji wykonał prośbę konkretnej osoby, komisji zakładowej lub oddziału SNP z różnych miejsc w Norwegii. Zeszyt zachował się w archiwum SNP dzięki jego późniejszemu sekretarzowi zarządu SNP Arnemu Borgowi. W tłumaczeniu notatek zachowano telegramowy, nieliteracki styl oryginału.

*Bjørn Cato Funnemark (przewodniczący SNP 1986 – 1990)*

## 1982 rok

7.1.82 – Bærum (powiat niedaleko Oslo – BCF) chce założyć oddział SNP. Potrzebny mówca. Kontakt Harald Nilsen 17 77 38

7.1 – Tromsø (największe miasto w Norwegii północnej, (BCF), Jon A Jørstad, Szkoła Prestvannet, Tromsø ref.80534. Potrzebują mówcy

14.1 – Spotkanie założycielskie SNP w mieście Lillehammer. Proszą o przybycie członka zarządu lub Polaka.

18.1 – Trondheim (duże miasto w centralnej części Norwegii – BFC), niedziela, potrzebny polski mówca. Debata w połowie stycznia.

22.1 – W mieście Drammen proszą o mówcę (najlepiej Polaka). Pociąg i odbiór na dworcu będą załatwione.

22.1 Uniwersytet w Oslo, Forum studenckie. Potrzebny przedstawiciel do debaty m.in z Torem Halvorsenem (ówczesny przewodniczący głównej centrali związków zawodowych w Norwegii LO – BCF)

28.1 – Ås, Akademia Rolnicza, potrzebny mówca na 28/1.

18.2 – Związek wydawców, spotkanie członkowskie czwartek 18/2 o godz.16:30. Zadzwoń do Inger Bentson, Universitetsforlaget (Wydawnictwo uniwersyteckie) 27 60 60, Aschehoug Nygård 33 79 90

– Amnesty (International, moja uwaga) (Øyvind Johnsen) zgodzili się na spotkanie z M.CH. (Mirek Chojecki, moja uwaga) w godzinach 8:30 – 16,00 w biurze AI (Część notatek nie ma daty, ale wynika z kontekstu, że napisane są mniej więcej w tym samym czasie – BCF).

– Komitet Helsiński 441 01 33 też zainteresowany spotkaniem  
 – Rafto (Profesor Torolf Rafto – BCF) poinformowany telefonicznie  
 – Selberg (Ole Michael Selberg, profesor polonistyki, później członek czasopisma SNP – BCF), poinformowany przez BCF (Bjørn Cato Funnemark, moja uwaga)  
 – Związek Dziennikarzy  
 – PEN Club (przewodnicząca obecnie w Sztokholmie)  
 – Chr (Christian) Borch, NRK (publiczna telewizja norweska, dziennik telewizyjny – BCF) 45 90 50

– Pål Jørgensen, Dagbladet (dziennik norweski – BCF) 20 20 90  
 – S.Savik (Stein Savik), Aftenposten (norweski dziennik – BCF) 20 50 60  
 – J. Stølan, Nationen (dziennik partii chłopskiej – BCF) 33 50 90  
 – FK Jansen, Vårt Land (dziennik chadecki – BCF) 33 39 75  
 – Wysłać list do Evena Haugena  
 – Helle Borgen, Bekkeveien 9c, Haugesund (miasto w Norwegii zachodniej – BCF) chce założyć oddział lokalny (SNP)

23.4 – Ellen Rygg, Stadvallsia, Mørkved 23/4 -82

– Ålesund (miasto w północno – zachodniej części Norwegii – BCF). Sprawę dyskutować będą w komisji zakładowej. Zamiar – tworzyć oddział lokalny. Im potrzeba więcej informacji o „Solidarności” + o SNP. Kontakt Svein Nilsen, Steinvågeveien, 6000 Ålesund

– Astrid Fritzen, 2743 Harestua (wioska na północ od Oslo – BCF), trzeba ulotki 2 – 300, przypinki 20 sztuk, gazety, plakaty 10 – 15 sztuk i informacja

27.10 – 1. Arnt Kjesby (oddział SNP – Levanger w Norwegii Środkowej – BCF) wspomina o starej prośbie przetłumaczenia dwóch listów.

2. Ten oddział prosi też o nowe adresy dla rodzin internowanych (wysłać paczki z jedzeniem). Oni już wysłali Scanpak dla rodziny Zbigniewa Gołębiowskiego z Włocławka. Proszą o informację o tym czy paczka dotarła.

3. Informacja o sytuacji w Polsce

4. Pytanie, jak długo idzie list do Polski

5. Opłata za przesyłkę zwrotną dla Biuletynu Informacyjnego Bjørna (Funnemarka – BCF)

– Kontakt od Acem (Zajmują się medytacją – BCF), Ole Nygaard i Inger Myklebust

– Pytania dla Geira Glenstera (Działacz SNP, oddział Oslo – BCF):

1. Plany dotyczące „Polskiego tygodnia” (dzień, godzina)

2. Członkowie zarządu SNP w Oslo, których można skontaktować.

3. List dotyczący zaplanowanej manifestacji (z pochodniami) 10. Grudnia.

- Sprawdzić nadajnik FM , taśmy które nadawane są w polskiej sieci w Trondheim ...
- Komisja zakładowa ASEA Per Kure prosi o tyle oryginalnych przypinek ze znakiem „Solidarności”, ile możliwe
- Komisja Zakładowa Emil Moestue A/S (spółka akcyjna – BCF) prosi o różne polityczne materiały i informację o tym jak można się przyłączyć do SNP, Adres Urtegata 9, Oslo 30.12 – Koncert w Trondheim.

Kontakty: Erling Berg (Główny odpowiedzialny), tel. Praca 47 340, prywatnie 38 942, Terje Bang (członek zarządu krajowego – BCF) tel. 48 571/2, prywatnie 30 056. Zawartość (tzn. kto występuje – BCF): Alex (polska piosenkarka Aleksandra Sandøy – BCF) 95 procent pewne, Arve Tellefsen (znany norweski skrzypek – BCF), Knutsen & Ludvigsen (wtedy znany norweski zespół muzyczny – BCF), (Hans) Rotmo (znany norweski piosenkarz – BCF), Alterhaug & Stokstad, Frode Rasmussen.

Bilet lotniczy dla mówcy z Oslo godz.13:15, 30/12 razem z piosenkarką Alex i pianistą. Powrót 22:10 już załatwiony.

### 1983 rok

27.7.83 – Info od Henrika (Henrik Stolt – Nielsen, członek zarządu SNP – BCF) do Torego (Tore B Kristiansen, ówczesny sekretarz zarządu SNP – BCF): Jak wygląda z uchwałami FFI (ICFTU, Międzynarodowa Konfederacja Wolnych Związków Zawodowych – BCF). Andrzej (Andrzej Jachowicz, ówczesny wiceprzewodniczący SNP – BCF) je potrzebuje. Prawdopodobnie trzeba będzie się zwrócić do LO (centrali związkowej – BCF).

– Info od Andrzeja: Worki z ubraniami można przenieść do Vinmonopolet (sieć państwowych sklepów z alkoholem, komisja zakładowa tego przedsiębiorstwa bardzo aktywnie działała w SNP – BCF). Rozmawiałem o tym z Tomem Aarstadem. Klucze dostać, zadzwonić do Håkona Høsta (Przewodniczący Komisji Zakładowej w tym przedsiębiorstwie – BCF)

– (Nieczytelna informacja od Andrzeja Jachowicza na temat Sławomira Paprotnego, oficer na polskim statku, który skontaktował się z nami i poprosił o azyl polityczny w Norwegii – BCF)

– Informacja od Funnemarka dla Andrzeja: Dzwonił do ciebie Sławek Paprotny. Zobaczę go może w piątek. Jego numer telefonu 46 10 00, BCF

– Małgorzata Matusiak (wtedy członek zarządu, później przewodnicząca SNP – BCF) prośba o tłumaczenie listu.

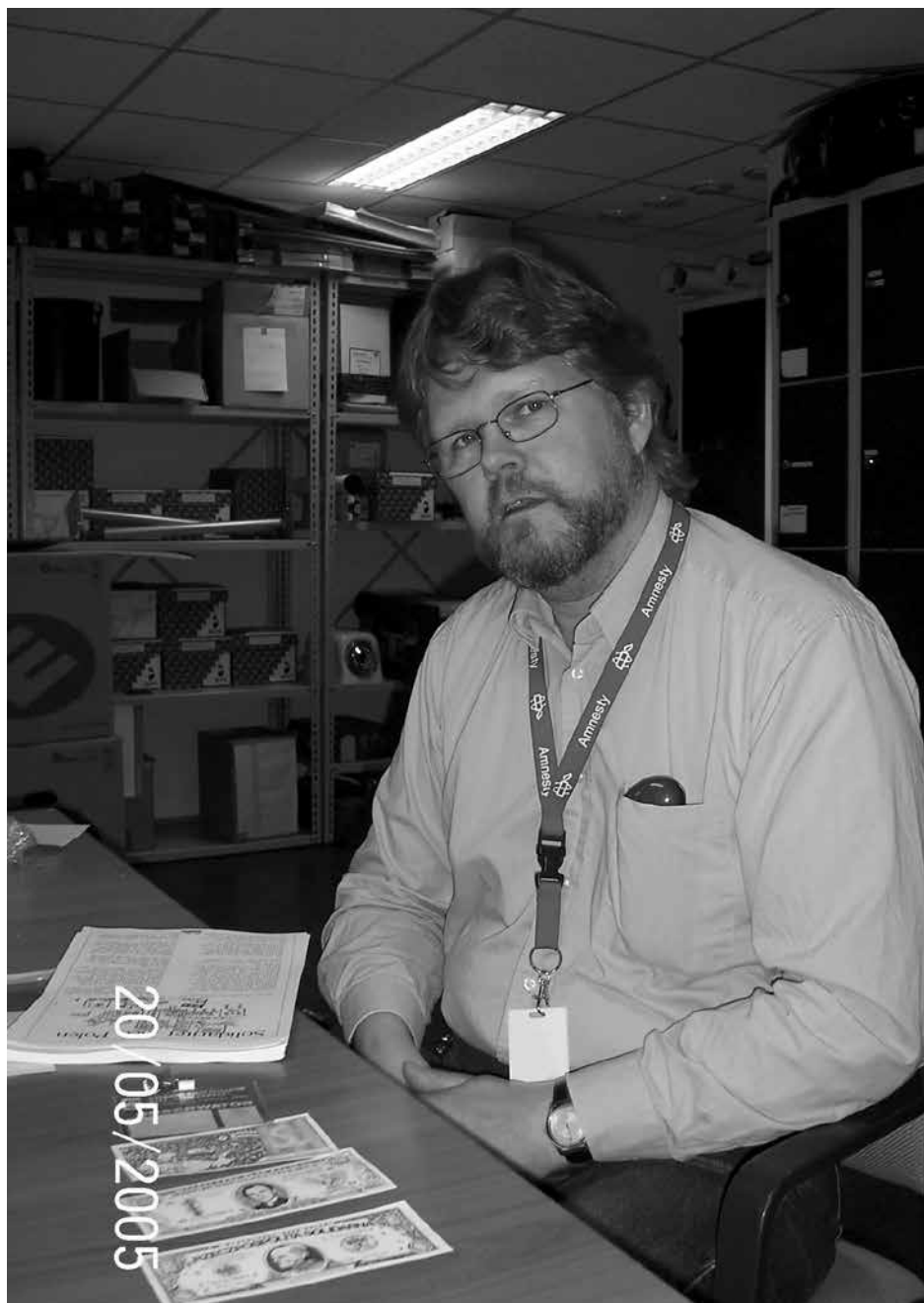
11.8. – Prośba do Małgorzaty (Matusiak). Zadzwoń jak najprędzej do Pera Stokstada. On potrzebuje tłumaczenia. Tel 90 84 05, prywatnie 68 59 98, praca 19 29 10, Human – Etisk Forbund (Towarzystwo Humanistyczne)

– W.C. Langsam – Historic Documents of World War II, Princeton 1958

– Stoisko, Oddział SNP Oslo, (Nieczytelne 50, Różne 58,50 (koron norweskich – BCF)

– Zużyliśmy stare skarbonki do zbierania pieniędzy, BL (Nieznany działacz oddziału SNP w Oslo – BCF)





Arne Borg, sekretarz Solidaritet Norge-Polen

# Paweł Gajowniczek – PRZEDSTAWICIEL

Mateusz Wyrwich

Zaczynał u schyłku lat 70. jako kolporter prasy i książek publikowanych przez KOR. W stanie wojennym rozprowadzał książki wydawane poza cenzurą oraz „Tygodnik Wojenny”, którego od 1983 roku był przedstawicielem na Zachodzie. Podczas wręczenia Wałęsie (a właściwie jego żonie Danucie – red.) Pokojowej Nagrody Nobla w 1983 roku był jedynym przedstawicielem prasy podziemnej, reprezentując „Tygodnik”.

W 2007 roku został odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Orderem Odrodzenia Polski Polonia Restituta. Natomiast przed trzema laty przez prezydenta Andrzeja Dudę Krzyżem Wolności i Solidarności.

– Ścisłe mówiąc, na wręczeniu byliśmy we dwóch, bo z Hamburga przyjechał drugi reprezentant „Tygodnika Wojennego” Bogdan Zmorzyński i obaj relacjonowaliśmy uroczystość (był jeszcze trzeci przedstawiciel „Tygodnika”, Andrzej Zwanecki ze Szwecji – red.). Akredytacja na noblowskie uroczystości nie była zresztą jakoś szczególnie trudna do załatwienia – opowiada Paweł Gajowniczek. – No cóż, piękny dzień. Jedyny w swoim rodzaju i powiem tyle: cieszę się, że to Danuta Wałęsowa odbierała nagrodę. Zachowała się naprawdę z klasą. Zresztą została wybrana przez największy, opiniotwórczy dziennik „Aftenposten” na kobietę 1983 roku. O nagrodzie dowiedziałem się kilka dni wcześniej od Jo Sandbu – Nie wiem, skąd on to wiedział, ale była to rodzina dziennikarska, więc na ogół wiadomo było, co się dzieje w „Komitecie” i na „mieście”. Jego żona była tłumaczką Wałęsowej podczas wręczenia nagrody. (wiadomość przekazał Kåre Sandegren, reprezentant LO, czyli norweskiej centrali związkowej w Komitecie Noblowskim, a tłumaczkami, o ile wiem, była też sekretarka Lecha Wałęsy z czasów legalnej „Solidarności” Magda Wójcik oraz Jadwiga Kvalsheim – red.). W każdym razie chcieliśmy uprzedzić Wałęsę, że dostanie Nobla. Zadzwoiłem do Mazowieckiego i powiedziałem o nagrodzie, ale nie uwierzył i nie podał informacji dalej. Był nieufny, bo rok wcześniej SB puściła plotkę, że Wałęsa dostał Nobla, więc pewnie się bał, że tym razem będzie to samo.

\*\*\*

Norwegia już od początku sierpniowych strajków wysłała swoich związkowców do Polski. Po powrocie do kraju podjęli pierwszą akcję „Daj godzinę pracy dla Polski”. W ten sposób zebrano dwieście tysięcy koron. Dzięki tym funduszom wiele komisji zakładowych NSZZ „Solidarność” otrzymało sprzęt poligraficzny, papier, chemikalia. Słano również lekarstwa. Na polską wieś transportowano sprzęt rolniczy, a nawet... krowy. W kwietniu 1981 roku powołano w Oslo organizację Solidaritet Norge-Polen, która aż po lata 90. wspierała nasz kraj. W pracę tej organizacji włączyli się też norwescy dziennikarze i intelektualiści, również nieliczna jeszcze wtedy w Norwegii polska emigracja. O wsparcie dla naszego kraju zaapelował też król Norwegii Olaf V.



\*\*\*

Paweł Gajowniczek rozpoczął działalność w Solidarności Norge-Polen w 1983 roku. Uważał to za swój patriotyczny obowiązek. Jak dziś podkreśla, nie wyobrażał sobie, by mogło być inaczej. Pochodzi z rodziny walczącej o niepodległość Polski. Ojciec, Józef Gajowniczek, był w Związku Strzeleckim już jako czternastolatek. Z początkiem sierpnia 1914 roku, jako piętnastoletni chłopak, zaciągnął się do pierwszej Brygady. Służył w pierwszym pułku. Podobnie o rok starszy brat ojca – Bolesław. Obaj walczyli z bolszewikami w latach 1919-1920. Również w czasie II wojny, działając w konspiracji. Nie mniej „waleczną kartą” mogła pochwalić się córka stryja – Anna.

– Ojciec i stryj byli zaangażowani zarówno w konspirację antyniemiecką, jak i antysowiecką. Moje kuzynostwo także. Ojciec w czasie II wojny był we władzach cywilnych Polskiego Państwa Podziemnego. Natomiast córka stryja, Anna, walczyła w „Dysku”, a później w „Zośce”. Jej brat zaś w „Kilińskim», podobnie jak ich matka. Kiedy miało się takich przodków, to chyba „nie wypadało” zachować się inaczej i trzeba było kontynuować ich walkę – mówi pół żartem, pół serio Paweł Gajowniczek.

\*\*\*

Choć Paweł urodził się w Warszawie, to dopiero od czasu studiów na Politechnice Warszawskiej osiadł na stałe w stolicy. Po wojnie bowiem jego rodzice wędrowali po Polsce. Ojca, jako leśnika, przenoszono z miejsca na miejsce. Na dłużej rodzina osiedliła się w Kielcach, gdzie Paweł skończył szkołę podstawową i średnią. Po maturze miał studiować historię, ale waleczna siostra stryjeczna wyperswadowała mu: – Będą cię uczyć propagandy.

– Ojciec chciał, abym poszedł na medycynę. Ale nie lubiłem biologii. Chciałem zostać architektem, jednak kiepsko rysowałem. Mój stryjeczny brat poradził, że w PRL najlepiej ma inżynier, mówiąc: „W naszym fachu nie ma strachu”. No i tak zostałem inżynierem drogowcem o specjalności budowa dróg i lotnisk. Przez lata pracowałem również w Norwegii, jako „traffic engineer”.

\*\*\*

Jeszcze na studiach Paweł związał się ze Studenckim Kołem Przewodników Beskidzkich, spośród którego – jak podkreśla – wywodziło się później wielu opozycjonistów. Zaczął prowadzić obozy i kursy przewodnickie. Po studiach ożenił się. Urodzili się synowie, a już w stanie wojennym córka. Zaangażował się w działalność podziemną.

– To nie był efekt jakichś długotrwałych przemyśleń. Ot, spotkałem któregoś dnia męża mojej kuzynki, poetę i działacza podziemia Tomasza Jastruna, który zaproponował mi kolportaż „Biuletynu” KOR i tak się zaczęło – opowiada Paweł Gajowniczek. – Mimo wielkiego wydarzenia dla Polski, jakim był wybór Karola Wojtyły na Papieża, ani przez moment nie myślałem o wolnej Polsce. Ani wtedy, kiedy przyszła wielka burza, jaką była „Solidarność”, i walczyliśmy o swoją patriotyczną tożsamość. Owszem,



myślałem o wolnej Polsce, pewnie w liceum pod wpływem lektur romantyków czy pozytywistów, ale w jakiejś perspektywie stu lat.

\*\*\*

Od pierwszego dnia stanu wojennego Paweł zajął się kolportażem ulotek i książek. W niedługim czasie został jednym z głównych kolporterów „Tygodnika Wojennego”. W działalność podziemną zaangażowała się również żona, Wanda. Jak podkreśla Paweł Gajowniczek, nie spodziewał się stanu wojennego, choć widoczne były tego symptomy. Jak choćby „wydarzenia bydgoskie”, kiedy dowiedział się z „przecieków” o listach aresztowania działaczy „Solidarności”. Zapowiedzią były też pojawiające się w październiku na ulicach i w zakładach pracy wojskowe grupy operacyjne. To mogło nasuwać przypuszczenia, że komuniści zaatakują. Jednak nie podejrzewano, że mogą zaatakować przed Bożym Narodzeniem.

– W każdym razie, kiedy to się stało, nie miałem momentu zawahania, czy wejść w działalność konspiracyjną – wspomina Paweł Gajowniczek. – Wszedłem znów jakby przypadkowo. Michał Olszański już trzynastego dał mi kilkaset ulotek. Część rozrzuciliśmy po klatkach schodowych na Ursynowie. Chyba tydzień, może dwa tygodnie później zostałem „zwerbowany”, znów przez Tomka Jastruna, który szedł na spotkanie organizacyjne, zdaje się, tworzącego się „Tygodnika Wojennego”. I zaproponował, byśmy poszli razem. Poszedłem i tak się zaczęło. *(Tomek nie uczestniczył w żadnym stopniu w powoływaniu i prowadzeniu „Tygodnika, choć kontakty jakieś mieliśmy – red.)*

\*\*\*

Praca kolportera była bardzo trudna, odpowiedzialna i niebezpieczna, bo jeśli milicja zatrzymała kolportera, to z dowodem „przestępstwa”. Niebezpieczeństwo groziło też na „skrzynce” kontaktowej. Niezwykle ważna była w tej pracy punktualność, co przy fatalnej terminowości autobusów i tramwajów, przy braku telefonów graniczyło z cudem. Prasę czy książki trzeba było odbierać planowo, z dużą dokładnością. Chodziło o to, by kolporterzy odbierający bibułę nie poznali się, spotykając na „skrzynce». Umawiani byli co kwadrans czy nawet co dziesięć minut. W tym czasie w Warszawie kursowały, jako komunikacja miejska, autobusy „Orbisu”, które warszawiacy nazywali „juntami”. Wprowadzono je, gdyż wielu kierowców w zakładach komunikacyjnych zostało zawieszonych. Działały tam bardzo silne Komisje Zakładowe NSZZ „Solidarność” i komuniści bali się, że może dojść do strajków. Dawali więc zaufanych kierowców z „Orbisu”, którzy nierzadko byli tajnymi współpracownikami SB. Jednak i tam komunistyczna organizacja nie funkcjonowała dobrze. „Junty” potrafiły spóźnić się czasem i pół godziny.

– Pewnego dnia nastąpiło ogromne opóźnienie dostawy „Tygodnika”. Kilkanaście osób przychodziło i nie odchodziło, bo nie mieli z czym. A wiadomo było, że gazeta lada moment dojedzie. Niestety „nachodziliśmy” na siebie. I było to bardzo niedobre, bo kolporterzy, przynajmniej na te kilkanaście minut, pół godziny czy godzinę dekon-

spirowali się. Zebrało się wtedy ich z dziesięciu – wspomina Paweł Gajowniczek. – Ja też znalazłem się w takiej sytuacji. Wracałem z torbą naładowaną „bibułą”. A obok mnie kolporterka, którą widziałem po raz pierwszy i ostatni. Ona też miała olbrzymią torbę. W pewnym momencie nieopodal Dworca Centralnego pojawiły się kordony ZOMO sprawdzające walizki. Przypominało to łapankę, jak za okupacji niemieckiej. Zamknęli całą ulicę i wszystkich rewidowali. Jedyne, co nam sensownego przyszło do głowy, to... objęliśmy się i zaczęliśmy się całować. A że było to obok Dworca Centralnego, więc pewnie pomyśleli, że zakochana para idzie do pociągu. I szczęśliwie jakoś nam się udało. W przeciwnym wypadku wprost z naszych uścisków trafilibyśmy w uściłski SB. To był jedyny moment, kiedy w stanie wojennym najadłem się strachu. Do pracy w podziemiu podchodziłem raczej luzacko, bo w przeciwnym wypadku można by zwariować, hodując w sobie stres. Czasem były też śmieszne momenty. Autorem jednego z nich był mój najstarszy syn, wówczas chyba pięcioletek. Przychodzę do domu, on patrzy przez okno i, nie odwracając się, mówi do mnie, ściszym, konspiracyjnym głosem: – Tato, czeka tam na ciebie pan, którego nie mogę i nie chcę znać (*syn mojej współpracownicy Magdaleny Tyżwańskiej – Klemm wygłosił coś podobnego: Mamo, idzie ten pan, co to go nie znam i nigdy go nie widziałem – red.*).

\*\*\*

W 1983 roku Paweł Gajowniczek wyjeżdża do Norwegii, w krótkim czasie podejmując się roli przedstawiciela i korespondenta „Tygodnika Wojennego”. Później również korespondenta Radia Wolna Europa, paryskiej „Kultury”, a także „PWA”, czyli „Przeglądu Wiadomości Agencyjnych” (*a także 2 Programu Radia Solidarność – red.*). Dwa lata później dołączyła do niego żona z dziećmi, osiedlając się na stałe w Oslo.

Tu zapoznaje się z niezwykłym wsparciem Norwegów, między innymi dla Caritas. Również dla protestanckich kościołów w Polsce, organizowanych przez Kirkens Nødhjelp. Spotyka się też z indywidualną pomocą Polakom, jak choćby pani Jenny Andersen, która przez całą zimę „wyprodukowała» na drutach worek ciepłych skarpet dla polskich dzieci pochodzących z rodzin wielodzietnych. Gajowniczek zobaczył, jak Norwegowie chętnie uczestniczą w akcjach charytatywnych na rzecz Polski, również kulturalnych i politycznych, z udziałem wielu znanych postaci ze świata kultury i nauki.

– Norwegowie wspaniale się zachowywali – podkreśla Paweł Gajowniczek – Myślę, że proporcjonalnie do liczby ludności największa pomoc w stanie wojennym szła właśnie z tego kraju. Wtedy mieszkało niewiele ponad cztery miliony ludzi w tym zimnym klimatycznie kraju, ale jakże serdecznym. Tu wśród innych działań nieżyjący już Polak z Wilna Andrzej Jachowicz. Wiceprzewodniczący Solidaritet Norge-Polen (Solidarność Norwesko-Polska). Na własną rękę wysyłał bardzo dużą ilość sprzętu poligraficznego do Polski. Zbierał niemałe ilości maszyn drukarskich. Reperował je i wysyłał do kraju.

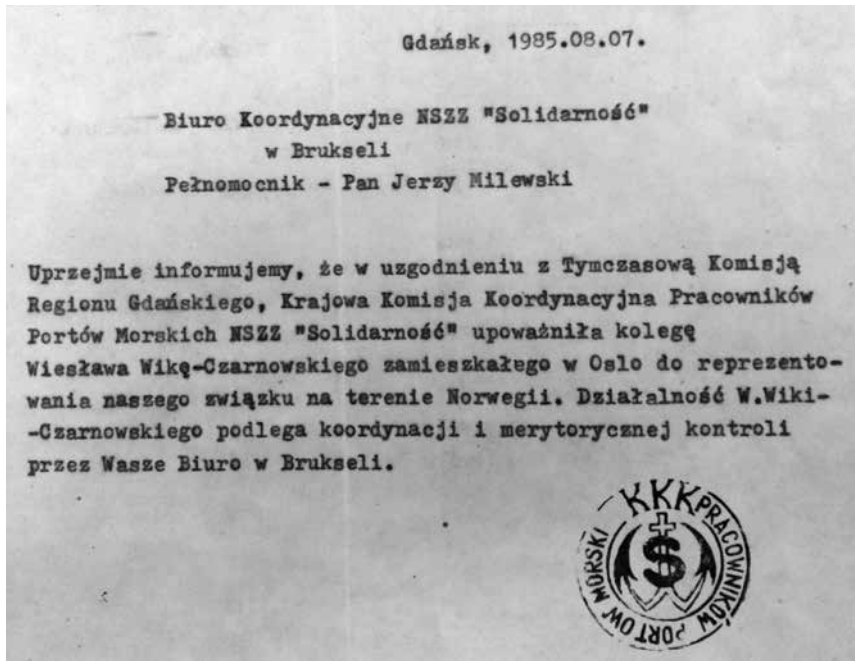
Paweł szybko uczy się języka. Po roku nostryfikuje dyplom inżynierski. W 1985 r. podejmuje pracę w swoim zawodzie, zajmując się zagadnieniem dróg publicznych,

najpierw w mieście. Później pracuje nad rozwiązaniami sygnalizacji świetlnych w całej Norwegii. Staje się uznanym fachowcem. Jest w Europie jednym z pierwszych autorów stosowania detekcji ruchu przy pomocy kamer. Działa w międzynarodowej organizacji nordyckiej „NEXT”. Zasiada w niej jako jeden z kilku przedstawicieli Norwegii. Jednocześnie aktywnie włącza się w działalność Solidaritet Norge-Polen (jest nawet członkiem zarządu centralnego SNP – red.). Nawiązuje kontakt z podobnymi komitetami w Niemczech, Francji, Belgii. Rozpoczyna też współpracę z rządem polskim na uchodźstwie. Między innymi z premierem, a później prezydentem Kazimierzem Sabatem. Także z ostatnim prezydentem na uchodźstwie Ryszardem Kaczorowskim. Staje się źródłem informacji, a także pośrednikiem do nawiązywania kontaktów polskiego rządu na uchodźstwie z opozycją w Polsce. Również pozyskiwania funduszy.

– Kiedy zastanawiam się, od kiedy zacząłem myśleć o tym, że będzie wolna Polska, to trudno mi tak dokładnie odpowiedzieć – mówi Paweł Gajowniczek. – Szanse na wolność zaczęły rysować się od 1988 roku, ale wcześniej mi na to nie wyglądało. Mimo że działałem w tym kierunku, by Polska była wolna, niepodległa, to nie spodziewałem się, że nastąpi to tak szybko. No, już nie za sto lat, jak myślałem, będąc młodzieńcem, ale za...?

Dziś Paweł Gajowniczek z żoną Wandą mieszkają pod Oslo, nadal mając polskie obywatelstwo. Bywają tak często w kraju urodzenia, na ile pozwala im czas. Oboje są na emeryturze. Synowie skończyli studia. Jeden jest ekonomistą, drugi informatykiem, córka lekarzem. Medycynę skończyła w Polsce.

Za: „Tygodnikiem Solidarność” z 2 marca 2021 r.  
(uwagi i uzupełnienia – JS.)



Droga Tolerancja

14. III. 1985

By wypetnic lubz dwuletnia "chwalemi"  
by wydawnictwami. Pieniązki z skromnych  
biuletynów, kt udało mi się odzyskać

Osoby bazeis zastawioną dla naszej sprawy  
jest Norweg Bjørn Cato Funnemark (praktycznie  
spolowocenny).

Para wydawnictw biuletynów, prowadzi on  
swoich abych propagandowę poprzez  
kontakty z dziennikarstwem, jest praktycznie  
gł. źródłem informacji o Polsce dla dziennikarzy  
norweskich. Ta część działalności wyłoży mi  
się jest znacznie łatwiejsza (ze względu na zasięg)

Wielkimi aktywami na nasz Solidarności grupy

Polaków (2-3 osoby w tym autor tego listu)

starają się uzyskać z działalności. Na przedwodzie  
stopniowanie problemu (głównie). Praktycznie ta (dotychczas)

Biuletyn Solidarności - Nift rozsyłany jest do  
prasy, on umożliwi nawiązanie szerokiego i dobrych  
kontaktów. Praktycznie cała praca (niektóre  
promocyjne) gacimobli - kt miot mi wyta)

jest nastawiona b. pozytywnie do naszej sprawy.

Przykładem może być najnowszą gazetę norweską  
Aftenposten kt ma w W-wie własnego korespondenta  
(Savika) nastawionego pozytywnie i przesyła  
obiektywne telety o Polsce.

Podobnie nasz ma z Norweską Agencją  
Informacyjną (NTB).

Niestety sprawa przedstawia mi niektóre inacej  
z telewizji. Jej korespondent Dag Halvorsen,  
jest osobistym przyjacielem Rahnwskiego. Piise  
telety zapewne dyktowane mu przez Urbana.  
W okresie stycznia 84 - parcia 1984 byl z Warszawy  
odwrotany. Pojawil mi ponownie na proscie forum, skun,  
gdzie z tatwoscia otrzymal akredytacje

Solidaritet Norge - Polen wystosowalo <sup>otwarty</sup> wystosowalo  
list protestacyjny do szefa NRK (Radio-Komiteet)  
list zostal przedrukowany w prawie 30 gazetach,  
jest on rowniez przesyłany do naszej prasy  
podtrzymuj z prosba o poparcie.

Mamy nadzieje, ze akcja ta zakonczy mi sukcesem.  
Laszpana podtrzymanie i biuletynu

Tomasz Gajowski  
Lindebergsgäsen 32B  
1068 0510-10  
tel (2) 303178



17, 18-07-1982

## STRUKTURA DZIAŁANIA NSZZ "SOLIDARNOSC" ZA GRANICĄ

1. Na wniosek Władz Krajowych NSZZ "Solidarnosc" powołane zostaje Biuro Koordynacyjne NSZZ "Solidarnosc" Za Granicą, zwane dalej Biurem, z siedzibą w Brukseli.
2. Zadaniem Biura są:
  - a/. Koordynacja skutecznej i wszechstronnej pomocy Związkowi w Kraju
  - b/ Współpraca ze Związkami Zawodowymi i ich Międzynarodowymi Organizacjami
  - c/ Koordynacja informowania opinii publicznej o aktualnej sytuacji NSZZ "Solidarnosc"

Działalność ta Biuro zamierza prowadzić do czasu przywrócenia wolności związkowych w Polsce.
3. Na Kierownika Biura powołuje się Jerzego Milewskiego.
4. Biuro uznaje autonomię, rolę i dorobek Grup Działania NSZZ "Solidarnosc" Za Granicą, w poszczególnych Krajach, zwanych dalej Grupami.  
Biuro w swojej pracy opiera się na nich i ~~nie~~ utrzymuje kontakty ze Związkami Zawodowymi w tych Krajach za pośrednictwem niżej wymienionych Grup:
  - Belgia - Biuro Informacyjne NSZZ "Solidarnosc" (Bruksela)
  - Francja - Komitet Koordynacyjny NSZZ "Solidarnosc" (Paryż)
  - Holandia - Biuro Informacyjne "Solidarnosci" (Amsterdam)
  - Kanada - NSZZ "Solidarnosc" Biuro Informacyjne w Kanadzie (Toronto)
  - RFN - Biuro Informacyjno-Koordynacyjne "Solidarnosci" (Bremen)
  - Szwajcaria - Delegacja NSZZ "Solidarnosc" w Szwajcarii (Zurich)
  - Szwecja - Biuro Informacyjne "Solidarnosci" (Sztokholm)
  - USA - Komitet Poparcia "Solidarnosci" - (Nowy Jork)
  - Wielka Brytania - Grupa Robocza NSZZ "Solidarnosci" w Zjednoczonym Królestwie - (Londyn)
  - Włochy - Komitet Solidarnosci z "Solidarnoscia" (Rzym)
5. Powołuje się Rada Biura Koordynacyjnego NSZZ "Solidarnosc" Za Granicą zwana dalej Rada.  
W skład Rady wchodzi: Grupa Delegatów Zjazdu Krajowego NSZZ "Solidarnosc" oraz przedstawiciele (po jednej osobie) Grup wymienionych w punkcie 4.  
Jeśli w/w Grupy nie są reprezentowane w Radzie przez członka Grupy Delegatów Zjazdu Krajowego NSZZ "Solidarnosc", wówczas liczba przedstawicieli tych Grup w Radzie zostaje zwiększona do dwóch osób.



## 6. Kompetencje Rady:

- a. Rada pełni funkcje programowe, opiniotwórcze i kontrolne w stosunku do Biura oraz Grup.
- b. Rada udziela, odmawia lub cofa akceptacje członków Biura
- c. Rada określa swoją strukturę i powołuje swoich przedstawicieli d.s. specjalnych.
- d. Rada zbiera się nie częściej niż raz na 6 miesięcy <sup>oraz</sup> na wniosek Kierownika Biura lub połowy swoich członków.

7. W skład Biura wchodzi członkowie funkcyjni zaakceptowani przez Radę w drodze wyboru, na wniosek Władz Krajowych NSZZ "Solidarność", ~~z wyjątkiem~~ Kierownika Biura lub Rady

8. Decyzje wychodzące z Biura muszą być podpisane przez co najmniej dwie osoby (w tym członka funkcyjnego prowadzącego dany temat).

Oslo, 18 lipca 1982 r.  
(MIROSLAW CHOJEBKI)

- |   |   |
|---|---|
| 1. <del>Janusz Czapka</del>                                       | 14. Zygmunt Protackiewicz               |
| 2. Paweł Pyminski   | 15. Marek Michalski                     |
| 3. Tadeusz Knapka   | 16. Jerzy Miel                          |
| 4. Krzysztof Rucławicz  | 17. <del>Janusz</del> Janusz Nowakowski |
| 5. Danuta Zuchowicz   | 18. Seweryn Blumentajn                  |
| 6. <del>Janusz</del> <sup>GA. H. SWIERGIEL</sup> Janusz Swiergiel | 19. Stanisław Czapka                    |
| 7. Marek Gajdecki   | 20. Piotr Anuszczyk                     |
| 8. Jerzy Gębala   | 21. Marek Muciojaski                    |
| 9. Hanna Nowak  | 22. Kamień Kunitowski                   |
| 10. Józef Chwosta   | 24. Józef Sępkowski                     |
| 11. Maciej Seweryński   | 25. Henryk Czapka                       |
| 12. Stefan Miel   | 26. Wojciech Gajdecki                   |
| 13. Jan Zelona  | 27. JOZEF PRZYBYLSKI                    |
| 29. Matgorzata Matuziak   | 28. —                                   |

## DO WEWNĘTRZNEGO UŻYTKU SOLIDARNOŚCI

Zasady działania biur " SOLIDARNOŚCI " za granicą.

Członkowie i działacze NSZZ " Solidarność ", zebrani na drugim z kolei konsultacyjnym spotkaniu w dniach 8 i 9.01. bieżącego roku, w Brukseli, grupujący przedstawicieli znanych obecnie środowisk " Solidarność " z 11 krajów : Belgii, Francji, Holandii, Kanady, Norwegii, RPN, Szwajcarii, Szwecji, USA, Wielkiej Brytanii, oraz Włoch, po przedyskutowaniu aktualnej sytuacji w kraju i za granicą, świadomi spoczywającej na nich odpowiedzialności i kierujący się, podstawową zasadą organizacyjną Związku : demokracja i jedność, ustalili :

1. Powołanie biur informacyjnych " Solidarność " za granicą.

- a) W celu właściwej organizacji i koordynacji pracy, jest wskazane, aby w jednym kraju działała tylko jedna grupa organizacyjna NSZZ " Solidarność ", skupiająca wszystkich członków i działaczy " Solidarność " w tym kraju.
- b) Grupa taka powstaje w następstwie podejmowanych w sposób demokratyczny decyzji członków NSZZ " Solidarność ", znajdujących się w danym kraju, tworząc w tym celu biuro informacyjne.
- c) Tylko to biuro w danym kraju, podejmuje łączność i współpracę, z NSZZ " Solidarność " w kraju, oraz koordynuje współpracę z zagranicą, a przede wszystkim ze związkami zawodowymi w danym kraju.
- d) Zebrani na spotkaniu członkowie i działacze " Solidarność " zwracają się, z apelem do wszystkich innych członków i działaczy związku za granicą, o przystąpienie do organizacji takich biur, a następnie o współpracę, z nimi. Informacja o tym zostanie w najkrótszym czasie przekazana do kierownictwa Związku w kraju.

2. Zadania biur informacyjnych "S" za granicą.

- a) Nawiazanie i podtrzymywanie współpracy z centralami związkowymi i branżowymi związkami zawodowymi w danym kraju.
- b) Utrzymywanie łączności z krajem.
- c) Zbieranie i wymiana informacji z kraju, z innymi biurami informacyjnymi "S" i mass-mediami, oraz wyjaśnianie sytuacji panującej w kraju.
- d) Koordynacja pomocy dla Polaków przybywających z kraju.

3. Wytoczne działania biur informacyjnych "S"

### 3. Wytyczne działania biur informacyjnych "S"

- a) Biura informacyjne "S", nie są organizacjami NSZZ "SOLIDARNOŚĆ" za granicą, a ich przedstawiciela, nie są oficjalnymi przedstawicielami Związku za granicą. Biura natomiast mogą, typować osoby do występowania na danym terenie i w określonym zakresie w imieniu biura, oraz w charakterze partnerów do rozmów z przedstawicielami miejscowych związków zawodowych i innych instytucji.
- b) Poszczególne biura informacyjne działają, autonomicznie na terenie własnego kraju i według ustalonych przez siebie zasad, zgodnych z niniejszymi wytycznymi, nie łącząc się, przy tym w organizacje, nadrzędne.
- c) Wszelkie decyzje biur informacyjnych, powinny być podejmowane w duchu statutu i programu, przyjętych na I -szym Krajowym Zjeździe Związku w Gdańsku.

Podpisali:

Przewodniczący spotkania: Andrzej Opieła

SOLIDARITET NORGE POLEN

Torggata 35, 0183 OSLO 1  
Postboks 2083, Grunerlekka, 0505 OSLO 5  
Postgiro 5 13 83 00  
Telefon (02) 42 31 052.10.1985  
II. N/10SOLIDARITET  
NORGE-  
POLEN

OSLO 30/9-85

NSZZ Solidarność  
sekretariat  
B.P. 112  
1040 BRUXELLES

Dołączam listę nazwisk znanych norweskich parlamentarzystów do których warto by przelać informacje • wnoszącą stanowisko Solidarności w sprawie "wyborów" do Sejmu PRL.

Przepraszamy za spóźnienie; ale spóźnienie to wynika z tego że całkowicie cały czas na list/informacje od p. Borowskiej w Sztokholmie na ten temat. Przewidywanym sprawcą z Mirkiem Chojackim który właśnie wspomina o "kierownicy" czyli koordynującej roli p. Borowskiej w sprawie "wyborów". Na prośbę Magdy Wojcik przesyłam listę bezpośrednio do waszego biura.

Otoś;

\* Det Norske Arbeiderparti  
(Norweska Partia Pracy, socjal-demokraci 40% głosów)  
(praców)

Fru - Gro Harlem Brundtland (pani), <sup>Formann</sup> przewodnicząca  
Herr - Einar Førde, wiceprzewodniczący Nestformann  
- Helen Røstevold (pani)  
- Knut Frydenlund (brat, min. spraw zagr.)  
- Sissel Rønbeck (pani)

c.d. na tylnej stronie %  
verte



- \* Høyre (partia konserwatywna) - ok. 30% postoli
  - Jo Benkow (marszałek Sejmu)
  - Harald U. Lied (wicekominjari spraw zagr. w parlamencie, również tejże partii w "II")
  - Astrid Nökleby Heiberg (prow. kobiet partii konserwatywnej)

- \* Kristelig Folkeparti (Chadecja) ok. 8% postoli
  - Kjell Magne Bondevik (wice-premier) Vise statsminister
  - Harald Synness (
  - Svein Straker (wicekominjari spraw zagr.)

- \* Senterpartiet
  - Anne Euger Lahnstein (pani) ok. 7% postoli
  - Johan Ruttvedahl (wicekominjari spraw zagr.)

- \* Sosialistisk Venstreparti - ok. 6% postoli  
(Socjalistyczna Partia Lewicowa)
  - Hanna Kvanmo (pani)
  - Theo Konitzynski (prow. tejże partii)

- \* Fremskrittspartiet ok. 4% postoli  
(Pro-amerykańska prawicowa partia)
  - Carl I. Hagen (prowodniczący)

Adres:

w sumie 17 postoli

imię + nazwisko  
nazwa partii  
STORTINGET, OSLO Dep

0026 OSLO  
NORWAY

Serdce moje podziwowa  
prensowa Björn Lato Funnemark

mój prywatny adres:  
Björn Lato Funnemark  
Ludvig Karstens vei 11  
1064 OSLO 10  
71 (telef. 02/32 63 34)



*Zdj. ze zbiorów Ketila Heyerdahla*

Biuro Koordynacyjne Solidarności w Brukseli, główne przedstawicielstwo władz podziemnej „Solidarności” w Polsce, nie kojarzy się z Norwegią. A jednak. To w Hønefoss pod Oslo w dniach 17 – 19 lipca 1982 roku odbył się światowy zjazd przedstawicielstw „Solidarności” , na którym powołano Biuro Koordynacyjne – jego szefem został Jerzy Milewski (czwarty od lewej). To dzięki inicjatywie i możliwościom organizacyjnym i finansowym Solidaritet Norge-Polen udało się zjednoczyć rozproszoną po całym świecie opozycję solidarnościową.



# Skrzynka pocztowa POB 47, Tokyo Japan 157

Jan Strękowski

Japonia, tak jak w pewnym stopniu Norwegia, stanowi przypadek jeśli nie wyjątkowy, to specyficzny. Trudno tu mówić o polskiej emigracji solidarnościowej. Do Japonii bowiem prawie nie trafiali azylanci z Polski; o azyl w tym kraju zwrócili się jedynie marynarze z co najwyżej kilku statków: na pewno z jednostki „Phenian” oraz – jak podaje Arkadiusz Tarnowski w wydanej w 2009 r. książce *„Polska i Japonia 1989–2004. Stosunki polityczne, gospodarcze i kulturalne”* – także MS „Leleweł”. Inne źródło mówi też o MS „Profesor Szefer”, choć nie wiadomo, czy zejście z tego statku nastąpiło w Japonii. Do tego grona należałoby zaliczyć jeszcze bardziej wyjątkowy przypadek: ambasadora PRL w Tokio Zdzisława Rurara z rodziną, który po 13 grudnia 1981 r. postanowił uciec z placówki, podobnie jak jego kolega z Waszyngtonu – Romuald Spasowski.

Po pewnym czasie wszyscy udali się dalej: do Australii, Kanady, Stanów Zjednoczonych; znam też przypadek marynarza, który trafił do RFN. Mieszkający w Polsce od 1961 r. prof. Teruji Suzuki, który po ogłoszeniu stanu wojennego przez władze PRL przebywał akurat w Japonii, mówi, że kraj ten w ogóle nie miał wtedy prawa azylowego.

Wprawdzie wizytujący Japonię w 1978 r. premier Piotr Jaroszewicz musiał wysłuchać opowiedzianego przez japońskich gospodarzy dowcipu, że Japończycy są właściwie naszymi sąsiadami, gdyby nie ten mały lasek, który nas dzieli... (Syberia), ale faktem jest, że „lasek” ten ciągnie się tysiącami kilometrów, stanowiąc naturalną barierę ograniczającą intensywność wzajemnych kontaktów. Nie jest ona jednak zupełnie nie do pokonania.

## Polacy w Japonii

W okresie międzywojennym niewielka liczba Polaków znalazła się na należącym do Japonii Tajwanie, a około 100–200-osobowa grupa zamieszkała na również japońskim wtedy południowym Sachalinie. Byli to przede wszystkim zesłańcy z czasów carskich, a także uchodźcy.

Wielką rolę przyszło odegrać katolickiemu ośrodkowi misyjnemu w Japonii w Nagasaki, zwanemu Japońskim Niepokalanowem, którego organizatorem był o. Maksymilian Kolbe, misjonarz na wyspach japońskich w latach 1931–1936. Ośrodek prowadzili polscy franciszkanie; w 1939 r. misja liczyła 29 duchownych. W Japonii działali również polscy bernardyni, którzy na południowym Sachalinie zajmowali się działalnością polonijną – zorganizowali tam m.in. dwie szkoły niedzielne. Kres tym inicjatywom położyły wydarzenia drugiej wojny światowej”. Dodajmy, że o. Kolbe przyjechał do Japonii już w kwietniu 1930 r., a miesiąc później wydał japońską wersję *„Rycerza Niepokalanej”* – *„Seibo no Kishi”*.

Za emigracyjnym „Rocznikiem Polonii”, wydanym w 1958 r. w Londynie, można podać, że po zakończeniu II wojny światowej w Japonii przebywało nie więcej niż trzydziestu Polaków. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych krajowe źródła najczęściej podawały liczbę czterdziestu osób.

*„Będąc konsulem w Tokio w latach 1992–1997 – wspomina Krzysztof Kleiber – miałem w mojej bazie danych ok. 400 adresów Polaków zamieszkałych wówczas w Japonii. Na tradycyjnie organizowane co roku bożonarodzeniowe przyjęcia dla Polaków przychodziło nawet do 300 osób, ale byli to w znacznej części japońscy członkowie mieszanych rodzin. Szacowałem wówczas, że łączna liczba Polaków zamieszkałych w Japonii jest rzędu 1000, góra 1500 osób, i choć były to jedynie bardzo zgrubne szacunki, żadne inne dokładniejsze dane nie istniały. Byli to przede wszystkim: polscy misjonarze i misjonarki, żony Japończyków (i bardzo rzadko mężowie Japonek) oraz specjaliści zatrudnieni na kontraktach przez japońskie firmy. Było też dosłownie kilkoro Polaków, którzy otrzymali japońskie obywatelstwo (przyjmując japońskie nazwiska)”.*

Były konsul przypuszcza zarazem, że w latach osiemdziesiątych sytuacja była podobna, tylko prawdopodobnie mniej było w Japonii polskich specjalistów.

Podobnie liczbę rodaków w Kraju Kwitnącej Wiśni szacuje Henryk Lipszyc, pierwszy ambasador wolnej Polski w Japonii w latach 1991–1996. Polacy byli przy tym rozrzućeni na przestrzeni dziesiątek tysięcy kilometrów kwadratowych.

Maria Katarzyna Murata, Polka mieszkająca w Japonii od wielu lat, w stanie wojennym zaangażowana w pomoc dla kraju, napisała mi, że według ówczesnych szacunków ambasady PRL w Tokio w latach osiemdziesiątych w Japonii przebywało 200–250 Polaków: Renata Mitsui, która pojawiła się w Japonii trochę później, w 1985 r., raz w roku chodziła do ambasady na przyjęcie świąteczno-noworoczne. Zjawiało się tam od kilkudziesięciu do stu osób. Przypuszcza, że w całej Japonii Polaków było więcej; na pewno nie wszyscy mieli ochotę na kontakt z ambasadą, a i konsulowie „nie byli do nich przyjaźnie nastawieni”.

Polacy spotykali się w tych latach w kościele św. Ignacego w Tokio, prowadzonym przez jezuitów. Kościół św. Ignacego w Tokio stanowił rodzaj polskiego centrum. W tamtych latach w polskich mszach uczestniczyło tam około stu osób – głównie były to Polki, po części ich rodziny czy japońscy mężowie.

Istniały też w Japonii polskie misje zakonne, np. jezuitki, paulini, salezjanie, a przede wszystkim wspomniani już franciszkanie. Jeden z nich stał się potem postacią znaną i rozpoznawalną: chodzi o brata Zenona Żebrowskiego, zwanego „bratem Zeno”, zasłużonego w działaniach na rzecz biednych i bezdomnych, przede wszystkim dzieci. Nic dziwnego, że Japończycy wystawili mu u siebie pomnik (drugi stoi w Czarni na Kurpiach).

### **Nie-odległe początki**

Początek bardziej intensywnych kontaktów Japonii ze światem, w tym także z Polakami – niemającymi wówczas swojego państwa – datuje się na czas rządów cesarza Mut-

suhito. Panował on od roku 1852, a od 1868 r. otworzył Japonię na wpływy zewnętrzne, doprowadzając ją po paru dziesiątkach lat do statusu regionalnego mocarstwa.

Znana jest dość powszechnie próba „sojuszu” polsko-japońskiego podczas wojny z lat 1904–1905, przede wszystkim za sprawą wizyt w Japonii przywódcy Ligi Narodowej Romana Dmowskiego (15 maja – 22 lipca 1904 r.) i przywódcy Polskiej Partii Socjalistycznej Józefa Piłsudskiego, który przebywał w Japonii między 10 a 30 lipca 1904 r. Wizyty te były, z racji sprzecznych dążeń obu partii, w dużej mierze bezowocne, przyniosły jednak pewne efekty, m.in. ograniczoną współpracę wywiadowczą z PPS, jak również skromne japońskie wsparcie finansowe przeznaczone na zakup broni przez tę walczącą o niepodległość partię.

Pierwsza akcja bezpośredniej pomocy japońskiej dla Polaków datuje się na lata 1919–1922. Przeprowadzono wówczas ewakuację polskich dzieci, które podczas walk rewolucyjnych w Rosji znalazły się na Syberii i w Mandżurii. Akcję zorganizowali Polacy, którzy w zajętej przez wojska japońskie Władywostoku stworzyli w tym celu Polski Komitet Ratunkowy. W tych działaniach wspierały ich japońskie władze, duże zaangażowanie wykazało także japońskie społeczeństwo, a nawet dwór cesarski. W rezultacie udało się ewakuować do Polski 765 dzieci. Polski Komitet Ratunkowy to pierwsza polska organizacja na terenach kontrolowanych przez Japończyków. Odnotować też trzeba pojawienie się w tamtym okresie pierwszego polskiego pisma: dwutygodnika „*Echo Dalekiego Wschodu*”, który wychodził w wersji japońskiej i polskiej.

Także późniejsze lata dostarczają przykładów współpracy, głównie wynikającej ze świadomości istnienia wspólnego „problemu”, jakim dla obu państw było sąsiedztwo Rosji. Japonia uznała polską niepodległość w 1919 r., a stosunki dyplomatyczne nawiązano w 1921 r. Towarzyszyły im relacje nieoficjalne, m.in. współpraca Japończyków z polskimi kryptologami, którzy uczyli tej sztuki japońskich kolegów po fachu; a także odznaczenie 51 japońskich dowódców zwycięskiej wojny z Rosją z lat 1904–1905 orderami *Virtuti Militari*, wręczonymi osobiście przez Józefa Piłsudskiego w 1928 r.

Także podczas II wojny światowej – mimo że oba państwa znalazły się w przeciwnych obozach – nie zabrakło przejawów obustronnej współpracy, zarówno dyplomatycznej (Japonia utrzymywała z Polską stosunki aż do października 1941 r.), jak i wywiadowczej, aż po indywidualne akty pomocy czy współdziałania Polaków i Japończyków.

W 1922 r. na polskiej ziemi zjawił się niezwykle Japończyk – Ryocho Umeda. Podczas podróży do Berlina, gdzie zamierzał studiować, spotkał on polskich oficerów wracających z Dalekiego Wschodu (z Dywizji Syberyjskiej, która walczyła tam z bolszewikami). Zaprzyjaźnił się z nimi i postanowił osiąść w Warszawie zamiast w Berlinie. Mieszkał w II RP przez cały okres międzywojenny; w tym czasie nawiązał wiele kontaktów i przyjaźni w sferach naukowych i artystycznych.

Umeda był m.in. twórcą japonistyki na UW, a także współpracownikiem zorganizowanego z polskiej inspiracji tzw. ruchu prometejskiego, mającego wspomóc narody

zniewolone przez Rosję Sowiecką w ich walce o odzyskanie niepodległości. Zajmował się też tłumaczeniami, m.in. przełożył na japoński powieść Henryka Sienkiewicza *Quo vadis*.

Ryochu Umeda przebywał w Polsce aż do ewakuacji ambasady japońskiej we wrześniu 1939 r. Powojenna komunistyczna Polska stała się dla niego miejscem niedostępnym. Mieszkał w Japonii, ale z Polakami i tematyką polską nigdy nie zerwał. Pisał o Polsce i słowiańszczyźnie, zajmował się tłumaczeniami. Utrzymywał kontakty z Polakami z kraju, co dla jednego z jego przyjaciół, Stanisława Michowskiego, skończyło się tragicznie: oskarżony o szpiegostwo na rzecz Japonii, został stracony w 1952 r.

Pod koniec lat pięćdziesiątych Ryochu Umeda namówił swego siostrzeńca Koji Kamoji do przyjazdu do Polski (jest znanym artystą plastykiem). A przede wszystkim zażyczył sobie w testamencie, by jeden z jego dwu synów pojechał, niejako w zastępstwie za niego, do Polski na stałe. Wdowa, Hisayo Umeda (potem Umeda-Kudō), wykonała testament i w ten sposób w 1963 r. w Polsce znalazł się trzynastoletni Yoshiho Umeda. Trafił do Łodzi, do rodziny przyjaciół ojca: Stefanii i Konrada Jażdżewskich, zyskując drugą matkę i nowego ojca, a także czwórkę rodzeństwa. Tu miał się wkrótce zetknąć z działalnością niezależną (bywalcami w domu Jażdżewskich byli m.in. bracia Czumowie, i bracia Marek i Stefan Niesiołowscy, zaangażowani w działalność organizacji Ruch). A potem, przez późniejszą żonę, Agnieszkę Żuławską, związał się ze środowiskiem opozycyjnie nastawionej inteligencji twórczej, co miało daleko idące konsekwencje: nie tylko dla niego, ale też dla rodzącej się polskiej opozycji (KOR, wydawnictwa niezależne), a potem także „Solidarności”.

W pomoc dla polskiej opozycji zaangażowała się cała japońska rodzina Yoshiho Umedy, nie tylko matka Hisayo, ale także jej drugi mąż, prof. Yukio Kudō, polonista, tłumacz z języka polskiego m.in. *Pana Tadeusza*, a także takich autorów jak Bruno Schulz, Witold Gombrowicz, Czesław Miłosz, Wisława Szymborska czy Marek Hłasko. W latach 1967–1974 Kudō pracował jako lektor języka japońskiego na Uniwersytecie Warszawskim oraz korespondent japońskiej agencji Kyodo. Jego relacje prasowe z Polski oraz kontakty nie podobały się polskim władzom, dlatego z dnia na dzień musiał opuścić PRL. Pozostały mu jednak zainteresowania sprawami polskimi i miłość do Polski, a także związki z rodzącą się opozycją. Kudō jako pierwszy w Japonii napisał o Komitecie Obrony Robotników w wydanej w 1977 r. książce *Siedem lat w Warszawie*.

Dzięki inicjatywie Yoshiho Umedy w drugiej połowie lat siedemdziesiątych do podziemnego wydawnictwa NOW-a (Niezależna Oficyna Wydawnicza) trafiły świetne matryce japońskie (w sumie parę tysięcy sztuk), zakupione przez prof. Kudō, a przemycone przez zaprzyjaźnionych biznesmenów japońskich. To na tych matrycach wydrukowano słynną *Czarną księgę cenzury PRL*.

Tak wspominał to Yoshiho Umeda: „przychodzi rok 1976 [...]. Już we wrześniu dostanę pierwszy biuletyn ze składem członków KOR-u. Byłem pod wielkim wrażeniem, że

ludzie, wśród których byli moi znajomi, mieli na tyle odwagi, żeby ujawnić swoje imię i nazwisko, adres, telefon. Mirosław Chojecki zaczął organizować Niezależną Oficynę Wydawniczą NOW-a. I chyba przez Tomasza Jastruna i Witolda Łuczywo był pewien sondaż, czy istnieje możliwość dostępu do japońskich matryc stensilowych. Ponieważ w Japonii były w powszechnym użytku, cena była bardzo niska. W związku z tym poprosiłem mojego ojczyma, prof. Yukio Kudō, czy nie zechciałby kupić dla mnie ze 300 arkuszy kalki. Pan Kudō ją kupił, kosztowała może ze 30 dolarów. Poprosił jednego z naszych znajomych, żeby to przemycił do Polski jako artykuł biurowy. Podczas sprawdzania towaru na granicy celnicy prawdopodobnie nie skojarzyli, co to jest. I kilkakrotnie takie porcje kalki zostały przemycone przez biznesmenów związanych z firmą, w której pracowałem."

### **Wałęsa w Japonii**

Jako osoba mająca świetne kontakty z opozycją przedsierniową w 1980 r. Umeda junior znalazł się w samym centrum wydarzeń. Najpierw zaczął bywać w siedzibie NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze przy ul. Szpitalnej w Warszawie. Potem, jesienią 1980 r., odwiedził Gdańsk i Lecha Wałęsę, o którym wcześniej wiele słyszał od przyjaciół z Komitetu Obrony Robotników, ale którego osobiście nie znał. Zapytał go wtedy, co to znaczy, że chce zrobić z Polski drugą Japonię. Na to Wałęsa odpowiedział, że bardzo go interesuje Japonia i chciałby tam pojechać. „Ty to zorganizuj!” – rzucił do Umedy.

W sierpniu 1980 r. Polska znalazła się w centrum zainteresowania całego wolnego (i nie tylko) świata, także Japonii. Jak wspomina Takeshi Mizutani, w latach osiemdziesiątych redaktor naczelny miesięcznika „Biuletyn Polski” (Pōrando Geppō): „Kiedy latem 1980 r. powstała w Polsce »Solidarność«, w odległej Japonii stała się obiektem wielkiego zainteresowania i wywołała ogromną sympatię. Można powiedzieć z całą pewnością, że do tamtej pory Japończycy, a wśród nich i ja, prawie nic nie wiedzieli o Polsce.”

Media rzuciły się na „Solidarność” także dlatego, że było lato i w prasie trwał sezon ogórkowy. Intrygowała również postać Wałęsy. Yoshiho Umeda pisał: „zainteresowanie japońskiej prasy sierpniowymi wydarzeniami 1980 r. było wielkie. Zaraz po podpisaniu porozumień w Gdańsku, w Szczecinie i Jastrzębiu, na przełomie września i października, Warszawa gościła planą Ryoichi Tanaka, sekretarza generalnego DOMEI” jednej z czterech central związkowych w Japonii. Na początku listopada 1980 r. przyjechał do Polski w towarzystwie ekspertów generalny sekretarz największej centrali związków zawodowych w Japonii, Sōhyō, Mitsuo Tomizuka. „Wyraził chęć nawiązania bliższego kontaktu z NSZZ »Solidarność«, deklarując jednocześnie wsparcie zarówno moralne, jak i materialne ze strony Centrali.”

Yukio Kudō poprosił Umedę o pomoc w zaaranżowaniu spotkania delegacji japońskiej z Lechem Wałęsą. Podpisano wówczas umowę międzyzwiązkową. Zawierała ona m.in. zobowiązanie Sōhyō do wsparcia polskich związkowców, a także deklarację o „gotowości podjęcia współpracy naukowo-badawczej” oraz zaproszenie delegacji „Solidarności” do odwiedzenia Japonii.

Wizyta odbyła się w maju 1981 r. Pobyt delegacji NSZZ „Solidarność” w Japonii – pisał Yoshiho Umeda – okazał się wydarzeniem bez precedensu, zbliżającym oba narody. Wizyta nosiła charakter czysto związkowy, ale doszło podczas niej także do spotkań z politykami.

„Zostałem w Japonii i zacząłem pracować nad utworzeniem struktury popierającej »Solidarność«” – wspominał Yoshiho Umeda. Załatwił wtedy m. in. sprzęt telewizyjny dla opozycji. Warto dodać, że sprzęt ten był wykorzystywany w latach osiemdziesiątych przez ekipę filmową „Solidarności”, kierowaną przez Mariana Terleckiego, m.in. występującą pod szyldem oo. pallotynów z Gdańska.

Owoce wizyty w Japonii była obecność wszystkich szefów japońskich central związkowych na I Zjeździe NSZZ „Solidarność” jesienią 1981 r. Być może pośrednim skutkiem podróży stała się też pomoc żywnościowa rządu japońskiego dla Polski, udzielona już po ogłoszeniu stanu wojennego.

### Grudniowy szok

Reakcja na ogłoszenie w Polsce stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. była w Japonii typowa, choć trzeba pamiętać zarówno o kilometrach dzielących oba kraje, nielicznej Polonii, a także o tradycyjnej polityce rządu japońskiego, stawiającego na pierwszym planie relacje gospodarcze. Tak więc mieliśmy tu do czynienia zarówno ze spontaniczną reakcją polskiej społeczności w Japonii oraz japońskich polonofili i związkowców, jak i z dosyć wstrzemięźliwą, choć wyraźnie potępiającą wprowadzenie stanu wojennego, reakcją rządu, połączoną z wprowadzeniem niezbyt dolegliwych sankcji ekonomicznych i politycznych. Premier Zenkō Suzuki wziął udział – wśród trzynastu przywódców państw i wielu osobistości życia politycznego i kulturalnego – w ogłoszonym przez prezydenta Stanów Zjednoczonych Ronalda Reagana Dniu Solidarności z Narodem Polskim (amerykański program „Let Poland be Poland” – „Żeby Polska była Polską”).

Jak pisała do mnie Maria K. Murata, w Japonii „reakcja na wiadomość o wprowadzeniu stanu wojennego w PRL była gwałtowna, jednakże krótkotrwała”. Z jej wspomnień wynika, że o decyzji Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego Japończycy dowiedzieli się z telewizji 13 grudnia 1981 r. po południu. Jeszcze tego samego dnia przed ambasadą PRL w Tokio odbyła się niewielka demonstracja, Murata jednak nie wie, kto ją organizował, ani kto w niej uczestniczył.

O kolejnym proteście pisze Patryk Pleskot w książce *„Kłopotliwa panna „S” : „14 grudnia mniejsze ugrupowania polityczne różnych opcji (ale bez rządzących) zwołały kilkusetosobowy wiec protestacyjny przed Ambasadą PRL w Tokio. Kilka godzin później podobny protest zorganizowali związkowcy z różnych central”*. Najpierw nastąpiła spontaniczna reakcja ludzi oburzonych tym, co zdarzyło się w Polsce, zwykłych Japończyków, japońskich związkowców, Japończyków interesujących się Polską i jej kulturą czy zafascynowanych „Solidarnością”, wreszcie mieszkających w Japonii Polaków. Według Yoshiha Umedy, który przebywał wówczas jeszcze w Polsce (w styczniu 1982 r. został



z niej wydalony), „rankiem 14 grudnia, dzień po wprowadzeniu stanu wojennego, kilka mniejszych organizacji politycznych zorganizowało kilkusetosobowy wiec protestacyjny przed Ambasadą PRL w Tokio. Znamienny jest fakt, że wraz z lewackimi organizacjami znaleźli się także przedstawiciele organizacji prawicowych. Tego samego dnia po południu, również przed Ambasadą PRL, odbył się naprędce improwizowany związkowy wiec protestacyjny”.

Mari Torii-Takei, Japonka zaangażowana w akcje solidarnościowe, w skierowanym do mnie liście napisała aż o trzech demonstracjach zorganizowanych 14 grudnia 1981 r. przed polską ambasadą w Tokio. Pierwsza odbyła się rano; wzięło w niej udział około trzydziestu sympatyków „Solidarności”, głównie japońskich działaczy lewicowych. Drugą, przedpołudniową, zorganizowały „niektóre” związki zawodowe. Uczestniczyło w niej 200–300 osób, w tym Takeshi Mizutani, redaktor naczelny „Biuletynu Polskiego”. Trzecia demonstracja odbyła się po południu, jej organizatorem był Mitsuo Tomizuka – szef największego japońskiego związku zawodowego Sōhyō. Jak pisze autorka listu, Tomizuka „był fanem Wałęsy”, a związek Sōhyō mocno wspierał „Solidarność”.

Być może to o tej właśnie manifestacji pisze w jednym z listów Maria K. Murata: „w kilka dni potem uczestniczyłam w demonstracji zorganizowanej przez Sōhyō. Miało to miejsce w Hibiya Kokaido (to taki amfiteatr) w parku Hibiya w Tokio. Oprócz mojej osoby (na scenie) był jeszcze jeden Polak, ksiądz dominikanin. Sądzę, że był znajomym pani Hisayo Kudō, gdyż niedługo potem prosiłam ją o znalezienie polskiego duchownego, który byłby skłonny odprawić mszę na statku [chodzi o MS „Phenian” – J.S.] i zjawił się ten sam ksiądz, który uczestniczył w demonstracji”. Tadeusz Darżynkiewicz w swoich wspomnieniach opublikowanych w internecie w 2015 r. podaje, że był to paulin.

Maria K. Murata pamięta jeszcze jedno wydarzenie, które nie miało charakteru demonstracji, ale odbyło się niedługo potem. Nazywa je „spotkaniem intelektualistów” – byli to ci sami intelektualiści japońscy ze znanym pisarzem Kenzaburo Oe na czele, którzy przyjmowali delegację „Solidarności” w maju 1981 r. „Spotkanie intelektualistów” odbyło się prawdopodobnie pod koniec grudnia 1981 lub na początku stycznia 1982 r. w sali użyczonej przez Kościół protestancki Tokyo Church. Murata była tam, ale nie widziała innych Polaków.

Autorka listu wspomina jeszcze jedno spotkanie, do którego mogło dojść w siedzibie Sōhyō w Tokio. Jak pisze, „coś tam na scenie mówiłam, była duża widownia”, a osoba z Polski, „potrzebna była głównie dla efektu”, co należy rozumieć metaforycznie.

W tym czasie dochodziło do uciezek obywateli PRL. W Japonii zazwyczaj prosili o azyl marynarze z polskich statków przybywających po ładunek ryżu, który japoński rząd przekazywał jako wsparcie dla cierpiących niedostatek Polaków. O tych wydarzeniach wspomina Yoshiho Umeda, zauważając, że marynarze ze statku „Phenyang” otrzymali status uchodźców. Arkadiusz Tarnowski pisze z kolei o dwóch statkach: „rząd japoński wspomógł też obywateli polskich, którzy przebywali w Japonii i popro-

*sili o azyl*", wymieniając marynarzy ze statków „Phenian” i „Lelewel”, które przybyły po ryż подарowany przez rząd japoński. Wraz z ambasadorem PRL w Tokio Zdzisławem Rurarzem i jego rodziną o azyl polityczny w Japonii poprosiły łącznie 23 osoby. Większość marynarzy osiadła następnie w Kanadzie i Australii, natomiast ambasador Rurarz udała się do Stanów Zjednoczonych.

O atmosferze, jaka panowała na statkach z polskimi załogami w chwili, gdy dotarły do nich informacje o ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce, pewne pojęcie dają *Wspomnienia Pana Darżynkiewicza*, marynarza ze statku „Capellato”, który pływał pod obcą banderą, na którym część załogi stanowili Polacy. Płynęli z Bombaju do Jokohamy, a następnym ich portem miał być Singapur. *„Po dwóch dniach rejsu, na wysokości wyspy Cejlon, siedzieliśmy w sali telewizyjnej [...] W pewnym momencie wpadł do nas radiooficer i głosem pełnym podniecenia oświadczył: »W Polsce jest wojna!«. Wszyscy najpierw zaniemówili. Po chwili jednak posypały się pytania. »Jaka wojna? Kto i z kim? Dlaczego wojna?« [...] »Cdynia – Radio« milczało. Próbowałem różnymi sposobami uzyskać połączenie. Bez skutku, wtedy zdjąłem słuchawki i przełączyłem radio na normalną fonię. Słuchałem jakiegoś dziennika w języku angielskim i usłyszałem lakoniczne stwierdzenie, że w Polsce wprowadzono stan wojenny i wszelka łączność z krajem z dniem 13 grudnia 1981 jest przerwana”.*

Marynarze z „Capellato” myśleli, że czegoś więcej dowiedzą się w Singapurze, gdzie dopłynęli 18 grudnia, tam jednak zabroniono im zejścia na ląd, czego pilnował uzbrojony policjant. Podobnie było w Hongkongu. Nadzieja na jakieś wieści z Polski zaświatała, gdy okazało się, że płynie za nimi polski statek „Profesor Szefer”. Ten jednak nie reagował na próby nawiązania łączności, a kiedy „Capellato” zatrzymał się, by na niego poczekać, przepłynął obok.

W Japonii było inaczej: kiedy tylko statek przycumował do nabrzeża portu w Jokohamie, na pokład weszli japońscy dziennikarze i ekipy telewizyjne. Padło pytanie: *„Czy ktoś z załogi będzie prosił o azyl?”*. Wtedy to Darżynkiewicz i jego koledzy dowiedzieli się, że na podejrzenie milczącym statku „Profesor Szefer” o azyl poprosił trzeci oficer z żoną i synem.

17 grudnia 1981 r. Agencja UPI donosiła, że w Japonii o azyl wystąpiło sześciu Polaków oraz żona jednego z nich z dzieckiem. Z radia dowiedzieli się o ogłoszeniu w Polsce stanu wojennego i obawiali się inwazji sowieckiej. Zamierzali udać się do Australii, Nowej Zelandii lub Kanady. Polacy przyptęli na statku „Phenian” do portu Nagoya po ładunek ryżu od rządu japońskiego dla cierpiącej na braki żywności Polski. Część towaru mieli załadować w Tokio. Władze japońskie ze względów bezpieczeństwa odmówiły podania szczegółów i nazwisk uciekinierów oraz miejsc ich pobytu po zejściu na ląd, a sprawę przekazały Wysokiemu Komisarzowi Narodów Zjednoczonych do spraw Uchodźców (UNHCR).

Następnego dnia agencja UPI kontynuowała temat polskich uciekinierów. Donoszono o innych przypadkach odmowy powrotu do kraju przez polskich marynarzy i ryba-

ków, a także o tym, że „Phenian” zacumował we wtorek w porcie Nagoya, by przyjąć część z 200 tys. ton podarowanego Polsce ryżu.

Przepisy japońskie nie pozwalały na bezpośrednie udzielenie azylu. Jednak niektórzy z polskich marynarzy pozostali w Japonii, żeniąc się z Japonkami, przyjmując japońskie nazwiska i obywatelstwo. Podobną informację znajdujemy we *Wspomnieniach Pana Darżynkiewicza*: „Okazało się, że rząd japoński natychmiast udziela azylu, ale nie w Japonii. Trzeba podać kraj docelowy, w którym ewentualnie chciałoby się zamieszkać, i natychmiast wypłacali kwotę na zagospodarowanie, która wynosiła 30 000 \$ na osobę”.

Według Marii Torii-Takei między 16 a 29 grudnia 1981 r. o azyl poprosiło w Japonii szesnaście osób z Polski. Rząd japoński przekazał ich sprawę do Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw Uchodźców.

Warto podkreślić, że opiekę nad Polakami, którzy postanowili nie wracać do Polski doby stanu wojennego, roztoczyli miejscowi Polacy. Zajęli się też zdezorientowanymi marynarzami, którzy pozostali na przycumowanym w porcie Harumi w Tokio statku „Phenian”. W organizowaniu tej pomocy uczestniczyła m.in. Maria Katarzyna Murata. Ona to przysłała mi zdjęcie uciekinierów wraz z opiekującymi się nimi Polakami i Japończykami, zrobione w klasztorze salezjanów podczas, jak to nazwała, „wieczorku pożegnane”. Na fotografii widać Marię Katarzynę z mężem, dwóch seminarzystów od salezjanów, Wandę Miyajimę z Polski oraz Wiesława Romanowskiego (czyli Akirę Fujimoto) – polskiego biznesmena i informatyka, który był w Japonii niemal tak znany jak gwiazdor filmowy. On to najmocniej zaangażował się w pomoc polskim uchodźcom. Wszyscy Polacy pozowali w koszulkach z napisem „Solidarność”, a seminarzyści – w kapeluszach z takim samym emblematem.

Warto zatrzymać się na chwilę przy Wiesławie Romanowskim. W 1977 r. obiegła polską prasę niezwykle wiadomość: jakiś Polak wygrał XVIII Międzynarodowy Konkurs Oratorski w języku japońskim dla cudzoziemców. Szczegóły podał on sam w raporcie-wspomnieniu, opublikowanym trzy lata później, w znanej serii „Ekspress reporterów”. Romanowski mieszkał w Japonii od 1975 r. Jego sukces był tym większy, że był językowym samoukiem, a swoje wystąpienie w konkursie poświęcił... zaśmiecaniu języka japońskiego przez obce słowa (angielskie). Rok później wygrał ponownie: tym razem XII Konkurs Języka Japońskiego. Zafascynowany Krajem Kwitnącej Wiśni, przybrał japońskie nazwisko Akira Fujimoto i w połowie lat osiemdziesiątych otrzymał japońskie obywatelstwo.

Do dnia odpłynięcia okrętu, które według Muraty nastąpiło 28 grudnia 1981 r., odwiedzała ona wraz z mężem statek kilkakrotnie, przekazując dary, w tym leki: „panowie się pozbierali, uczesali, lekarz (ze szpitala w Elblągu) wytrzeźwiał i przestał płakać”. Podczas postoju statku państwo Muratowie zaprosili do siebie kilka osób z załogi, z niektórymi z nich pozostawali później w kontakcie. Maria K. Murata pamięta też jak „przez mgłę list z wiadomością, że powierzone pieniądze zostały przekazane siostrze elżbietan-

kom na sierociniec". Wspomina ponadto, że pewien inny dziennikarz japoński w porcie Harumi poprosił ją o dostarczenie pieniędzy na statek, co też zrobiła: „była to duża suma i wyraźnie dar prywatny” dla biednych Polaków.

Opieka nad tymi, którzy pozostali i poprosili o azyl, trwała trochę dłużej. Dzięki temu, że Murata pomogła dziennikarzowi japońskiej telewizji skontaktować się z załogą statku „Phenian”, trafiła z nim do klasztoru salezjanów w Chofu, gdzie umieszczono uciekinierów. Według jego informacji, uchodźcy byli najpierw zakwaterowani w Akasaka Tokyo Hotel, ale miejsca ich pobytu władze japońskie utrzymywały w tajemnicy. W klasztorze salezjanów, w którym rezydowało wówczas dwóch polskich seminarzystów, Murata odwiedzała uchodźców wraz z mężem kilkakrotnie; najaktywniej zajmował się nimi Wiesław Romanowski.

Według Muraty, uchodźcy opuszczali Japonię pojedynczo, w momencie, gdy dostawali azyl i udawali się do krajów, które zgodziły się ich przyjąć.

Murata pamięta, że w Japonii znaleźli się też inni uchodźcy zaskoczeni przez stan wojenny; opiekowały się nimi i gościły ich instytucje kościelne. Musiało więc, zdaniem Muraty, istnieć poprzedzone negocjacjami porozumienie w tej sprawie między japońskimi władzami a urzędem Wysokiego Komisarza ONZ ds. Uchodźców, gdyż „chodziło o azyl polityczny i zapewnienie opieki (łącznie z ochroną życia)”.

Na całym świecie szerokim echem odbiło się inne wydarzenie związane z relacjami polsko-japońskimi. Chodzi o ucieczkę 24 grudnia 1981 r. z Ambasady PRL w Tokio ambasadora Zdzisława Rurara z rodziną, ucieczkę może nie tak głośną jak podobny protest ambasadora PRL w Stanach Zjednoczonych Romualda Spasowskiego, ale chyba jeszcze bardziej dramatyczną.

Archiwum Emigracji Videofact relacjonuje to wydarzenie w następujący sposób: „Po wprowadzeniu stanu wojennego Zdzisław Rurarz zapytał się Amerykanów, czy przyznają mu azyl polityczny, jeśli o niego poprosi. Informacja ta przedostała się do prasy i główny ubek w Tokio otrzymał z Warszawy rozkaz lepszego śledzenia ambasadora i jego rodziny oraz polecenie, by »jak będzie potrzeba«, zapobiec jego ucieczce na Zachód. W Wigilię Bożego Narodzenia 1981 r., gdy ubecy z ambasady zajęci byli sprawą marynarzy, którzy zeszli z okrętu w Tokio, ambasador Rurarz poinformował pracowników ambasady PRL, że idzie na choinkę do szkoły córki i z całą rodziną wyszedł z budynku. Chwilę później Zdzisław Rurarz poprosił amerykański azyl polityczny, który natychmiast uzyskał. 30 godzin później Rurarz wraz z rodziną znalazł się w USA”.

W ten oto sposób ucieczka marynarzy (i ich rodzin) z polskich statków przyczyniła się do powodzenia innej ucieczki. Warto wspomnieć, że ucieczka ambasadora miała także związek z kolejną, ostatnią już chyba, demonstracją przeciwko wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego w Japonii.

Opowiedział mi o niej Teruji Suzuki. Doszło do niej tuż po ucieczce Rurara nie przed ambasadą w Tokio, jak to było w przypadku poprzednich protestów, ale wewnątrz

budynku PRL-owskiej placówki dyplomatycznej. Otóż zastępca ambasadora o nazwisku Skowron (niestety, nie znam jego imienia), mimo ucieczki szefa urządził w ambasadzie tradycyjne spotkanie świąteczno-noworoczne. Spotkanie miało niecodzienny przebieg, a właściwie w ogóle się nie zaczęło, bo zaproszeni goście – głównie japońscy studenci oraz tamtejsi Polacy – nie skorzystali z przygotowanych i ułożonych na stołach kanapek, wzniesli okrzyki w obronie „Solidarności”, a następnie manifestacyjnie opuścili ambasadę.

Jak już wspominałem, reakcja rządu japońskiego na ogłoszenie stanu wojennego w Polsce nie była ostra. Tokijskie władze zdecydowały się uruchomić stosunkowo ograniczoną pomoc charytatywną. Jak podaje Arkadiusz Tarnowski, *„bezpośrednio po ogłoszeniu stanu wojennego Japoński Czerwony Krzyż przekazał 10 000 franków szwajcarskiemu Międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi w Genewie w celu udzielenia pomocy potrzebującym w Polsce, a 23 grudnia przesłał lekarstwa i inne środki medyczne warte 10 mln jenów (45 500 USD). Ponadto rząd japoński poprzez Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża w lutym 1982 r. przekazał w formie nadzwyczajnej pomocy humanitarnej sumę 800 000 USD, na którą złożyło się 350 000 USD przeznaczonych na zakup jedzenia i ubrań dla dzieci i osób starszych oraz 150 000 USD na zakup sprzętu medycznego”*.

Sankcje rządu japońskiego, skierowane głównie przeciwko władzom PRL, były niezbyt dolegliwe. Jak pisze Anna Nasiłowska w książce *„Wolny agent Umeda i druga Japonia”*: premier Zenkō Suzuki *„szybko wydał niewiele mówiące oświadczenie, w którym stwierdził, że stan wojenny zmienił postrzeganie relacji Wschód–Zachód i polityki radzieckiej”*.

Yoshiho Umeda prezentował inną opinię, przekonując, że rząd Japonii od początku *„solidaryzował się z polityką USA”*, a premier Zenkō Suzuki, *„w wystąpieniu telewizyjnym organizowanym przez USIA – Agencja Informacyjna Stanów Zjednoczonych – chodzi o program „Let Poland to Be Poland” – „Żeby Polska była Polską” – bardzo ostro zaatakował kurs polityki gen. Jaruzelskiego. Również minister spraw zagranicznych Shintaro Abe podczas oficjalnej wizyty w Polsce w 1985 r. nie ukrywał swojej sympatii dla „Solidarności” i – według relacji jednego z pracowników japońskiego MSZ – bardzo ostro komentował zniesiony już stan wojenny oraz represjonowanie działaczy „Solidarności”*.

W poufnym Memorandum na temat *współpracy gospodarczej z Japonią*, powstałym w 1990 r. Umeda, dodawał: *„Wobec demokratycznych dążeń polskich, Japonia, a raczej administracja japońska, była w porównaniu do innych krajów wysoko rozwiniętych ustosunkowana najchłodniej. Ujawniły to wizyty ministra spraw zagranicznych Shintaro Abe w 1983 r. [chodzi o rok 1985 – J.S.] oraz premiera Yasuhiro Nakasone w 1987 r. [...] Jednocześnie jednak pamiętać należy, iż w grudniu 1981 r. ówczesny premier Japonii Zenkō Suzuki potępił publicznie [...] akt wprowadzenia stanu wojennego w Polsce. Nałożył też na Polskę sankcje, których zniesienie uzależnił od odwołania stanu wojennego, zwolnienia wszystkich więźniów politycznych oraz wszczęcia rozmów z »Solidarnością« i Kościołem”*.

W innym tekście, datowanym na styczeń 1990 r., Umeda pisał: „wobec spraw polskich ostatnich kilku lat, japońskie mass media odnosiły się w sposób dość jednolity: entuzjastycznie – w okresie powstania »Solidarności«, a szczególnie podczas wizyty Lecha Wałęsy w maju 1981 r.; początkowo bardzo krytycznie wobec stanu wojennego (choć tu i ówdzie, a szczególnie redakcje mające swych przedstawicieli w Warszawie, podkreślano tzw. konieczność wprowadzenia stanu wojennego); od połowy 1982 r. bez specjalnego zainteresowania”.

Henryk Lipszyc, który w 1984 r. przyjechał na roczne stypendium do Tokio, odniósł podobne wrażenie jak Umeda – nie zauważył zainteresowania japońskiej opinii publicznej wydarzeniami w Polsce.

Niemniej jednak wielu polityków, ludzi mediów, nauki czy kultury było bezpośrednio po 13 grudnia 1981 r. zainteresowanych sytuacją w Polsce. Umeda zaznacza, że „po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce zorganizowano natychmiast międzypartyjne, nieformalne ciało o umownej nazwie »parlamentarna grupa studiów nad sytuacją w Polsce«, któremu przewodził wicemarszałek izby niższej parlamentu, Haruo Okada (partia socjalistyczna, a czynnie uczestniczyli w nim tacy politycy jak pani Takako Doi (późniejszy marszałek izby niższej parlamentu), Yasuhiro Yokomichi (późniejszy gubernator Hokkaido), czy Toshio Yamaguchi (późniejszy minister pracy). Rządząca Partia Liberalno-Demokratyczna nie uczestniczyła aktywnie w dyskusjach, które na ogół odbywały się w oficjalnej rezydencji wiceprzewodniczącego niższej izby parlamentu, prawdopodobnie ze względu na dominację parlamentarzystów o poglądach lewicowych. Jednak nie była obojętna na sprawę »Solidarności«. Były minister obrony, a wtedy przewodniczący parlamentarnej komisji obrony narodowej pan Asao Mihara czy późniejszy minister gospodarki Japonii pan Keijiro Murata kilkakrotnie spotkali się z przybywającym w Japonii po deportacji z Polski Yoshiho Umedą, który apelował o konsekwentną politykę rządu japońskiego wobec reżimu w Polsce”. Autor nie wspominał o tym, że to on w wydatnym stopniu przyczynił się do powołania tej grupy.

Umeda pisze za to, że w spotkaniach tego ciała uczestniczyli zaproszeni eksperci, m.in. on sam. Podkreśla, że w grupie znaleźli się zarówno ortodoksyjni marksiści, jak i przedstawiciele skrajnej prawicy. Również na prowincji pojawiło się dużo inicjatyw poparcia „Solidarności”, nie tylko wokół różnych struktur związkowych. Sytuację w Polsce bardzo interesowały się partie socjalistyczna i socjaldemokratyczna, a szczególnie młodzieżówka partii socjalistycznej związana z frakcją demokratyczną, która ostro walczyła z frakcją prokomunistyczną wewnątrz tego ugrupowania.

„Nie można zapomnieć o zaangażowaniu się w solidarną pomoc wybitnych naukowców japońskich reprezentujących różne nurty światopoglądowe. [...] »Solidarności«, przynajmniej w Japonii, okazała się spoiwem różnych, nawet skrajnych orientacji naukowych. Tylko po spotkaniach studyjnych na temat sytuacji w Polsce, można było zobaczyć scenę, gdzie znani z bezkompromisowych postaw naukowcy, jak lewicowy politolog prof. Ryo



Maeno, prawniczo-nacjonalistyczny prawnik międzynarodowy prof. Kazuo Sato oraz filozof egzystencjalista i badacz Jaspersa, prof. Mitsuro Muto, siedzieli razem w małej knajpce i dyskutowali przy kieliszku sake [...]. Przy tym odbywały się te rozmowy dosyć często i zawsze w atmosferze przyjaźni, zrozumienia i uszanowania stanowisk przeciwników” – przekonuje Umeda.

Według niego sprawa „Solidarności” stała się spoiwem niwelującym nie tylko podziały ideologiczne, ale także związkowe. Centrale związkowe wręcz rywalizowały ze sobą w organizowaniu akcji poparcia dla „Solidarności”. To m.in. dzięki dotacjom japońskich związków zawodowych Umeda – na prośbę szefa Biura Koordynacyjnego „Solidarności” w Brukseli Jerzego Milewskiego – podjął bliską współpracę z tą strukturą, m.in. organizując wizytę Milewskiego w Japonii, a także przez pewien czas pracując w biurze brukselskim.

### Centrum i „Biuletyn Polski”

Trzeba się zgodzić z opinią Patryka Pleskota, że w Japonii, tak jak „na Zachodzie, bardziej zdecydowane okazały się inicjatywy społeczne” niż polityczne. Chodzi nie tylko o związki zawodowe czy znane postacie życia politycznego.

Henryk Lipszyc w rozmowie z Renatą Mitsui podkreślał rolę Japończyków, szczególnie rodziny Umedów, w organizacji pomocy dla Polski: „w organizacjach pozarządowych i komitetach wspomagali uwięzionych i internowanych, a potem podziemny ruch wydawniczy. Na szeroką skalę organizowano też pomoc humanitarną z lekarstwami, żywnością”. Brało w niej udział „wiele osób w jakiś sposób związanych z Polską”. Wszyscy oni „poruszeni tym, co się wydarzyło, samorzutnie, z potrzeby serca, przystąpili do organizowania w Japonii grup wspierających ruch »Solidarności«”.

Przed wszystkim były to działania japońskich polonofili, polonistów czy studentów polonistyki, choć trafiali się również niemający wcześniej związków z Polską Japończycy opanowani „gorączką Wałęsy” i „Solidarności”. Rola mieszkających w Kraju Kwitnącej Wiśni Polaków (przede wszystkim Polek i ich japońskich mężów) była tylko wspomagająca. Za znaczną częścią podejmowanych inicjatyw stała rodzina Umedów: Yoshiho, jego matka Hisayo Umeda-Kudō, ojczym Yukio Kudō oraz Agnieszka Żuławska-Umeda, która uczestniczyła w nich najczęściej z Polski, ale też bezpośrednio podczas swoich pobytów w Japonii.

Owocem podejmowanych działań stały się inicjatywy, które funkcjonowały przez całe lata osiemdziesiąte, aż do roku 1991: Centrum Informacji Polskiej oraz „Biuletyn Polski” („Pōrando Geppō”). Centrum, jak zgodnie poświadczają jego twórcy, Yoshiho Umeda i Takeshi Mizutani, powstało trochę wcześniej niż „Biuletyn”. Pismo to, według świadectwa Mizutani, było organem Centrum, a jego numer sygnałny ukazał się w listopadzie 1981 r., jeszcze przed ogłoszeniem stanu wojennego w Polsce. Autorzy polscy piszący o tych inicjatywach za Umedą używają nazwy Centrum Informacji Polskiej, z kolei Mizutani mówi o Centrum Informacji o Polsce (Pōrando Shiryō Sentā),

tak samo jak Henryk Lipszyc. Zdaniem Mari Torii-Takei Centrum nie miało oficjalnej nazwy, a najczęściej mówiono o nim jako o „Pōrando Shiryō Sentā”, czyli Ośrodek Badań nad Polską lub też Centrum Badań nad Polską.

Janusz Mondry w „Kulturze” paryskiej w 1983 r. posługiwał się nazwą Polski Ośrodek Badawczy w Tokio (Pōrando Chosa Sentā). Kilka lat później w tekście *Pięć lat „Porando Geppo” w Tokio* tłumaczył się z popełnionej pomyłki, pisząc: „poprawnie powinno być »Ośrodek Badań Polski«”. W 1983 r. Mondry tak charakteryzował Centrum: „w odróżnieniu od innych krajów zachodnich nie ma w Japonii organizacji polonijnych z dobrze rozwiniętą siecią wydawnictw, biur informacyjnych itp., które mogłyby rzetelnie informować o sytuacji w Polsce stanu wojennego. Toteż przysłowiowa przedsiębiorczość japońska, między innymi w dziedzinie zdobywania informacji, nie dała długo na siebie czekać: wczesną jesienią 1981 r., na kilka miesięcy zaledwie przed ogłoszeniem w Polsce stanu wojennego, założony został w Tokio z prywatnej inicjatywy [plan] Kudō Yukio specjalny ośrodek do spraw polskich”.

Wśród zadań, jakie postawił przed sobą ośrodek, znalazło się:

- „zbieranie, analiza i rozpowszechnianie wyników prac badawczych dotyczących polskiej teraźniejszości i historii;

- organizowanie spotkań i odczytów na temat aktualnej sytuacji w Polsce;

- regularne wydawanie specjalnego biuletynu »Pōrando Geppō« (»Biuletyn Polski«); pismo to ukazuje się w odstępach mniej więcej dwumiesięcznych od listopada 1981 r.”.

Mondry wskazał również na wydanie pod auspicjami Centrum książki *Solidarność polskiego oporu*, będącej „obszernym zbiorem dokumentów, artykułów i komentarzy [na] temat] Polski okresu Solidarności, obejmującym okres od powstania Solidarności do pierwszych kilku miesięcy stanu wojennego włącznie”.

Na zewnątrz Centrum reprezentował prof. Kudō, jako najbardziej znana osoba spośród jego twórców. Z kolei Takeshi Mizutani, który – według świadectwa Mari Torii-Takei – był sekretarzem generalnym ośrodka, tak opisywał zadania i prace powołanej jesienią 1981 r. placówki: „nasze Centrum Informacji o Polsce (Pōrando Shiryō Sentā) było stowarzyszeniem, które próbowało poszukiwać solidarności z polską »Solidarnością« z nieco innego punktu widzenia niż [...] nietrwale ruchy. W czasie, gdy cała Japonia pod wpływem massmediów poddała się »gorączce Wałęsy«, znawca literatury polskiej pan Yukio Kudō, politolog Ryō Meno i inni dogadali się i doszli wspólnie do wniosku, że przede wszystkim potrzeba nam solidnej wiedzy o Polsce i polskiej »Solidarności«. Ważne jest, aby nie polegając na mass mediach, przy pomocy specjalistów zebrać materiały i rozwinąć badania nad nimi, a wynikami podzielić się z szerokim gronem zainteresowanych. Dopiero dzięki takiemu wysiłkowi możliwy będzie długotrwały i stabilny ruch solidarnościowy w Japonii. Nadanie temu ruchowi wiele obiecującej nazwy Centrum Informacji o Polsce, bez użycia słowa »solidarność« czy »pomoc«, ani nawet nazwy organizacji NSZZ »Solidarność«, również wynikało z takiego sposobu myślenia”.

Według autora, poza wydawaniem „Biuletynu Polskiego”, Centrum wielokrotnie organizowało wykłady, sympozja, spotkania naukowe i inne imprezy. Od czasu do czasu odbywały się również spotkania dyskusyjne z udziałem osób związanych z „Solidarnością” przybyłych z Europy Zachodniej lub z Polski. Centrum utrzymywało również przez cały czas bliski kontakt z Biurem Koordynacyjnym NSZZ »Solidarność« w Brukseli”. Do biura przesyłano „datki z funduszków pomocy, zebrane przez ruchy robotnicze i społeczne działające w Japonii”.

W tym miejscu warto sięgnąć po świadectwo Janusza Mondrego z tekstu zamieszczonego w „Kulturze” w 1987 r.: „Głównym celem wytycznym ośrodka, pod wytrwałym kierownictwem jego założyciela dr. Kudō Yukio, pozostaje krzewienie i utrzymywanie zainteresowania sprawą polską w Japonii, z nieukrywaną ambicją docierania do jak najszerszych kręgów opiniotwórczych tego kraju [...] W przeciągu pięciu lat swego istnienia udało się mu nawiązać trwałą współpracę z wybitnymi uczonymi i specjalistami od spraw polskich (jak np. historykiem Taksyuki Ito z Uniwersytetu Sapporo – Waseda – J.S.) oraz rozbudzić i wpłynąć na wzrost zainteresowania sprawami polskimi u innych osobistości życia społeczno-politycznego Japonii”.

W dalszej części Mondry potwierdzał i uściślał to, o czym po latach mówił Takeshi Mizutani: „główną cechą O[środk]a B[ładań] P[olski], odróżniającą go od innych podobnych instytucji, jest całkowite skupienie się na skrupulatnej dokumentacji wydarzeń w Polsce. Należy tu jeszcze podkreślić wybitnie »pro-solidarnościowe« nastawienie ośrodka, tzn. jego powiązania i współpracę z różnymi przedstawicielstwami »Solidarności« za granicą, zwłaszcza z biurem w Brukseli [...] Ma również »Solidarność« swego przedstawiciela w gronie stałych pracowników Ośrodka w osobie Umedy Yoshiho. Jest on głównym rzecznikiem interesów »Solidarności« w Japonii oraz pomostem do bliskich kontaktów ze związkami zawodowymi”.

Przykłady takich kontaktów Mondry odnotował już w 1983 r.: „w grudniu 1982 r. odbyło się w P[olskim] O[środku] B[ładowczym] spotkanie z J[erzym] Milewskim i S[ławomirem] Czarlewskim, w którym uczestniczyli przedstawiciele niektórych japońskich związków zawodowych (Churitsu Roren). [...] J[erzy] Milewski wysoko ocenił działalność POB, stwierdzając, że »rola jego w specyficznych warunkach japońskich – bez udziału jednego choćby Polaka – jest bezcenna, godna szczególnego podziwu«”.

Mari Torii-Takei uzupełnia listę członków i współpracowników Centrum o Yoshiho Umedę, o Taksyuki Ito – historyka, profesora Uniwersytetu Waseda i autora książek na temat współczesnej historii Polski; Yoshinobu Shiokawę – ekonomistę, działacza społecznego, lektora Uniwersytetu Tokijskiego, autora tłumaczenia na japoński *Listu otwartego do partii* Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego (z angielskiego); a także Tetsuya Chikushi – znanego dziennikarza. Uwypukla przy tym rolę prof. Nagano Ryo Maeno jako współzałożyciela Centrum, a jednocześnie działacza ruchu antynuklearnego oraz specjalistę od polityki i gospodarki w krajach socjalistycznych. Oprócz nich, jak pisze

Torii-Takei, Centrum wspierało „kilku znanych w Japonii intelektualistów”, m.in. Shigeru Kido (politolog), Kyushiro Kusakabe (krytyk filmowy), Hiroshi Kimura (rusycysta) czy Akihiko Senda (dziennikarz, krytyk teatralny).

Jak podkreślają wszyscy autorzy, główne pole aktywności Centrum to przede wszystkim „Biuletyn Polski”. Yoshiho Umeda nazywa to wydawnictwo „centralnym ośrodkiem informacji o Polsce w Japonii”. „Biuletyn Polski”, to drugie (nie licząc wychodzącego od 1930 r. w Japonii „Rycerza Niepokalanej” w wersji japońskiej), po ukazującym się na początku lat dwudziestych dwujęzycznym „Echu Dalekiego Wschodu” pismo w Japonii dotyczące wyłącznie spraw Polski i Polaków. „Echo Dalekiego Wschodu” kierowane było jednak głównie do Polaków, „Biuletyn” zaś ukazywał się wyłącznie po japońsku, a jego odbiorcami mieli być przede wszystkim Japończycy.

Jak podaje Takeshi Mizutani, wydany w listopadzie 1981 r. numer był zwiastunem pisma. Właściwy pierwszy numer ukazał się z datą 18 stycznia 1982 r. Zawierał m.in. „krytyczny wobec stanu wojennego artykuł pana Kudō pod tytułem Nie zginęła »Solidarność«, ale podstawową treść numeru stanowiła prezentacja i analiza Programu NSZZ »Solidarność« [...]. W późniejszych numerach, prezentując ważne i przełomowe wydarzenia, przedstawialiśmy rozwój sytuacji politycznej w Polsce (w postaci rubryki »Dziennik Polski« przekazywane były szczegółowe wiadomości z Polski), a jednocześnie główny nacisk położony był na przekazywanie treści rozmaitych dyskusji toczących się w łonie samej Solidarności. Na stronicach Biuletynu regularnie pojawiały się wypowiedzi osób takich, jak przedstawiciele kierownictwa NSZZ »Solidarność« – Lech Wałęsa i Zbigniew Bujak, doradcy z kręgów inteligencji – Tadeusz Mazowiecki i Bronisław Geremek, teoretycy – Jacek Kuroń i Adam Michnik, ludzie kultury, jak np. Andrzej Wajda. W celu lepszego poznania Polski podjęliśmy druk serii artykułów autorstwa japońskich specjalistów »Eseje o współczesnej historii Polski«, od małżonki profesora Kudō otrzymaliśmy przepisy na polskie potrawy, kilkakrotnie zamieszczaliśmy także wspomnienia japońskich turystów z pobytu w Polsce”.

Janusz Mondry w 1983 r. tak przedstawiał „Biuletyn Polski”: „ukazało się dotychczas dziewięć numerów oraz numer specjalny, będący przeglądem poprzednich. Na treść »Biuletynu« składają się: w pierwszym rzędzie przedruki [...] artykułów, wywiadów, oświadczeń itd., z różnych »przedwojennych« i podziemnych pism »Solidarności« w Polsce [...] oraz z pism zagranicznych (»Kontakt«, »Aneks«) [...]; artykuły japońskich specjalistów od spraw Polski i Europy Wschodniej; do stałych pozycji »Biuletynu« należą: kalendarium wydarzeń w Polsce, »Głos Solidarności za granicą« i »Polska, jakiej nie znamy z prasy«. Jak oceniał autor, „jest to pismo bardzo przychylnie »Solidarności« i Polsce walczącej o bardziej niezależny byt narodowy”.

Kilka lat później publicysta „Kultury” dodawał: „trzon pisma stanowią doskonałe tłumaczenia na język japoński tekstów polskiej literatury politycznej, podziemnej i emigracyjnej, zwykle z krótkim komentarzem redakcyjnym”. Wśród przetłumaczonych przez sekretarza centrum Takeshi Mizutani i dwóch polonistów (S. Takahaski i S. Sasaki)

materiałów znalazła się twórczość Jana Józefa Lipskiego, Andrzeja Tymowskiego, Adama Michnika, Jana Lityńskiego czy Aleksandra Halla. Teksty były tylko w niewielkim stopniu skracane, tak więc pismo nie miało wyłącznie charakteru biuletynu informacyjnego. Co więcej, nie ograniczono się tylko do tłumaczeń: „*miesięcznik ten stał się również [...] ważnym i cenionym forum wypowiedzi na tematy polskie [...] dla naprawdę szerokiego kręgu publicystów, działaczy politycznych i związkowych oraz badaczy z różnych instytucji japońskich zainteresowanych sprawami polskimi*”.

W swoim tekście Mondry odniósł się także do zakresu tematycznego poruszonego w blisko czterdziestu przeanalizowanych przez niego artykułach i wyróżnił wśród nich trzy kategorie:

„1. Artykuły omawiające najrozmaitsze aspekty polskiej rzeczywistości powojennej, a równocześnie ujmujące sprawę polską w szerszym kontekście geopolityki międzynarodowej”. Mondry zalicza do tej grupy serię dziesięciu artykułów o wspólnym tytule *Historia Polski powojennej*, gdzie „na pierwszy plan wysuwają się szkice Tłaksyukij Ito (np. jego ocena Powstania Warszawskiego) [...] znakomity artykuł znanego znawcy prawa międzynarodowego, dr. Sato Kazuo z Uniwersytetu Aoyama w Tokio [...] »Polska a współczesne prawo międzynarodowe«, obszerne opracowanie problemu uniwersyteckiego w Polsce pióra Kato Kazuo z Wydziału Dokumentacji Biblioteki Parlamentu w Tokio, a w dziedzinie spraw gospodarczych ciekawy artykuł pt. *Polska – trzecia droga do normalizacji pióra Tsuchiia Masaya*. [...]”

2. Artykuły zajmujące się genezą i oceną ruchu »Solidarności«, uważanego w Japonii za najbardziej oryginalny i uniwersalny ruch społeczny w powojennej Europie. Szczególnie uderza tu wysoki stopień zainteresowania solidarnościową koncepcją »społeczeństwa samorządnego« jako nowym rewolucyjnym modelem społeczno-politycznym [...]. *Osobiście jestem skłonny przypuszczać, iż Japończykom imponuje tu głównie idea podmiotowości społeczeństwa wobec wszechwładzy biurokracji państwowej, co sami odczuwają jako jedno z niedociągnięć w funkcjonowaniu ich własnego systemu społecznego*”.

3. W trzeciej grupie znalazły się „artykuły porównujące ruchy robotniczo-związkowe w Polsce i Japonii, analizujące głównie strategię walki »Solidarności« z myślą o wykorzystaniu jej doświadczeń [...] w Japonii”

„*Biuletyn Polski*” był broszurą, wydawaną w formacie B5, zwykle o objętości szesnastu stron. Według Yoshihi Umedy, na początku drukowano go w nakładzie 5 tys. egz., a w 1983 r. lub w 1984 r. „*zszedł poniżej 1000 egz.*”. W innym miejscu Umeda mówił o górnym pułapie 500 egz., a jeszcze gdzie indziej – o 700 egz.. „*To też było sztucznie podtrzymywane – przyznaje Umeda – „bo centrale związków zawodowych nabywały po kilkaset sztuk*”. Poza tym „*Biuletyn*” prenumerowało kilkadziesiąt osób, głównie profesorów, i w ten sposób „*ciągle przejawiało zainteresowanie sprawą polską*”.

W opracowaniu Umedy Kilka informacji na temat japońskich mass mediów znajdziemy dodatkowe informacje na temat zasięgu oddziaływania i odbiorców „*Biuletynu*”. Mie-

sięcznik był rozsyłany – poza związkami zawodowymi – do wszystkich ważniejszych redakcji japońskich gazet i telewizji oraz do japońskiego MSZ i parlamentu. „*Biuletyn Polski*” otrzymywały również ambasada PRL w Tokio i Biblioteka Narodowa w Warszawie, a także związki zawodowe i instytucje naukowe Korei Południowej i Tajwanu. Nielegalnie, w niedużych ilościach kolportowany był do Chin.

Warto wymienić redaktorów pisma. Posłużyć się tutaj informacjami przesłanymi mi przez Marię Torii-Takei, jedną z redaktorek „*Biuletynu*”, tłumaczkę i polonistkę, wówczas studentką polonistyki w Instytucie Majakowskiego, prowadzonym przez prof. Kudō. Instytut nie był instytucją uniwersytecką, ale uczono w nim wielu języków słowiańskich, w tym polskiego. Studentem prof. Kudō był także redaktor i tłumacz Seiichi Shinozuka, a w późniejszym czasie – redaktor naczelny „*Biuletynu*” Takeshi Mizutani, który w chwili tworzenia pisma nie znał języka polskiego, ale biegle władał angielskim i francuskim. Potem Mizutani pracował jako wykładowca współczesnej historii Polski i Europy Wschodniej na Uniwersytecie Seishin, zajmował się „*kwestią Romów*” na Uniwersytecie Tokijskim, a w 1995 r. napisał książkę *Pōrando „Rentai” – kieta kakumei (Polska „Solidarność” – zaginiona rewolucja, 1995)*. Był ponadto redaktorem takich prac, jak *Pōrando „Rentai” no chōsen (Wyzwanie polskiej „Solidarności”, 1981)*, *Fukutsu no „Rentai” (Niezwyciężona „Solidarność”, 1983)* oraz jednym z tłumaczy biografii Wałęsy i wspomnień Jaruzelskiego.

Według Torii-Takei, oprócz wymienionych osób w prace redakcyjne angażowało się kilku Japończyków, którzy „*od czasu do czasu*” pomagali w przekładzie artykułów itd. Jednak w redakcji, co podkreśla, nie było żadnego Polaka czy Polki. Warto jednak wspomnieć, że niektórzy Polacy współpracowali z „*Biuletynem*”, np. Mitsui, która – jak mi napisała – była na kilku spotkaniach organizowanych przez redakcję, kiedy poproszono ją o tłumaczenie.

Znaczącą rolę odegrała też przebywająca w Polsce (za wyjątkiem dwu pobytów w Japonii) Agnieszka Żuławska-Umeda, która – według swojego żartobliwego określenia – „*karmiła*” „*Biuletyn*” prasą podziemną, a także informacjami i tekstami przekazywanymi jej mężowi przez attaché wojskowego Japonii w Warszawie, płk. Tanadobu Moritę, który robił to w tajemnicy przed swoimi władzami. W tym celu także m.in. utrzymywała stały kontakt z ukrywającym się członkiem TKK „*Solidarności*” Zbigniewem Bujakiem, uzgadniając z nim niektóre działania podejmowane w Japonii przez jej męża. Ich korespondencję dostarczał do Japonii płk Morita. Warto dodać, że Żuławska-Umeda korzystała ponadto z pośrednictwa mieszkającego po sąsiedzku Witolda Lutosławskiego i żony jego pasierba Marcina, Gabrieli Bogusławskiej, przesyłając do męża materiały także *via* Norwegia. Bogusławska wspomina o obecności Yoshiho Umedy na uroczystościach noblowskich w Oslo, gdzie miał opowiadać o kapelach góralskich, które znał – co też mogę potwierdzić – jak mało kto w Polsce.

Ostatni, 112, numer „*Biuletynu Polskiego*” ukazał się w sierpniu 1991 r. i kosztował 2 tys. jenów. Za poprzednie, zwykle numery trzeba było zapłacić 400 lub 500 jenów.



Pismo w dużym stopniu finansowało nie tylko siebie, ale także działalność całego Centrum Informacji Polskiej, które – jak podawał Umeda w styczniu 1990 r. – „jest w niewielkim stopniu finansowane przez japońskie związki zawodowe”, a „głównym źródłem jego egzystencji jest dochód ze sprzedaży »Biuletynu« oraz ofiarności kilkuosobowej grupy”.

„Ostatnim zadaniem” – wspomina Takeshi Mizutani – „wypełnionym przez piszącego te słowa, było sporządzenie ogólnego spisu treści wszystkich numerów »Biuletynu Polskiego« oraz indeksu nazwisk. Była to żmudna praca, którą dzięki pomocy wielu osób udało się pomyślnie zakończyć i wydać w formie końcowego numeru (nr 112) Biuletynu [...] „Fakt, iż działalność Centrum Informacji o Polsce kontynuowana była przez ponad 10 lat, możliwy był dzięki członkom stowarzyszenia i czytelnikom, którzy wspierali nas zarówno materialnie, jak i duchowo. Powodem tego była atrakcyjność »Solidarności«, która potrafiła przyciągnąć tak wiele osób”.

W ostatnim numerze pisma ofiarnym Japończykom podziękował prezydent Lech Wałęsa. „Szanowne Centrum” – napisał prezydent RP, co podaję w niewielkim streszczeniu – „od swojego powstania w 1981 r., poza granicami naszego kraju z wielką ofiarnością informowało o naszej działalności, która zmierzała ku niepodległości kraju. Te 10 lat to długi bardzo czas rozmaitych naszych doświadczeń. I wreszcie dzisiaj jesteśmy wolni. Narodziła się Rzeczpospolita. My, którzy zaczęliśmy żyć w zupełnie nowej Polsce, nigdy nie przestaniemy być wdzięczni Szanownemu Centrum za jego działalność”.

### **Koło Pomocy Polakom**

Wspominałem na wstępie o powstałym na początku lat dwudziestych we Władystoku Polskim Komitecie Ratunkowym. Kolejną tego typu inicjatywą był powołany w Tokio w październiku 1940 r. przez ambasadora RP w Japonii Tadeusza Romera Polski Komitet Pomocy Ofiarom Wojny (przeznaczony dla uchodźców z Polski i Litwy) oraz powstały rok później, 10 października 1941 r., Związek Wzajemnej Pomocy Polaków w Japonii. Istniały również towarzystwa japońsko-polskie i polsko-japońskie, w tym założone w 1924 r., a reaktywowane dwukrotnie w PRL (w latach 1956–1961 i ponownie w 1975 r.) Towarzystwo Japońsko-Polskie oraz powstałe w 1977 r. Towarzystwo Polsko-Japońskie.

To ostatnie, według świadectw znanych mi artystów, w stanie wojennym organizowało wystawy ich prac w ambasadzie Japonii w Warszawie. Przypomnijmy, że w czerwcu 1983 r. Związek Polskich Artystów Plastyków został rozwiązany, a do nowej, reżimowej organizacji powołanej w 1984 r. – Związku Polskich Artystów Malarzy i Grafików (ZPAMiG) – wielu artystów nie chciało przystąpić. Prace polskich twórców jechały potem do Tokio, gdzie były wystawiane na sprzedaż w polskiej galerii w tym mieście. Dochód z ich sprzedaży trafiał do autorów, ale nie była to zbyt szeroko zakrojona akcja pomocowa.

Takimi akcjami w zdecydowanie większej mierze zajmowało się powstałe tuż po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego Koło Pomocy Polakom, zainicjowane przez

Hisayo Umedę-Kudō. Po śmierci franciszkanina, brata Zenona Żebrowskiego (Zeno), który zmarł 24 kwietnia 1982 r., przemianowano je na Koło Pomocy Polakom im. Brata Zenona Żebrowskiego. W organizacji dominowali Japończycy (a raczej jedna Japonka: Hisayo Umeda-Kudō), ale istotną rolę odegrali też Polacy, a ściślej Polki, w większości mieszkające w Japonii.

W domowym archiwum rodziny Umedów zachowało się kilkadziesiąt listów z 1983 r., kierowanych na adres Koła Pomocy Polakom: skrzynkę pocztową POB 47, Tokyo Japan 157. Był to adres rodziny Umeda-Kudō, inicjującej wszystkie znane mi prosolidarnościowe akcje w Japonii.

Jak wyglądały początki tej inicjatywy? Tak opisywał je Yoshiho Umeda: *„Jeszcze tego samego dnia [chodzi o 14 grudnia 1981 r., co jest raczej błędną datą – J.S.], pod przewodnictwem Hisayo Umedy-Kudō zwołano spontaniczny ruch kobiet o nazwie »Tasukeru-kai«, czyli »Koło Pomocy«, składający się z Polek mieszkających w Japonii oraz wolontariuszek japońskich”*. W katalogu wystawy przygotowanej z okazji osiemdziesięciolecia stosunków polsko-japońskich nazwę organizacji skorygowano na Pōrandojin o Tasukerukai (Koło Pomocy Polakom).

Powstanie Koła Pomocy wiąże się z wcześniejszym, prywatnym listem synowej Hisayo Umedy-Kudō, Agnieszki Żuławskiej-Umedy, napisanym jeszcze w okresie tzw. karnawału „Solidarności”, na jesieni 1981 r., kiedy na sklepowych półkach w Polsce zaczął niepodzielnie panować ocet. Konkretnie kroki podjęto jednak w reakcji na wprowadzenie stanu wojennego. Tak powstanie Koła Pomocy Polakom relacjonowała sama jego założycielka: *„było to w okresie Bożego Narodzenia [...]. Przedtem dostałam list od mojej synowej, Agnieszki. Pisała, że w Polsce prawie nic już nie można dostać i wszyscy – m.in. Andrzej Wajda – rozpoczęli akcję informowania świata, jaka jest ciężka sytuacja. Prosiła w liście, żebym się zajęła koordynowaniem zbiórki na rzecz Polaków o niskich dochodach. Nie wiedziałam, co mam z tym zrobić. Po prostu trzymałam tę kartkę i nic nie robiłam przez dwa miesiące. W międzyczasie wprowadzono stan wojenny w Polsce. Zapytałam męża, co mam robić. Powiedziała mu, że jeżeli teraz nie zrobię tego, o co prosiła Agnieszka, będę miała wyrzuty sumienia do końca życia. On mi poradził, żebym zorganizowała konferencję prasową”*.

Tak też się stało. Siegnijmy do relacji jednej z uczestniczek wspomnianej konferencji, Marii K. Muraty: *„Inicjatorką, organizatorką oraz ochmistrzynią Koła Pomocy Polakom [...] była pani Hisayo Kudō [...]. Nie jestem w stanie przypomnieć sobie, którego dnia (po 14, a przed 23 grudnia 1981 r.) to dokładnie było [...] Pani Hisayo Kudō zwołała konferencję prasową, na której ogłosiła powstanie Koła Pomocy. Towarzyszyły jej dwie zamieszkałe w Japonii Polki: pani Wanda Miyajima (którą wówczas spotkałam po raz pierwszy) oraz moja osoba. Ze względu na rodzinę mego męża, publicznie występowałam pod nazwiskiem panięńskim. [...] W każdym razie odbyła się ta konferencja, pani Kudō zawczasu podała nasze telefony domowe, szło to w TV i uka-*

zało się w większości gazet. Państwo Kudō szybko gdzieś wyjechali odpocząć, zaś pani Miyajima oraz moja osoba odbierały w swych domach niekończące się telefony. Reakcja społeczeństwa japońskiego była entuzjastyczna i wzruszająca: dzwoniły dzieci (z mamusiami w tle, oczywiście), żeby powiedzieć, że zrzekają się prezentu gwiazdkowego na rzecz dzieci polskich; emeryci, aby powiadomić, że sprzedają kolekcję znaczków pocztowych etc. [...] Japonia była wówczas rozkończona w Lechu Wałęsie, który odwiedził ten kraj w maju 1981 r. Przeciętni ludzie nie mieli pojęcia, o co chodzi, ale identyfikowali się z nim i uwielbiali go [...] za to, że chwalił ich kraj, mówił im, że Japonia jest piękna, że ją kocha i że chciałby mieć ją u siebie, w swoim kraju. Wspominam o powyższym, gdyż taki był klimat i stąd ta ciepła, spontaniczna reakcja społeczeństwa japońskiego na akcję pomocy”.

Tę nieco żartobliwą opowieść warto skonfrontować z relacją samej „ochmistrzyni”, czyli Hisayo Umedy-Kudō: „W naszym ruchu czynnie uczestniczyły również i Polki. Bo nasz ruch był kobiecy. Nie zapraszałyśmy mężczyzn, było tam kilka Polek oraz popularne w Japonii kobiety. Było nas na początku osiem osób i wystąpiłyśmy wszystkie na konferencji prasowej. Mówiliśmy, że mamy wiadomości z Polski. Że brakuje tam mleka dla dzieci, że nie można kupić ciepłych butów, że dzieci marzną, idąc do szkoły. Nazajutrz ukazały się duże artykuły z naszej konferencji na łamach wielkich gazet i od razu zaczęły wpływać pieniądze na nasze konto. Na początku nie wiedziałam, co z tymi pieniędzmi mam robić. Na szczęście dołączyła do nas ochotniczka, która doskonale orientowała się w prowadzeniu księgowości i tego rodzaju działalności. Przygotowała wszystkie niezbędne formularze, ewidencjonowała adresy, sumy i numerowała wszystkie wpłaty”.

Ile było tych pieniędzy? Murata mówi, że w bardzo krótkim czasie zebrano kilkadziesiąt milionów jenów, co w tamtym czasie było olbrzymią sumą. Umeda-Kudō uściśla, że „w ciągu jednego miesiąca wpłynęło dziesięć milionów jenów, czyli około stu tysięcy dolarów”. Jej syn mówił zaś o zebraniu w kilka tygodni kilkuset tysięcy dolarów. Z kolei w tekście z 1990 r. napisał, że Koło w tym samym czasie zebrało około 200 tys. dolarów. Tę samą sumę wymienił w 2007 r. podczas nagrywania notacji dla TVP1.

Na początku 1982 r. Yoshiho Umeda, po wielokrotnych przesłuchaniach prowadzonych przez funkcjonariuszy SB, został zmuszony do wyjazdu z Polski. Stało się to 20 stycznia 1982 r. Co ciekawe, był on pierwszym działaczem „Solidarności” tak wysokiego szczebla (zastępca szefa Biura Zagranicznego największego regionu „Solidarności” – Mazowsza), który przywiózł na Zachód wieści z okupowanej przez WRON Polski. W Paryżu czekała na niego matka. Razem udali się do Rzymu, gdzie zostali przyjęci przez Jana Pawła II. Przekazali mu zebrane na wsparcie „Solidarności” pieniądze (chodziło, jak relacjonował Umeda, o 50 tys. dolarów). Skąd ten pomysł? Jak wiemy, pani Umeda-Kudō nie wiedziała, co zrobić z napływającymi do Koła Pomocy Polakom pieniędzmi, więc (według jej syna), zwróciła się do nuncjatury Watykanu w Japonii z propozycją, by sam papież rozdysonował tę kwotę.

Trochę inaczej zapamiętała tę historię Maria K. Murata, która pisze o „szczególnym czeku” na 10 mln jenów, który zrealizować mógł jedynie i wyłącznie Jan Paweł II: „z czekiem tym, swą japońską asystentką oraz moją osobą udała się [Hisayo Umeda-Kudō – J.S.] do Misji Papieskiej (ambasady Watykanu) w Tokio”. Stało się to gdzieś na początku 1982 r. Trzy panie zostały przyjęte przez abp. Mario Pio Gaspariego, który przewodził uroczystościom żałobnym po śmierci br. Zenona Żebrowskiego, a wcześniej – jak przekonuje Murata – podobno udzielił schronienia ambasadorowi Rurarzowi po jego ucieczce z ambasady PRL.

W tym kontekście musimy wrócić do listu Agnieszki Żuławskiej-Umedy, w którym prosiła Hisayo Umedę-Kudō o zorganizowanie akcji pomocy dla cierpiących biedę Polaków. Większość ze środków napływających po głośnej konferencji prasowej z drugiej połowy grudnia 1981 r. przeznaczono na ten właśnie cel; na samym początku jeszcze bez szyldu: „Koło Pomocy Polakom”. Pierwotnie była to po prostu akcja pod hasłem „jednokilowych paczek” (*Ichikiro Undō*). Autorką pomysłu była oczywiście Hisayo Umeda-Kudō. Chodziło o to, że wysyłanie z Japonii dużych paczek drogą lotniczą było kosztowne, natomiast przesyłek do kilograma – stosunkowo tanie. Wiele ofiarodawców przekraczało jednak limit. Jak wspomina Żuławska-Umeda, „uważali, że kilowa paczka to jest za mało i przysyłali jakies ogromniaste rzeczy, z ubraniami, lekami, kosmetykami, zieloną czy czerwoną herbatą. To było tylko teoretycznie *Ichikiro Undō*. No i same musiałyśmy to przepakowywać”.

Akcja „jednokilowych paczek” była jednorazowa. W jej miejsce powołano jednak trwałą instytucję: Koło Pomocy Polakom, potem Koło Pomocy Polakom im. Brata Zenona Żebrowskiego. Dodanie do nazwy patrona miało pomóc rozszerzyć działalność na inne płaszczyzny, także informacyjną. Brat Zenon Żebrowski był niezwykle popularny w Japonii, jego nazwisko mogło przyciągać uwagę, a do tego rodzina Umedów dobrze go znała – był u nich w Tokio, a podczas pobytu państwa Kudō w Warszawie (na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych) odwiedzał ich także w Polsce.

Pomoc przesyłana w ramach Koła Pomocy zyskała inny wymiar: nie były to już niewielkie paczki, ale ładowane na statki całe kontenery darów. Tak pisze o tym Maria K. Murata: „pamiętam że pani Kudō udało się uzyskać dary od japońskich firm – mleko w proszku dla niemowląt i artykuły higieny osobistej dla kobiet (podpaski). Wynajmowała magazyny, chyba w Yokohamie, coś wspominała o statkach”.

Henryk Lipszyc na przełomie lat 1984 i 1985 przebywał w Japonii wraz z rodziną prawie przez rok. Zbiegło się to z pobytem Agnieszki Żuławskiej-Umedy. Obie rodziny spotykały się, a przy okazji brały udział w akcjach pomocowych. Sam Lipszyc w nich nie uczestniczył. Wie tylko z opowieści żony Katarzyny, że chodziło o pakowanie i wysyłanie paczek pomocowych do Polski.

Hisayo Umeda-Kudō wspominała, że w akcji gromadzenia darów służyły im pomocą małe i średnie firmy oraz organizacje związkowe. Ta ostatnia pomoc była szczególnie

istotna: „Wysyłaliśmy do Polski kontenerami mleko w proszku, mydła, podpaski, a dzięki związkowcom transport był prawie za darmo”. Jak uzupełnia Yoshiho Umeda, dary te kierowano „dla Komitetu biskupa Domina”, czyli do Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski, kierowanej przez bp. Czesława Domina z Katowic, która rozdzielala je za pośrednictwem komisji diecezjalnych do poszczególnych parafii.

Wiele darów trafiało do warszawskiego kościoła św. Marcina przy ul. Piwnej, gdzie od pierwszych dni stanu wojennego działał Prymasowski Komitet Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom, z którym współpracowała Agnieszka Żuławska-Umeda, a który również pośredniczył w wysyłce paczek. Korespondencja nadchodząca z Japonii była tłumaczona na polski przez mieszkające tam Polki, współpracujące z Kołem Pomocy. Sama Żuławska-Umeda tłumaczyła zaś listy obdarowanych Polaków, a także korespondencję proboszczów parafii, do których trafiły dary, komisji diecezjalnych czy ks. Bronisława Dembowskiego (ówczesnego rektora kościoła św. Marcina) z Komisją Charytatywną Episkopatu Polski.

Ta korespondencja była w pewnej mierze wywołana przez samych darczyńców, którzy – jak opowiadała w 1994 r. Hisayo Umeda-Kudō – do każdej paczki dołączali „coś w rodzaju folderu informującego, że dar pochodzi z Japonii oraz że myślimi jesteśmy z nimi” – obdarowanymi osobami. Murata wraz z mężem, rodowitym Japończykiem, grafikiem, byli autorami ulotek zachęcających do przesyłania potwierdzeń otrzymania darów. Murata zaprojektowała logo Koła Pomocy, a jej mąż „dodał napisy, ramkę i wydrukował nalepki”, które potem miały być naklejane na wysyłane do Polski dary.

„Dostałyśmy wiele listów z podziękowaniami z całej Polski” – potwierdzała Hisayo Umeda-Kudō. Ta cała korespondencja oraz zachowane listy przewozowe statków, które przewoziły dary, dają nam pewną, choć niepełną orientację w tym, co konkretnie jechało do Polski; dokąd trafiały dary, jakimi drogami, a także za pośrednictwem jakich instytucji i organizacji.

Ogólniejsze informacje zachowały się tylko w kilku pismach. Z jednego z nich – od przewodniczącego Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski – możemy się dowiedzieć, co zawierał transport, który nadszedł w 1983 r. do Gdyni na statku PLO „Profesor Rylke” oraz jak został rozdzielony: „Z radością informujemy, że transport darów higienicznych dotarł do Gdyni na statku »Profesor Rylke« dnia 11 XII 1983 i dnia 21 XII 1983 r. został wysłany z portu do Komisji Charytatywnej Oddział Częstochowa zgodnie z naszą dyspozycją. Diecezja Częstochowa dzieli obecnie dary pomiędzy sąsiadujące diecezje: Tarnów, Katowice oraz Opole. Dary te – podobnie jak wszystkie inne otrzymywane przez Komisję Charytatywną – są rozdzielane przez dyrektora charytatywnego na dekanaty i parafie, które z kolei obdzielają nimi bezpłatnie potrzebujących. Podziękowanie listowne wyśle Komisja Charytatywna Oddział Częstochowa. Serdecznie dziękujemy Ofiarodawcom i Organizatorom tego transportu za ofiarność, trud i pamięć. Bóg zapłać.

Tak się szczęśliwie składa, że zachowała się specyfikacja przewozowa z tego statku z 26 października 1983 r., w której znalazły się informacje na temat daru wysłanego przez Koło Pomocy Polakom im. Brata Zenona Żebrowskiego do Komisji Charytatywnej, z portu Yokohama – do Gdyni. W specyfikacji możemy przeczytać, że w kontenerze z darami znajdowało się: 145 kartonów zawierających podpaski higieniczne (181 888 sztuk) i 43 kartony pieluchomajtek (21 500 sztuk). Dostępna jest także dokumentacja ładunku, który na statku PLO „G.F. Kleeberg” wypłynął z Yokohamy do Gdyni 21 czerwca 1985 r., a więc prawie dwa lata później. Tym razem Koło Pomocy Polakom ponownie wysłało jeden kontener darów, a znalazło się w nim 317 kartonów używanej odzieży i 50 kartonów mleka w proszku.

Takich transportów musiało być jednak więcej. Świadczą o tym pisma kierowane na adres Koła Pomocy. 11 lutego 1983 r. ks. Stefan Gralak, dyrektor Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski, pisał: *„W imieniu Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski, Oddziału Diecezjalnego w Warszawie pragnę z podziękowaniem potwierdzić odbiór nadesłanej nam przez Deutscher Caritasverband, Freiburg, RFN pomocy w postaci mydła i mleka dla niemowląt. Jak wszystkie inne dary dar Państwa zostanie rozdany w kościołach naszej diecezji pomiędzy osoby potrzebujące, głównie rodziny wielodzietne, osoby starsze o niewielkich dochodach oraz chore i samotne”*. Trzy dni później bp Czesław Domin dodawał: *„W imieniu obdarowanych rodzin potrzebujących w Polsce składam serdeczne »Bóg zapłać« za zorganizowanie tak wartościowej pomocy, którą Państwo przesłałiście poprzez związki zawodowe RFN. Dary Wasze zostały przesłane do diecezji Warszawa, Gdańsk, Wrocław oraz Katowice”*.

Pisma te musiały dotyczyć transportów wcześniejszych niż ten przewożony na statku „Profesor Rylke”. Ani ks. bp Domin, ani ks. Gralak nie podają zawartości przesyłek. Ciekawe jest jednak to, jaką drogą dary trafiły do Polski. W pierwszym przypadku pośrednikiem okazał się oddział niemieckiego Caritasu z Freiburga w RFN, a w drugim – niemiecka centrala związkowa DGB, z którą w przyjacielskich stosunkach pozostawał Yoshiho Umeda.

Agnieszka Żuławska-Umeda podaje, że statkami przewożącymi dary zwykle podróżowali także państwo Kudō. Wielomiesięczny czas podróży wykorzystywali na pracę: *„bardzo byli szczęśliwi, mogli pracować, brali swoje ukochane koty. I mama pisała wtedy książki wspomnieniowe o Polsce. W tytule prawie zawsze był jakiś kot, np. Cyszcząc uszka kotka, Opowieść o kotkach warszawskich, Kocia podróż przez morze. To się bardzo podobało i dostawała różne nagrody. Pan Kudō natomiast podczas jednej z takich (wcześniejszych – JS) podróży napisał książkę Siedem lat w Warszawie”*.

W przypadku Centrum Informacji i „Biuletynu Polskiego” czas istnienia obu inicjatyw nie podlega dyskusji. Znamy moment ich powołania, tak jak i datę zakończenia działalności. Inaczej jest z Kołem Pomocy Polakom. W 1990 r. Yoshiho Umeda mało precyzyjnie pisał: *„Nadal prowadzona jest akcja »jednego kilograma«, czyli indywidual-*



ne paczki wysyłane na adres polskich charytatywnych organizacji kościelnych (organizatorką tej akcji jest pani Hisayo Kudō)". W innym tekście wspominał o rozwiązaniu koła w 1990 r. i rozliczeniu się z 35 mln jenów (ok. 300 tys. dolarów) jako „sumy bilansowej”. Dodawał jednak, że wciąż „kontynuowana była tzw. akcja jednokilowych paczek”. Inną informację podała w 1994 r. sama Hisayo Umeda-Kudō: „Akcja nasza trwała przez trzy lata. Zamknęliśmy księgę, rozliczając się co do jednego jena”. Zapewne koło przestało formalnie działać w połowie lat osiemdziesiątych.

### Rola Polonii

Wyjaśnienia wymaga jeszcze kwestia udziału Polaków w pracach koła oraz innych inicjatyw powołanych w Japonii w celu informowania społeczeństwa japońskiego o sytuacji w Polsce i wspierania „Solidarności”.

W rozmowie przeprowadzonej w 1991 r. przez Tomasza Jastruna dla paryskiego „Kontakt” Yoshiho Umeda powiedział: „Niewielka grupa Polaków mieszkająca w Japonii prawie nic nie robiła dla kraju. Najaktywniejsze było Centrum Informacji Polskiej, którego w roku 1981 (przed stanem wojennym) byłem współzałożycielem. Ale to byli wyłącznie Japończycy”. Rok wcześniej, w cytowanym już wielokrotnie Memorandum na temat współpracy gospodarczej z Japonią, był trochę mniej kategoryczny: „Polonia w Japonii, licząca prawdopodobnie kilkaset osób, nie ma własnej organizacji, nie ma też polskiego kościoła katolickiego. Wierni zbierają się w kościele św. Ignacego raz w miesiącu, ale ilość ich nie przekracza 30 osób. Po wprowadzeniu stanu wojennego kilka Polek włączyło się do akcji pomocy, lecz ich działalność trwała krótko. Tak więc wszystkie akcje wspierające »Solidarność« były prowadzone przez Japończyków”.

Zdaniem Henryka Lipszyca, polska diaspora w Japonii była niewielka i miała skromne możliwości działania. Niemniej jednak kilka osób się zaangażowało, jak np. znany nam Akira Fujimoto (Wiesław Romanowski). Lipszyc wymienia jeszcze również często tu cytowaną Marię K. Muratę (Godlewską). Polki miały ponadto zorganizować „jedną–dwie demonstracje pod ambasadą polską, niezbyt udane”. W wywiadzie przeprowadzonym przez Renate Mitsui, zamieszczonym w „Gazecie Polskiej w Japonii” w 2005 r., Lipszyc mówił z kolei głównie o udziale w akcjach pomocowych Japończyków. Dodawał jednak: „warto pamiętać o Polkach, które pośredniczyły wówczas w kontaktach Japończyków z »Solidarnością«, w tym tak zasłużonych jak Magda Wójcik, Iwona Makólska i wielu innych »cichych bohaterkach«”.

Również Agnieszka Żuławska-Umeda tylko w części potwierdza kategoryczne zdanie męża – w Centrum rzeczywiście nie było Polaków. Pamięta jednak, że kiedy przebywała w Japonii latem 1982 r., mama Yoshiha dzwoniła do Polek i prosiła je o pomoc. Dwie pomagały, choć później przestały. Żuławska-Umeda nie wyklucza, że mogły zrezygnować z powodu trudnego charakteru pani Hisayo: „Była silną kobietą, która organizowała wszystkich, rozsadzała po kątach, wyznaczała różne role, dzwoniła, walczyła. No i była motorem dla pana Kudō, wciągała go w różne akcje, współpracę z »Biuletynu

nem», tu trzeba pomóc, musisz o tym napisać...». W Kole Pomocy, jej zdaniem, udzielali się wszyscy, którzy byli związani z Centrum Informacji o Polsce, ale także polskie żony Japończyków.

Pamięta ona udział w akcjach pomocowych Marii K. Godlewskiej-Muraty, która była „bardzo zaangażowana”, podobnie jak Wanda Miyajima. przypomina też kolejne Polki, które udzielały się w Kole Pomocy Polakom: Jadwigę Hirai, Irenę Matsubę i Renatę Mitsui.

Warto jeszcze wspomnieć o polskich misjonarzach pracujących w Japonii. Agnieszka Żuławska-Umeda nie pamięta działań franciszkanów na rzecz „Solidarności”, przywołuje natomiast postać dominikanina ks. Juliana Różyckiego, który w Tokio „mówił płomienne kazania o Polsce i stworzył środowisko Polek i Japończyków katolików, bardzo patriotyczne i narodowe”. Z kolei na wspomniane już msze polskie odprawiane przez jezuitów w kościele św. Ignacego Polacy przychodzili nie tylko w celach religijnych: po nabożeństwie odbywały się tam także spotkania z gośćmi z Polski. Najczęściej byli to artyści związani z opozycją i „Solidarnością”.

W tym miejscu warto wrócić do wątku niezwyklej roli rodziny Umedów i Kudō, nie tylko bowiem kościół św. Ignacego był ośrodkiem, w którym skupiały się sprawy polskie i zjeżdżali się Polacy czy przyjaciele Polski. „Nasz dom stał się miejscem, gdzie Polacy będący w Japonii... no obowiązkowo musieli odwiedzać – podkreślał Yoshiho Umeda. – To jest jak taka prywatna ambasada. Oczywiście wówczas do prawdziwej ambasady Polski Ludowej nikt nie chciał chodzić [...]. Wielu przedstawicieli sztuki, pan Wajda, Kiesłowski [...] odwiedzali nasz dom, Maja Komorowska była też”. Umeda przypomina sobie również dwa zjazdy z udziałem Polaków: „Pierwszy to był kongres dla filozofów. Podsumowanie XX wieku [...]. A drugi, to spotkanie noblistów, którzy mieli omówić, jaki będzie XXI wiek [...]. W pierwszym kongresie filozofów uczestniczył Leszek Kołakowski, a w drugim Czesław Miłosz”. I oni trafili do domu profesora Kudō, „gdzie nagraliśmy przepiękną rozmowę pomiędzy Leszkiem Kołakowskim i Czesławem Miłoszem na temat literatury powojennej Polski”.

Agnieszka Żuławska-Umeda szczególnie ciepło wspomina spotkania z Mają Komorowską i Tadeuszem Kantorem, ale zaznacza, że podobnych spotkań było więcej. Zapraszano na nie redaktorów „Biuletynu Polskiego”.

Skrócona wersja tekstu opublikowanego pierwotnie w: „Za naszą i waszą „Solidarność”, t.I, „Państwa pozaeuropejskie”, pod red. Patryka Pleskota, Warszawa 2018

1991年8月5日発行（毎月1回5日発行）1984年2月10日第三種郵便物認可 ISSN 0286-4479

POLAND MONTHLY / BIULETYN POLSKI

# ポーランド月報

終刊号

final issue

1991年8月

(通巻112号)

2000円

ポーランド月報 全号人名索引

ポーランド月報 全号総目次

1980

1990

10

NSZ

# „Solidarność” na emigracji – casus RFN

Grzegorz Majchrzak

Po wprowadzeniu stanu wojennego doszło do kolejnej wielkiej fali emigracji z Polski – wedle różnych szacunków do końca lat 80. wyjechało z niej od kilkuset do ponad miliona osób. Ta nowa emigracja szybko zaczęła tworzyć swoje własne organizacje – głównie polityczne, których celem było wspieranie działającej w kraju opozycji, a także przemian demokratycznych w PRL. Organizowały one demonstracje, spotkania, protesty, akcje pisania petycji oraz podejmowały inne tego rodzaju działania przeciwko władzom stanu wojennego w Polsce. Oczywiście wspierały również podziemne struktury „Solidarności” w kraju, a ponadto zbierały pieniądze, lekarstwa, odzież i organizowały ich transporty do Polski, często z dodatkowym nielegalnym wkładem – sprzętem drukarskim czy innym wyposażeniem dla opozycji w kraju.

Najbardziej znaną i najważniejszą organizacją solidarnościową na Zachodzie było oczywiście Biuro Koordynacyjne NSZZ „Solidarność” w Brukseli, które notabene zostało utworzone w Norwegii. Powstało ono z inicjatywy Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność” na spotkaniu przedstawicieli około pięćdziesięciu komitetów solidarnościowych w stolicy Norwegii w dniach 17-19 lipca 1982 r. Na jego przewodniczącego wybrano – zgodnie z intencjami władz podziemnej „Solidarności” wyrażonej w liście członka TKK Bogdana Lisa przemycyconym na Zachód – Jerzego Milewskiego. Biuro miało swoją siedzibę w stolicy Belgii. Do zadań Biura Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” w Brukseli należało reprezentowanie Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej. Dzięki upoważnieniu TKK zostało zresztą uznane przez świat, w tym zachodnie związki zawodowe – szefa biura Milewskiego przyjął nawet w 1985 r. w Białym Domu prezydent USA Ronald Regan. Przypominało ono – i to skutecznie – na Zachodzie o „Solidarności” i Polsce. Starano się również inicjować oraz koordynować inicjatywy emigracji solidarnościowej na Zachodzie. Przede wszystkim jednak odegrało zasadniczą rolę we wspomaganium materialnym i finansowym podziemnej „Solidarności” w kraju. Było z pewnością najważniejszą placówką „Solidarności” poza granicami Polski.

Podobnych solidarnościowych inicjatyw było oczywiście więcej, w kilku krajach np. utworzono biura informacyjne. Biuro Informacyjne „Solidarności” z siedzibą w Bremie utworzono na spotkaniu 36 polskich działaczy emigracyjnych z Republiki Federalnej Niemiec w Düsseldorfie w dniach 13-14 marca 1982 r. Jego głównym celem było wspieranie podziemnej „Solidarności” w kraju, a także próba wpływania na postawę władz RFN wobec działań peerelowskich władz. Nie odegrało ono jednak znaczącej roli. W styczniu 1982 r. powstało Biuro Informacyjne „Solidarności” w Amsterdamie. Również ono zajmowało się wspieraniem opozycji w PRL. Ponadto organizowało demonstracje pod peerelowskimi placówkami dyplomatycznymi i innymi instytucjami. Wystąpiło

także do holenderskiego parlamentu o nałożenie embarga na import węgla i żywności z Polski. Biuro Informacyjne „Solidarność” działało też w Londynie, początkowo pod nazwą Grupa Robocza NSZZ „Solidarność”. Również ono prowadziło zbiórki dla podziemnej „Solidarność” czy organizowało demonstracje. Biuro Informacyjne „Solidarność” w Sztokholmie z kolei odegrało dużą rolę w przerzucie zakazanej w PRL literatury czy sprzęty drukarskiego do Polski. Również ono – jak to określał peerelowski wywiad – organizowało „antypolskie demonstracje”. Szeroką działalność prowadziło Biuro Informacyjne „Solidarność” w Paryżu, m.in. zbierało i archiwizowało wydawnictwa i prasę podziemną z kraju, a także zdjęcia, plakaty, znaczki wychodzące nielegalnie w PRL. Później ich kopie rozsyłało do bibliotek, zachodnich rozgłośni radiowych czy osób prywatnych. Prowadziło również ewidencję osób represjonowanych z przyczyn politycznych po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce. Biuro Informacyjne „Solidarność” zostało utworzone nawet w Sydney. Jego głównymi celami była opieka nad byłymi członkami „Solidarność”, którzy wyemigrowali do Australii, informowanie opinii publicznej w tym kraju o sytuacji w PRL oraz wspieranie działającej w kraju w podziemiu opozycji. Zajmowało się również dystrybucją „Uncensored Poland News Bulletin”. Biuro Informacyjne „Solidarność” funkcjonowało też – od początku 1982 r. – w Toronto. Również ono organizowało pomoc finansową dla podziemnego związku – w ocenie SB przekazywało zresztą do kraju „poważne sumy”, organizowało też demonstracje w Kanadzie, a także wydawało biuletyn informacyjny w języku angielskim oraz drugi („Odpowiedź”) w języku polskim.

Oczywiście emigracyjnych organizacji solidarnościowych było zdecydowanie więcej. I tak np. początkowo Biuro Koordynacyjne NSZZ „Solidarność” w Brukseli wspierało: Delegację NSZZ „Solidarność” w Zurychu, Komitet „Solidarność” z „Solidarnością” w Rzymie, a także inne komitety działające w Nowym Jorku, Austrii, Danii czy Berlinie Zachodnim, których przedstawiciele nie byli obecni na zebraniu założycielskim w Oslo w lipcu 1982 r. Z czasem zresztą tych emigracyjnych organizacji solidarnościowych przybywało. Działały one zresztą nie tylko – czego już były przykłady – w Europie Zachodniej. Najwięcej z nich – kilkadziesiąt – powstało z pewnością w Republice Federalnej Niemiec. Był to efekt tego, że do tego kraju wyemigrowało kilkaset tysięcy Polaków, a np. Region Śląsko-Dąbrowski NSZZ „Solidarność” został znacząco osłabiony z powodu właśnie wyjazdu wielu jego działaczy do RFN. W efekcie w latach 80. w tym kraju powstało m.in. szereg grup roboczych „Solidarność” w różnych miastach – w Augsburgu, Berlinie Zachodnim, Bonn, Bremie, Düsseldorfie, Eschweiler – Aachen, Frankfurt nad Menem, Hamburgu, Hannoverze, Kolonii, Monachium, Saarbrücken, Tübingen czy Weinstadt – Aalen. Do najważniejszych Służba Bezpieczeństwa zaliczała – w 1988 r. – te w Berlinie Zachodnim, Kolonii oraz Monachium. Ta pierwsza powstała już w dniach 17-19 grudnia 1981 r., a formalnie została zarejestrowana 7 lutego 1982 r. Jak deklarował jej przewodniczący Krzysztof Kasprzyk: „Nie chcemy i nie

możemy być na emigracji organizacją niezależnego związku zawodowego >>Solidarność<< – jednakże w naszym działaniu opieramy się na duchu >>Solidarności<<”. Skupiała się ona głównie na pomocy Polakom, którzy wyemigrowali do Berlina, informowaniu Niemców o sytuacji w Polsce czy organizowaniu pomocy dla rodzin, które ucierpiały w wyniku wprowadzenia stanu wojennego w PRL. Organizowała również demonstracje (np. w styczniu 1981 r. pod hasłem „Solidarność żyje”) i wystawy (m.in. niezależnych wydawnictw z okresu stanu wojennego czy karykatur Andrzeja Krauze z tego samego okresu) oraz akcje zbierania podpisów pod petycjami (np. przeciwko uwięzieniu członków Komisji Krajowej i działaczy Komitetu Obrony Robotników w związku z przygotowywanym przeciwko nim procesem). Jedną z jej najbardziej spektakularnych akcji było zorganizowanie w dniach 6-13 maja 1985 r. strajku głodowego w obronie aresztowanych i skazanych w kraju członków i doradców NSZZ „Solidarność” (Władysława Frasyniuka, Andrzeja Gwiazdy, Bogdana Lisa i Adama Michnika) oraz przywódców Konfederacji Polskiej Niepodległej (z jej liderem Leszkiem Moczulskim na czele). Zaangażowała się również we wsparcie finansowe i materiałowe podziemnej „Solidarności”. Z kolei Grupę Roboczą w Kolonii utworzono w 1982 r. Organizowała ona lub współorganizowała demonstracje pod ambasadą PRL w Kolonii (m.in. w związku z porwaniem i zamordowaniem ks. Jerzego Popiełuszki w listopadzie 1984 r.), akcje ulotkowe, organizowała też spotkania z działaczami emigracyjnymi (m.in. ze Stanisławem Grocholskim, współzałożycielem w 1945 r. Polskiego Ruchu Wolnościowego Niepodległość i Demokracja). Grupa Robocza w Monachium – podobnie, jak te z Berlina Zachodniego i Kolonii angażowała się we wspieranie podziemnej „Solidarności” w kraju. Organizowała również demonstracje (m.in. w dniu 28 października 1982 r. przemarsz ulicami Monachium zakończony wiecem, podczas którego apelowano o zwiększenie sankcji gospodarczych wobec PRL i Związku Sowieckiego), spotkania czy akcje podpisywania petycji (np. w sprawie zwolnienia więźniów politycznych w Polsce). Wydawała również własny biuletyn – „Słowo >>Solidarności<<”. Z kolei Grupa Robocza Eschweiler – Aachen, która rozpoczęła działalność w 1982 r., początkowo koncentrowała się na zbiorce i wysyłce leków do Polski. Później prowadziła również akcje informacyjne (zarówno wśród Niemców, jak i Polaków w RFN), zorganizowała też kilka wystaw o „Solidarności”, kolportowała ulotki i podziemną prasę z kraju, a także współredagowała wydawany w Berlinie Zachodnim miesięcznik „Przekazy”. Oczywiście prowadziła też „szmugiel” do Polski. Jak po latach relacjonował Ryszard Wyżga: „Do kraju wysyłaliśmy książki i wydawnictwa niezależne w formach zminiaturyzowanych. Pakowane one były do oryginalnych opakowań z proszkiem do prania, które otrzymaliśmy od producenta”. Od 1983 r. współorganizowała też manifestacje pod ambasadą PRL w Kolonii. Jak jednak wspomina Ryszard Zając: „Od połowy lat 80., z powodu malejącego poparcia w społeczeństwie niemieckim, zaprzestaliśmy organizowania demonstracji, koncentrując się na pikietowaniu PRL-owskich placówek”.



Próbie koordynacji działalności organizacji prosolidarnościowych w Republice Federalnej Niemiec podjął Komitet Pomocy Solidarności. Został on tworzony w 1982 r. w Moguncji. Jego współtwórcą i przewodniczącym był Andrzej Wirga. Komitet współpracował z zachodnioniemieckim związkiem zawodowym DGB, a także Biurem Koordynacyjnym NSZZ „Solidarność” w Brukseli. Oczywiście angażował się w pomoc dla działającej w kraju opozycji, zbierał też informacje o osobach represjonowanych z pobudek politycznych w kraju (w 1983 r. posiadał dane na temat 3 tys. aresztowanych, skazanych i wyrzuconych z pracy działaczy „Solidarności”). Zorganizował m.in. – w sierpniu 1983 r. – punkt informacyjny we Frankfurcie. W roku następnym doprowadził do wydania w języku niemieckim publikacji *Prawa człowieka i obywatela w PRL (13.12.1981 – 12.12.1982)*, ze wstępem Leszka Kołakowskiego, a także rozpoczął wydawanie „Biuletynu Informacyjnego >>Solidarność<<”. Zorganizował również cykl spotkań na temat „Solidarności”. W 1985 r. został przemianowany na Przedstawicielstwo Solidarności Walczącej, z którą był zresztą związany od początku swojej działalności. Również w Berlinie Zachodnim działał Komitet Obrony „Solidarności”. Formalnie powstał on 3 marca 1982 r., a jego inicjatorem był Edward Klimczak. W deklaracji ideowej stwierdzano, że jego celami są: „obrona polskiej drogi do demokracji”, informowanie opinii publicznej o działalności „Solidarności”, a także organizowanie akcji solidarności z „Solidarnością” i pomocy dla internowanych. Komitet organizował wiece i demonstracje (m.in. pod Polską Misją Wojskową w Berlinie), pomoc materialną dla działającej w kraju w podziemiu opozycji, akcje podpisywania listów i petycji do władz PRL. Podjął również próbę integracji środowiska emigracyjnego, powołując Polską Radę Socjalną. Wydawał dwutygodnik „Pogląd”, w tym od 1985 r. jego miniaturowe edycje przeznaczone dla kraju. Komitet Pomocy „Solidarności” został założony także przy Klubie Polskim w Hamburgu. Zajmował się pomocą dla nielegalnie działającej w kraju „Solidarności”.

Wracając do Przedstawicielstwa Solidarności Walczącej to te, kierowane przez Wirgę, reprezentowało Solidarność Walczącą we Wrocławiu. Funkcjonowało również Przedstawicielstwo Solidarności Walczącej w Bottropie i Essen (Szymon Jabłoński), reprezentujące z kolei Oddział SW w Poznaniu. Z inicjatywy tego pierwszego zorganizowano m.in. wystawę fotograficzną „obrazującą opór społeczeństwa polskiego i działania opozycyjne od 1970 roku”, a także wydawano (w języku niemieckim) „Information – Bulletin >>Solidarność<<”. Andrzej Wirga sygnował także – w listopadzie 1985 r. list do przewodniczącego SPD Willego Brandta z protestem przeciwko jego wizycie w Polsce i odrzuceniu zaproszenia na spotkanie z Lechem Wałęsą. Tak tłumaczył po latach, czemu akurat związał się z SW: „Solidarność Walcząca (SW) była organizacją, która wyraźniej jak inne organizacje kontynuowała ideały Sierpnia. Odrzucała także wszelkie formy >>dogadywania<< się z komuną”.

W kilku miastach niemieckich (Frankfurt nad Menem, Hamburg i Kolonia) działały również Komitety Solidarności z „Solidarnością”. Ten w tym pierwszym mieście m.in. wydał w 1982 r. w nakładzie 10 tys. egzemplarzy ostatni numer „Tygodnika Solidarność”, w języku niemieckim. Z kolei ten działający w Hamburgu organizował głównie zbiórki (finansowe i rzeczowe), współpracował też z niemieckimi organizacjami charytatywnymi, przekazując im adresy działaczy „Solidarności” i ich rodzin, którym potrzebna jest pomoc. Z kolei w Kolonii udało się m.in. przeprowadzić akcję zbierania podpisów pod petycją przeciwko represjonowaniu w PRL działaczy KOR oraz członków Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, podpisał ją m.in. znany pisarz, późniejszy noblista Günter Grass.

W 1983 r. grupa osób związana z Rozgłośnią Polską Radia Wolna Europa zarejestrowała w Monachium Stowarzyszenie „Solidarność” Wolnych Polaków w Bawarii. Należało ono do Światowego Porozumienia Organizacji Wspierających „Solidarność” (CSSO). Stowarzyszenie było m.in. organizatorem manifestacji w Monachium w drugą rocznicę wprowadzenia stanu wojennego. Zorganizowało też – dzięki wsparciu współpracujących z nim artystów, m.in. barda „Solidarności” Jacka Kaczmarskiego czy barda Praskiej Wiosny Karela Kryła – szeregi akcji i imprez na rzecz Polski. Opiekowało się ponadto rodakami emigrującymi do RFN. Również w 1983 r. zostało zarejestrowane – w Berlinie Zachodnim – Towarzystwo „Solidarność”. Skupiło się ono na udzielaniu pomocy represjonowanym działaczom „Solidarności” w kraju oraz na informowaniu społeczeństw i Polaków na Zachodzie o sytuacji w PRL. Ponadto przemyślało do Polski maszyny drukarskie i inny sprzęt poligraficzny, urządzenia do podsłuchu, nadajniki radiowe i telewizyjne, a także zminiaturyzowane książki i wydawnictwa własne. Organizowało również przerzuty literatury w języku rosyjskim i ukraińskim dla Wydziału Wschodniego Solidarności Walczącej, który następnie ekspediował je do Związku Sowieckiego. Podobnie jak Stowarzyszenie „Solidarność” Wolnych Polaków w Bawarii należało do CSSO.

O czym była już kilkakrotnie mowa w Republice Federalnej Niemiec wychodziła również polska prasa emigracyjna, wydawana przez struktury solidarnościowe lub do tradycji NSZZ „Solidarność” nawiązująca. Najpopularniejszym tytułem był „Biuletyn Informacyjny”, który był wydawany przez kilka różnych organizacji w różnych miastach RFN (Berlinie, Bremie, Frankfurcie nad Menem, Hannoverze czy Moguncji).

Berlin, styczeń (Januar) 1988 r. Rok VII, nr 1 (141)

A 9878 E

Miesięcznik „Towarzystwa Solidarność”

# Pogląd



## Afgańczycy

to dzielna,  
zahartowana  
i niezależna  
rasa

Fryderyk Engels

Cena DM 6,-



## Francuska solidarność

Bożena Magott

Do czasu wyjazdu z Warszawy pracowałam jako dziennikarz w „Dzienniku Ludowym” i „korektor w „Przeglądzie Sportowym”.

Mój wyjazd do Francji był zresztą spowodowany niemożliwością pisania bez ustawicznej ingerencji cenzury i napomnień ze strony redakcji (szczególnie po strajkach w Ursusie z czerwca 1976 r.). Wyjechałam z moim synem, będąc zmuszona pozostawić córkę pod opieką mego ówczesnego męża. Po przyjeździe do Francji nie miałam żadnych związków z PRL. Nie ubiegałam się jednak o status uciekiniera politycznego. Przez pierwsze lata próbowałam w ogóle nie interesować się polityką. Walka o przeżycie była zbyt pochłaniająca. Studiowałam archeologię polską i powszechną na UW, a potem w Paryżu na Sorbonie. I zostałam doktorantką. Poza tym studiowałam w Instytucie Wyższych Studiów nad Ameryką Łacińską (praca nad studium porównawczym między reformami rolnymi w Ameryce Łacińskiej i reformami rolnymi w Polsce).

Pierwsze moje zainteresowanie sytuacją w Polsce rozpoczęło się w momencie powstania KOR i zetknięcia z działalnością Mirosława Chojeckiego, którego później osobiście poznałam, gdy przyjechał do Paryża. Olbrzymi wpływ na moje zaangażowanie się w sprawy polskie miała pierwsza wizyta w Polsce Jana Pawła II w 1979 r. i jego homilia „*Niech zstąpi duch twój. Na Ziemię... tę Ziemię.*” I obraz tłumy na placu Zwycięstwa w Warszawie, spokojny, ale zdeterminowany, wykazujący wolę zmian, które będą konieczne w Polsce.

W tym okresie byłam zaangażowana przy parafii St Merry w Paryżu, silnie popierającej ośrodki ruchów demokratycznych przeciwstawiających się militarnym dyktatorom w Ameryce Łacińskiej: w Brazylii, w Argentynie czy w Chile. Naturalnie miałam wtedy kontakty z jezuitami latynoskimi i poznałam brazylijskiego biskupa Don Helder Camara z Manaos. Moje zainteresowanie Ameryką Łacińską sprawiło, że poprzez zaangażowanie latynoamerykańskie nakłoniłam wspólnotę kościoła St Merry do zainteresowania też polskim KOR-em. Poprzez wspólną akcję Syndykalnej CFDT i członków wspólnoty St Merry brałam udział w organizowaniu transportów humanitarnych dla robotników wspieranych przez KOR. Najpierw wspólnie z CFDT, a później tylko w ramach wspólnoty.

Naturalnie powstanie „Solidarności” a potem ogłoszenie stanu wojennego sprawiło, że wzrosło zainteresowanie sytuacją w Polsce. Tak więc w niedzielę 13 grudnia 1981 r. (jeszcze nie wiedzieliśmy, że w tym dniu Jaruzelski ogłosił w Polsce stan wojenny) przewidziana była specjalna msza święta w intencji Polski, a po mszy miał wyruszyć do Polski TIR z pomocą humanitarną do kościoła św. Marcina w Warszawie. Przygotowania do transportu trwały całą noc z 12 na 13 grudnia. Razem z mężem Christophem Jus-

sac do 6 rano ten transport przygotowywaliśmy. Gdy zbieraliśmy się do powrotu do domu wpadł jeden z wiernych i powiedział, że w Polsce wprowadzono stan wojenny. Początkowo nie chcieliśmy wierzyć. Niestety była to prawda.

Tak więc msza w kościele St Merry, poświęcona „Solidarności” nabrała szczególnej wagi. Stan wojenny w Europie – to przekraczało wszelkie zrozumienie Francuzów.

Trzy dni po ogłoszeniu dekretu o stanie wojennym w Polsce, mój mąż z siedemnastoma absolwentami Instytutu Nauk Politycznych w Paryżu założyli Radio Solidarność (Radio Solidarité). Do współpracy zostali zaproszeni latynoamerykańscy działacze, zorganizowani wokół kościoła St Merry. Latynosi zaproponowali cotygodniową audycję Chopin Express, omawiającą ich zaangażowanie w walce o demokrację. Jednym z nich był Julio Paukar, Peruwiańczyk, który w sierpniu 1980 roku znalazł się w Stoczni Gdańskiej i był świadkiem powstającego wówczas ruchu „Solidarność”.

Radio „Solidarność” nie było radiem polskim, ale miało za zadanie popularyzowanie we Francji idei „Solidarności”, popierania związków zawodowych, które miały cotygodniową audycję, ale też szerzej, obrony praw człowieka na świecie. Nie tylko „Solidarność” w Polsce, ale również w Ameryce Łacińskiej czy też w Afganistanie napadniętym przez Związek Radziecki – do audycji radia dołączył Afgańczyk Nasim Kohi, który informował o walce z rosyjskim najeźdźcą. Audycję rozrywkową „Jazz à l’Est” w każdą niedzielę rano prowadził mój syn Pierre Bunikiewicz. On też rozlepił plakaty „Solidarności” po całym Paryżu wspólnie z Elisabeth Amiet.

Przygotowywałam scenariusze do wielu audycji, nawet w czasie ciąży bliźniaczej, gdy znalazłam się w szpitalu Beclaire, na dziale położniczym w Clamart pod Paryżem.

Po urodzeniu bliźniaków w 1982 roku mój udział w Radio Solidarność zmalał, ale za to nawiązałam współpracę z „Tygodnikiem Wojennym”. Od połowy 1983 roku poprzez Janka Strękowskiego poznanego przez Roberta Wołczaskiego zostaliśmy jego oficjalnymi przedstawicielami i byliśmy nimi do końca istnienia „Tygodnika Wojennego” w 1985 roku.

Poza tym wspólnie z mężem współpracowaliśmy z pismami podziemnymi i reprezentowaliśmy „Przegląd Wiadomości Agencyjnych: (PWA) w latach 1985 – 1990 oraz 2 Program Radia Solidarność, a naszymi głównymi kontaktami byli Janek Strękowski i Ewa Nawój. Współpracowaliśmy także z Omnipresse (Andrzej Roman). Byliśmy przedstawicielami Wydawnictwa Most, a naszymi kontaktami byli Maciej Łukasiewicz i Andrzej Karczewski.

Nasza działalność polegała głównie na pomocy w zdobywaniu pieniędzy na działalność podziemną, poszukiwaniu i zakupie sprzętu radiowego i drukarskiego, pomocy przebywającym we Francji przedstawicielom tych podziemnych instytucji oraz w ich imieniu utrzymywaniu kontaktów ze związkami zawodowymi popierającymi „Solidarność”. A pomagaliśmy też „Kulturze” paryskiej, współpracując z Jerzym Giedroyciem przy przerzucaniu jej wydawnictw do Polski. Współpracowałam także z „Powściągli-

wością i Pracą” z księdzem Gładyszem, a we Francji z „Naszą Rodziną”, potem Recognito Marka Wibrotta.

W tym czasie mój mąż został wybrany sekretarzem konfederalnym CFTC (Konfederacja Chrześcijańskich Związków Zawodowych). Między tym związkiem zawodowym a Regionem „Solidarność” Małopolska zostało zawarte porozumienie dotyczące szerokiej współpracy. Polegało ono na opiece prawnej członków „Solidarności” na podstawie Konwencji MOP, opiece nad uwięzionymi członkami „Solidarności” i ich rodzinami (m.in. paczki, częste konwoje z pomocą humanitarną, produktami żywnościowymi, lekarstwami i naturalnie papierem i farbą drukarską). Jako że polski konsulat nie orientował się jakie są nasze relacje z moim mężem Christophem Jussac, bo zachowałam swoje panieńskie nazwisko, mogłam więc prowadzić konwoje CFTC do Krakowa i deponować zawartość w plebanii w Mistrzejowicach u księdza Jancarza, w Kurii krakowskiej, u dominikanów itd. A także w szpitalu u prof. Chłapa. W Krakowie moimi głównymi odbiorcami byli Tadeusz Syryjczyk, Tadeusz Piekarz, Józef Lasota, Edward Nowak, Mieczysław Gil, Stanisław Handzlik i inni. Konwoje te były też okazją do spotkań, np. w Gdańsku z Lechem Wałęsą, czy kardynałem Macharskim, któremu przekazywaliśmy listy od Episkopatu francuskiego. Były spotkania z ks. Tischnerem. Prowadziłam też delegacje CFTC na pogrzeb księdza Jerzego Popiełuszki.

Dla rodzin z „Solidarności”, przede wszystkim dla ich dzieci, CFTC organizowało kolonie letnie. Pierwsze tego typu kolonie zostały zorganizowane w Planes w Pirenejach. Był to ośrodek wakacyjny blisko związany z CFTC, ale okazało się, że taka formuła się nie sprawdziła. Ośrodek był szczególnie nastawiony na przyjmowanie osób starszych. Tak więc zaproponowałam utworzenie Organizacji Pozarządowej ARASFEC (Association Regionale d'Aide Sociale, Familiale, Economique et Culturelle). Była to organizacja „cywilna”, która miała o wiele mniej problemów z formalnościami w polskim konsulacie. Pomysł został zaakceptowany przez CFTC i powstały w wielu regionach ARASFEC-i lokalne – w Bretanii, w Lyonie, w Tuluzie, Bordeaux, Dijon, w Strasburgu... To te organizacje lokalne, składające się z działaczy związkowych CFTC i sympatyków zapraszały dzieci rodzin członków „Solidarności” według list sporządzanych przez Regionalną Komisję małopolskiej „Solidarności”. Te listy były proponowane związkowcom z CFTC i to oni zapraszali dzieci z tych list na pobyt do siebie. Ja je odbierałam z lotniska Orly, przywoziłam do domu, gdzie zostawiały czasem na noc, bo rodziny zapraszające przyjeżdżały stopniowo by zabrać dzieci – bardzo często na wspaniałe wakacje. Przy okazji zawiązywały się silne związki przyjacielskie z francuskimi rodzinami i korespondencja z rodzinami polskimi trwała przez lata. CFTC organizowała też seminaria dla członków „Solidarności”, którzy przyjeżdżali do Francji pod pozorem pracy. Towarzyszyłam im jako tłumacz i opiekun. Poza tym tłumaczyłam na język polski schematy struktur związkowych, metody działania i negocjacji. Prowadziłam też wykłady.



Niektórzy Francuzi, zafascynowani polskimi miejscami kultu, zorganizowali później serię pielgrzymek do miejsc świętych, np. pan Pellegrino Pellegrini z Południa.

Tę część działalności wykonywałam w moim czasie wolnym i z własnych funduszy. Równoległe z wyżej wymienioną działalnością byłam sekretarzem w oddziale zagranicznym SDP, którego prezesem był Maciej Morawski. Gdy junta wojskowa pod wodzą gen. Jaruzelskiego zdelegalizowała SDP w Polsce i utworzyła nowe stowarzyszenie dziennikarzy, niektórzy członkowie wnioskowali, aby rozwiązać nasz oddział, jednak większość członków nie wyraziła na to zgody. Zamiast tego wspólnie z Maciejem Morawskim zgłosiliśmy kandydaturę SDP do Międzynarodowej Organizacji Dziennikarzy (FIJ). Nasza kandydatura została przyjęta w trybie pilnym i nasi członkowie otrzymali międzynarodowe legitymacje dziennikarskie. Udało się też nam zebrać odpowiednie fundusze, aby opłacić składki nie tylko za naszych członków, ale też za członków z Polski, którym stopniowo FIJ wydawała legitymacje dziennikarskie. Tak więc zdelegalizowanie SDP było pustym słowem, a przyjęcie do FIJ nowego związku, utworzonego przez Jaruzelskiego, zostało skutecznie przez nas zablokowane. Polscy dziennikarze mogli legalnie wykonywać swoją pracę, reprezentując podziemną prasę. Członkami naszego oddziału byli m.in. Maciej Morawski, Bronisław Wildstein, Jolanta Kessler-Chojecka, Maria de Hernandez-Paluch, Maciej Łukasiewicz, Marek Gładysz, Jerzy Targalski i inni. Prawdę mówiąc nie pamiętam już wszystkich, z którymi współpracowałam – był to czas nasilonej aktywności, a przecież miałam jeszcze dom i rodzinę – troje dzieci, w tym bliźniaki.

*Bożena Magott w 2023 r. została odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi RP. Otrzymała też odznaczenie krakowskiej sieci „Solidarności” Dziękujemy Za Wolność i nagrodę Drzwi Do Wolności na 14 gdyńskim festiwalu międzynarodowym NNW.*

# Pomoc z Paryża

Krzysztof Jussac

Zacząło się zupełnie niespodziewanie. Był rok 1981. W Polsce od sierpnia 1980 roku działała „Solidarność” i trwał tzw. Karnawał Solidarności. Nikt nie przewidywał dramatycznego zwrotu. Wspólnota parafialna z St Merry postanowiła, że w niedzielę 13 grudnia zostanie odprawiona uroczysta msza święta w intencji Polski i „Solidarności”, a po mszy wyruszy do Polski ciężarówka, wypełniona darami zebranymi przez parafian i okolicznych mieszkańców.

Do piątej rano w nocy z 12 na 13 grudnia wraz z żoną Bożeną Magott pakowaliśmy dary przeznaczone dla członków „Solidarności”. Ustawiona już była wysoka choinka przybrana biało – czerwonymi kokardkami.

Oczywiście nie słuchaliśmy żadnych wiadomości. O piątej rano, gdy zbieraliśmy się do domu, wpada do kościoła St Merry jeden z wiernych i informuje nas, że w Polsce został ogłoszony stan wojenny!

Już 3 dni później, bo 16 grudnia 1981 r. grupa siedemnastu studentów Instytutu Nauk Politycznych (w tym ja) i członków wspólnoty parafialnej St Merry, a nawet z udziałem kilku anarchistów, założyła w Paryżu Radio Solidarité (Radio Solidarność), gdzie – jako odpowiedzialny za dział publicystyczny – prowadziłem liczne debaty polityczne i historyczne, cykliczne emisje („Religie i społeczeństwa”) oraz codzienne wydanie dziennika.

Z Radiem Solidarność współpracowali także Alfred Grosser, Elisabeth Amiet, Daniel Michajłowicz, Suzane Mercier, Ryszard Laskowski, Piotr Bunikiewicz – prowadzący cotygodniową audycję „Muzyka Bloku Wschodniego”. Współpracował też z nami Maciej Morawski z Radia Wolna Europa i kilku dziennikarzy pracujących w Radio France-International w sekcji polskie, ale też w sekcji... rumuńskiej.

Radio Solidarność było naturalnie przede wszystkim radiem ruchu wspierającego „Solidarność”, radiem wspierającym ruchy związkowe we Francji i na całym świecie, ale też opowiadającym się za poszanowaniem praw człowieka jako idei szczególnie ważnej. Trzeba było pamiętać o dyktaturach wojskowych w Chile, Argentynie, Brazylii, Peru. Były to też lata zbrojnej interwencji Związku Sowieckiego w Afganistanie. Nic więc dziwnego, że w gronie współpracowników Radia Solidarność byli latynosi jak Julio Paucar czy Afgańczycy jak Nasim Kohi.

W styczniu 1983 r. nawiązałem kontakt z chrześcijańską centralą związkową CFTC, gdzie zostałem koordynatorem pomocy Konfederacji dla „Solidarności” z Regionu Małopolska (Jerzy Zdrada, Tadeusz Piekarczyk, Józef Lasota, ks. Jancarz).

Z ramienia CFTC – przy współpracy ambasadora Francji w Polsce Jean Bernard’a przygotowałem podróż przewodniczącego CFTC Jean Bornard’a do Warszawy na zakonspirowane spotkanie z Tymczasową Komisją Koordynacyjną „Solidarności” (TKK), był

to styczeń 1983, czyli stan wojenny w pełni. Zorganizowałem też podróż do Polski sekretarzowi generalnemu CFTC Guy Drillaud, który otrzymał polską wizę jako pracownik ośrodka szkolenia zawodowego, w ten sposób wprowadzając w błąd polskie władze. I w Tatrach, w tajemnicy spotkał się w 1984 roku z zarządem małopolskiej „Solidarności”. Tam właśnie został podpisany dokument o współpracy CFTC z małopolską „Solidarnością”.

W latach osiemdziesiątych kilkakrotnie bywałem też wysyłany przez CFTC na rozmowy na plebanii kościoła św. Brygidy w Gdańsku z przewodniczącym „Solidarności” Lechem Wałęsą. Między innymi w 1987 r. towarzyszyłem skarbnikowi CFTC Jean’owi Thullier na ważnym spotkaniu z Lechem Wałęsą na plebani św. Brygidy. A później w Krakowie ustaliliśmy z przedstawicielami krakowskiej „Solidarności” ramowe zasady szkolenia działaczy małopolskiej „Solidarności” we Francji.

Miałem też wtedy kontakty z wieloma innymi działaczami związkowymi w Polsce: Janem Lityńskim, Henrykiem Wujcem, Aleksandrem Hallem, Bronisławem Geremkiem, Longinem Komołowskim, który zresztą był gościem zaproszonym na kongres CFTC w Wersalu w 1983 r. On również wraz z Ewą Tomaszewską uczestniczyli w seminarium poświęconym społeczno – prawnej opiece pracowniczej, którego byłem organizatorem i inicjatorem wymiany doświadczeń między „Solidarnością” a CFTC.

Jako przedstawiciel CFTC byłem członkiem paryskiego Biura Solidarności i to z tego Biura otrzymywałem adresy uwieczonych, ukrywających się członków NSZZ „Solidarność”, później otrzymywałem je przez kanały bezpośrednie od Regionu „Solidarność” Małopolska. Współpracowałem m.in. z Sewerynem Blumsztajnem, Danutą Nowakowską, z którą zorganizowałem spotkania w kilkunastu regionach Francji. Te spotkania miały na celu poinformowanie lokalnych związkowców na temat „Solidarności” i współpracy między naszymi związkami. Współpracowałem także z Mirosławem Chojackim, Bronisławem Wildsteinem, Sławomirem Czarlewskim, Piotrzem Chruszczyńskim i Wojciechem Sikorą.

Ogromną pomocą była współpraca z ks. Eugeniuszem Plater-Zyberk, który jako pełnomocnik Episkopatu Polski kierował pomoc dla polskiego podziemia. W 1989 r. na Kongresie CFTC zostałem wybrany sekretarzem konfederalnym CFTC odpowiedzialnym za sprawy międzynarodowe. Reprezentowałem CFTC w Światowej Konfederacji Pracy (ŚKP), której sekretarzem generalnym był Jan Kułakowski. Reprezentowałem również CFTC na corocznej konferencji Międzynarodowej Organizacji Pracy (MOP) w Genewie. Gdzie byliśmy orędownikami organizacji związkowych w krajach Europy Wschodniej, jak ukraiński VIST. Jak też w Europejskiej Konfederacji Związków Zawodowych (EKZZ), gdzie omawiano również prawa polskich pracowników. Koniec lat 80. i początek 90. To lata intensywnej współpracy między CFTC a regionem małopolskim „Solidarności”. Były to szkolenia związkowe we Francji, pobyty wakacyjne dzieci działaczy „Solidarności” u rodzin członków CFTC.

Wysyłane były też konwoje CFTC z różnego rodzaju pomocą humanitarną, ale też wspomagające działalność konspiracyjną. Tu podstawową rolę odgrywała moja żona Bożena Magott. Nosiła nadal polskie nazwisko i polskie władze nie miały pojęcia, że nas coś łączy. Dzięki temu mogła prowadzić konwoje humanitarne do Małopolski, spotykać się z Lechem Wałęsą z misjami od CFTC itd.

W ramach współpracy francuskich związków zawodowych z „Solidarnością” szczególnie dobrze współpracowało mi się z moim odpowiednikiem w centrali Force Ouvrière Leszkiem Talko, który był również przewodniczącym Wspólnoty Francusko – Polskiej. Po latach, w 1995 r. zostałem tej Wspólnoty wiceprzewodniczącym, a po śmierci Leszka Talko w 2003 r. jej przewodniczącym (zrezygnowałem w 2020r.).

Od 1982 r. współpracowałem razem z Bożeną Magott z „Tygodnikiem Wojennym”, z którym zapoznała nas Małgorzata Tupalska. Od połowy 1983 r. zostaliśmy oficjalnymi przedstawicielami „Tygodnika”. I ta współpraca trwała do końca istnienia „Tygodnika Wojennego” w 1985 r. Poza tym oboje współpracowaliśmy z innymi pismami podziemnymi, w tym w latach 1985 – 1990 reprezentowaliśmy „Przegląd Wiadomości Agencyjnych” (PWA) oraz 2 Program Radia Solidarność (do 1989 r.). Naszymi głównymi kontaktami byli tam Ewa Nawój i Jan Strękowski.

Od 1984 r. razem z żoną Bożeną byliśmy też przedstawicielami Wydawnictwa MOST i utrzymywaliśmy kontakty z Maciejem Łukasiewiczem i Andrzejem Karczewskim.

Nasza działalność jako przedstawicieli podziemnych polskich pism, wydawnictw i rozgłośni polegała przede wszystkim na pomocy w zdobywaniu pieniędzy na działalność podziemną, poszukiwaniu i zakupie sprzętu radiowego i drukarskiego, pomocy dla przybywających do Francji przedstawicieli tych podziemnych instytucji i utrzymywaniu w ich imieniu kontaktów ze związkami zawodowymi na całym świecie, a także z „Kulturą”, paryską i Jerzym Giedroyciem, z rządem londyńskim, m.in. z prezydentem RP na Uchodźstwie Kazimierzem Sabbatem i Biurem Zagranicznym Solidarności w Brukseli z Jerzym Milewskim i Joanną Pilarską oraz z Ireną Lasotą. A także paryskim pismem „Kontakt” wydawanym przez Mirosława Chojeckiego.

Jeszcze przed stanem wojennym wraz z żoną Bożeną Magott i Maciejem Morawskim działaliśmy w oddziale zagranicznym Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich (SDP). Władze stanu wojennego rozwiązały SDP. My jednak zignorowaliśmy to. Działaliśmy nieprzerwanie przez całe lata 80. Prezesem oddziału został Maciej Morawski, a sekretarzem generalnym Bożena Magott.

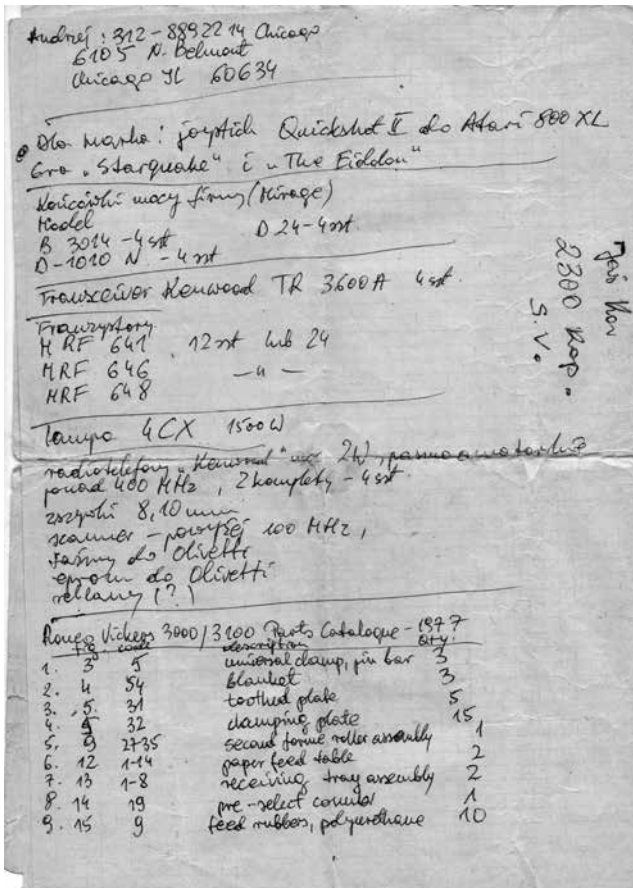
Pierwszym naszym zadaniem było zgłoszenie kandydatury SDP do Międzynarodowej Federacji Dziennikarzy (FIJ), która została zaakceptowana, a ja wybrany zostałem skarbnikiem i z racji moich częstych wyjazdów do Brukseli, do siedziby Światowej Konfederacji Pracy (ŚKP), której członkiem i współzałożycielem było CFTC, mogłem się więc łatwo kontaktować z FIJ-em. I w ten sposób SDP, pomimo formalnego rozwiązania w Polsce, funkcjonowało legalnie i oficjalnie nadal, mając ciągłość istnienia

na arenie międzynarodowej, a jego członkowie byli chronieni przez międzynarodową kartę prasową.

Do zagranicznego Oddziału SDP należało wielu współpracowników Radia Wolna Europa, sporo dziennikarzy polskiej sekcji Radio France Internationale (RFI), współpracowników wydawanego przez Mirosława Chojeckiego paryskiego pisma „Kontakt”. Członkami oddziału byli m.in. Irena Lasota, Maria de Hernandez-Paluch, Jakub Karpiński, ks. Marek Wilbrot, Gabriel Meretik, Jerzy Targalski, Marek Rapacki, Marek Gładysz, korespondenci we Francji różnych pism podziemnych, a także dziennikarze z Polski. W tym okresie wraz z żoną współpracowaliśmy blisko m.in. z Dariuszem Fikusem, Maciejem Łukasiewiczem i Stefanem Bratkowskim.

Krzysztof Jussac

Autor został w 2022 r. uhonorowany Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi RP.



## Paczki do Polski. Akcja w Kingston (Anglia) w 1982 r.

Maria Prosińska-Jacki

Reakcja społeczna na ogłoszenie w Polsce stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. nastąpiła w Europie prawie natychmiast. Już po miesiącu zaczęły do polskich rodzin napływać paczki z Zachodu. Należy podziwiać tempo reakcji, pamiętając, że kontakt na linii rodzina–przyjaciele–znajomi nie był możliwy tak szybko jak obecnie. W czasach sprzed komunikacji elektronicznej wprowadzona wówczas blokada polskich linii telefonicznych stanowiła rzeczywistą przeszkodę.

Czego potrzeba w kraju odciętym informacyjnie od reszty Europy? Na to pytanie odpowiedziały trafnie m.in. dwie młode Polki, **Barbara Hall i Teresa Jenkins**, mieszkające w **Kingston pod Londynem**. Obie były od paru lat trwale związane z Anglią przez swoje małżeństwa i nowe rodziny.

Barbara tuż przed stanem wojennym odwiedzała w Polsce rodziców, a wcześniej przyjmowała gości z Polski, toteż z własnych obserwacji i rozmów wiedziała, jak bardzo pogorszyła się sytuacja materialna rodaków. To już nie lata 70., gdy poziom zaopatrzenia sklepów sprawiał wrażenie – choć złudne – cywilizacyjnej normalności. Od przełomu lat 70. i 80. brakowało wszystkiego: zarówno żywności, jak i produktów codziennego użytku. Fatalne zaopatrzenie i ubóstwo pogłębiły się dramatycznie z chwilą grudniowego przewrotu w 1981 r.

Dziewczyny zaczęły od przygotowania tekstu: „*Help the Polish People appeal*”. Apel – w formie niewielkiego plakatu – został złożony w lokalnej gazecie „*The Kingston Informer*” i wywieszony w lokalnych szkołach. Wyróżniał się tym, że w jego tytule słowo **POLISH** napisane zostało piękną, czerwoną „solidarycą”. Zrobiła to trzecia Polka, zaprzyjaźniona z Barbarą plastyczka Kinga Pniewska, współpracująca wówczas w Anglii ze znanym ilustratorem Janem Pieńkowskim. Dalej napisały: „*Jeśli chcielibyście pomóc, ale nie wiecie jak...*” i przedstawiły spis najbardziej potrzebnych rzeczy z paru dziedzin: środki czystości, trwała żywność (w puszkach i pudełkach), ubrania (zwłaszcza dla dzieci), środki opatrunkowe.

Przygotowały listę polskich odbiorców i ich adresy; dary przeznaczone były nie tylko dla nich, ale i do dalszego rozprowadzania wśród osób potrzebujących pomocy. Paczki kompletowano w sposób zróżnicowany, co oznacza, że np. paczki dla rodzin z dziećmi miały inną zawartość niż pozostałe. Część paczek planowano wypełnić specjalnie zakupionymi lekami i przedmiotami niezbędnymi w szpitalach, jak np. klisze rentgenowskie. Informacje o potrzebach polskich szpitali przekazał sąsiad Barbary, polski lekarz.

Apel zachęcał do przesyłania czeków i przekazów pieniężnych na opłacenie transportu i zakup medykamentów. W tym celu już na samym początku akcji założono konto bankowe. Nie uniknięto pracy z wpłatami, ponieważ dary pieniężne napływały nie tylko w postaci czeków i przekazów, ale i drobnych kwot w gotówce, wkładanych do listów. Ostatecznie



wszystkie zebrane pieniądze trzeba było przeznaczyć na transport, a medyczna część akcji nie mogła zostać zrealizowana.

Równocześnie w lokalnej gazecie „*The Kingston Informer*” (25 lutego 1982) ukazał się artykuł o podjętej akcji „*How Kingston helps Poland*” – pierwszy z serii. Zorganizowano imprezy przynoszące dodatkowe niewielkie zyski: potańcówkę „disco” na terenie miejscowego klubu futbolowego, loterię fantową i kiermasz staroci. Pomagały miejscowe angielskie rodziny.

Barbara i Teresa były niewątpliwie świetnymi organizatorkami, ale dopiero w praktyce przekonały się jak trudnej podjęły się pracy. Dary dostarczano pod ich prywatne adresy podane w apelu. Odezwy okazały się duże, drzwi w domach obu organizatorek nie zamykały się, telefony dzwoniły całą dobę. Napływające dary magazynowano w domu Hallów i tam właśnie odbywało się segregowanie i pakowanie paczek.

Dziewczyny starały się zminimalizować cenę transportu. Znalazły dwóch wolontariuszy, którzy zgodzili się na przewóz paczek ich własną ciężarówką tylko za zwrot kosztów, a Barbara Hall załatwiła darmowy przewóz komercyjnym promem przez kanał La Manche. Nic z tego! Władze polskie zażądały opłacenia cła, potem nie zgodziły się na wpuszczenie ciężarówki wynajętej prywatnie. Trzeba było zawrzeć umowę z firmą spedycyjną. Transport do Polski okazał się droższy niż przewidywano; kosztował nie 600, ale prawie 1000 funtów. Do tego trzeba było doliczyć koszty przesyłania ciężkich paczek już na terenie kraju.

Pod koniec kwietnia wszystko było gotowe. „*The Kingston Informer*” z 29 kwietnia podaje, że ciężarówka wyjedzie do Polski w najbliższych dniach, a 10 czerwca – że akcja zakończyła się sukcesem: **paczki otrzymało 150 rodzin** w Warszawie i okolicach, w Poznaniu i na Śląsku. W czerwcu Barbara Hall apelowała do darczyńców o dodatkowe wpłaty, ponieważ do pełnego rozliczenia z firmą spedycyjną brakowało 140 funtów.

Zachowała się część listów otrzymywanych od darczyńców. Wszystkie pisane ręcznie, wzruszające. Są wśród nich listy od rodzin towarzyszące przekazom, od pojedynczych osób – z drobnymi kwotami w kopercie, od nauczyciela szkoły podstawowej, napisany w imieniu klasy pragnącej pomóc rodakom polskiej uczennicy – szkolnej koleżanki. W jednym z listów nadawca przywołuje pamięć swego przyjaciela – Polaka, który zginął tragicznie w 1945 roku.

Zachowało się też parę zdjęć. Widać na nich obie dzielne Polki i ich rodziny, pracę przy pakowaniu, sterty paczek, a nawet ciężarówkę.

Akcja z roku 1982 znalazła kontynuację w działaniach późniejszych, już mniej nagłaśnianych. W latach 1983-1985 sporo paczek przysłała do Warszawy – pocztą – Barbara Hall. Były to paczki adresowane do bliższych i dalszych znajomych, o zawartości dostosowanej do potrzeb konkretnej rodziny, zebranej wśród sąsiadów z Kingston. I tak np. autorka niniejszego wspomnienia otrzymała w 1984 roku, tuż przed urodzeniem dziecka, wielką pakę ubranek i akcesoriów niemowlęcych doskonałej jakości. Służyły nie tylko małemu Franciszkowi, ale i wielu innym maluchom w latach 80. i 90., a nawet później, przechodząc z dziecka na dziecko.

Maria Prosińska-Jacki





WISLEY,  
20 PORTSMOUTH AVENUE,  
THAMES DITTON,  
SURREY, KT7 0RT  
01-398 2112

1st March 1982.

Dear Mrs. Hall,

Enclosed is a cheque for £4.00 which I should be grateful if you would put into your appeal fund.

It is lovely to see someone doing something concrete about the Polish people - it is all too easy for us to sit back and sympathise and not do anything, so I do hope that there will be a good response to this worthy cause, and I shall do my best to spread the word in Thames Ditton!

The Very best of luck to you and Mrs. Jenkins.

Yours sincerely,  
Mrs. Murly - Cotto.



## Prasa emigracyjna wspierająca opozycję i „Solidarność”

- Aneks. Kwartalnik Polityczny, wyd. Aleksander, Eugeniusz, Nina Smolarowie, Jan T.Gross, Krzysztof Dorosz, Uppsala, Londyn, Wlk.Bryt., od 1973, kwart., pols.
- Archipelag, red. Andrzej Więckowski, Włodzimierz Nechamkis, Jerzy Stachurski i in., Berlin Zach, od 1983 – 1987, mies. kult.-polityczny
- Arka de Informaciones. Instytut Studiów nad Kulturą i Społeczeństwami Europejskimi, red. Jerzy Skoryna i in., Meksyk, 1983– 1989, hiszp..
- Biuletyn Afgański, wyd. Jacek Winkler, Vanves, Francja, od grudnia 1986
- Biuletyn Komitetu Poparcia „Solidarności” w Meksyku, red. Jolanta Nitowska, Wojciech Stebelski i in, pol. przez 7 miesięcy, potem hiszp.
- Biuletyn Dansk Flygtningehjaelp. Duński Komitet Pomocy Uchodźcom, wyd. Arne Piel Christensen, Kopenhaga, Dania, 1971-1973, niereg.
- Biuletyn Informacyjny – Komitet Obrony Solidarności (KOS), od 31 października 1982 wyd. Towarzystwo „Solidarność”, red. Włodzimierz Nechamkis, Berlin Zach., od 17 stycznia 1982 r., niereg. pismo przekształcone w dwutygodnik Pogląd.
- Biuletyn Informacyjny. Komitet Pomocy Solidarności w Nowym Jorku. Od 1982 r., polsko – ang.
- Biuletyn Informacyjny Komitetu Pomocy Polsce, Australia, od 1985
- Biuletyn Informacyjny (kanadyjska wersja Biuletynu Biura Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” za Granicą w Brukseli). Biuro Informacyjne Solidarności w Kanadzie, Toronto, 1982
- Biuletyn Informacyjny. Grupa Robocza Solidarności, Berlin Zach., od 17 stycznia 1982, niereg.
- Biuletyn Informacyjny Grupy Roboczej „Solidarność”. Solidarity Trade Union Working Group, Wlk.Brytania, l.80
- Biuletyn Informacyjny – wyd. NZS we Francji, Paryż, Francja, 1982, niereg.
- Biuletyn Informacyjny, red. Andrzej Wirga, Moguncja, Niemcy, niem.
- Biuletyn Informacyjny Komitetu Koordynacyjnego Solidarności w Brukseli, początkowo we Francji, red. Seweryn Blumsztajn, Paryż, od lutego 1982, niereg., franc., czasem też polsk.
- Biuletyn Informacyjny. Komitet Solidarności z „Solidarnością” w Rzymie, Włochy, 1982 (do października 1982)
- Biuletyn Informacyjny, filia Komitetu Solidarności z „Solidarnością”, filia w Turynie, red. Joanna Burakowska, (kilkanaście numerów), Włochy
- Biuletyn Pomostu, RPA, od 1981, niereg.
- Biuletyn Informacyjny. Biuro Informacyjne „Solidarności” w Szwecji, red. Stefan Trzciniński, Marek Michalski, Sztokholm, Szwecja, od 1982

- Biuletyn „Rzeczpospolita Polska To Nasze Sprawy”. Związek Wolnych Polaków w Helsingborgu, Szwecja, od 1986
- Biuletyn Solidaritet mit Solidarność. Szwajcaria, l.80
- Biuletyn Związku Wolnych Polaków, Sztokholm, Szwecja, 1985 – 1986
- The Bridge – Pomost, red. Ryszard Jonak, Mark Kowal, James Zmuda, David Wilke, Chicago, USA, od 1982
- British Press Summary. Wupport Group, red. Janusz Bugajski, Antoni i Janet Bohdanowicz, Wlk. Bryt., do 1987
- C.F.D.T. Avec Solidarność. Bulletin d'Information, wyd. przez Unię Regionalną CFDT, Paryż, Francja, od 1982
- Co Czytać? Wydawnictwo polskich oficyn na Zachodzie. Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej, wyd. Mirosław Chojecki, red. Andrzej Bogusławski. Paryż, Francja, od lata 1983, niereg.
- Committee in Support of Solidarity – New York/ Biuletyn Informacyjny. Komitet Pomocy Solidarności, Nowy Jork, USA, od 1981, niereg.
- Committee in Support of Solidarity – New York. Bulletin. Komitet Pomocy Solidarności, red. Agnieszka Kołakowska, Chris Wilcox, Nowy Jork, USA, od 1981, niereg., ang.
- Committee in Support of Solidarity – New York, wyd. Press Advisory (Komitet Pomocy Solidarności, Chris Wilsock, Agnieszka Kołakowska, Nowy Jork, USA, od 1982, niereg., ang.
- Committee in Support of Solidarity – New York. Reports. Komitet Pomocy Solidarności. Nowy Jork, USA, od 1982, niereg. mies.
- D'Ici – D'Est. Comité du premier mai pour la libértés démocratiques et les droits des travailleurs dans de l'Est, Bruksela, Belgia, od 1982, niereg.
- For Solidarność. Polish Solidarity Campaign Members Monthly Circular, Wlk. Bryt.
- Fragmety. Wypisy z niecenzurowanej prasy krajowej, red. Grupa „Forum”, Bruksela, Belgia, od 1979, kwart.
- Friends of Solidarity – wyd. Friends of Solidarity, Edmonton, Kanada, od 1982, ang.
- Hebdomadaire Solidarność (Hebdomadaire Oaris), 1982, Francja
- Infobrief – Polen. International Gesellschaft zur Verteidigung der Menschenrechte, Frankfurt n.Menem, Niemcy, od 1981, niereg., niem.
- Informacja –Grupa Działania Na Rzecz NSZZ „Solidarność”, Montreal, Kanada, od 1982, mies.
- Information Bulletin. Solidarność – Solidarity. Information Office in Canada, Don Mills, Kanada, od 1982, niereg.
- Informations Bulletin, red. Bjørn Cato Funnemark i in., niektóre numery miały polskie wydania jako Biuletyn Informacyjny Oslo, Norwegia, od 11 stycznia 1982, mies. norw.
- Jedność (od 1985 – Arka), red. Ludomir Garczyński – Gąssowski, Szwecja, Sztokholm, od 1974, kwart. kult.

- Komunikaty Prasowe. Wydaje Komitet Poparcia Solidarności w Południowej Szwecji, red. Józef Lebenbaum, Jan Axel Stoltz, Szwecja, od 1982, niereg.
- Konfederacja Polski Niepodległej – KPN – USA – Canada. Przegląd Informacyjny. Pismo Biur Informacyjnych KPN w Ameryce, red. Józef i Ewa Pióro, Nowy Jork, USA, od 1982, mies.
- Kontakt. Miesięcznik redagowany przez członków i współpracowników NSZZ Solidarność, wyd. Mirosław Chojecki, Paryż, Francja, od kwietnia 1982, mies.
- Kronika. Polskie czasopismo w Norwegii. Wyd. Fundacja Charytatywna na Rzecz Polski, red. Bogdan Strażyński, Zbigniew Tyszko, Oslo, Norwegia, od 1987, mies.
- Kronika, wyd. Tadeusz Głowacki, red. Eugeniusz S. Kruszewski, od 1971, Szwecja, od 1975 też Kopenhaga i Oslo (do 1985), mies. i dwumies.
- Kurier (potem Kurier Plus), wyd. Władysław R. Wawrzonek, red. Zofia Doktorowicz-Kłopotowska, Chicago, USA, od lutego 1987, tyg.
- Kurier Polonian-American, red. Krzysztof Kasprzyk, Chicago, USA
- Razem, red. Adam Lizakowski, San Francisco, USA, 1986 – 1989, mies.
- Libertas, wyd. Editions Spotkania (Piotr Jegliński), red. Tadeusz Kadenacy, Paryż, Francja, 1984-1989, kwart. społ. – polit.
- Medlems-Avisa. Solidarn-Oslo, wyd. Solidaritet Norge-Polen, oddz. Oslo, Norwegia, 1982, norw.
- Meinungen, Towarzystwo „Solidarność”, red. Roland Mischke, Niemcy, ukazało się kilka numerów, 1983 – 1986, niem.
- Nie Cenzurowano. Niezależne pismo Nowej Emigracji. red. Lech Jan Jamka i in., Düsseldorf, Niemcy, od 1982, mies.
- News Solidarność. Biuro Koordynacyjne NSZZ „Solidarność” za Granicą w Brukseli, Belgia, ang.
- Odpowiedź, Biuletyn NSZZ „Solidarność”. Biuro Informacyjne w Kanadzie, Toronto, od maja 1982, niereg.
- Ognisko. Stowarzyszenie Polskie „Ognisko”, Kopenhaga, Dania, od 1984 (do 1993 ukazało się 21 numerów)
- P.S.C. News. Polish Solidarity Campaign Newsletter, wyd. Polish Solidarity Campaign, red. Piotr Iglkowski i in., Londyn, Wlk. Bryt., od 6 marca 1981, ang., dwum.
- Po Prostu. Pismo Ruchu Społeczno-Politycznego w Kalifornii. red. Alfred Znamierowski, San Diego, USA, od 1982, mies.
- Pogląd. Miesięcznik Towarzystwa „Solidarność” (od stycznia do października 1982 jako Biuletyn Informacyjny Komitetu Obrony Solidarności), wyd. Edward Klimczak i in, Berlin Zach., od stycznia 1982
- Poland Watch, Journal of the Poland Watch Center, red. Barbara Pendzich i Krystyna Grynberg, red. Irena Grudzińska-Gross i in., Waszyngton, USA, od 1982, kwart.
- Polen-Information des Aktionskomitees „Solidaritaet mit „Solidarność”, Wiedeń, Austria, od 1981, mies.



- Polen Nyt (Nowości Polskie). Komitet Støt Solidarność, Dania, od lipca 1982 do marca 1988 (52 numery), duński
- Polisk Kultur. Tidskrift for Polsk-Norsk Kulturforening „Kultura”, red. Jacek Juniszewski i in., Oslo, Norwegia, od wiosny 1982, mies., pierwszy nr polsko-norw, od 2 norw.
- Polsk Samizdat. Terror i Radom, wyd. OESK Tryk „Jedność”, wyd. Ludomir Gąssowski, Sztokholm, Szwecja, od 1977
- Polska Walcząca. The Fighting Poland. Polonijny miesięcznik polityczno-literacki, Nowy Jork, USA, od 1981, mies.
- Polskie Wiadomości. Tygodnik Polityczno-Informacyjny, wyd. Viervielfaeltiger Polish Oesterreichischer Klub fuer Information und Kultur „Sierpień 1980”, Wiedeń, Austria, od 1982, tyg.
- Pomost. Kwartalnik Społeczno – Polityczny, red. Krzysztof Rac-Manswet, Marian K.Sromek, i Waldemar J.Włodarczyk, Chicago, USA, od 1979, od 1982 pol. i ang.
- Porando Geppo (Biuletyn Polski), Centrum Informacji Polskiej, red. Takeshi Mizutani i in., Tokio, Japonia, od 18 stycznia 1982 do 1990, jap., mies.
- Przegląd Informacyjny. wyd. sympatyków KPN, red. Ewa i Józef Pióro, Nowy Jork, USA, od 1982, dwutyg.
- Przekazy. Biuletyn Informacyjny. Grupa Robocza Solidarność w Berlinie Zach., od stycznia 1982, też 1983, mies.
- Puls. Nieregularny Kwartalnik Literacki, Puls Publication, red. Jan Chodakowski (wcześniej red. Jacek Bierezin i in., numery 1– 12, nr 13 nie został wydany z powodu stanu woj., ukazywał się w Łodzi), Londyn, Wlk.Bryt.
- Robotnik 1983, red. Zbigniew Kowalewski, Francja
- Słowo. Kongres Polaków w Szwecji, red. Andrzej Leśniak, Ryszard Nowak, Krzysztof Mazowski i in., od 1982
- Słowo Sztokholmskie, (powstało po rozłamie w Słowie), red. Leon Pompa i in., Sztokholm, Szwecja, od stycznia 1983, mies.
- Solidarność – Dokumenty. Aneks do Biuletynu. Biuro „Solidarność”, Sztokholm, Szwecja, od 1982, co trzy tyg.
- Solidarność Rolników, Waszyngton, USA, od 1982
- Solidarność Wolnych Polaków w Bawarii, Biuletyn Informacyjny, Monachium, Niemcy, od 1984, niereg.
- Solidaritet informatiebulletin, Biuro Informacyjne „Solidarności” w Holandii, red. Jan Machajski, Jerzy Wola i in., od 24 lutego 1982, niereg, holend.
- Solidaritets-bulletin, wyd. Solidaritet Norge-Polen, red. Einar Braathen, Oslo, Norwegia, 1981 (ukazały się 4 numery), norw.
- Solidaritet Mit Solidarność. Informationsbulletin. Wyd. Komitees und Initiativen „Solidaritaet mit Solidarność”, wyd. Peter Bartelheimer i in., Frankfurt n.Menem, Niemcy, od 1981, niereg.

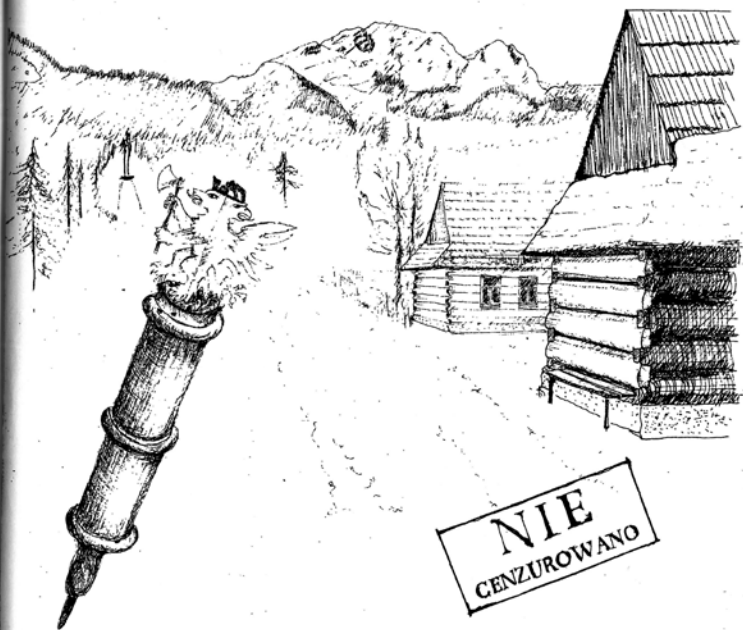
- Solidaritet's Nytt, wyd. Solidaritet Norge-Polen, red. Bjørn Cato Funnemark i in. (kontynuacja Information's Bulletin), Oslo, Norwegia, od 1984, norw.
- Solidarity Bulletin. Publication of the Bay Area Solidarity Support Campaign, wyd. Gordon de Marco i in., San Francisco, USA, od marca 1982, niereg.
- Solidarity International – New York, Newsletter, wyd. „Solidarity International Inc.”, red. André Blaszczynski i in., Nowy Jork, USA, od lata 1982, ang.
- Solidarity with Solidarity Bulletin, Londyn, Wlk. Bryt., od 1982, niereg., ang.
- Solidarność. Bulletin de liason Comité d'action Solidarność Belgique. Komitet Działania Solidarność Belgia, od 1982, wyszło kilkanaście numerów.
- Solidarność. Biuletyn Informacyjny. Biuro Informacyjne „Solidarność”, Bruksela, Belgia, od stycznia 1982, niereg.
- Solidarność. Biuletyn Informacyjny. Biuro Koordynacyjne NSZZ „Solidarność” za granicą, red. Seweryn Blumsztajn, Paryż, Francja, od stycznia 1982, mies.
- Solidarność. Biuletyn Solidarność, wyd. przez Polish Workers Task Force, League for Industrial Democracy and Poland Watch Center, red. Jane Cave, Eric Chenoweth i in., Nowy Jork, USA, od grudnia 1981, ang.
- Solidarność. Fakty i Komentarze. Biuletyn Biura Informacyjno-Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” w Bremie, Niemcy, 1982, po polsku
- Solidarność. Hebdomadaire, wyd. Andrzej Kowalczyk, Meudon, Francja, od 1982, tygodnik
- Solidarność Bulletin D'Information, Comité de Coordination du Syndicate „Solidarność” en France, Paryż, od stycznia 1982, niereg.
- Solidarność i Wytrwałość, Sekretariat GNDC Solidarność za Granicą, wyd. Jerzy Milewski, Bruksela, Belgia, od 1982, mies.
- Sprzeciw. Miesięcznik społeczno-polityczny młodych, Niezależna Oficyna Młodych, red. Aleksander Świewkowski, Michał Bieniasz, Maria Barycz, Göteborg, Szwecja, od 1982
- Suwerenność. Religia – Polityka – Społeczeństwo, Melbourne, Australia, 1985 – 1987, mies.
- Tidskriften syeuropa (Czasopismo Wschodnioeuropejskie). OESK – Komitet Solidarności z Narodami Europy Wschodniej, Szwecja, Sztokholm, od 1976, kwart.
- Tidskriftet Solidaritet, wyd. Solidaritet Norge-Polen, red. Dag Mjaaland, Natasza Sandbu, Bjørn Cato Funnemark i in., Oslo, Norwegia, od 14 grudnia 1981, mies. niereg.
- Tu i Tam, Melbourne, Australia, od sierpnia 1986 do 1987,
- Tygodnik Nowojorski, red. Julita Michalska i in., od 1984, USA
- Uncaptive Minds, IDEE (Institute for Democracy in Eastern Europe), red. Irena Lasota, Jerzy Wermań, Eric Chenoweth, Astrid Benedek i Arch Puddington, Nowy Jork, USA, 1984 – 1989, ang.
- Uncensored Poland News Bulletin (Polska Bez Cenzury Biuletyn Informacyjny), red. Krzysztof Pszenicki, pol., ang., od 1987 ang., Wlk. Brytania, od stycznia 1981 do 1989
- Undergrunden (Podziemie). Komitet Støt Solidarność (Popieraj Solidarność), red. Alicja Feningsen, Jens Henning Rasmussen, Ib Krarup, Dania, od lipca 1982, duński

- Voice of Solidarność.(wcześniej Solidarność News) Information Bulletin. Coordinating Office NSZZ „Solidarność” Abroad, wyd. Marek Garztecki, Wlk.Brytania, od 1982, ang. oraz polski i franc., tyg.
- Wiadomości Polskie, Rada Uchodźstwa Polskiego, red. Tadeusz Głowacki, potem Henryk Malinowski, pismo wychodziło od 1940, w l. 1979 – 1981 pismo KPN, wychodziło do 1988, Szwecja
- Wiadomości. Solidarity International Inc., wys. Sawa Małachowski, Nowy Jork, USA, od 1982, niereg.
- Wiadomości Kolońskie. Pismo Nowej Emigracji, wyd. Tadeusz Folek, Kolonia, Niemcy, od lata 1982, mies.
- Wiadomości Lundyńskie, Sztokholm, Szwecja, niereg.
- Wiadomości Solidarity International. Międzynarodowa Solidarność, Nowy Jork, USA, 1981 (ukazał się 1 nr)
- Wici, Polskie czasopismo w Norwegii, wyd. Polsko-Norweskie Towarzystwo Kulturalne „Kultura”, red. Jacek Juniszewski i in., Oslo, Norwegia, od grudnia 1982, mies.
- Wolna Myśl. Wyd. Przedstawicielstwa Pomostu w Berlinie Zach., red. Roman Piórkowski, Berlin Zach., od 1982, niereg. mies.
- Wyre Forest Polish Solidarity Campaign. Komunikat. Wyre, Wlk. Bryt., od stycznia 1983, ang. i pol.
- Zbiór Dokumentów. Solidarity Information Office, Sztokholm, Szwecja, od 1982, dwutyg..
- Zeszyty Literackie, Association Cahiers Littéraires, red. Barbara Toruńczyk i in., Paryż, Francja, pol.

przyg. js.

Za: Jan Kowalik, *Bibliografia czasopism polskich wydanych poza granicami Kraju od września 1939 roku, t.V, Lublin 1988 oraz mat. własne*

WNO



NUMER 1  
GRUDZIEŃ  
1982

POLSKIE CZASOPISMO W NORWEGII

# Wojenne przypadki i wpadki

## Być narodowi użytecznym

### Kongres monitorowany przez SB

Józef Śreniowski

Z trybuny XXVIII Kongresu Techniki Polskiej (1982), toczącego się w Łodzi równoległe z sesją sejmu delegalizującego „Solidarność”, zabrał głos młody inżynier mechanik z Wrocławia, Piotr Nowosielski, składając pod głosowanie wnioszek o odwołanie stanu wojennego, uwolnienie aresztowanych i internowanych inżynierów oraz powrót do pracy, zwolnionych z niej represyjnie przedstawiciele techniki polskiej.

Środowiska naukowo-techniczne nie znalazły dotąd szerszego zainteresowania w pracach badaczy najnowszej historii. Stopień ich kontroli politycznej i policyjnej w PRL pozostaje nieznanymi. Jest stosunkowo wiele świadectw pomieszczonych w pamiętnikach polskich inżynierów, które opisują ich losy w latach powojennych, w okresie planu sześcioletniego, czy w późniejszych dziesięcioleciach PRL.

Przykładowo wymienić można wspomnienia prof. Janusza Groszkowskiego; szereg książek, których autorem jest Aleksander Kopeć; pamiętnik inż. Roberta Türschmida pomieszczony in extenso w książce jego syna Stefana Türschmida „Cień Lucyfera”, Jadwigi Siniarskiej – Czaplickiej „Przeminęło z wojnami”, ;autobiograficzną książkę Jana Łopuskiego, „Pozostać sobą w Polsce Ludowej. Życie w cieniu podejrzeń” – mimo, że pisał ją prawnik, nie inżynier i wiele innych pamiętników.

Autorzy zdają sobie sprawę z rozmaitych, nieprzypadkowych zdarzeń i niepowodzeń, z jakimi się spotykali na swych drogach zawodowych. Nie mogą jednak być pewni ukrytych przed nimi działań władz, które w ten czy inny sposób deformowały ich prace zawodowe, awanse, zaprzepaszczone wynalazki czy nowe odkrycia techniczne. W książce „Akademia w sieci” poświęconej rozpracowaniu przez MSW Polskiej Akademii Nauk, zwraca uwagę w t. I edycji źródeł proporcja zainteresowania Instytutem Podstawowych Problemów Nauki i Techniki PAN, jakby gros opozycji politycznej tam właśnie upatrywano. Z innej pracy, wydanej przez Instytut Literacki w Paryżu w latach 70., wymienić należy sprawę ustąpienia na znak protestu z funkcji zastępcy przewodniczącego Rady Państwa PRL prof. Janusza Groszkowskiego, bezradnego w sprawie skazania za krytykę naukową doc. dr inż. Aleksandry Hankus, chemika z Krakowa/Rzeszowa. Natomiast *ochrona kontrywiadowcza*, próby wykorzystania przez wywiad cywilny i wojskowy, penetracja środowisk inżynierskich i technicznych, czujność co do polityki kadrowej czy działalności organizacji skupiających te środowiska są polami dotąd nie zbadanymi. Podobnie – ingerencje polityczne w rozwiązania techniczne w kraju wypracowane i – niejednokrotnie – marnotrawione.

Inżynierowie mieli swoje organizacje i stowarzyszenia, jednak przynależność do tych masowych organizacji – licząc cały wolumen Federacji NOT, nie była powszechna.



Podobnie, jak wysoki, jednak nie powszechny, był udział kadr technicznych w PZPR, rzadko w pozostałych stronnictwach.

NOT, z punktu widzenia systemu, pełnić miał również rolę socjalizującą i partycypacyjną, angażującą do współpracy z rozmaitymi agendami systemu ustrojowego PRL, jak wszystkie masowe organizacje powiązane w sieć transmisyjną dyrektyw z centrum władzy w dół. Etap, w jakim Federacją NOT kierował Aleksander Kopeć, z pierwszego wykształcenia – mgr inżynier, z drugiego – dr ekonomista, pozostawił świadectwa nowej roli organizacji. Z końcem lat 70. „Przegląd Techniczny” uruchomił na 3 stronie pisma rubrykę „Czytane w maszynopisie”, bez precedensu w całej ówczesnej prasie. Można tam było znaleźć bowiem omówienia artykułów z biuletynów specjalnych nie przeznaczonych do powszechnego obiegu i pism niezależnych wydawanych poza cenzurą. W odróżnieniu od „Trybuny Ludu” czy tygodnika „Polityka”, na łamach „Przeglądu Technicznego” zdawano sprawę z innych punktów widzenia, nie podejmując ideologicznej krytyki przedstawianych stanowisk. Wkrótce, o ważnych sprawach można było mówić w Polsce otwarcie w wyniku kilkunastu miesięcy nowego porządku po wydarzeniach sierpnia 1980 roku.

Z nastaniem stanu wojennego Federacja NOT, nadal kierowana przez A. Kopcia, amortyzowała po części uderzenie w masowe aspiracje towarzyszące swobodzie działania „Solidarności” i organizacji środowiskowych wolnych od kurateli i cenzury. Po części natomiast ulegała presji władz wojskowych, mediowała czy kanalizowała niezadowolone. Nie ukazywały się w pierwszym półroczu 1982 liczne czasopisma fachowe wydawane przez wydawnictwo „Sigma”, zawieszono swobodę zbierania się członków wielu organizacji technicznych. Szereg inżynierów straciło pracę w wyniku sankcji opartych na dekrete o stanie wojennym. Szereg dyskusji środowiskowych przeniosło się na forum rozmów prywatnych. Wielu inżynierów, często źle wynagradzanych w pracy zasadniczej, straciło możliwość pisania do pism technicznych, bo te przestały wychodzić. Honoraria autorskie za popularyzację nowości technicznych w tych pismach często przekraczały dochody z pracy etatowej, tak że zmiana była wyjątkowo wyraźnie odczuwana. Wielu inżynierów i techników straciło pracę lub zostało uwięzionych z przyczyn nie mających związku z wykształceniem czy fachem. Nie wszystkie środowiska umiały się skutecznie bronić, jak szereg grup inżynierów i uczonych z Wrocławia, Krakowa, Gdańska czy Warszawy – miast, gdzie skądinąd rynek pracy dla inżynierów był szeroki. Aleksander Kopeć zaczął być coraz gorzej widziany przez władze, stracił członkostwo w KC PZPR w lipcu 1981 roku i podczas kongresu, licząc się z osłabieniem swej pozycji, dobrał do każdego z zespołów w roli sekretarza kogoś z inżynierów, komu ufał, mimo, że samo zgromadzenie nie było zjazdem wyborczym a kadencja władz federacji trwała. Dopiero w kolejnej kadencji w roku 1984 stracił fotel prezesa NOT; przewodnictwo Federacji objął wówczas prof. dr inż. Jan Kaczmarek.

Autorem wykorzystanych meldunków Służby Bezpieczeństwa, składanych przed i w trakcie obrad Kongresu, był mjr Czesław Pędzieszczak, funkcjonariusz Wydziału IIIA przekształconego w walce z „Solidarnością” w Wydział V [Departament V] SB. Naczelnik Wydziału V SB w Łodzi od maja 1982 do roku 1989. Meldunki bieżące nadsyłane centrali skupiają się nad podległym terenem, to jest opisują zdarzenia z woj. łódzkiego. Raportujący major zdaje jednak sprawę z całości obrad Kongresu, rzecz jasna – w oglądzie aparatu bezpieczeństwa.

Delegaci na Kongres Techniki Polskiej bez rozróżniania „barw klubowych” przez raportującego o nastrojach oficera, (czy są z partii czy z „Solidarności”) nie taili, że zdają sobie sprawę, że obrady są politycznym zgromadzeniem poparcia władz, a nie merytorycznym i obywatelskim głosem środowisk technicznych, a formułowane postulaty mają szansę zaliczenia do kategorii pobożnych życzeń, niezależnie od podstawy, na jakiej zostaną sformułowane i ich merytorycznej wagi. Zbieżność z terminem uchwalenia przez Sejm ustawy o związkach zawodowych nie uszła uwadze inżynierów-delegatów, czemu dawali wyraz w wypowiedziach, o których dowiedział się mjr Pędzieszczak.

*„Kongres w tym właśnie okresie czasu zorganizowany został jako impreza polityczna, i nie należy się spodziewać żadnych rewelacji w zakresie oczekiwanych efektów...”* mieli się wypowiadać między sobą zgromadzeni.

Terminy sesji Sejmu PRL VII kadencji 8 X 1982 i Kongresu Techniki Polskiej – także 8 X 1982 zbiegły się przypadkowo, ponieważ sam Kongres odkładany był od r. 1981, a po 12 grudnia 1981 politycznie okazywał się przez szereg miesięcy niemożliwy. Środowiska techniczne były podzielone między zwolenników „Solidarności” i zwolenników dotychczasowej władzy; jednych i drugich dotknął stan wojenny a szereg projektów przygotowywanych wcześniej w tych kręgach, straciło na aktualności z wyprowadzeniem czołgów na ulice. Kongres Techniki Polskiej wypadł w okresie konfrontacyjnym, a nie czasie względnego łagodzenia najdotkliwszych rygorów stanu wojennego. 31. Sierpnia rozegrały się dramatyczne wypadki w Lubinie, Wrocławiu i innych miastach; doszło do masowych demonstracji (także w Łodzi, 26 i 31 VIII, gdzie Kongres miał obradować). Władze przyjęły natomiast kurs pozbawiony złudzeń na możliwość oswojenia „Solidarności” i wmontowanie jej w system socjalistyczny, decydując o jej rozwiązaniu jedną ustawą o związkach zawodowych, przyjmując 8 października ustawę o związkach zawodowych likwidującą „Solidarność”.

Warto wspomnieć, że dr inż. Aleksander Kopeć, do lutego 1981 wicepremier, a do IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR w lipcu 1981 – członek KC PZPR, otwarcie krytykował perspektywę naprawy gospodarki przez ekipę w mundurach, twierdząc, że tego dokonać mogą inżynierowie i ekonomiści, a nie armia. Kopeć stał nieprzerwanie na czele Naczelnej Organizacji Technicznej od 1976 do 1984 i w tej roli, w roli członka rządu oraz przez pół roku wicepremiera (1980-1981), rozpościerał parasol ochronny nad całą federacją NOT, nad jej pismem „Przegląd Techniczny” czy nad zrzeszonymi w niej stowarzyszeniami,

Stowarzyszeniem Inżynierów Mechaników Polskich, które nie przypadkowo uchodziło wówczas za najbardziej bojową z dużych organizacji inżyniersko-technicznych (SIMP-em) przede wszystkim. Sam wcześniej związany był z SIMP, nim stanął na czele NOT.

Kongresowi nadano oficjalną oprawę. Rozpoczął się i kończył w Teatrze Wielkim w Łodzi, obradował w gachu NOT i w komisjach – w aulach siedmiu dużych łódzkich fabryk, co wydaje się ryzykowne w momencie, gdy władze nie znały jeszcze reakcji robotniczych na uchwaloną tego dnia co początek Kongresu – delegalizację „Solidarności”.

„Głos Robotniczy” – organ Komitetu Łódzkiego PZPR – pisał o Kongresie na pierwszej stronie, jak o ważnym wydarzeniu towarzyszącym sesji Sejmu. Cytował towarzyszące mu hasło zaczerpnięte z pism Stanisława Staszica: *być narodowi użytecznym!* Artykuły, sygnowane na jego łamach S.B., akcentowały jak świat techniczny popiera władze. Przedstawiciele najwyższych gremiów władzy zaszczylicili Kongres mało znaczącymi wówczas postaciami. Delegaci nie stracili tego z oczu, wspominając, że ni premiera ni wicepremierów ich obrady nie interesują, skoro wydelegowano drugorzędnych zastępców. Natomiast motto zaczerpnięte z pism Staszica: *być narodowi pożytecznym* każda ze stron – inżynierowie oraz funkcjonariusze aparatu władzy, rozumiała inaczej.

Kongres, który mógł się odbyć po wielu miesiącach prolongaty terminu, miał charakter przeglądowy i programowy, a nie wyborczy. Zbieg terminu z delegalizacją przez Sejm „Solidarności” źle wróżył atmosferze zjazdu, zwłaszcza z punktu widzenia władz i Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego (WRON), oczekujących spotkania środowisk ku czci nowych włodarzy kraju, którzy zdołali rozprawić się z masowym związkiem zawodowym. Świadczą o tym przygotowania, w ramach których, jak zaświadcniają dokumenty aparatu bezpieczeństwa, profilaktycznie przygotowano na Kongres spore ekipy tajnych współpracowników SB, jej kontaktów służbowych i konsultantów pracujących na rzecz resortu spraw wewnętrznych. Pozostałych delegatów (przynajmniej w niektórych z województw: łódzkiego, wrocławskiego, stołecznego, radomskiego, krakowskiego i rzeszowskiego) wzywano i instruowano w rozmowach profilaktyczno-ostrzegawczych, jak mają się zachować na Kongresie.

Dzięki tym zabiegom i „swoim ludziom” wprowadzonym w poczet delegatów Służba Bezpieczeństwa mogła meldować centrali *pełną kontrolę operacyjną* nad wydarzeniem mimo, że Kongres gromadził blisko 1300 delegatów, tak z województw jak z poszczególnych stowarzyszeń zrzeszonych w federacji NOT. Meldunki te nie brzmiały dziś tak krzepiąco, ni wiarygodnie, jak wówczas. SB (nadawca takich meldunków) nie zmieniał bowiem w trakcie trwania obrad klauzuli *pełnej kontroli operacyjnej* mimo, że jednego dnia mogła znaczyć „*nad wszystkim trzymamy łapę*” a innego – *wiemy co się zdarzyło, odnotowaliśmy w ramach monitoringu Kongresu, nie zdążyliśmy albo – nie byliśmy w stanie – na czas temu przeciwdziałać*. Raport mjr Czesława Pędziszczaka z SB z kolejnego dnia obrad szyfrowany do centrali swego resortu świadczy, że dla autora obie te, różne zasadniczo sytuacje, mieszczą się w prokla-

owanej *pełnej kontroli operacyjnej*. Stosuje ten autor zgrabny wybieg powołując się na to, że nieprzewidywalny delegat nie jest z jego terenu tylko z Wrocławia i to Wrocław widocznie nie zabezpieczył należycie objętej ochroną tajnej policji imprezy. Na której spodziewano się przybycia samego gen. Wojciecha Jaruzelskiego, który jednak zmienił plany i do Łodzi nie przyjechał.

W znajdujących się w archiwum IPN Meldunkach Dziennych Wydz. V SB w Łodzi za rok 1982 (sygn..Ls PF 88/2t.4 ) czytamy m.in.: „...Z woj. łódzkiego 146 delegatów, wśród nich; 1 figurant nie wymagający kontroli operacyjnej, 3 konsultantów SB, 15 tajnych współpracowników, 8 kontaktów operacyjnych, 15 kontaktów służbowych”. Innymi słowy na 146 delegatów z regionu 41 osobowych źródeł informacji. Zasada raportowania przez szefa Wydziału V SB nie jest jednoznaczna, skoro poza liczbą 146 delegatów wymienioną parokroć, jednokrotnie podaje, że delegatów było 52. Natomiast niezmiennie wylicza kadry tw, ko i ks oraz konsultantów „użyte do pomocy w sprawie obiektywnej: Kongres”. „Dodatkowo – pisze szef Wydz. V – zapewniono udział pracowników operacyjnych w obradach plenarnych i w obradach zespołów problemowych. W obradach uczestniczyli także pracownicy Departamentu V MSW, a w Oddziale Wojewódzkim NOT w Łodzi zorganizowano współdziałanie z Komitetem Organizacyjnym przy zabezpieczeniu Kongresu...

Program Kongresu nakreślony został z rozmachem i już samo to powinno gościa-generała zniechęcić. Rzec można – inżynierowie pod nieobecność „Solidarności” wzięli w swoje ręce całą gospodarkę i zarządzanie, i dyskutowali na forum wielu komisji poważne kwestie ustrojowe ubrane w ramy wymiaru czysto technicznego, technokratycznego i proceduralnego. Jakby śpieszyli się korzystać z rzadkiej okazji, kiedy nie ma kurateli politycznej i można projektować czy postulować nie mając przywiezionych w kopercie wniosków końcowych, ideologicznych i rzecz oczywista – nie merytorycznych.

W Archiwum NOT w Warszawie odnalazłem materiały kongresowe; są to przygotowane do dyskusji w zespołach kongresowych powielane maszynopisy, a nie sprawozdania sporządzone w trakcie tej dyskusji. Są też zarchiwizowane opinie i uwagi NOT do dokumentu: *Warianty koncepcji Narodowego Planu Społeczno-Gospodarczego do roku 1985 i wstępne założenia na lata 1986-1990*.

Znamienna uwaga wstępna zawarta w stanowisku NOT wobec tych *Wariantów* brzmi: „treść przesłanego dokumentu nie odpowiada jego tytułowi”. Nie powinno to zaskakiwać, jeśli sięgnie się po ślady pracy, jaką Kongres wykonał. Podzielony na siedem zespołów problemowych zajmował się sprawami przywracania równowagi ekonomicznej kraju w sferach rolnictwa i gospodarki żywnościowej, energii i surowców, myśli i kadr technicznych, organizacji i zarządzania w gospodarce, górnictwa, ochrony środowiska i gospodarki wodnej, roli środowisk technicznych w wychodzeniu kraju z kryzysu. Rozmach zainteresowań, prognoz i diagnoz sprawiają wrażenie jakby środowiska techniczne i naukowe zdecydowały przejąć rolę lidera zmian w kraju. Wiele kwestii

rozważanych na Kongresie odnosi się do zjawisk i decyzji stricte politycznych, przedmiotowo tych samych, które w ciągu kilkunastu miesięcy pierwsza podniosła „Solidarność”. Być może bardziej merytorycznie czy ekspercko ujmowanych przez środowiska techniczne. Liderzy NOT zadbali o złagodzenie politycznych akcentów przygotowanych tekstów czy projektów uchwał, jednak pozostawili zasadnicze stawianie spraw zmian organizacyjnych w kraju jako warunku niezbędnego do powrotu gospodarki na ścieżkę wzrostu.

Zbieg terminów Kongresu z obradami Sejmu władze próbowały rozegrać ofertą dla środowisk technicznych, którą nazwać można „*Polak potrafi*”. Wobec gwiazdnych wojen i embargo na wysokie technologie władze, rękoma liderów NOT, oferowały środowiskom inżynierjno-technicznym pozycję i gratyfikacje, jeśli podejmą rywalizację i pokażą wrogom Polski i obozu do jakiego należy, że socjalistyczna myśl techniczna zwycięża w konkurencji myśl Zachodu, a *gwiazdne wojny* odeprze zwycięstwem technologicznym. Stanowisko mogło odwołać część środowisk, której sympatie i nadzieje po stronie „Solidarności” były wyraźne, od nieustępliwego upominania się o powrót Związku na legalne forum publiczne. Dowartościowywało też naukę i technikę, jeśli inżynierowie dali by wiarę, że w takiej konkurencji technologicznej mają szansę. Czyniło wreszcie obietnice, że polscy inżynierowie zostaną w kraju dobrze wynagrodzeni wobec częstej dotąd sytuacji, że inżynier zarabiał mniej niż robotnik.

*Pełna kontrola operacyjna* czy polityczna kuratela sprawdzały się w pierwszych godzinach, skoro Kongres milcząco odebrał ofertę poparcia przez władze badań i innowacji technologicznych, które dałyby odpór groźbom, sankcjom czy przewadze Zachodu. Odpowiedzią Kongresu była praca nad dokumentami programu powrotu gospodarki na ścieżkę wzrostu.

O zabranie głosu poprosił wówczas młody delegat z wrocławskiego SIMP, inż. Piotr Nowosielski. Dostał mikrofon i zażądał, jako warunku, że *polski inżynier potrafi*, natychmiastowego zwolnienia z aresztów, więzień i ośrodków internowania kilkudziesięciu inżynierów i techników pozbawionych wolności w całym kraju oraz postawienia przez władze NOT władzom państwowym czy WRON warunku niezwłocznego odwołania stanu wojennego i powrotu do pracy ludzi i organizacji pozbawionych możliwości działania. Warto dodać, że w samym woj. łódzkim na blisko 200 internowanych inżynierowie i technicy elektrycy, mechanicy, włókiennicy czy leśnicy stanowili w różnym czasie od 10 do 20%. Podobnie nie brakowało ich wśród osób skazywanych przez sądy. Na listach proskrypcyjnych przygotowywanych w październiku 1982 z myślą o wojсковych obozach internowania również nie brak nazwisk inżynierów i techników.

Według raportu mjr Pędzieszcza przewodniczący zajął wniosek bez głosowania, powołując się na zbyt późne zgłoszenie. Autor szyfrogramu nie odnotował, jakie wrażenie na słuchaczach zrobiła lista nazwisk aresztowanych ze środowisk technicznych Dolnego Śląska, Wybrzeża i innych regionów „Solidarności”, jaką delegat SIMP-u przy-

gotował, by odczytać przez mikrofon. Nie są znane późniejsze reakcje czy operacje aparatu bezpieczeństwa we Wrocławiu wobec śmiałka, który próbował zakłócić obrady – w archiwum IPN nie zachowały się ślady dalszego zainteresowania aparatu bezpieczeństwa osobą i protestem inż. Nowosielskiego. Zachowane materiały świadczą natomiast, że szef Wydziału V SB mjr Czesław Pędziszczak spieszył się z raportem dyktując treść z głowy; w pierwszych wersjach, rękopiśmiennej i maszynopisu nazwał sprawcę wydarzenia Piotrem Niesiołowskim, dopiero w szyfrogramie poprawiono nazwisko na Piotr Nowosielski.

Raportujący centrali resortu [MSW] zdradza w działaniu dwie postawy: z pozoru neutralnie sygnalizuje co się zdarzyło, równocześnie bagatelizując wystąpienie, jakby było incydentem bez znaczenia przyjętym w takich dyskusjach. Podobnie zresztą zdaje sprawę z głosów niezadowolonych wychwyconych na Kongresie, gdzie delegaci oceniali przygotowane uchwały, zwłaszcza z góry sporządzony projekt *uchwały generalnej kongresu*, jako zbyt ogólnikowy, unikający konkretyzacji formułowanych wobec władz politycznych warunków rozwoju postulowanych przez środowiska techniczne. Dało się to zauważyć mimo, że propozycje gestorów NOT (autorów projektu) można określić jako sceptyczne wobec założeń czy wariantów NPS-G (Narodowego Planu Społeczno-Gospodarczego) do r. 1985. Usłyszana przez SB opinia kularowa na temat głosowania dokumentu programowego brzmi wyraziście: *„Poezja inżynierska a nie uchwała, gdyż nie zawiera nic co by było do uchwalenia”*.

Mjr Pędziszczaka niepokoiła w raportach perspektywa, że projekt uchwały generalnej nie uzyska większości w głosowaniu, bowiem trzy zespoły problemowe (spośród siedmiu powołanych) odmówiły poparcia projektu w brzmieniu przygotowanym wcześniej. Prezydium Kongresu przystało na zmiany w tym projekcie uwzględniające niektóre punkty widzenia wypracowane w czasie obrad zespołów problemowych. Profesor Paszkowski, przewodniczący komisji wnioskowej, zarządził głosowanie skorygowanego tekstu uchwały. W ten sposób udało się zachować plan obrad i termin przyjęcia dokumentu końcowego: *„...jedynie 30 osób wstrzymało się od głosu a kolejnych 10 optowało przeciw uchwale generalnej...”* – melduje mjr Pędziszczak.

Delegat, który mógł popsuć gładki ton obrad, inż. Piotr Nowosielski, mechanik z Wrocławia stracił pracę po 13. grudnia 1981 stając w obronie usuniętego z pracy mechanika, dr inż. Zenona Wystoucha, *guru* wrocławskiego środowiska konstruktorów. Przypadek inżyniera Nowosielskiego pokazuje trudny do zważenia *casus*: kolejni obrońcy wyrzuconego tracą pracę, jednak mandaty delegatów na kongres NOT zachowują i choć bezrobotni, zjeżdżają do Łodzi, bowiem ich organizacja techniczna nie przyłącza się do sekowania zawodowego osób upatrzonych przez władze polityczne kraju czy tajną policję polityczną.

Organ partyjny – *„Głos Robotniczy”* – relacjonował Kongres z datą 11 X 1982: *„...O wszystkich tych sprawach mówiono konkretnie, niejednokrotnie ostro, bez owija-*



nia w przysłowiową bawelnę, ale zawsze z poczuciem odpowiedzialności i propozycjami konkretnych rozwiązań...". Konkretnie rozwiązania padały istotnie podczas obrad. Jeden z delegatów, Aleksander Derkaczow podniósł, że „ w latach siedemdziesiątych gospodarka narodowa była zorientowana na eksport do krajów kapitalistycznych i skrytykował przedstawienie gospodarki na eksport do krajów RWPG”, czym zapoczątkował dyskusję wiodącą do odrzucenia literalnego brzmienia przygotowanej wcześniej kongresowej uchwały generalnej. Wywalczone ustępstwo w ostatecznie przyjętej *Uchwale generalnej* polegało na wycofaniu z niej gotowości współpracy organizacji technicznych skupionych w NOT z nowo tworzonymi związkami zawodowymi czy sojuszu z PRON. Co warte podkreślenia ta ważna poprawka przeszła mimo tego, że delegaci należący dotąd do „Solidarności” nie stanowili większości ( a nawet byli w mniejszości w stosunku do członków związków branżowych), członkowie partii dominowali wśród delegatów (63%), a nasycenie zgromadzenia agenturą było imponujące, biorąc proporcje z kręgu delegatów z woj. łódzkiego. Widocznie wariant powrotu do życia związkowego podporządkowanego władzom nie tylko członkom „Solidarności” nie odpowiadał.

W maju następnego roku obradował w Łodzi V Kongres Inżynierów Włókienników Polskich. Mjr Pędziszczak ocenił go w raporcie:

„Na podkreślenie zasługuje fakt, że nie było wypowiedzi wykraczających poza program kongresu, nie odnotowano prób wykorzystania obrad kongresu do prowadzenia wrogiej działalności...”. Ocena przebiegu XX Kongresu Techniki Polskiej jeśli została by podobnie ujęta przez tego autora-oficera, z pewnością byłaby podszyta naciągającym optymizmem, bowiem z zachowanych archiwaliów wynika, że mimo zastosowanych środków *pełnej kontroli operacyjnej* Kongres /8-10 X 1982/ przebiegał nie bez otwartych, rzeczowych sporów, bezkrytycznego poparcia pociągnięć władzy czy zgody większości delegatów na angażowanie autorytetu środowisk technicznych w tworzenie nowych związków zawodowych.

„Delegaci nie zaaprobowali [w Uchwale generalnej kongresu] wniosku o współpracę z nowo tworzącymi się związkami zawodowymi [po delegalizacji „Solidarności”]...” i wniosek wycofano – raportował mjr Pędziszczak. Wydział V SB, którym kierował, w tych samych dniach monitorując reakcje załóg dużych przedsiębiorstw łódzkich po delegalizacji „Solidarności”, utrzymywał, że *nowe związki są aprobowane, a robotnicy wiążą z nimi znaczne oczekiwania*. Bez wątpienia była to reakcja oczekiwana przez władze. Napływające raporty z zabezpieczanych zakładów świadczyły jednak o reakcjach przeciwnych, widocznie niewygodnych do zameldowania przełożonym z MSW czy partii. Nie powinno to zaskakiwać, bowiem rola informacyjna aparatu bezpieczeństwa polegała wielokrotnie na uspokajaniu niepokoju przełożonych, zwłaszcza jeśli chodziło o żywiołowe zjawiska społeczne, którymi biurokratycznie czy agenturalnie nie sposób było manipulować czy dyrygować, jak oddziałem na polu bitwy.

## Andrzeja Bobera przypadki, czyli od funkcjonariusza olsztyńskiej SB, po „solidarnościową ekstremę”

Grzegorz Majchrzak

Dla wielu osób życie jest czarno-białe, a ludzie są albo bohaterami (zazwyczaj bez skazy), albo zdrajcami. W tej wersji służba czy choćby krótkotrwała współpraca ze Służbą Bezpieczeństwa przekreśla ewentualne późniejsze zasługi. Czy rzeczywiście? Poniżej niezwykle ciekawy przypadek Andrzeja Bobera, który w latach 1980-1981 był członkiem kierownictwa olsztyńskiej „Solidarności”, a dekadę wcześniej przez nieco ponad półtora roku funkcjonariuszem SB, który z безпеکی – co nie mniej istotne w tej historii – odszedł na własną prośbę.

Andrzej Witold Bober urodził się w styczniu 1948 r. w Ciechanowie. W czerwcu 1967 r. – w wieku 19 lat – ukończył Liceum Ogólnokształcące dla Dorosłych w Olsztynie (w tym czasie pracował – od roku – w Rejonowym Urzędzie Telekomunikacyjnym w Olsztynie). Niestety nie udało mu się dostać – z powodu braku wolnych miejsc – na studia w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Sopocie, mimo zdanych egzaminów. W tej sytuacji, aby nie trafić do ludowego Wojska Polskiego wyjechał na Góry Śląsk i pracował przez kilka miesięcy w kopalni „Wujek” w Katowicach, jako górnik dołowy – górnicy byli wówczas zwolnieni z obowiązku zasadniczej służby wojskowej. Jednak jak wspominał po latach: „Niestety nie udało mi się wymigać od wojska” – trafił do niego (do jednostki wojskowej nr 1400 w Warszawie, ale większość służby odbył w pobliskich Pyrach) w październiku 1967 r. I był dobrym żołnierzem – według jego przełożonych miał „dać się poznać, jako żołnierz zdyscyplinowany, sumienny, właściwie wywiązujący się ze swoich obowiązków służbowych”. To zresztą nie wszystko, ich zdaniem należał nawet „do najlepszych” specjalistów łączności w swojej jednostce. Co ciekawe, według niego samego było zupełnie inaczej. Jak bowiem oceniał *post factum*: „Nie mógłbym z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że byłem najgorszym żołnierzem w kompanii, ale tylko, dlatego, iż byłoby to nie fair w stosunku do mojego najlepszego kolegi w wojsku”. I dodawał: „Byłem – jak to stwierdził jeden z moich przełożonych – żołnierzem wybitnie niezdyscyplinowanym”. Potwierdzeniem tego był fakt, że wielokrotnie trafiał do aresztu wojskowego...

Jeszcze przed zakończeniem zasadniczej służby wojskowej złożył podanie o przyjęcie go do pracy „w organach bezpieczeństwa Milicji Obywatelskiej w Olsztynie”. Wpływ na jego decyzję miał jego ojciec (Antoni), który zapytał go, czy nie chciałby pracować w kontrwywiadzie. Jak stwierdzał po latach Andrzej Bober „Nie zastanawiałem się ani chwili – kontrwywiad, przygody, ciekawa praca”. Sprawdzenie jego i jego rodziny wypadło pozytywnie, a o samym kandydacie – we wniosku personalnym o przyjęcie do MO – pisano: „Kandydat jest na odpowiednim poziomie ogólnym i politycznym.

Światopogląd skryształizowany posiada dostatecznie – jest [człowiekiem] niepraktykującym. Wygląd zewnętrzny i prezencja bez zastrzeżeń. Z natury spokojny i opanowany”. I *last but not least* „Posiada duży zasób wiedzy z dziedziny łączności”. W tej sytuacji – z dniem 1 listopada 1969 r. – Bober został funkcjonariuszem Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Olsztynie, na stanowisku wywiadowcy w Wydziale „B” (zajmującym się obserwacją). Początkowo przełożeni byli z niego zadowoleni. W maju 1970 r. we wniosku o awans z szeregowego na plutonowego stwierdzali „Szer. Bober z natury spokojny, zrównoważony, pracowity, chętny i zdyscyplinowany. Zlecone mu zadania starszych i doświadczonych pracowników chętnie przyjmuje i stara się je wykonać uczciwie i w określonym terminie. Należyście przestrzega zasad konspiracji tak w pracy, jak również poza pracą”. I dodawano: „Wykazuje dość duże zainteresowanie wydarzeniami społeczno-politycznymi w kraju. Jego postawa polityczna i zawodowa nie budzi zastrzeżeń”. Nieco ponad rok później – w czerwcu 1971 r. – oceniano go już jednak zdecydowanie gorzej: „z nałożonych obowiązków wywiązuje się dostatecznie [...] W dalszej pracy powinien [...] wykazać więcej taktu i zdyscyplinowania w stosunku do bezpośredniego przełożonego i pracowników o większym stażu i doświadczeniu w pracy obserwacyjnej”. Co ciekawe, mimo tak negatywnej opinii, zamierzano wysłać go do szkoły dla funkcjonariuszy zajmujących się obserwacją. Jednakże Bober miał inne plany – złożył raport o zwolnienie. Pisał w nim: „dalsza służba w organach bezpieczeństwa nie odpowiada mi ze względów osobistych”. I dodawał: „W przyszłości chciałbym kontynuować naukę na wieczorowych studiach technicznych, praca w milicji uniemożliwi mi to”. Jego wniosek poparli przełożeni, stwierdzając m.in.: „w ostatnim okresie nie wykazuje żadnego zainteresowania pracą operacyjną”. W efekcie – po niespełna dwudziestu miesiącach służby – z dniem 15 czerwca 1971 r. został zwolniony ze Służby Bezpieczeństwa.

Jak po latach twierdzi Andrzej Bober podjęcie służby w KW MO w Olsztynie „było jego największym błędem w dotychczasowym życiu”, o czym zresztą przekonał się bardzo szybko, gdyż już po kilku miesiącach. I – jak relacjonuje – „Wiedziałem, że muszę z tego jakoś wyleźć [...] do tego typu „firmy” trudno się dostać, ale jeszcze trudniej z niej się wydostać. Wymagało to realizacji pewnego planu i trwało to ładnych parę miesięcy”. Jego determinację opuszczenia szeregów bezpieki wzmacniała relacja starszego brata Jacka, który był w tym czasie dyspozytorem w gdyńskim porcie, o przebiegu Grudnia '70 w Gdyni. Nasz bohater trafił do Biura Projektowo-Badawczego Mechanizacji Rolnictwa w Olsztynie, gdzie najpierw pracował, jako referent, a następnie jako pomocnik magazyniera. Ukończył studia (Wydział Prawa i Administracji) na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. W maju 1976 r. został kierownikiem Działu Administracyjno-Technicznego Biura Projektów Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego w Olsztynie. Kiedy w 1980 r. zaczął powstawać NSZZ „Solidarność” Andrzej Bober zaangażował się w działalność rodzącego się związku. Jak stwierdził po latach: „Sierpień to był dla mnie

szok i przebudzenie. Wciągnąłem się w to natychmiast i gruntownie. I tak zaczął się najciekawszy okres w moim życiu. Miałem szczęście poznać i pracować z wieloma wspaniałymi ludźmi z Olsztyna i nie tylko". We wrześniu 1980 r. wszedł w skład Tymczasowego Zarządu Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego w Olsztynie, a od 23 września był członkiem Prezydium MKZ. Cztery dni później został przewodniczącym Komisji ds. Ścigania Przepęstw i Nadużyć Gospodarczych. Wszedł również w skład Komisji Interwencji MKZ, a w grudniu 1980 r. objął jej kierownictwo. Komisja ta rozstrzygała spory między komisjami zakładowymi, a kierownictwami zakładów pracy, a także brała udział w negocjacjach z lokalnymi władzami (w tym również z komendantem wojewódzkim MO w Olsztynie). Do jej osiągnięć należało m.in. udokumentowanie malwersacji i sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Olsztynie Edmunda Wojnowskiego.

Po wydarzeniach bydgoskich Bober został upoważniony przez Prezydium MKZ do utworzenia Regionalnego Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania, który powstał dwa miesiące później (7 maja 1981 r.). Być może do powierzenia mu tej misji przyczynił się fakt, że przywiózł do Olsztyna – wraz z Leszkiem Lachowskim – zdjęcia pobitych działaczy bydgoskiej „Solidarności”. Nie bez znaczenia było zapewne również to, że wcześniej – w lutym 1981 r. – na jego wniosek rozpoczęto akcję zbierania podpisów pod apelem o uwolnienie więźniów politycznych. Jako były funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa – czego zresztą przed kolegami z „Solidarności” nigdy nie ukrywał – nie miał zresztą żadnych złudzeń, co do intencji peerelowskich władz. Dał temu wyraz w połowie kwietnia 1981 r. na łamach wydawanego przez związek pisma „Rezonans”: „Dzisiaj nadszedł czas na KPN, jutro będzie KOR. Kto następny? No cóż, jeżeli będziemy ten stan rzeczy tolerowali, przyjdzie czas i na nas. Pewnego dnia może się, bowiem okazać, że działamy przeciwko pryncypialnym zasadom ustrojowym PRL. Ten dzień nadejdzie wtedy, gdy ktoś >>u góry<< uzna, że nadszedł już czas. Odpowiednie przepisy prawa znajdują się na pewno”.

Nie ulega wątpliwości, że Andrzej Bober należał do najbardziej popularnych działaczy NSZZ „Solidarność” w Regionie Warmińsko-Mazurskim. Jak wspominał Andrzej Pawłowski: „To jeden z ciekawszych ludzi tego okresu. Miał radykalne spojrzenie i był wyjątkowo uczciwym człowiekiem, bez względu na swoją przeszłość”. W czasie I Walnego Zebrania Delegatów olsztyńskiej „Solidarności” – w dniu 27 czerwca 1981 r. – Bober został wybrany do Zarządu Regionu Warmińsko-Mazurskiego NSZZ „Solidarność”. Więcej głosów od niego otrzymał jedynie Mirosław Krupiński. Andrzej Bober kandydował również w wyborach na przewodniczącego olsztyńskiej „Solidarności”, które jednak przegrał, nie wszedł nawet do drugiej tury (wybory wygrał Krupiński, obok niego do drugiej tury wszedł Michał Powroźny). Bober został za to jednym z kilkunastu (szesnastu) delegatów Regionu Warmińsko-Mazurskiego na I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność” – więcej głosów od niego uzyskali jedynie Mirosław (ponownie) Krupiński oraz Edmund Łukomski. W dniu 18 lipca 1981 r. wszedł w skład

Prezydium Zarządu Regionu, a kilka dni później został jednym z trzech wiceprzewodniczących olsztyńskiej „Solidarności”.

Po wprowadzeniu stanu wojennego podzielił los wielu innych działaczy związku. Tym bardziej, że został zaliczony do związkowej „ekstremy” – w jego charakterystyce stwierdzano, że: „prezentował zdecydowaną wrogą postawę wobec ustroju PRL oraz organów MO i SB”. W dniu 13 grudnia 1981 r. został internowany – trafił do ośrodka odosobnienia w Iławie. Jak później stwierdzano w jednej z jego charakterystyk, dlatego, że był założycielem Regionalnego Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania w Olsztynie. Jego dawni koledzy ze Służby Bezpieczeństwa nie zapomnieli mu, że „zabezpieczał wszelkie akcje i działalność Zarządu Regionu przed rozpoznaniem przez organa ścigania”. Tych zarzutów ze strony bezpieki wobec niego było jednak więcej. Należało do nich m.in. zorganizowanie z jego inicjatywy spotkania z Marią Moczulską (żona lidera KPN Leszka) przez Zarząd Regionu Warmińsko-Mazurskiego, „inspirowanie” akcji protestacyjnych i strajkowych oraz „negatyw wpływ” na załogę Olsztyńskich Zakładów Graficznych w czasie strajku w tym zakładzie (sierpień – wrzesień 1981 r.) czy prowadzenie przygotowań do „marszu gwiazdźdźistego” (latem tego roku). To nie wszystko – Andrzej Bober mógł zmienić losy Polski, a przynajmniej znacząco utrudnić powodzenie operacji wprowadzenia stanu wojennego. Otóż w dniu 12 grudnia 1981 r. wysłał on teleks do Gdańska, gdzie odbywało się posiedzenie Komisji Krajowej, który zawierał informację o wyjeździe funkcjonariuszy Wyższej Szkoły Oficerskiej MO i SB [w Szczytnie]. Było to jedno z pierwszych i najbardziej konkretnych ostrzeżeń o działaniach resortu spraw wewnętrznych w ramach wprowadzania stanu wojennego. Dane te Andrzej Bober uzyskał od swoich podwładnych, których – wobec pogłosek o ruchach wojska i milicji – jeszcze 11 grudnia wysłał w teren w celu rozeznania sytuacji (niezależnie od nich szkołę w Szczytnie obserwowali tamtejsi działacze „Solidarności”, dzięki którym do władz krajowych trafiła później kolejna, już bardziej precyzyjna informacja o działaniach MO i SB). Jak wspominał 25 lat później: „Było dla nas oczywiste (przynajmniej dla mnie), że zbliża się i to szybko czas zdecydowanej konfrontacji między >>Solidarnością<<, a władzami. Oczywiście nie myślałem o stanie wojennym. Sądziłem, że będzie to delegalizacja związku, blokada kont, pacyfikacja ewentualnych strajków, procesy pokazowe itp. Próbowaliśmy przygotować się do tego”... W dniu 22 stycznia 1982 r. Bober trafił na blisko trzy miesiące do aresztu śledczego w Olsztynie. Został aresztowany w związku z pobraniem dwóch milionów złotych przez członków Zarządu Regionu Warmińsko-Mazurskiego w przeddzień wprowadzenia stanu wojennego. Mimo iż była to prawomocna decyzja Prezydium ZR, władze uznały, że rzekomo miało dojść do przywłaszczenie związkowych pieniędzy (Bober wraz ze skarbnikiem ZR Łukomskim podpisali czek, który umożliwił wypłatę)... Wykorzystano fakt, iż mimo że posiedzenie było protokołowane, to na czas podejmowania decyzji w sprawie podjęcia gotówki z konta – dla zachowanie tej sprawy w tajemnicy – protokolanta poproszono o opuszczenie sali obrad. Wszczęto śledztwo, całą sprawę próbowano wykorzystać propagandowo – specjalny program

poświęcony tej sprawie, zrealizowany przez Tadeusza Samitowskiego, jedną z dziennikarskich „gwiazd” w okresie stanu wojennego – wyemitowała nawet Telewizja Polska. Służba Bezpieczeństwa i współpracująca z nią prokuratura przygotowywały się do oskarżenia osób podejmujących tę decyzję. Zarzucano im, że pobrane z konta związku pieniądze zamierzali wykorzystać do obalenia przemocą ustroju PRL – rzekomo ich zamiarem miało być zorganizowanie bojówek... W tym miejscu trzeba wyjaśnić, czemu sięgnięto po taki zarzut – otóż wynikało to z faktu, że wprowadzając stan wojenny ekipa Wojciecha Jaruzelskiego objęła abolicją czyny sprzed 13 grudnia. Tyle, że z jednym wyjątkiem, właśnie próbą obalenia przemocą ustroju. Okazało się jednak, iż materiał dowodowy w przypadku olsztyńskich związkowców jest zbyt słaby, aby ryzykować – nawet w realiach stanu wojennego – ich proces. Wobec czego w dniu 19 kwietnia uchylono areszt wobec Andrzeja Bobera – śledztwo w sprawie rzekomej kradzieży związkowych pieniędzy trwało nadal, ostatecznie zostało umorzone dopiero pod koniec grudnia 1982 r. Nie odzyskał jednak wolności. Jeszcze tego samego dnia przewieziono go ponownie do „internatu” w Łławie, a w czerwcu 1982 r. został przeniesiony do Kwidzyna.

W ośrodku tym był uczestnikiem głośnego buntu, który – w dniu 14 sierpnia – został brutalnie (m.in. „ścieżki zdrowia” z biciem gdzie popadnie – w tym po głowie i genitaliach) stłumiony przez Służbę Więzienną. Bober był jednym z 81 pobitych. Mało tego, należał do tych, którzy „oberwali” najbardziej. Jak wspominał Leszek Szawłowski: „Kiedy dano nam spokój, Andrzej Bober zaczął się skarżyć na silny ból głowy. Dobijaliśmy się do drzwi, żeby udzieleno mu pomocy, lecz nie było żadnej reakcji. Dopiero koło 17.00 lub 18.00 przyszedł lekarz więzienny i pobitych zaprowadzono do ambulatorium, a tam obejrzano, coś zapisano i wygoniono. Nie dano żadnych środków opatrunkowych, żadnych znieczulających – nic. W nocy Andrzej źle się poczuł, zaczął tracić przytomność. Zaczęliśmy wszyscy walić do drzwi. Prosiłiśmy kolegów z innych cel, by robili to samo. Wzywaliśmy lekarza. Przeszedł oficer dyżurny i powiedział, że lekarz będzie rano. Bojąc się o życie kolegi napisaliśmy oświadczenie, że nie bierzemy odpowiedzialności za ewentualne następstwa. To pomogło. Przyjechało pogotowie, które zabrało Andrzeja. Wstrząs mózgu”. Oczywiście władze PRL zrobiły wszystko, aby winą obarczyć internowanych. 6 września – już kilka dni po wypisaniu ze szpitali – pobici (wśród nich również Bober) zostali przewiezieni do więzienia w Elblągu. Oskarżono ich o czynną napaść na funkcjonariuszy, mimo, że żaden z nich nie odniósł obrażeń... W dniu 3 marca 1983 r. zaczął się proces przed Sądem Wojewódzkim w Elblągu. Oskarżonych bronili m.in. Jacek Taylor i Władysław Siła-Nowicki. Rozprawa, która była czystą farsą, trwała przez około dwa miesiące. Internowanych skazano – Andrzeja Bobera na półtora roku pozbawienia wolności. Nie odsiedział całego wyroku, gdyż w związku ze zbliżającą się pielgrzymką Jana Pawła II do kraju sąd postanowił uchylić (do chwili uprawomocnienia się wyroku) tymczasowe aresztowanie. Ostatecznie 17 sierpnia 1983 r., ten sam sąd, na podstawie amnestii z 21 lipca 1983 r. umorzył postępowanie karne w stosunku do skazanych. Niespełna trzy tygodnie później (6 września) Andrzej Bober został zwolniony z aresztu. Jak odnotowała Służba Bez-



pieczeństwa „na znak protestu przeciwko >>niewłaściwemu postępowaniu sądu<< odmówił podpisania oświadczenia o przestrzeganiu obowiązującego systemu prawnego w PRL”.

Po odzyskaniu wolności Bober usiłował włączyć się w działalność podziemną, gdyż uznał – jak sam twierdzi, że „to, co się dzieje w Olsztynie jest niewystarczające i że należy to jakoś rozwinąć”. I – jak dodawał – „Miałem pewien plan stworzenia organizacji podziemnej działającej na wielu płaszczyznach. Nic z tego nie wyszło”. Próbował tworzyć konspiracyjne „trójki” – jedną nawet udało mu się zorganizować, ale nie działała ona jednak długo, gdyż jeden z jej członków wyemigrował do Kanady. Niepowodzeniem zakończyły się również podejmowane przez niego próby wydawania podziemnej gazety. Nie zrażał się jednak i próbował działać dalej – zajął się drukiem „Biuletynu Informacyjnego”, redagowanego w Warszawie przez Joanną Wierzbicką-Rusiecką. Do działalności wciągnął brata i swoją późniejszą bratową. Według ustaleń olsztyńskiej SB działalność tę miał prowadzić od sierpnia 1983 r. do listopada 1984 r. nie tylko na terenie samego Olsztyna, ale również województwa olsztyńskiego. Próbował również – niestety bez powodzenia – podjąć współpracę z członkami Tymczasowego Zarządu Regionu, utworzonego po 13 grudnia 1981 r. Zdecydowała nieufność pomiędzy „starymi” i „nowymi”, a także kwestie ambicjonalne. I obawy „młodych”. „Myśmy się ich bali. Znałem tych starych, wiedziałem, że byli znani i dlatego spaleni” – relacjonował po latach Kazimierz Wosiek. Jak z kolei wspominał Bogdan Bachmura: „Według relacji Sławka [Oleka – GM], Andrzej Bober chciał przejąć cały ten interes [...] Przejęcie przez kogoś z dawnych działaczy było szkodliwe. Można było mówić tylko o wsparciu. I takie propozycje z naszej strony padły. Rozeszli się wówczas w niesympatyczny sposób, ale później Andrzej nas przeprosił. Próbował jeszcze coś nadal robić, w końcu wyjechał”. I trudno mu się dziwić. Tym bardziej, że od odzyskania wolności nie mógł znaleźć stałej prac – mimo, że z wykształcenia był prawnikiem musiał pracować dorywczo, jako pracownik fizyczny w zakładzie hodowlanym. Ponadto on i jego rodzina – w ramach kwestionariusza ewidencyjnego / sprawy operacyjnego rozpracowania pod kryptonimem „Interwent” – pozostawali pod czujnym okiem olsztyńskiej Służby Bezpieczeństwa, a dokładniej jej Wydziału V. W ocenie Ireny Telesz: „Andrzej nie wytrzymał. I Bożena, jego żona, miała kłopoty. Ubecja za nimi bez przerwy chodziła. Andrzej nie miał pracy [...] i jeszcze ciągle rewizje. Z kościoła wychodził, zabierali go. Tak bez przerwy. Andrzej i Bożena byli tym umęczeni”.

W listopadzie 1984 r. Andrzej Bober zdecydował się na emigrację. Sukces funkcjonariuszy SB okazał się jednak jedynie połowiczny, gdyż Bober, który wyjechał do Stanów Zjednoczonych wspierał nadal działalność podziemnej „Solidarności” przysyłając dla niej do kraju pieniądze. Za oceanem dzielił los innych Polaków – był sprzątaczem, robotnikiem budowlanym, kierowcą limuzyny. Próbował swoich sił również w biznesie – założył agencję turystyczną. Pracował także w szpitalu, jako technolog – specjalista od zaburzeń snu. I mimo, iż jego zaangażowanie w działalność „Solidarności” zakończyło się aresztowaniem, utratą pracy i w końcu emigracją nie żałuje tego. Jak bowiem stwierdził: „Miałem szczęście w tym uczestniczyć i miałem szczęście poznać, i pracować z wieloma wspaniałymi ludźmi”.

## Wyposażyć internowanych w odbiorniki radiowe

*Edward Przybysz*

Jest mokre i ciemne listopadowe popołudnie 1982 roku. Mimo, że nie chce mi się wychodzić z domu, muszę wpaść do Krystyny. Obiecałem jej, że porozmawiamy jak działa interferometr Michelsona. Nie chciała zwracać się o te wyjaśnienia do Oswalda, naszego Instytutowego optyka, gdyż jest on ostatnio mocno obciążony. Wyszedłem z domu dość wcześnie, przed osiemnastą, by zdążyć wrócić przed godziną policyjną. Zaraz po przyjeździe zaatakował mnie Piotr – mąż Krystyny, który powiedział, że ma do mnie, jego zdaniem, ciekawą sprawę i chciałby o niej porozmawiać. Z Krystyną raz dwa przeszliśmy do interesującego ją tematu, i dosyć szybko i sprawnie go wyczerpaliliśmy. Zaprowadziła mnie do drugiego pokoju, w którym był Piotr. Szybkie zakończenie omawiania interferometru, który tak bardzo ją interesował i przykładanie dużej wagi do rozmowy z Piotrem, zaciekało mnie, a z drugiej strony pomyślałem sobie, czy nie jest to główny powód mojej wizyty.

Zaczelśmy od narzekań na trudności życia w stanie wojennym, tendencyjnością doniesień prasowych, a także pewnym niedosytem naszych działań. Każdy z nas zajmował się różnorodnymi działaniami opozycyjnymi, głównie drukowaniem. Jednak pozostawał pewien niedosyt, że można by zrobić coś więcej.

Doszlśmy do wspólnych wniosków, że internowani są pozbawieni jakichkolwiek informacji, co się dzieje w kraju, jakie są reakcje na stan wojenny i po prostu zwykłego życia codziennego. Wówczas Piotr, który w tym czasie pracował w Instytucie Teleradiotechnicznym na ul. Ratuszowej w Warszawie powiedział, że może zająć się doszlifowaniem piezoceramicznych obwodów rezonansowych, wąskostrojonych, takich, które nawet przy zagłuszeniu stacji zachodnich, powinny zapewnić dobrą jakość odbioru.

Okazało się, że ma on już prawie gotowy projekt. Bez dalszej zwłoki przeszliśmy do omawiania szczegółów technicznych. Doszlśmy do wniosku, że cały odbiornik powinien się mieścić w pudełku od zapalek, w drugim pudełku zasilanie tego odbiornika – 1,5 woltowe baterijki od głuchosłuchów, dzisiaj oznaczane jako LR3 i miniaturowa słuchawka. Pudełko od zapalek z baterijkami, po ich wyczerpaniu należało wyrzucić i dostarczać nowe. Tak więc, tych elementów powinno być dużo więcej, co najmniej po dwa do jednego odbiornika. Ustaliliśmy, że odbierać się będzie tylko jedną falę, bez możliwości przestrajania. Polepszy to niezawodność i unikniemy kłopotów z rozbudowanym i zajmującym dużo miejsca układem dostrojczym. Zmieszczenie się w założonych wymiarach, w tym czasie było też pewnym wyzwaniem. Z dzisiejszego punktu widzenia i przy obecnym stopniu integracji układów, to nic wielkiego.

Postanowiliśmy więc, że część wytwarzanych odbiorników będzie dostosowana do odbioru rozgłośni „Wolna Europa”, a część do odbioru „BBC” i „Głosu Ameryki”. Zdawaliśmy sobie sprawę, że może dojść do pewnego dyskomfortu, a nawet niezadowolonia z tego

tytułu. Jeżeli ktoś otrzyma odbiornik przystosowany do odbioru BBC a wolałby ten z Wolną Europą, to może poczuć się zawiedziony. Ale w końcu to jest już drugorzędna sprawa, a jakąś decyzję trzeba podjąć. W końcu powinniśmy zadbać, by każdy ośrodek internowania otrzymał po parę kompletów odbiorników. Wewnątrz natomiast, poprzez kontakty osobiste, wiadomości będą się rozchodzić.

Połączenie odbiornika z zasilaniem, czyli jednego pudełka od zapalek z drugim, winno być bez dodatkowych przewodów, a więc za pomocą złącza. Miałem takie, doskonale nadające się do tego celu. Miniaturowe, koncentryczne i złożone złącze, produkowane przez Wschodnie Niemcy. A do tego w dość dużej ilości, by szybko nam ich nie zabrakło. Tak więc sprawa została szybko uzgodniona. Od Piotra dostałem całkiem pokaźną paczkę małych kondensatorów tantalowych, które w tym czasie były materiałem deficytowym i ich brak mógł zagrozić planowanemu przedsięwzięciu.

Zabieramy się, w takim razie, do roboty. Ja miałem zespół i z montażem odbiorników nie było żadnych problemów. Poszukiwałem jeszcze kogoś, kto mógłby przejąć wytwarzanie układów zasilających. Wtajemniczyłem w to przedsięwzięcie Tomka, swojego przyjaciela. Pracował w Instytucie Fizyki Politechniki Warszawskiej, który też miał swój zespół i z mojego punktu widzenia był doskonałym kandydatem. Tomasz propozycję przyjął wręcz entuzjastycznie. Omówiliśmy szczegóły, uzgodniliśmy wszelkie kwestie techniczne i wystartowaliśmy.

Kłopoty zaczęły się już po pierwszych wyprodukowanych egzemplarzach. Zabrakło nam miniaturowych słuchawek. Okazało się, że jest to bardzo trudny do zdobycia produkt w dostępnych nam miejscach zaopatrzenia. Zwróciliśmy się o nie do przyjaciół za granicę. W końcu był to produkt powszechnego użytku i nie kojarzył się z jakąkolwiek działalnością podziemną. Po jakimś czasie, otrzymaliśmy około dwudziestu słuchawek z Francji. Nie na długo to starczyło. Ponownie pojawił się problem słuchawek.

Pierwszą partię dziesięciu odbiorników „złapał” Augustyn i oświadczył, że koniecznie musi się zająć ich rozprowadzaniem. Twierdził, że ma dużo znajomych w miejscach internowania i wręcz jego obowiązkiem jest zajęcie się tą sprawą. Zajął się również i następnymi partiami.

W tym czasie miałem stałe, robocze kontakty z Grzesiem Bogutą. Spotykaliśmy się w co drugi poniedziałek u mnie w domu. Na ogół to ja dostawałem od niego listę, co i komu należy dostarczyć, i pod jaki adres. W przypadku odbiorników, wziął ich partię do rozprowadzenia. Na którymś z następnych spotkań, poinformował mnie, że radioodbiorniki zostały rozprowadzone i jeden z nich otrzymał, jak się wyraził, sam Wódz, który był internowany w Arłamowie. Był to jedyny sygnał jaki dotarł do mnie o korzystaniu z naszego odbiornika.  
*Doc. Dr hab. Piotr Rotkiewicz – w tamtym okresie czasu pracownik ITR w Warszawie, ul. Ratuszowa*

*Dr inż. Tomasz Turski – pracownik IF PW gdzie pracuje do dzisiaj.*

*Mgr inż. Augustyn Waczyński – w opisywanym okresie czasu pracownik IF PAN. W 1985: wyemigrował do Stanów Zjednoczonych,*

*Dr Grzegorz Boguta – W opisywanym okresie czasu pracownik IG UW.*

## Zapiski z 1982 roku (uzupełnione po latach)

*Bogdan Szyszko*

O mającym się odbyć we Wrocławiu 31.08.1982 r. wiecu-manifestacji (w drugą rocznicę Porozumień Sierpniowych) dowiedziałem się jeszcze w Zakopanem od jednego z kolegów (byłem tam na kilkunastodniowym wakacyjnym wyjeździe z grupą duszpaSTERSTWA akademickiego z parafii św. Mikołaja we Wrocławiu). Miałem 19 lat. Skończyłem IV klasę technikum i miałem właśnie zacząć klasę maturalną. Mieszkałem wówczas z rodzicami w osmiopiętrowym bloku przy ul. Dobrej, niedaleko wcześniejszej, z czasów „sierpniowych” siedziby dolnośląskiej „Solidarności” na pl. Czerwonym. Zaraz po przyjeździe do Wrocławia [we wtorek] 31 sierpnia rano, wykąpałem się i poszedłem odwiedzić księdza Waldemara Mirskiego SDB z parafii św. Mikołaja, który był moderatorem, czyli osobą odpowiedzialną za funkcjonowanie grupy oazowej Ruchu Światło-Życie, której byłem aktywnym członkiem. Plebania parafii mieściła się przy ul. św. Antoniego 30. Na plebanii posiedziałem do godz. 12.00. Później wstąpiłem po Marzenkę, moją ówczesną dziewczynę, a aktualnie – żonę. Mieszkała niedaleko bunkra przy pl. Strzegomskim. Poszliśmy na spacer na Wzgórze Polskie. Wracając dałem jej słowo, że nie wyjdę na ulicę w czasie manifestacji. Idąc już ok. godz. 14.30 w stronę zbiegu ulic Zachodniej i Legnickiej, mijaliśmy patrole ZOMO, które jednak nas nie zaczepiały (chłopak z dziewczyną).

Z powrotem do domu miałem już pewien kłopot. Bojąc się, żeby mnie nie zatrzymał jakiś patrol, wsiałem do tramwaju; przy motorniczym stał zomowiec i dwóch żołnierzy. Ujechałem jeden przystanek, a gdy tramwaj się zatrzymał i nie jechał dalej, przesiadłem się w następny. Przy ul. Młodych Techników tramwaje stanęły ostatecznie. Wszyscy wysiedli. Spojrzałem w stronę niedalekiego domu: tam akcja już się zaczęła. Słychać było pukanie karabinowych wystrzałów, widać było dym z pocisków z gazem łzawiącym i pędzący za gromadą ludzi samochód opancerzony. Próbowałem dojść do domu obok hoteli robotniczych, które znajdowały się pomiędzy ulicami Braniborską i Legnicką, na wysokości ul. Trzemeskiej; niestety, tam już ludzi gonił samochód opancerzony. Skręciłem w ul. Braniborską. Tam też za gromadą ludzi jechał wóz z megafo-nami, z których płynęły wezwania do rozejścia się, a tuż za nim jechał inny – do rozpędzania tłumów – i od razu, profilaktycznie, polewał wszystkich wodą. Znow skręciłem w bok. Byłem już na swojej ulicy. Musiałem skradać się pod murami domów; wyciągnąłem chustkę do nosa, bo popłakałem się, tzn. pociekły mi łzy z powodu dużego stężenia środków łzawiących rozpylonych w powietrzu. Przed bramą mojego domu stał tłum ludzi. Coś krzyczeli w stronę stojących na ulicy zomowców.

Wpadłem w ulgę do domu. Spotkałem tam niespodziewanie dwóch kolegów i koleżankę, którzy przyszli do mnie z jakimś interesem i nie zdołali już wyjść – akcja prze-

niosła się na moje podwórko. To z nimi m.in. byłem w Zakopanem. A przyszli, żeby... popatrzeć z, jak uważali, bezpiecznego miejsca na siódmym piętrze na to, co będzie się działo podczas demonstracji. Teraz razem, najpierw z balkonu, a później z okien wszystkich pokoi i kuchni, obserwowaliśmy rozwój akcji. Krajobraz roztaczał się iście bitewny. Ulica Legnicka przegrodzona była barykadą z wywróconego wózka warsztatowego MPK i później dołożoną rurą kanalizacyjną, których stos leżał niedaleko. Ulica Legnicka była wówczas przebudowywana i wzdłuż niej leżało mnóstwo materiałów budowlanych. Na jej środku stało ok. 40 zomowców w pełnym rynsztunku, z tarczami ustawionymi jedna obok drugiej dla obrony przed nadlatującymi kamieniami, strzelających na wszystkie strony pociskami z gazem łzawiącym, odrzucających kamienie w stronę napierającego na nich ze wszystkich stron tłumu, nie żałującego (uzbrojonym przeciwnikom) kamieni i okrzyków w rodzaju „gestapo!”. Raz po raz ktoś próbował podpalić kolumnę ZOMO-wskich wozów, stojących koło znajdującego się w pobliżu, na rogu Legnickiej i Środkowej sklepu rybnego, rzucając z dachów pobliskich domów (przy ul. Legnickiej) butelki z płynem zapalającym. Każdy udany rzut, tzn. kończący się rozbiciem butelki i rozbłyskiem zapalanej benzyny, wieńczony był tryumfalnymi okrzykami tłumu.

W tym rejonie nie udało się zniszczyć żadnego wozu milicyjnego. Co prawda przejeżdżały tamteży kolumny wozów ZOMO, ale zostały tylko pozbawione maksymalnej ilości szyb, przez obrzucenie kamieniami. Cywilny wóz, który się tam zabląkał oraz karetki, które co rusz zajeżdżały po ranionych zomowców, były przez tłum oszczędzane.

Po pewnym czasie, gdy przybyły posiłki ZOMO, milicja ruszyła do kontrataku. Po przepędzeniu ludzi z podwórka budynku przy ul. Dobrej, zaczęto strzelać pociskami z gazem łzawiącym do wszystkich, którzy znajdowali się na balkonach i w oknach domów (na głowy zomowców leciały butelki itp.). W bramach też szaleli zomowcy. Szukali wszystkich, którzy pochowali się po klatkach schodowych i po mieszkaniach, a którzy wcześniej tak im się dali we znaki. W bramach wyważano drzwi, przeszukiwano mieszkania, wygarniano wszystkich podejrzanych.

Mama, która pracowała w pobliskim sklepie, wpadła ok. godz. 16.00 do domu pełna niepokoju o mnie, bo na Legnickiej samochód milicyjny potrącił i przejechał jakiegось chłopaka.

Teraz wiem, że rzeczywiście niedaleko naszego domu, u zbiegu ulic Nabycińskiej i Legnickiej został potrącony i przejechaany przez samochód ciężarowy ZOMO podczas owej demonstracji Jarosław Hyk, chłopak o rok ode mnie starszy. Przeżył.

Zasiedliśmy wszyscy razem do obiadu. Ten obiad, jak dziś oceniam, była to swego rodzaju rodzinna, obronna „ustawka”. Miała pokazać, że w tym domu do stołu – z rodzicami i dziećmi (miałem jeszcze cztery młodsze siostry) nie mogli zasiadać jacyś „zadymiarze” z ulicy. Pamiętam, że mama przygotowała wtedy pyzy... Nagle słychać walenie pięścią w drzwi i słowa: „Otwierać, milicja!”. Tato podszedł do drzwi i otwo-

rzył. Do mieszkania wszedł olbrzym w mundurze ZOMO i wskazując na mnie i moich dwóch kolegów, powiedział: „Panowie, dowody i na korytarz”. Podaliśmy dowody osobiste i zaczęliśmy schodzić na dół. Piętro niżej natknęliśmy się na innego rosnącego rozwścieczonego zomowca, który już na początku przyłożył jednemu z kolegów „szturmówką”, długą na 63 cm gumową pałką, pieszczołtliwie nazywaną „lola” lub „długą blondynką”, której używały służby mundurowe, m.in. ZOMO do rozpędzania większych grup ludzi, od końca lat 60. do końca lat 90. Na dole kazali nam chwycić się za ręce i tak doszliśmy do ul. Legnickiej. Później kazali nam puścić ręce i, prowadząc do „bud” zaparkowanych u zbiegu ulic Środkowej i Rybackiej, okładali nas „lolami” z okrzykami: „To za moją głowę”, „To za moje nogi”, „To za mojego kumpla”. Po drodze bili nas gdzie popadło i jak się dało: z pięści w brzuch, a później w kark, po rozwartych dłoniach, gdy kazali pokazywać, czy nie są powalane ziemią i brudem od rzuconych kamieni, czy też pięścią w twarz. Zomowcy byli niesłychanie agresywni, wprost nieludscy w biciu. Przed samym wozem-więźniarką również nas obito i wśluzono do „budy”, wozu podzielonego na dwie klatki, duszne i ciasne. Tam upakowano nas po trzynastu-czternastu do jednej klatki i po godzinnym postoju przewieziono na ul. Łąkową do Komendy Wojewódzkiej MO. Dodam tytułem wyjaśnienia, że mówiło się „na Łąkową”, choć poprawniej byłoby napisać: pl. Muzealny. Kompleks KW MO rozpościerał się między tym placem a Łąkową właśnie.

Tam przybyliśmy około godz. 18.00. Na podwórzu ustawiono nas w szereg i myśleliśmy, że będą się nad nami znęcać na dole, na dziedzińcu. Z okien budynku wyglądały dziesiątki ludzi. Może właśnie z tego powodu tu nic nam nie zrobiono... Popędzono nas na trzecie piętro gmachu, do świetlicy. Po drodze znalazło się kilku zomowców, którzy za pomocą pięści i pałek wyładowywali na nas swoją energię. W świetlicy byliśmy pierwszą grupą. Zrobiliśmy tam przemeblowanie, na wyraźne polecenie milicjantów przenieśliśmy na jedną stronę sali stoliki i krzesła tak, by większość przestrzeni pozostała pusta i by mogło się zmieścić jak najwięcej ludzi.

Nie wiedzieliśmy, co z nami chcieli zrobić. Świetlica to sala o wymiarach ok. 10x20 m. Na jej ścianach wisiały dość ironicznie brzmiące w naszej sytuacji hasła: „W służbie narodu” i „Nasz aparat zawsze wierny partii i narodowi”. W sali najpierw staliśmy, potem, w miarę upływu czasu – porozsiadaliśmy się, a gdy zmęczenie sięgnęło zenitu, położyliśmy się na parkiecie. W Komendzie Wojewódzkiej przebywaliśmy ok. 18 godzin, tj. do godz. 12.00 dnia następnego, kiedy to popędzani pałkami rozwścieczonych zomowców po „ścieżce zdrowia” z trzeciego piętra na parter zostaliśmy wpędzeni jak dzikie zwierzęta do tych samych „bud”, którymi nas przywieźli.

Nasz pobyt na Komendzie nie był sielanką. Do godz. ok. 1.30 w nocy, pamiętam to, bo później zasnąłem, zwożono ludzi z całego Wrocławia: pobitych, zakrwawionych, z rozbieganymi oczyma, przerażonych tym, co przeżyli. Co chwila również wywoływano zatrzymanych pojedynczo z sali na indywidualne rozmowy z oficerami SB, pro-



kuratorami i oficerami śledczymi. A każde takie wyjście na korytarz, najeżony wściekłymi, żądnymi okazji do bicia zomowcami, nie należało do przyjemności i jeśli ktoś nie trzymał się pleców wyprowadzającego go z sali oficera, zbierał cięgi takie, że wracał na salę z grymasem bólu na twarzy. Zomowcy nie oszczędzali również kobiet, których było na sali kilka. Były one na równi z wszystkimi, głównie młodymi mężczyznami, bite i poniewierane. Przy wyjściach do ubikacji również nikogo nie oszczędzano, bito bez umiaru.

I za co? I kogo? – w przeważającej liczbie ludzi spokojnie chodzących po ulicach, wracających z pracy czy siedzących w domach. Byli wśród nas, co prawda, i tacy, których złapano na gorącym uczynku rzucania kamieniami, krzyczenia „gestapo”, czy rzucania butelkami z benzyną. Ci jednak byli „specjalnie” potraktowani już przy ujęciu. Tak, że co niektórzy nie mogli się nawet poruszyć bez bólu...

Od późnej nocy aż do wczesnego rana kto mógł spał snem niespokojnym i w jakiej tylko pozycji się dało. Ok. godz. 5.00 rano młody zomowiec, zachowując się bardzo agresywnie, wszedł do świetlicy i zabronił spać. W czasie nocy przewinęło się przez świetlicę wg mojej rachuby ok. 300 osób.

Ok. godz. 12.00, już 1 września, na salę wszedł oficer śledczy (tak to zapisałem w 1982 r., ale faktycznie nikt z tych, którzy nami „dysponowali” się nam nie przedstawiał), który zaczął wyczytywać nazwiska i wyczytanym kazał wychodzić na korytarz. Kiedy usłyszałem swoje nazwisko i wyszedłem z sali, drżały pode mną nogi. – Żeby tylko nie bili... A jednak! Choć nie było to po plutonie ZOMO na każdym piętrze, jak w nocy, ale przez „ścieżkę”, jak ironicznie nazywano stosowaną w czasach PRL praktykę uderzania pałkami milicyjnymi aresztanta biegnącego między dwoma szeregami bijących, przejść musieliśmy.

W samochodzie, do którego nas zapakowali (była to taka sama „buda”, jaką przyjechałem) znów niepewność: co teraz? Gdzie teraz? A może jedziemy jeszcze na „Księcia Witolda” – do „wilczej jamy”, przez którą przeszło już sporo naszych współtowarzyszy niedoli? Przy ul. Księcia Witolda 38-40 mieściły się wówczas koszary ZOMO.

Baliśmy się tego, bo znaleźliśmy relacje naszych nowych znajomych. Stacjonowało tam ok. 1000 zomowców. Po akcji część schwytanych ludzi zwożono „na Witolda”, i tam, ustawiając ich pod ścianą, bito w okrutny sposób z tyłu pałkami i pięściami gdzie popadło. Według relacji tych, którzy tam byli, wszystko to, co przeżyli na Komendzie Wojewódzkiej i później było niczym w porównaniu z męczarniami z „Księcia Witolda”.

Nie jechaliśmy jednak na ulicę Księcia Witolda! Więźniarka zawiozła nas do niedalekiego więzienia, aresztu śledczego na ul. Świebodzką, gdzie przy wyjściu z samochodu otrzymałem tak potężne uderzenie rączką pałki powyżej kolana, że wchodząc do budynku zacząłem tracić przytomność. Przy pomocy kolegów doszedłem jednak do siebie i mogłem „spokojnie” oczekiwać na przyjęcie, tzn. spisanie danych, oddanie rzeczy do depozytu i pobranie więziennej wyprawki.

W naszym „transporcie” przywieziono ok. 60 osób. Wszystkich „z zadymy” było nas ok. 90. Byliśmy już jednak w innym świecie. Tu powiedziano nam, że nie ma mowy o biciu. Zaczęliśmy oddychać spokojniej.

W skład więziennego oporządzenia wchodziły: koc, poduszka, dwa prześcieradła, poszewka, aluminiowe – miska, talerz, kubek i łyżka, kawałek szarego mydła i trzy ściereki. Na początku siedziałem w celi nr 6. Była to cela 9-osobowa (nas było ośmiu), o wymiarach 4,7x3,7 m ze zlewem i z kibelem za symbolicznym parawanem.

Po pierwszym więziennym posiłku (zupa mleczna, chleb i margaryna) wszyscy zaraz poszli spać. Spaliśmy „smacznie” do godz. 6.00, kiedy to obudził nas rozlegający się z głośników dźwięk syreny. Po porannym apelu (wszyscy stają, klawisz liczy aresztantów) – śniadanie (chleb, margaryna, śledzie solone) i objanie się od ściany do ściany przerwane obiadem o 12.00. Po obiedzie oczekiwanie na kolację (o 16.00), apel wieczorny, wystawienie ubrań złożonych w kostkę za drzwi i... wreszcie można się położyć na łóżku (w dzień nawet siadanie na łóżku było zabronione – siedzieliśmy na taboretach).

Wszyscy z utęsknieniem oczekiwali dnia następnego, kiedy to mieli nadzieję, że być może coś się wyjaśni... A dla większości z nas następnym dzień przebiegał równie barbarwie jak poprzedni, zapełniony jedynie brzękiem „betoniarki”, tj. głośnika, z którego przez cały dzień płynęły różnorodne melodie puszczone z miejscowego radiowęzła.

W czwartek 2 września prawie wszyscy mieszkańcy celi byli na konfrontacji na ul. Księcia Witolda. Mnie to opatrnościowym zrzędzeniem ominęło...

Jak takie coś wyglądało? Taka sama parodia, jak wszystko inne. Spisywano tam zeznania zomowców i zatrzymanych, po wcześniejszym ich rozpoznaniu przez tychże zomowców. Jaki był scenariusz takiego spotkania i złożenia zeznania? Wzdłuż szeregu zatrzymanych przechodził zomowiec i łaskawym uderzeniem pięści lub pałki w delikwenta „przypominali” sobie, że to akurat ten osobnik, którego on złapał. Zatrzymani w przeważającej większości widzieli tych zomowców po raz pierwszy w życiu... Następnie tak „dobrana” para szła do stolika, przy którym młodzi adepci sztuki fałszowania zeznań pisali, co im się tylko żywnie podobało. Na pytanie opisującego funkcjonariusza skierowane do zomowca, gdzie schwytał zatrzymanego, ten odpowiedział, jak mi opowiadano, że „na ul. Legnickiej”. Na to zatrzymany, że „szedł z pracy do dworca”. Na co zomowiec odpowiadał: „Tak, tak, koło Dworca Świebodzkiego”. A zatrzymany na to: „Ale ja szedłem na Główny”. Zomowiec, wyraźnie już zdenerwowany: „No to gdzie ja cię złapałem?!”. I w ten sposób „wyciągnięto” z delikwenta również resztę interesujących przesłuchującego wiadomości, które i tak nie wiadomo jak były zapisywane...

A zarzuty w aktach oskarżenia stawianych zatrzymanym były prawie jednakowe: rzucanie kamieniami i okrzyki: „gestapo”. Niektórym dochodziło jeszcze rzucanie butelkami z benzyną. Zdarzały się jednak i takie, jak np. pościg za samochodem opancerzonym na rowerze z butelką wypełnioną płynem zapalającym w rękę, gdy człowiek

jechał na rowerze po pracy z butelką wódki w teczce, którą chciał wypić z kolegami i feralnie ogarnął go żywioł demonstracji. Kolejny zatrzymany, dyżurny ruchu na jednej z wrocławskich stacji kolejowych, o ile mnie pamięć nie myli, chodziło o stację Wrocław Mikołajów, został wezwany do Komendy Wojewódzkiej i internowany pod zarzutem zagrzewania do boju demonstrantów przez megafony stacyjne okrzykami: „Chłopcy, do boju!”. A jak było naprawdę? Maszynista pociągu elektrycznego stojącego na stacji krzychał przez radiotelefon do dyżurnego ruchu właśnie, aby powstrzymano akcję służącego do rozpraszania tłumów samochodu ZOMO, lejącego wodą po przewodach sieci trakcyjnej, bo groziło to śmiercią zarówno maszynisty, jak i obsługi ZOMO-wozu na skutek porażenia prądem o napięciu 3000 V. Przez megafony przekazano uwagi maszynisty i akcję przerwano. Niestety, 3 dni później przyszło do obydwu dyżurnych znajdujących się na stacji w czasie akcji wezwanie do stawienia się w KW MO. Tak to wówczas było z zarzutami, zeznaniami i oskarżeniami...

Po przyjeździe z ul. Księcia Witolda większość z nas czekała rychłego kolegium i wypuszczenia na wolność.

Kolegia do spraw wykroczeń były w czasach PRL organem administracyjnym orzekającym w sprawach o wykroczenia. Mogły wymierzać m.in. areszt do 3 miesięcy, ograniczenie wolności do 3 miesięcy, grzywnę, naganą, a także kary dodatkowe.

Dla niektórych stało się to faktem. W czwartek i w piątek, 2 i 3 września wzięto z celi cztery osoby – jedna wyszła na pewno. W celi zostało nas czterech. Ciągłe czekaliśmy na decyzje.

Wreszcie w piątek, około 13.00, kazano nam pakować manatki. Z nadzieją wychodziliśmy z celi. Tym razem to jednak jeszcze nie było to – przeprowadzono nas do celi nr 8, gdzie siedziało trzech zatrzymanych. Jednego zaraz wzięli, resztę w niepewności trzymano do wieczora. Ok. 19.00 i pozostałym kazano pakować manatki. Po zdaniu całego więziennego „majątku” do magazynu, z wielką nadzieją w sercu udaliśmy się do biura aresztu – myśleliśmy: po odbiór dokumentów i... na wolność! Jak wielkie jednak było nasze rozczarowanie, kiedy zamiast upragnionych przepustek na wolność otrzymaliśmy, i to tylko niektórzy – reszta miała otrzymać nazajutrz... decyzje o internowaniu w Nysie!

Pamiętam, że ze zdumieniem w oczach wczytywaliśmy się w treść doręczanych nam dokumentów, gdzie pisano (jak u mnie), m.in., że pozostawanie na wolności obywatela BS, zamieszkałego itp. zagrażałoby bezpieczeństwu państwa i porządkowi publicznemu przez to, że istnieje uzasadnione przypuszczenie, iż przebywając na wolności naruszy porządek prawny. I dalej, że na zasadzie dekretu o stanie wojennym postanawia się internować obywatela BS i umieścić go w ośrodku odosobnienia w Nysie.

Tego samego dnia przewieziono nas do więzienia (aresztu) w Komendzie Wojewódzkiej, gdzie posiedzieliśmy od piątku wieczór do południa w poniedziałek. „Gadami”, czyli klawiszami (strażnikami) w tym więzieniu była milicja. Jej zachowanie zdecydo-

wanie na plus odbijało od zachowania ZOMO. Ludzie ci nie widzieli w nas zwierząt, ale ludzi. Jak do ludzi też się do nas zwracali. Siedziałem tam w celi nr 11, każdy z nas miał też swój numer. Byłem numerem 498. Siedzieliśmy w celach po 6 osób.

Tam też otrzymywaliśmy pierwsze paczki. Jakże wielką radość sprawiał nam fakt odnalezienia nas przez bliskich, nawiązania łączności z nimi! Niestety, nasi bliscy nie zawsze wiedzieli, gdzie jesteśmy. Moi przez dobrych kilka dni od zatrzymania nie mieli konkretnych informacji, gdzie aktualnie przebywam i co się ze mną dzieje, pomimo od początku ponawianych zapytań i wizyt na różnych szczeblach władz milicyjnych, partyjnych i urzędowych, wielokrotnie słysząc tekst w rodzaju: „Sprawdzamy, jak będziemy wiedzieli – damy znać”.

Spaliśmy tam, w areszcie Komendy Wojewódzkiej, na derkach rozłożonych na deskach (dwa podesty, stolik, sedes – całe wyposażenie), przykrywaliśmy się kocami. Było nie-ludzko duszno, a jeśli jeszcze było się jedynym niepalącym w celi...

Więzienie i wojsko daje podobno jakąś szkołę, jest sprawdzianem ludzi. Tu można poznać takich, na których można rzeczywiście liczyć. Dzięki ludziom z 11-tki nie załamałem się, choć byłem tego bliski. Dzięki ich szorstkiej, ale troskliwej opiece wyszedłem z tego w pełni sił. W celi siedział ze mną Bogdan, mój imiennik. Wielki chłop, ok. 190 cm wzrostu, o twarzy... poranej życiowymi przygodami, z przerwą na papierosa w użębieniu (brak jedyńki), z tatuażami na całym ciele, wskazującymi, że z niejednego pieca chleb jadł i niejeden areszt znał od środka. Gdybym go zobaczył na ulicy, pewnie przezornie zszedłbym mu z drogi. Widząc mnie osowiałego, siedzącego w kącie, zagadywał dopingująco, jak mógł, żebym się ruszył: a to zagrał w karty, a to o czymś z nim pogadał. I wyrwał mnie z marazmu. Później, w Strzelinie, dużo ze sobą rozmawialiśmy na spacerniaku. Słuchał mnie, młodszego od siebie o lat kilkanaście (miał chyba 32, z czego 13 lat spędził w ośrodkach penitencjarnych w całej Polsce), a ja mogłem go... ewangelizować. A był naprawdę wdzięcznym słuchaczem, kiedy np. mówiło mu się, że Bóg jest dobry i go kocha, takiego, jakim jest, a i nie wszyscy ludzie są tacy źli, na jakich czasami wyglądają...

Po przetrzymaniu nas przez niedzielę, w poniedziałek ok. godz. 14.00 kazano nam się pakować. Po kilkudziesięciu godzinach spędzonych w dość luźnej atmosferze w areszcie Komendy Wojewódzkiej nie wiedzieliśmy, gdzie nas chcą zabrać. Większość myślała, że do Nysy, jak mieliśmy napisane w papierach o internowaniu, jednak milicjanci mający nas konwojować przebąkiwali coś o Strzelinie, a nawet o... Bieszczadach. To jednak Strzelin okazał się prawdziwy.

Po około godzinnej jeździe ZOMO-wozem, dość szaleńczej, która powywracała nam trochę treści w żołądkach, dojechaliśmy na miejsce. Wysiedliśmy i pełni niepokoju czekaliśmy na załatwienie formalności meldunkowych, depozytu, wyprawki. Później zaprowadzono nas do celi. Było nas dwudziestu trzech, rozdzielono nas na trzy cele.

\*\*\*

Siedzę w dziewiątce. Zapoznanie z regulaminem, kolacja i... spać. Plan dnia przedstawia się następująco: 7.00 pobudka, 7.30 śniadanie, 8.00 apel, przed obiadem godzinny spacer po więziennym podwórku, o 13.30 obiad, 17.30 kolacja, 20.00 apel, 22.00 gaszenie światła.

Dzisiaj jest już dwunasty dzień od zatrzymania i siódmy pobytu w Strzelinie. Mieliśmy dzisiaj prawie wszyscy odwiedzin. Dopiero tutaj człowiek poznaje prawdziwy smak wolności. Kładę się czasami na łóżku i patrzę przez zakratowane okno na piękne wzgórza otaczające Strzelin i czuję tę wolność, która jest za murami więzienia. Również tutaj odkrywam naprawdę modlitwę. Naprawdę, gdy klękam, łączę się z Bogiem. Tak samo jest z mszą św. rozbrzmiewającą z głośników. Tak jak dzisiaj ją przeżyłem, nie w kościele, ale w celi, w której większość towarzyszy niedoli leży na łóżkach nawet w czasie podniesienia, nie przeżyłem nigdy. A i tak cisza, która panowała w czasie transmisji mszy św. dawała wiele do myślenia.

Zaraz po mszy św. miałem widzenie z bliskimi. Jak bardzo oni są mi jednak bliscy... Jak trudno mi się z nimi rozstawać... Najpierw liczyliśmy godziny rozłąki, później dni, a teraz tygodnie. To już dwa tygodnie jesteśmy pozbawieni wolności.

I za co? Znowu wracają myśli o powodach, dla których nas tu zamknęli. I jak się znaleźć w więziennej rzeczywistości. Czy człowiek lecący samolotem z Warszawy do Wrocławia może przylatywać specjalnie po to, aby obrzucić zomowców wyzwickami i kamieniami?! Taki zarzut usłyszało dwóch z nas. Tym razem i wojsko splamiło swój mundur. Niektórzy z nas dostali cięgi od żołnierzy w czerwonych beretach. Bo taki zarzut dostało dwóch z nas, którzy przylecieli samolotem feralnego dla nich 31 sierpnia do Wrocławia z Warszawy i wdawszy się, jeszcze na zejściowych schodkach samolotu w jakąś pyskówkę z żołnierzami (podobno „czerwonymi beretami z Bolesławca”), dostali po głowach i ostatecznie wylądowali razem z nami w Strzelinie. Które z formacji milicyjnych były „najlepsze” 31 sierpnia: ZOMO, ROMO (Rezerwowe Oddziały Milicji Obywatelskiej) czy OSMO (kadeeci z Ośrodków Szkolenia Milicji Obywatelskiej)? A może żołnierze z WOP (Wojska Ochrony Pogranicza)? Jacy mamy być wobec „gadów”? Czy tacy, jak oni wobec nas?

Z więziennego słownika: „patrzonko” – widzenie, „siąść na kapę” – zadzwonić na strażnika, „gad”, „klawisz” – strażnik, „micha” – posilek, „betoniara” – głośnik, „szług” – papieros, „grypserka” – mowa więzienna, „fikolek” – stolek, „wafel”, „herbatnik” – kolega, „czaj” – mocna herbata, „bardacha” – sedes, „szmata” – milicjant, „kaszołat”, „małolat” – młodociany, „gable” – ręce, „stójki” – nogi, „patrzałki” – oczy, „platerzy” – talerze, „kubanki” – kubki, „kopsaj żaru” – daj ognia, „marycha” – margaryna, „nawijka” – umiejętność rozmowy, „pucha”, „puszka” – więzienie, „styja” – tyłek, „kirać” – pić, „szamać” – jeść.

Dostaliśmy osobliwy prezent od „złodziei” (tak nazywają samych siebie więźniowie kryminaliści), którzy odnoszą się do nas z wielką życzliwością. Była to projekcja filmu

„Vabank” – bezpłatna. Oni jednak o tym nie wiedzieli. Niestety, dziś nie mogę sobie przypomnieć, jakie zasady obowiązywały, według których można było oglądać filmy. Na pewno mogliśmy oglądać w świetlicy Dziennik Telewizyjny. Zapewne oglądanie tego typu filmu jak „Vabank” (komediowego, a do tego kryminalnego!) było jakąś formą nagrody. Wymowny jest jednak sam fakt obdarowania nas, internowanych (w domyśle, choć nie bardzo zasłużenie – więźniów politycznych) przez osadzonych kryminalnych. Ze świetlicy pamiętam jeszcze lekturę gazet. „Trybuna Ludu” czy „Żołnierz Wolności”, najbardziej zakłamane tuby propagandowe ówczesnych władz, były nam dawane do czytania w formie ocenzonej – artykuły, które w zamyśle naszych wychowawców mogły nam zaszkodzić były po prostu... wycinane.

Wtorek 14 września, wieczór. Zaczyna się 3. tydzień rozłąki. Dzisiaj zwolniono dwie osoby – chłopaków z Warszawy. Był też u nas oficer śledczy, przesłuchiwał jednego z nas. Nie wiadomo, co lepsze – siedzieć bez żadnej perspektywy, bez jakiegokolwiek wiadomości o postępie sprawy czy też być oskarżonym o konkretne występki. Widok przez kratę i siatkę z poziomu górnej pryczy – taka jest wolność w tym kraju...

Wczoraj wieczorem znów były we Wrocławiu jakieś „zadymy”. Być może, jak dziś sądzę, po mszy we wrocławskiej katedrze 13 września 1982 r. Znów, podobno, prokuratura ma pełne ręce roboty. A kiedy przyjdzie nasza pora?! Przygnębienie i zdenerwowanie bezczynnością wciąż rośnie. Nasi bliscy stają się nam coraz bliżsi.

Nawet w nocy śnimy o tym, co przeszliśmy. Dzisiaj śniło mi się, że na pl. Dzierżyńskiego (dziś pl. Dominikański) dostałem „lola” po plecach od jednego z wyskakujących z kolumny samochodów zomowców. Czy kiedyś zapomnę o tym, co przeżyłem? W nocy wielu z nas krzyczy na głos. Słyszałem wyraźnie: „Zwiążcie go”. Może to pozostałość z okrzyków: „Kocham milicję i Ludowe Wojsko Polskie”, które kazano wznosić zatrzymanym w koszarach przy ul. Księcia Witolda, pod razami pięści i pałek tychże – milicji i żołnierzy LWP?

Monotonia dnia przerywana jest (około godziny 15.20) 3-4 wybuchami w pobliskich kamieniołomach w Strzelinie, największych nie tylko w Polsce, ale i w Europie.

Zakład Karny w Strzelinie został utworzony w 1979 r. A głównym inwestorem budowy były Kopalnie Skalnych Surowców Drogowych w Strzelinie, które zapewnił chciały sobie stałych pracowników spośród skazanych. W 1982 r. KSSD przekazały cały zakład karny Ministerstwu Sprawiedliwości. ZK w Strzelinie wielokrotnie zmieniał swoje przeznaczenie. Początkowo odbywali tu karę karani po raz pierwszy, następnie recydywiści, na których nakładano obowiązek świadczenia pracy w przyległych kamieniołomach i ponownie pierwszy raz karani, w tym osadzeni młodociani.

Czwartek – 16. dzień. Nowe niespodzianki. W czasie codziennego przeszukania naszej celi „gad” odkrył moje notatki. Nie zabrał ich, co gdzie indziej było powszechną praktyką. Powiedział, żeby uważać, bo można sobie zaszkodzić. Wziąłem to sobie do głowy. Jednego z nas wzięto na przesłuchanie w charakterze świadka. Analizując



jego rozmowę z oficerem śledczym doszliśmy do wniosku, że prawdopodobnie wko-pał kumpla. Przy takich okazjach trzeba uważać. Prośbą, albo groźbą mogą z czło-wieka wycisnąć nawet to, czego nie wiedział i nie zrobił. Na koniec rozmowy śledczy dał mu paczkę papierosów.

Był u nas naczelnik zakładu karnego. Podpułkownik. Grzeczny, uprzejmy, pytał o nasze potrzeby. Na koniec życzył nam... miłego pobytu. Jego wizyta wyraźnie popra-wiła nam humory. Powiedział, że lada dzień spodziewa się z Komendy Wojewódzkiej MO decyzji o naszym zwolnieniu. Jest dwudziestym drugim, który czeka... (Pomyli-łem się wtedy, dwaj koledzy opuścili nas kilka dni wcześniej, a więc naczelnik był co najwyżej dziewiętnastym, który czekał na ewentualną decyzję o naszym zwolnieniu).

Siedemnasty dzień. Ciągłe czekamy. Teraz można już się śmiać z tego, jak pędzeni jak bydłęta razami zomowskich pałek kierowani byliśmy na salę świetlicy w Komen-dzie Wojewódzkiej, zapędzani w ślepe zaułki – tam bici, katowani i kierowani krzy-kiem bólu poprzedników we właściwe drzwi. Można się śmiać, ale tylko półgębkiem – rany się co prawda zagoiły, ale wspomnienia razów, wspomnienie atmosfery zwi-erzęcego traktowania pozostało.

W czwartki nie pozwalają nam oglądać kryminałów w telewizji. Tego, cośmy sami przeżyli nie pokazują w relacjach z Salwadoru czy RPA.

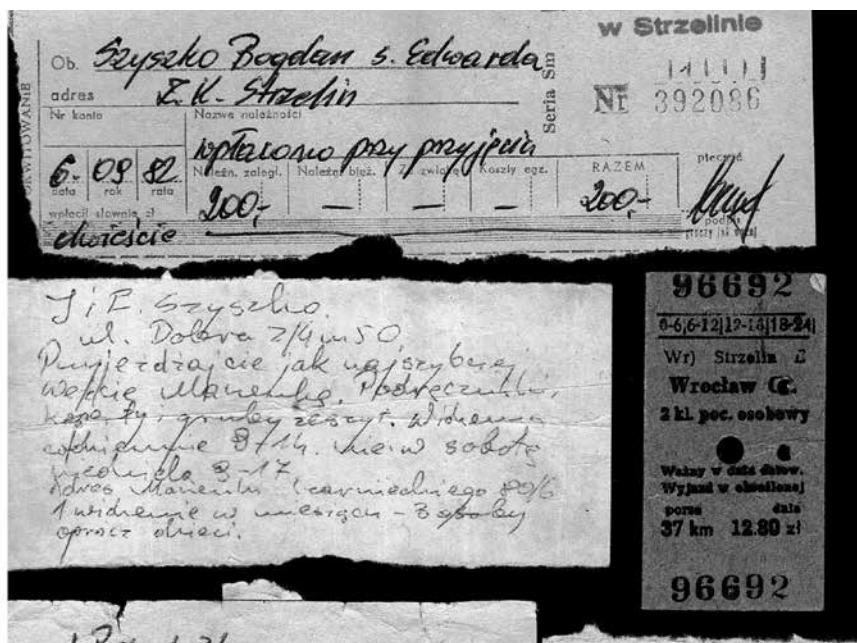
Dzień osiemnasty. Dzisiaj rano dostaliśmy „cynk”, który zaczął nas poważnie eks-cytować. Młody „złodziej”, który nas obsługuje, przydzielony do pomocy w rozdzie-laniu posiłków w naszym bloku, oddzielonym od pozostałych pomieszczeń więzien-nych, powiedział, że dzisiaj o godz. 9.00 mamy wyjść. Wiadomość tę potwierdzili „złodzieje” z łaźni, którzy mówili, że mieliśmy się nie kąpać. Dostaliśmy jednak tego zaszczytu, który przysługiwał nam raz na tydzień, właśnie w sobotę. Cały ten dzień był nacechowany oczekiwaniem. Choć powiedziano nam, że mogą nas zacząć puszczać dopiero w poniedziałek, już dzisiaj miotaliśmy się z kąta w kąt. Co prawda nie powiedziano nam, czy nas wypuszczają na wolność, czy też mają np. przewieźć do Nysy, jednak wszyscy podświadomie odrzucają tę drugą możliwość. Pragnienie wol-ności jest tak wielkie, że góruje nad wszystkim. Jeden z nas już się nawet spakował. Wolność jest coraz bliżej. Dzieli nas od niej dwie noce.

Dzień dziewiętnasty. Atmosfera robi się coraz bardziej gorąca. Robimy się coraz bar-dziej nerwowi. Wybuchają nawarstwiają się przez czas odosobnienia konflikty. Pyta-my wszystkich dookoła: czy coś nie wskazuje na to, że jutro wyjdziemy?

*Tu kończą się moje zapiski z 1982 roku. Na wolność wyszliśmy we wtorek 20 wrześ-nia. Trzy tygodnie po uwięzieniu. Ze szczegółów tego dnia pamiętam, że każdy z nas dostał pieniądze na bilet kolejowy do Wrocławia i ostre przykazanie, żeby nie zbaczać z trasy na stację w Strzelinie. Po drodze widzieliśmy, że obserwowano nas z samocho-dów, czy nam co do głów spragnionych wolności głupiego nie przyjdzie. Kolejnego dnia*

mieliśmy obowiązek stawić się przed obliczem władz milicyjnych, co uczyniłem w gmachu Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej przy pl. Muzealnym we Wrocławiu – ale już jako człowiek wolny. Tam, na odwrocie decyzji o zwolnieniu dyżurny milicjant przystawił mi po prostu pieczętkę... i tyle. Po powrocie do normalnego życia stanąłem przed Kolegium do Spraw Wykroczeń, ale dzięki sprawności zawodowej pani adwokat Aliny Lubczyńskiej, bohaterskiej postawie moich sąsiadek z bramy, które gremialnie za mnie poręczyły, za sprawą sprzecznych notatek milicyjnych co do mojego zatrzymania i niestawienia się oskarżającego mnie milicjanta, zostałem niewinny od stawianych mi zarzutów. Z tego też m.in. powodu (co do innych nie mam świadomości) nie zostałem wyrzucony ze szkoły – w terminie ukończyłem V klasę Technikum Elektrycznego i zdałem maturę. A w międzyczasie jeden z nauczycieli zawodu, świadom moich przeżyć, zaproponował mi zajęcie kolportera prasy niezależnej, któremu to zajęciu oddawałem się m.in. w trakcie późniejszych równoległych studiów i pracy na etacie, do 1990 r. Od tego czasu moim nowym znajomym z konspiracyi mówiłem, że internowanie w 1982 roku przetrząło mój kręgosłup ideologiczny na tyle, że z człowieka głębiej niezaangażowanego w przemiany społeczno-polityczne lat 80. XX w. stałem się ich aktywnym (na własną miarę) uczestnikiem.

Tekst powstał podczas pobytu w Zakładzie Karnym w Strzelinie we wrześniu 1982 roku. Został uzupełniony przez autora i redakcję w 2024 r.





# I straszno, i śmieszno...

## fragmenty obozowe

Wiktor Mikusiński

O warunkach panujących w obozach internowania krążą różne opowiadania, przeważa jednostronna nuta martyrologiczna. Zwiedziłem dwa obozy i wszędzie życie wyglądało podobnie, jak wykres sinusoidy. Klawisze usiłowali nas siłowo zastraszyć i sprowadzić do poziomu posłuszných zeków, a my walczyliśmy o swoje, starając się sprytem i humorem pokazywać, że jesteśmy wolnymi ludźmi i mimo krat mamy swoją wolną przestrzeń. Co, mam nadzieję, pokazują fragmenty zapisów mego dziennika obozowego.

### Areszt Śledczy Białoleka

13.03.1982. Mimo całej tej „wypoczynkowej” propagandy, która do nas dociera, warunki mamy więzienne: kraty, jedzenie jak kryminalni – rano dają do celi 2 bochenki chleba, kostkę margaryny lub smalcu, innego dnia plastry salcesonu lub kaszanki (po 1 na głowę), na kolację wodnista zupa mleczna. Na obiad obrzydliwe zupy: kapuśniak, barszcz, przeważnie słone lub kwaśne, często śmierdzące, jemy je średnio co drugi dzień. Na drugie bigos lub kapusta z grochem. Nigdy nie zjadłem więcej jak na spróbowanie, zjadamy tylko, gdy są ziemniaki lub kasza. Prowadząc tak nieruchliwy tryb życia, nie mamy dużych apetytów, zresztą lekarz ostrzegł nas, że i tak wszyscy utyją nawet na chlebie i z braku ruchu. Jest też tradycyjne towarzystwo, dzisiaj w nocy celi 19 zabiła trzy myszy, u nas regularnie biegają szczury, w sąsiedniej – 10 wygrzają dziury w deskach podłogi, takie na 20 cm. Jeden jest tak oswojony, że wygląda z dziury nawet w dzień i jest karmiony chlebem, a nazywa się „Wojtek”. W żadne pułapki nie chce się złapać.

2.06.82. Środa, widzenia. Szykują koperty, najlepsze sprawdzone miejsca. Przy wyjściu kipiszują „pasikoniki”, czyli rezerwiści odziani w zielone mundury moro, w odróżnieniu od naszych klawiszy w ciemnych mundurach SW (Służby Więziennej – red.). Od pewnego czasu władza jakby straciła zaufanie do klawiszy, uważając zapewne, że przyzwyczaili się do nas i są zbyt łagodni. Rezerwiści wypełniają dokładnie swoje obowiązki, macając wynoszone przedmioty, obmacując ubranie i wydobywając przenoszone koperty. Klawisze obrażeni są tym brakiem zaufania i przy większej ilości wychodzących, kiedy pasikoniki nie nadążają, też kipiszują, demonstracyjnie przepuszczając ukryte rzeczy. Ja zastosowałem stary chwyt psychologiczny i pasikonik został na lodzie. Stojący w drzwiach „Leberko” (sierż. Służby Więziennej) wyczuł jednak sprawę i zrobił do mnie oko, uśmiechając się pogardliwie w stronę pasikonika.

5.06.82 Często na dyżury przychodzą nowi klawisze, całkowicie niezorientowani w sytuacji, ludzie prości, tak przyzwyczajeni do posłuszeństwa u zeków, że przyjmują

ją za dobrą monetę to, co im mówimy. Właśnie takiego nowego pięknie załatwiliśmy – po godz. 20 nie można wychodzić z celi, więc poprosiliśmy go o podanie nam piwa z celi 12. Grzecznie otworzył drzwi celi i poprosił ich o piwo. Tamci ryknęli śmiechem, ale połapali się szybko i odpowiedzieli, że już wypili, co on nam przekazał ze smutną miną. Dało to nam pretekst do publicznego przez okno oskarżenia celi 12 o nadużycie zaufania i wypicie naszego piwa. Inne cele podłączyły się, oskarżając ich o alkoholizm, a klawisz pozostał w przekonaniu, że internowani mogą pić alkohol. W nagrodę daliśmy mu pomidora z kolacji.

11.06. Po spacerze klawisze kazali spakować się 2 chłopakom, nie mówiąc dokąd. Nie chcieli wyjechać, domagali się jakiegoś dokumentu. Daliśmy wsparcie, waląc przez 15 min. miskami o kraty. Nagle przez bramę wałą oddziały w hełmach, z tarczami, pałkami, wyrzutnie granatów. Powoli cichniemy i zaczyna się generalny kipisz. Gabrys i Stefan byli na świetlicy, gdy wracali do celi stał już kordon na korytarzu. Jeden z nich uderzył Gabrysia pałką z tyłu w głowę. Wyprowadzili nas do pustej celi. Zomici byli bardzo nerwowi, chcieli nas rozbierać do naga, ale nie daliśmy się. Gabrys wygłosił im mowę i poprzestali na zewnętrznym macaniu. Inne cele same się rozbierały. U nas nic nie znaleźli, ja po staremu oszukałem zomitę, zabrali tylko świeczki. ZOMO pożegnaliśmy krzykami. Otrzymaliśmy wiadomość, że Białółka jest otoczona zomowcami, stoją budy i czekają na decyzję, aby nas wywieźć. Atmosfera zągęściła się bardzo. Mundurowi byli bardzo nerwowi, machali pałkami, czekali wprost na najmniejszy pretekst. Ich dowódcy kłęli tylko, że nie otrzymali rozkazu. Dzikie twarze w hełmach, migające pały, stwarzały niesamowicie groźną sytuację. Dla wzmocnienia dramatyzmu niektórzy walili pałami o parapety lub inne sprzęty. Trzeba było naprawdę silnej woli, aby powstrzymać psychicznie to bydlę, aby sparaliżować ich i nie dopuścić do wybuchu z ich strony. Dla nas, „starych” była to normalka, usiłowaliśmy wygrywać naszą wyższość moralną i psychiczną, co udało się doskonale naszej celi.

4.08. Cele mamy otwarte – to niespodzianka – aż do g. 19. 00. Gorąc w celi wypędzą mnie na korytarz, chłodny i mroczny. Spaceruję sobie, przez otwarte drzwi widzę krzątanicę. Jakby wszyscy umówili się i robią porządki, szykują się do zimowania. Przerabiana jest instalacja elektryczna, zakładane gniazdzka, żarówki, grzałki, Kuchenki. Trzaski i stukania roznoszą się głośnym echem – to robione są półki, łóżka przerabia się na stoły, cele zamieniają się w kuchnie i spiżarnie. Półki pełne słoiki, butelek, puszek, przypraw, jabłka i pomidory pachną latem, na stołach garnki, kolorowe opakowania, zapach gotowanych kompotów, skwierczący boczek! Jak daleko odeszliśmy od surowego życia, atmosfery walki i obozu jenieckiego jeszcze sprzed miesiąca, nie mówiąc o zimie. Ukrywaliśmy wówczas grzałki, piliśmy codziennie obozową kawę. Metrowy odcinek drutu, od żarówki do łóżka, montowaliśmy za każdym razem, gdy chcieliśmy napić się herbaty. Z klawiszami toczyliśmy wojnę, ukrywaliśmy przed nimi wszelkie przejawy życia, a teraz ich nawet nie dostrzegamy, nie chodzą już po korytarzu, nie



podglądają przez „judasze”, żyjemy własnym życiem. Za to ubole robią nadal swoje – uparcie i beznadziejnie.

19.08. Gabryś, gdy ubol na spacerniaku powiadomił go, że dostał tygodniową przepustkę, odpowiedział, że nie skorzysta, gdyż urządza go tylko wolność. Zdziwionemu dodał, że Polska była w niewoli 125 lat, a cóż to jest naprzeciwko wieczności. Przerażony ubol cofał się tyłem do „ambasady”, bojąc się doń odwrócić plecami.

26.08. Rano ok. 7 klawisz otworzył drzwi i ogłosił „ panowie pakują się”. Postanowiliśmy nie wychodzić, dopóki nie dostaniemy dokumentu stwierdzającego, dokąd jedziemy. Na wszelki wypadek spakowaliśmy się, z odgłosów wnosiliśmy, że inni też dobrowolnie nie wyjdą. Przyszedł oficer dyżurny, nie wiedział, gdzie jedziemy, więc odmówiliśmy wyjścia. Pierwsze cele zaczęły wychodzić, pojedynczo, do sali widzeń, tam kipisz, jeden odważny krzyknął nam, że zabierają notatki, więc zaczęliśmy z ciężkim sercem robić przegląd i darcie. Przyszedł komendant, też odmówiliśmy, zostaliśmy sami w baraku i z c. 23. Przyszedł naczelnik więzienia, powiedział, że jedziemy do 2 różnych obozów, ale nie wie gdzie, odmówiliśmy, więc zagroził siłą. Wpadła atanda w hełmach, pojedynczo wybierali wykręcając ręce. Najpierw Gabryś, Arka, Wojtka i Heńka. Mnie wyciągnęło 2 oficerów i wrzuciło do świetlicy. Tam było 9 – Sierański i Kledzik z MO, Wolicki, Bielicki, Paweł Miłkasz, Heniek, Łukomski, Janek Lityński i jeden nowy. Ok. godz. 17 dali nam 2 cele z początku baraku, od strony muru. Jestem teraz w c. 27 – ponura, wilgotna, zimna, okno na mur. Dali nam nową pościel i szybko poszliśmy spać. Gdzie pojechała reszta, nie wiemy.

30.09. Spacer mamy w drugiej turze od 10–12. Jak wcześniej umówiliśmy się, chodzimy tylko po chodniku, nie gramy. O 12 wszyscy ustawiamy się w dwuszeregu, minuta ciszy i schodzimy. Akurat przed 12 wyszła grupa oficerów – klawiszy i uboli. Spoglądali na nas z daleka. O 14 otwierają się drzwi celi i już wiemy – kipisz, korytarz pełen klawiszy. Wychodzimy, zostaje Paweł. Jesteśmy wściekli, gdyż pierwsze cele nie zaalarmowały baraku krzykiem, tak jak to dawniej bywało. Przeszukują nas na korytarzu i zamykają w świetlicy. Opieprzamy tych nowych i uczymy ich zasad zachowania się. Wracamy na końcu, cela poprzewracana do góry nogami. Paweł rozemocjonowany, mocno przeżywa. Okazało się, że przyszli w określonym celu. Szukali radia i fotoaparatu, mieli kartkę z narysowanymi miejscami do spania i przede wszystkim szukali u mnie, Konrada i Pawła. Nic nie znaleźli. Przeglądali wszystkie książki, zeszyty, rozpakowali mi mydło i wszystko wyrzucili z pudła i worka. Nigdy dotąd nie miałem tak rozwalonych i przejrzanych rzeczy. Zabrali mi baterię i stempel – gumkę z napisem „Bez cenzury” oraz stary zeszyt z adresami ludzi z obozu, datami urodzin i imienin, u Zdziśka trafili zdjęcia robione w obozie, parę kopert. Chcieli zabrać zacier w wiadrze, ale Paweł tak manewrował i ciągle go przestawiał, że w końcu zapomnieli. Paweł ma talent do robienia takiej zadymy, wyklócania się, zmieniania tematu. W sumie straty niewielkie, ale humor popsuty. Taki kipisz może oznaczać również transport. W innych celach było



gorzej, trafili nowe stemple i „smienę”. Nigdzie zresztą tak nie szukali jak u nas i w c. 20, gdzie też są „starzy”. Niewykluczone, że ktoś nas zakapował.

6.10. Widzenia z mojej celi nie ma nikt. Na osłodę otwieram na śniadanie małeńką puszczkę „pate campagne Village aromatisé vin de Bourgogne rouge”! cognac, porto!! Spodziewałem się orgazmu kulinarnego. Niestety – z wierzchu szary smalczyk, zawartość trochę gruzłowata, podobna do salcesonu, bez smaku i zapachu. Zachód rozczarowuje mnie kompletnie. Pawła boli brzuch cały dzień, twierdzi, że ten pasztet był kwaśny i jest to kolejna prowokacja ubecji.

## Kielce– Piaski

12.11. Dzień leci sobie normalnie, a ja porównuję warunki z Białoleką. Rzuciło mi się w oczy odmienne traktowanie wspólnoty celi. Tutaj każdy ma swoje osobno i gdy przychodzi do jedzenia, częstują się wzajemnie: spróbuj mojej kiełbasy, weź mojego pomidora. Przyzwyczajony jestem do totalnej komuny i mam głupie uczucie, gdyż nie mam niczego swojego, aby ich poczęstować. Również, co zauważyłem od razu, inni są klawiszowe. Spokojni, ospali, nie widzę u nich żadnej złośliwości ani nerwu klawiszowego. Na ich twarzach maluje się zadowolona tępota. Ci z Białoleki są przy nich wyrafinowanymi i perfidnymi intelektualistami. Taki Mała Główka, Wątrobianka, Truskawa – chociażby z umiłowania zawodu zrobią kipsisz, doniosą, wchodząc do celi zaraz rozejrzą się, spenetrują, chwytnie ręce zanurzą w szafie, pod kocem, w gazetach, złapią puszkę, herbatę, coś tam powiedzą, np. że spacer albo że światło się pali. A tu nic. Wejdzie, powie swoje i wyjdzie.

17.11. Na spacerunku tylko ja i Olek, nikt inny nie wychodzi, ludzie siedzą w celach. Gdy jest nareszcie wolność, nikt nie chce z niej korzystać. Poszedłem na górę do Grzesiaków, zebrał się u nich cały „gęg” (od „gęgaczy” z opery Janusza Szpotańskiego „Cisi i gęgacze” – red.) wrocławski. Rozmawiamy przez kilka godzin – wspomnienia, przedywaniania, ogólnie niewesoło. Bogdan rozwesela nas opowiadaniem o swoich przygodach drukarza „Nowej” – mieszka na Żoliborzu, obok Choja (Mirosław Chojecki – red.). Kiedyś, gdy było u niego kilku ludzi, skoczył po niego, ale pod blokiem zauważył samochód z ubolami. Chytkiem wrócił i zadowolony poinformował towarzystwo, że wymknął się z zasadzki. Gdy skończył, walenie w drzwi pokazało, że wszyscy byli w zasadzce. Innym razem drukował jakiś specjalny numer „Biuletynu Informacyjnego”. Dwa dni siedzieli na melinie, powielacz bez przerwy się psuł, wciąż musieli naprawiać, nie spali, pili, aż zabrakło farby. Wykończony, pojechał rowerem do telefonu, po drodze obmyślał jak tu powiedzieć o tym szyfrem, wywalił się kilka razy a gdy dopadł telefonu wrzasnął: tu Bogdan! zabrakło nam farby. Po dwóch godzinach przyjechał Blum (Seweryn Blumsztajn – red.) z pianą na ustach i nożem w zębach, ale farbę przywiózł. Przed sierpniem, to była przygoda. Opowiadali o „Człowieku z marmuru” – jedyna scena prawdziwa, wzięta żywcem z ich życia, to przesłuchanie w mieszkaniu, gdzie

było małe dziecko, reszta to pod publiczke, była inna atmosfera. Wajda pokazywał się „przy opozycji”, kontestacja była w modzie. Posłuchaliśmy jeszcze RWE (Radio Wolna Europa – red.) i GA (Głos Ameryki – red.) – nic pocieszającego.

30.11. Zwalniają po jednej osobie, w sumie 5. Trwa to cały dzień, wciąż żegnamy się, śpiewamy, odprowadzamy. Humory poprawiły się, ludzie zaczynają się pakować, niektórzy wyraźnie nie wytrzymują, prawie płaczą. My śmiejemy się. Roman Lonc zrobił plakat z hasłem „uwolnić Jacka Szymanderskiego” (ciężko przeżywa) – dopisujemy inne wesołe hasła: „Grzesiaki do paki”, „Łońca trzymać do końca”, „Krakowiaczy do obozu pracy” itd. Siedzimy na korytarzu, turlamy się ze śmiechu, śpiewamy różne piosenki aż do 22 (my tzn. Warszawa i Wrocław). Mimo wszystko humor trochę wisielczy.

13.12. Zostało nas 8. Komendant prosi o rozmowę, zostaję wydelegowany jako przedstawiciel obozu. Skarży się na przepełnienie więzienia i trudności z zekami. Proponuję, że możemy oddać 2 górne piętra, ale do naszej wyłącznej dyspozycji parter, łaźnia i spacerniak, siedzimy sami, bez zeków. Jest wdzięczny i pyta się czy wiemy, kiedy nas zwolnią, bo obóz internowanych rozkłada mu więzienie.

Ostatecznie wyszliśmy 23 grudnia, do Warszawy pojechaliśmy pociągiem bez biletów, konduktorzy wzięli nas do swego przedziału. Bogdanowi Grzesiakowi zwrócili z depozytu 2 radyjka tranzystorowe odebrane podczas przeszukań w Białoleńce i Załężu, więc słuchaliśmy cały czas Wolnej Europy i Głosu Ameryki.

# Bimber w Białoleńce

Krystyna Antoszkiewicz

Wiktor Mikusiński, oficer MO, jeden z twórców Związku Zawodowego Funkcjonariuszy MO, poszukiwany listem gończym od 13 grudnia 1981 r., aresztowany 18 lutego 1982 i internowany w Obozie Internowania w Białoleńce. Pracował w Komendzie Stołecznej MO, Wydział Dochodzeniowo-Śledczy, sekcja zabójstw, katastrof i pożarów. Jako jedyny oficer nie pił, nie palił i prowadził sportowy tryb życia (taką miał charakterystykę w karcie funkcjonariusza).

Wiktor, nie tylko był niepijącym wyjątkiem w MO, kiedy znalazł się w „Internacie”, po pierwszym okresie nieufności – był przecież milicjantem, zyskał zaufanie współwięźniów, ale i tu był wyjątkiem, jeśli chodzi o alkohol. Wiedząc jakimi sposobami, zwłaszcza Służba Bezpieczeństwa, wykorzystuje słabości osób, przestrzegał kolegów przed nalogami. Z czasem jednak zrezygnował z wychowawczych zapędów i dał się przekonać, że pędzenie bimbrowa „pod celą” jest dowodem wolności.

To był czas, gdy internowani mieli już w celach maszynki do podgrzewania. Mie-li też zorganizowany prąd, nielegalnie oczywiście. Kiedy klawisz chodził i gasił światło, odpowiednio wcześniej gasili światło w celi, strażnik myśląc, że jest już wyłączone przez innych funkcjonariuszy, nie wyłączył prądu z zewnątrz celi i można się było podłączyć nad żarówką.

Koło zlewu stawał stołek, na nim maszynka i wiadro. W pokrywie wiadra, uszczelnionego chlebem, umieszczona była rurka od anteny telewizyjnej, wygięta w „S”, obok w zlewie stała chłodzona wodą puszka, która była chłodnicą, przez nią przechodziła rurka, z jej końca kapał gotowy bimbier. Zacier dojrzywał w słoikach, w szafie, co jakiś czas był przelewany do wiadra, gdzie dojrzywał, potem był znowu zamykany w litrowych słojach, by zapach nie zwabił klawiszy.

Pierwsze pędzenie nie skończyło się sukcesem. W wiadrze zacier był wygotowany, a strażnik bimbrowa spał podejrzanie kamiennym snem.

Okazało się, że jedynym „bezpiecznym” strażnikiem jest niepijący Wiktor. I tak na kolejne pędzenia, stał się etatowym Bimbrowym, z sukcesem dla celi.

## To były piękne dni...

Jacek Juzwa

Moja droga do zostania opozycjonistą na pełen etat zaczęła się dosyć nietypowo, bo od zwolnienia z pracy. W latach 1979 – 1981 byłem bowiem zatrudniony w Sądzie Najwyższym. To właśnie tam zaangażowałem się w tworzenie struktur „Solidarności”, działając jako członek Komisji Zakładowej. Wprowadzenie stanu wojennego dla osób takich jak ja było biletem w jedną stronę – stacja: „zwolniony z pracy”.

Zdobyte w Sądzie Najwyższym doświadczenie, nie pozwoliło mi jednak na podanie się bez walki, w szczególności, iż zgodnie z przepisami jako członkowi Komisji Zakładowej przysługiwała mi ochrona przed zwolnieniem. I tak oto stanąłem przed Sądem Pracy – po drugiej stronie mając godnego przeciwnika – Sąd Najwyższy. Ku mojej wielkiej radości i jeszcze większemu zdziwieniu Sąd pierwszej instancji wydał wyrok o przywróceniu mnie do pracy. Identyczną decyzję podjął również Sąd drugiej instancji, nie uwzględniając tym samym złożonej przez Sąd Najwyższy apelacji. Moja prawnicza passa nie trwała jednak długo, a jej kresem okazała się rewizja nadzwyczajna wniesiona przez Prokuratora Generalnego PRL na wniosek Sądu Najwyższego. Tak oto przed Sądem Najwyższym odbyła się rozprawa przeciwko – uwaga – Sądowi Najwyższemu, gdzie już z mniejszą radością i bez większego zdziwienia, przegrałem. Stwierdzono mianowicie, iż moje zwolnienie nastąpiło zgodnie z przepisami prawa obowiązującego w czasie stanu wojennego i tym samym moja droga do tego, abym został etatowym rewolucjonistą stała otworem.

Jednym z pierwszych wydarzeń, które mocno zapadły mi w pamięć, było zatrzymanie i aresztowanie mojego brata Pawła w wyniku rewizji przeprowadzonej na początku 1982 roku w moim domu rodzinnym. Ja sam nie mieszkałem już wówczas u rodziców, dzięki czemu uniknąłem aresztowania. To był również pierwszy dzień, który zapoczątkował moją prawie trzyletnią tułaczkę jako „wywrotowca” zmuszonego się ukrywać, później ściganego również listem gończym.

Te przeciwności losu nie powstrzymały mnie jednak przed podejmowaniem dalszych działań w ramach antyrządowej opozycji. Jako jeden z członków kierownictwa Grup Oporu „Solidarni” w czerwcu 1982 roku wraz z Teosiem Klincewiczem, szefem Grup, rozpoczęliśmy przygotowania do demonstracji z okazji drugiej rocznicy podpisania porozumień sierpniowych. Wyznaczeni w tym celu członkowie Grup Oporu mieli za zadanie zajmować się ochroną demonstracji oraz walką z funkcjonariuszami ZOMO (Zmotoryzowane Odwoły Milicji Obywatelskiej). W tym celu na trasie, którą miała przechodzić demonstracja, zostały ukryte kolce do przebijania opon, butelki z płynami zapalającymi i pałki. Dodatkowo w ramach struktur Grup został zorganizowany oddział procarzy. Mieli oni, niczym starożytni mieszkańcy Balearów, miotać procami stalowe kulki od łóżysk w kierunku ZOMO i w ten sposób walczyć z komu-

nistycznym Goliatem. Ta jakże biblijnie symboliczna metoda walki nie została jednak nigdy wykorzystana. Z uwagi na znaczną siłę rażenia, Zbigniew Bujak zakazał jej używania podczas demonstracji.

Demonstracja 31 sierpnia 1982 roku nie przebiegała jednak zgodnie z planem. Okazało się bowiem, że próby dowodzenia, nawet pomimo prowadzonego nasłuchu na częstotliwościach Milicji, spełzły na niczym. Sytuacja była na tyle dynamiczna, iż jakiegokolwiek próby przegrupowania oddziałów Grup Oporu nie przynosiły oczekiwanych rezultatów. Tam gdzie mieli być nasi ludzie lub ukryte materiały, znajdowało się już ZOMO. To były dla nas naprawdę dramatyczne momenty.

Ta demonstracja jest dla mnie szczególnie ważna również z innego, romantycznego, powodu. To właśnie podczas niej, poznałem moją przyszłą żonę. Była ona łączniczką pomiędzy punktem nasłuchu częstotliwości milicyjnych prowadzonym przez „Przemka” Ramotowskiego, a sztabem Grup Oporu. W rozmowach z nami posługiwała się pseudonimem „Sarna II”. Muszę przyznać, że zauroczyła mnie do tego stopnia, że postanowiłem ją odszukać i wciągnąć za wszelką cenę do pracy w mojej grupie. Po ponad miesięcznych poszukiwaniach udało się ją odnaleźć i namówić do współpracy (po latach mogę szczerze przyznać, iż w żadnej mierze nie było to bezinteresowne). Posługiwałem się wówczas pseudonimem „Grzegorz”, zaś fałszywy dowód osobisty, wyrobiony przez naszą komórkę legalizacji, miałem wystawiony na Adama Wesołowskiego. Nasza współpraca rozwijała się bardzo owocnie i po jakimś czasie zostaliśmy parą. Przez cały czas jednak, zarówno wśród rodziny jak i znajomych mej wybranki, znany byłem nie jako Jacek lecz Grzegorz. Problem ten nabrał szczególnego znaczenia, gdy w 1986 roku postanowiliśmy się pobrać. Mój przyszły teść zamówił nawet piękną tabliczkę na drzwi dla Grażyny i Grzegorza Wesołowskich, a cała rodzina dopytywała się po otrzymaniu zaproszeń na ślub, dlaczego Grażynka nie wychodzi za znanego im Grzesia, tylko za nikomu nieznanego mężczyznę o imieniu Jacek.

Moja działalność opozycyjna w ramach Grup Oporu „Solidarni” oraz w innych strukturach (m.in. Komitecie Porozumienia Międzyzakładowego „Solidarność” oraz Mazowieckiej Konfederacji „Solidarność”) polegała również na kolportażu wydawnictw niezależnych i drukowaniu bibuły oraz organizacji materiałów poligraficznych. Z uwagi na rozległe kontakty w różnych środowiskach załatwiłem m.in. na początku 1984 roku lokal na drukarnię Grup Oporu w Milanówku. Lokalizacja była wręcz wymarzona, tzn. dom pod lasem. Dom został sprawdzony przeze mnie i Teosia Klincewicza, czyli szefa Grup Oporu. Właścicielką domu w Milanówku była starsza samotna kobieta, która bez większych oporów zgodziła się na jego udostępnienie na potrzeby podziemnej drukarni.

Po przewiezieniu wszelkich niezbędnych materiałów oraz maszyny drukarskiej na miejsce okazało się, iż maszyna jest niestety uszkodzona i aby możliwe było jej uruchomienie, konieczne będzie ściągnięcie części zamiennych. Trochę to trwało i jakie było moje zdziwienie, gdy podczas wiadomości w dzienniku telewizyjnym hucznie i dum-

nie ogłoszono ogromny sukces Służby Bezpieczeństwa, polegający na wykryciu podziemnej drukarni. I pokazano właśnie naszą drukarnię w Milanówku. Okazało się, że właścicielka miała wypadek, w wyniku czego znalazła się w szpitalu. Wówczas w jej domu pojawił się jej brat, o zgoła odmiennych od starszej Pani poglądach politycznych. Fakt tak wspianego „wrogięgo” znaleziska został zgłoszony Służbie Bezpieczeństwa, która zarządziła obserwację domu. Przez dłuższy czas nikt w obserwowanej lokalizacji się nie pojawił, uznano zatem, że widocznie wiemy o obserwacji. Służbie Bezpieczeństwa, nie pozostało więc nic innego jak ogłosić kolejny sukces.

Pomimo wielu trudnych, a wręcz tragicznych chwil, w czasie mojej działalności opozycyjnej były również momenty humorystyczne.

Jedną z zabawniejszych historii, które pamiętam z czasów opozycyjnych, jest opowieść o kotkach (i nie jest to błąd drukarski). Z pewnym punktem odbioru wydrukowanych materiałów byliśmy umówieni, że podczas rozmów telefonicznych, gdy ustalana będzie wielkość nakładu będziemy mówili, że urodziły się kotki. Któryś razem urodziło się nam trzy i pół kotka.

Kolejną humorystyczną historią związaną z moją działalnością w Grupach Oporu było uczestniczenie w zorganizowanej w 1984 roku dużej akcji ulotkowej, gdzie za punkt odbioru ulotek został wskazany adres lokalu mieszczącego się przy ul. Dąbrowskiego w Warszawie. Pod ten adres przez cały dzień poszczególne osoby z grup miały się zgłaszać i odbierać przygotowane do rozrzucenia ulotki. Niestety w toku akcji okazało się, że omyłkowo został podany zły adres punktu odbioru i natychmiast trzeba było przechwytywać ludzi idących po ulotki i przekierowywać ich pod dobry adres. I tak spędziłem cały dzień stojąc na klatce schodowej przy ul. Dąbrowskiego, starając się odgadnąć, która z przechodzących osób jest „swoja” i idzie po ulotki, a która może być przypadkową osobą.

Podczas jednej z demonstracji, organizowanej przez Grupy Oporu, wraz z Cezarym Prusko mieliśmy za zadanie przewieźć z Legionowa do Warszawy duży transport materiałów drukarskich. Podczas swojej działalności zawsze starałem się wykorzystywać takie duże wydarzenia jak demonstracje do przewożenia niebezpiecznych, bądź licznych materiałów w inne części miasta. W ten sposób istniała większa szansa na uniknięcie kontroli ze strony Milicji Obywatelskiej czy Służby Bezpieczeństwa, bowiem ich uwaga była bardziej skupiona na samej demonstracji niż na ruchu drogowym. Niestety tym razem się pomyliłem i zostaliśmy zatrzymani przez Milicję Obywatelską za rzecz zupełnie nie związaną z naszą działalnością opozycyjną, tzn. za niezwykłe przekroczenie prędkości. Na szczęście Czarek, biorąc pod uwagę, iż samochód wyładowany jest po brzegi materiałami drukarskimi, postanowił zatrzymać się kawałek dalej od patrolu i podejść pieszo do funkcjonariuszy, zostawiając mnie w samochodzie pełnym materiałów. Kiedy otrzymywał mandat za wykroczenie, spytał milicjantów czy może to być mandat studencki bowiem słabo u niego z finansami. Milicjanci roześmiali się wówczas, zapominając o kontroli samochodu i puścili nas w dalszą drogę.





Warszawa dnia 2 maja 1983 r.

PROKURATURA WOJEWÓDZKA

Wydział Śledczy  
ul. Świerczewskiego 127  
00-958 Warszawa

(Nazwa prokuratury) (2)

Sygn. akt. II Ds. 3/83

KOMENDA STOLECZNA

MILICJI OBYWATELSKIEJ

w Warszawie

## LIST GOŃCZY

Prokurator Wojewódzki w Warszawie  
stosownie do postanowienia swego z dnia 2 maja 1983 r.  
19 r. wydanego na zasadzie art. 237 § 1 kpk  
w sprawie Ds II Ds 3/83  
zarządza poszukiwanie listem gończym niżej wymienionego  
podejrzanego:

1. Nazwisko i imiona Jacek Juzwa
2. Pseudonim " Grzegorz "
3. Imię ojca Zbigniew imię i nazwisko panięskie  
matki Anna z d. Grzybowska
4. Data i miejsce urodzenia 8.VI.1956 r., Warszawa
5. Ostatnie miejsce zamieszkania Warszawa,  
ul. Marchlewskiego 68 m. 53
6. Ostatnie miejsce pracy Sąd Najwyższy w Warszawie

# Tata „badylarz”

Krystyna Antoszkiewicz

Demonstracja trzeciomajowa w stanie wojennym w Warszawie, 1982 rok.

Zadyma jak zadyma. Uczniowie! 1270 Technikum Ogrodniczego na Bełskiej w Warszawie całą grupą, po szkole – no powiedzmy, a był poniedziałek, wybrali się „pouczestniczyć”. Duża grupa została przez ZOMO zgarnięta, zwłaszcza chłopcy. Równolegle zawiadomieni przez szkołę rodzice, zaczęli szukać dzieci. Wśród „zagubionych” był syn „badylarza” spod Warszawy. Tata przyjechał i bez zbędnej zwłoki udał się na Jezuicką do komisariatu MO. Bingo – jako osoba majątna „wykupił” syna, a w rozmowie na posterunku zorientował się, że z synem było kilku jego kolegów. Bez słowa „wykupił” wszystkich pozostałych.

Całe towarzystwo zostało zapakowane do samochodu ojca i wynajętej taksówki i wywiezione pod Warszawę. Wykąpane, nakarmione zbierało się do spania – rano mieli razem jechać do szkoły, pozostali rodzice zawiadomieni.

Wchodzi ojciec – gospodarz z propozycją:

– W szklarniach mnóstwo pracy, czy nie chcieliby sobie dorobić przez najbliższe dni, po szkole, podstawiony transport, będą przyjeżdżać i pracować.

Ogólna zgoda, umówiona dniówka.

Zachwycony syn gospodarza zaciera ręce, wpadnie dobra kaska.

– O nie, synu! Ty odrabiasz „okup” za siebie i kolegów.

– Tatooooo...!!!!???

„Tygodnik Wojenny” nr 21 (3.06.1982) „KAŹCIK DLA LICEALISTÓW: Po każdym udanym DTV dzwońcie z gratulacjami do kpt. Karola Nowakowskiego, tel. 10-95-35 w. 50 – 303. Będzie niezwykle zobowiązany.”

„Tygodnik Wojenny” nr 21 (3.06.1982) „Ze sportu: „Stan wojenny, w jakim znajduje się nasz kraj – jest czynnikiem dodatkowego dopingu” – trener kadry piłkarskiej Antoni Piechniczek dla francuskiego pisma „Le journal de Dimanche”.

„Tygodnik Wojenny” nr 65 (31.08.1983) „Redakcja rubryki „PRZECZYTANE W WINDZIE informuje, że TKK „S” nie zabroniła używania wind. Wszystkim, którzy nie mogą przez dwie godziny powstrzymać się od jeżdżenia proponujemy: 31.08 między 14.00 a 16.00 wszędzie do windy i napiszcie w niej solidarnościowe hasło – najciekawsze zamieścimy w naszej rubryce.”

## Paweł Niezgodzki, czyli człowiek, z którego zrobiono agenta SB

Grzegorz Majchrzak

Paweł Niezgodzki, mimo, że od tzw. solidarnościowego karnawału upłynęło, już blisko 43 lata nadal u wielu byłych działaczy opozycji (zwłaszcza Komitetu Obrony Robotników) nadal budzi duże emocje i podejrzenia o bycie tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa. Podejrzenia te złamały jego związkową karierę i *de facto* uniemożliwiły mu działalność opozycyjną po wprowadzeniu stanu wojennego. Warto zatem przyrzeć się zarówno samemu Niezgodzkiemu, jak i zarzutom sformułowanym pod jego adresem.

Zacznijmy jednak od przedstawienia sylwetki naszego bohatera. Niezgodzki urodził się w październiku 1951 r. w Warszawie. W 1975 r. ukończył studia na Wydziale Mechaniki Precyzyjnej Politechniki Warszawskiej. Wtedy też rozpoczął pracę w Instytucie Podstawowych Problemów Techniki Polskiej Akademii Nauk, z którym był związany przez następnych kilkanaście (dokładnie czternaście) lat. We wrześniu 1980 r. zaangażował się w niezależną działalność związkową – początkowo (do października tego roku) w ramach Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Pracowników Nauki, Techniki i Oświaty, a następnie NSZZ „Solidarność”. W tym pierwszym związku był nawet członkiem Zarządu Głównego, zastępcą sekretarza Zarządu Głównego. Karierę zrobił również w „Solidarności” – od października 1980 r. był członkiem Komisji Zakładowej w Instytucie Podstawowych Problemów Techniki PAN, a od listopada 1980 r. do czerwca 1981 r. Regionalnej Komisji Porozumiewawczej PAN. To nie wszystko – od listopada 1980 r. do października 1981 r. był też szefem Biura Informacyjnego Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego / Zarządu Regionu Mazowsze, od czerwca 1981 r. również członkiem ZR. Wcześniej – w kwietniu tego roku – powierzono mu również funkcję wiceprzewodniczącego Regionalnej Komisji Wyborczej. To nie wszystko – we wrześniu 1981 r. został też rzecznikiem prasowym regionu. Pełnił również funkcję członka Komisji ds. Cenzury przy Prezydium Zarządu Regionu Mazowsze. Ponadto wszedł w skład redakcji „Wiadomości Dnia”, a także został redaktorem naczelnym „Serwisu Informacyjnego Mazowsza”. Od lipca tego roku był etatowym pracownikiem związku.

Można powiedzieć, że była to wręcz błyskotliwa kariera. Tyle, że załamała się ona niedługo przed stanem wojennym. Jak do tego doszło? Otóż Niezgodzki należał w regionie do przywódców frakcji „prawdziwych Polaków” (zwanych też „prawdziwkami”), którzy sprzeciwiali się „dominacji” doradców i działaczy Komitetu Obrony Robotników (nazywanych „kornikami”). Dopóki obie te frakcje toczyły swoje spory wewnątrz regionu robił karierę, jednak ich przeniesienie na forum ogólnokrajowe wszystko zmie-

niło. Paweł Niezgodzki był delegatem regionu na I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”, który odbywał się – w dwóch turach – na początku września i na przełomie września i października 1981 r. W trakcie I KZD, którego obrady były burzliwe, doszło do szeregu sporów, z których najgłośniejszy stał się ten wokół podziękowań dla działaczy Komitetu Obrony Robotników, gdyż w trakcie zjazdu KOR ogłosił oficjalne zakończenie swojej działalności. W reakcji na informację o samorozwiązaniu Komitetu Obrony Robotników przewodniczący Prezydium Zarządu Międzyzakładowej Komisji Regionalnej Ziemia Radomska Andrzej Sobieraj zgłosił (27 września) projekt krótkiej uchwały z podziękowaniami I KZD dla KOR. Brzmiał on: „I Zjazd Delegatów NSZZ «Solidarność» został powiadomiony o rozwiązaniu się Komitetu Samoobrony Społecznej >>KOR<<. Powstały po wydarzeniach Czerwca '76 Komitet Obrony Robotników niósł pomoc prześladowanym robotnikom i ich rodzinom. Stanowił pierwszą zorganizowaną formę powstałej po 1976 r. opozycji demokratycznej, był wyrazem wspólnoty postaw inteligencji i robotników. Za działalność tą członkowie i współpracownicy komitetu byli do sierpnia 1980 r. wielokrotnie prześladowani, więzieni i szykanowani. I Zjazd Delegatów składa podziękowanie członkom i współpracownikom Komitetu Obrony Robotników, którzy zasłużyli się dobrze obronie interesów robotniczych oraz wspólnej sprawie narodowej”. W reakcji na tę propozycję – po jej odczytaniu w dniu następnym – Paweł Niezgodzki zgłosił zdecydowanie dłuższą kontrpropozycję. Warto ją w tym miejscu przytoczyć w całości: „Obradujący w rok po powstaniu NSZZ >>Solidarność<< I Krajowy Zjazd Delegatów jest świadom swej roli pierwszego od dziesięcioleci demokratycznie wybranego przedstawicielstwa najszerzych rzeszy ludzi pracy naszego kraju. W obliczu zadań i społecznych oczekiwań czujemy się zobowiązani do określenia naszego rodowodu, swych źródeł mądrości i siły. Nasz związek wywodzi się z całej narodowej tradycji walki z przemocą i niesprawiedliwością, walki o niepodległy byt narodu, o godność i sprawiedliwość, o chleb codzienny i demokrację. W zmaganiach tych Kościół zawsze był razem z narodem. Czerpiemy swe siły zarówno z tradycji ruchów oporu, jak i z kolejnych zrywów robotniczych, od Poznania 1956 r. do Gdańska w sierpniu 1980 r. Wielkie znaczenie dla naszej sprawy miały obchody milenium chrztu Polski, jak również obecność Ojca Świętego Jana Pawła II w naszej ojczyźnie. Poprzez >>Solidarność<< nawiązujemy do wielowiekowej tradycji demokratycznej w naszej państwowości, do charakteryzującej ją zasady tolerancji i wolności obywatelskiej, jak i do tradycji walk o społeczne wyzwolenie, które w swym autentycznie polskim nurcie łączyły się zawsze z walką o niepodległość narodową. Nasz związek zachowa pamięć o tych, którzy z poświęceniem oddawali się pracy dla samoobrony społecznej sprzed sierpnia 1980 r. Wyrażamy głęboką wdzięczność robotnikom Wybrzeża, działaczom Wolnych Związków Zawodowych na Wybrzeżu i na Śląsku, wielu grupom i licznym samotnym działaczom opozycji demokratycznej w walce o sprawiedliwość, prawa obywatelskie i demokrację. Ich nieugiętej

postawie, wieloletnim trudom i ofiarom zawdzięcza >>Solidarność<< swoje powstanie". Jak zatem widać pominął Komitet Obrony Robotników, choć wspominał „o tych, którzy z poświęceniem oddawali się pracy dla samoobrony społecznej sprzed sierpnia 1980 r.” Wywołało to burzliwą dyskusję, w trakcie której jeden ze współzałożycieli KOR Jan Józef Lipski, nie dopuszczony do głosu zemdłał, z kolei – według ustalonych funkcjonariuszy SB – Adam Michnik miał Niezgodzkiemu grozić, zaś Helena Łuczyczo opłuc go po zakończeniu obrad... To był jednak dopiero przedsmak jego kłopotów. W dniu 17 października został – mimo że, jak informował tajny współpracownik „Zabłocki” (Lech Matul) „nie sprecyzowano konkretnych zarzutów” wobec niego – odwołany z Zarządu Regionu Mazowsze. Z kolei kilka dni później (26 października) – decyzją prezydium ZR, z inicjatywy Janusza Onyszkiewicza – utracił również stanowisko kierownika Biura Informacyjnego.

W międzyczasie osobą Pawła Niezgodzkiego zainteresowała się bliżej Służba Bezpieczeństwa. Początkowo ograniczono się do zbierania informacji na jego temat. Interesowano się jego przeszłością, działalnością związkową, cechami charakteru, słabościami. Jednym słowem wszystkim tym, co mogło się przydać funkcjonariuszom SB. Wiedzano o nim nawet – dzięki tajnemu współpracownikowi „Równemu” – że „jest zapalonym kolekcjonerem znaczków i z tego biorą się zapewne jego kłopoty finansowe”. Zbierano oczywiście również dane na temat jego rodziny, stąd np. dysponowano informacją, że jego brat ubiegał się w 1978 r. „o przyjęcie do służby w MO (MSW)”. Działania te postanowiono zintensyfikować dzień po odwołaniu Niezgodzkiego z funkcji w regionie, m.in. zebrać stenogramy jego wystąpień w czasie I Krajowego Zjazdu Delegatów. Było to związane z wytypowaniem go na kandydata na tajnego współpracownika. Do próby werbunku, a dokładniej próby nawiązania tzw. dialogu operacyjnego z nim doszło w dniu 24 listopada 1981 r. Zakończyła się ona niepowodzeniem. Jak to opisywał kierownik Sekcji V Wydziału III-2 Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej Stefan Talbierz, który ją podjął „W godz[inach] rannych oczekiwałem na PN w samochodzie w pobliżu jego miejsca zamieszkania. Około godz. 9.40 z domu wyszła żona PN [...] Po około 10 min. wyszedł PN, niosąc siatkę z butelkami po mleku. Udał się do pobliskiego sklepu, a następnie w kierunku przystanku autobusowego. Podszedłem wówczas do niego i zaproponowałem mu kilkuminutową rozmowę. PN chwilę się zastanawiał. Powiedziałem mu, że jeżeli się spieszy mogę go podwieźć. Po wejściu do samochodu pojechałem w kierunku Śródmieścia. Podczas jazdy prowadziłem rozmowę, a właściwie monolog. PN słuchał uważnie mojego wywodu, nie przerywając mi”. Esbek – „dla pełnej jasności” – okazał Pawłowi Niezgodzkiemu swoją legitymację służbową (na konspiracyjne nazwisko Wiśniewski), a następnie zaproponował mu pomoc ze strony Służby Bezpieczeństwa w walce z działaczami Komitetu Obrony Robotników zaangażowanymi w działalność Regionu Mazowsze. Przy tym funkcjonariusz ewidentnie próbował popisać się wiedzą swojego resortu: „Dalej powiedziałem,



że jak powszechnie wiadomo SB m.in. zajmuje się osobami z KSS KOR, który mimo formalnego rozwiązania się nie zaniechał swojej działalności, a on (PN) sam doświadczył tego. Dysponujemy pewnymi informacjami o działalności tej grupy, z których wynika, że w stosunku do przeszkadzających im prowadzą bezkompromisową walkę [...] Wiemy, że walka ta jest prowadzona według konkretnych koncepcji autorstwa głównie [Jana] Lityńskiego, [Jacka] Kuronia, H[enryka] Wujca i innych osób z b. KSS KOR”.

Dodawał też, ewidentnie próbując grać na ambicji swojego rozmówcy: „Obiektem ataku stał się głównie PN, gdyż KSS KOR uznał, że wobec faktu utworzenia się dwóch bloków, PN ma największe predyspozycje [do] objęcia kierownictwa przeciwnego bloku. Wyszli z założenia, że za PN nie stoi żaden zakład pracy, odmiennie niż w innych przypadkach. My natomiast wiemy, że za PN stoi i popiera go szereg zakładów”. I kusił działacza, który nie rezygnował z walki o pozycję w związku: „Mamy przyjaciół w tych zakładach i możemy spowodować, że podczas Walnego Zebrania [Delegatów] Regionu Mazowsze zakłady te wystąpią z poparciem PN na zasadzie inicjatyw oddolnych”.

Ewidentnie Talbierz był zainteresowany atakiem Niezgodzkiego na jego przeciwników w czasie planowanego II WZD – „My możemy pokazać PN cały dobrze nam znany mechanizm owych rozgrywek [personalnych i manipulacji związkowcami – GM]. Ukazanie publicznie tego mechanizmu, np. podczas obrad walnego zebrania [delegatów] w zupełnie innym świetle pokaże faktyczne poczynania grupy [Zbigniewa] Bujaka i [Janusza] Onyszkiewicza. Poza tym [Paweł Niezgodzki – GM] wysunął inne poważne zarzuty, które wobec braku wsparcia faktami po prostu upadły. My ze swej strony jesteśmy skłonni i [jesteśmy] w stanie wesprzeć te zarzuty faktami, które je wzmocnią”. W czasie tej „rozmowy”, a właściwie esbeckiego monologu, Niezgodzki nie odezwał się ani słowem, miał jednak poprosić o numer telefonu do funkcjonariusza, a nawet kilkakrotnie dziękować mu za nią. Podsumowując spotkanie funkcjonariusz SB stwierdził, że zakładany cel został osiągnięty, a fakt, że związkowiec miał sam poprosić o numer telefonu „można w pewnym sensie traktować, jako przyjęcie [złożonej mu – GM] propozycji, mimo, że nie wypowiedział się jednoznacznie na ten temat”. I – jak dodawał – niezależnie od tego czy Niezgodzki rzeczywiście nawiąże z nim kontakt, to przeprowadzona z nim rozmowa „wpłyne na siłę jego argumentacji i ukierunkuje jego poczynania wobec grupy [Zbigniewa] Bujaka i KSS KOR”. W tej sytuacji proponował dalsze „opracowanie” związkowca, jako kandydata na tajnego współpracownika oraz przygotowanie się do kolejnej z nim rozmowy.

Problem w tym, że Paweł Niezgodzki nie zadzwonił. Mało tego, po 13 grudnia 1981 r. – o czym doskonale wiedziała Służba Bezpieczeństwa, dzięki raportom tajnego współpracownika „Anny” – zaangażował się, czy też dokładniej starał zaangażować się w działalność podziemną, m.in. miał podjąć działania w celu wydawania „Serwisu Informacyjnego Mazowsza”. W tej sytuacji został wezwany – na dzień 4 stycznia 1982 r. – do Komendy Stołecznej MO, gdzie kolejną rozmowę z nim przeprowadził Stefan

Talbierz. Na jej wstępie Niezgodzki stwierdził, że kontaktu ze swoim rozmówcą nie nawiązał najpierw z braku wolnego czasu, a następnie z powodu „braku możliwości” w związku z wprowadzeniem stanu wojennego. W trakcie dalszej rozmowy sondowany o przyszłość „Solidarności” stwierdził, że „nie ma wyobrażenia”, jak ona będzie wyglądała. Był też wyraźnie zaskoczony, kiedy Talbierz powiedział mu o planach „reaktywacji” związku. I – jak odnotował esbek – stwierdził, że „On sam ma poważne obawy, jak dotychczas nie widzi gwarancji zapowiedzi reaktywowania związku. Sądzi, że reaktywowany związek w pierwszym rządzie upomni się o internowanych”. Zapytany o to, czy jego zdaniem internowani działacze Komitetu Obrony Robotników powinny wejść do władz związku uchylił się od zajęcia stanowiska, mówiąc, że „obecnie wszystko jest płynne, iż nie można dać żadnej odpowiedzi”. Funkcjonariusz SB przypomniał mu, że „podjęcie jakichkolwiek działań w okresie zawieszenia związku narazi go na odpowiedzialność karną”, co zresztą miało stawiać Niezgodzkiego w „dość niewygodnej” pozycji, gdyż „bierne czekanie do czasu reaktywowania związku spowoduje, że zostanie odsunięty w przyszłości od władz przez samych działaczy”. I w związku z tym zaproponował mu, aby uzgadniał on ze Służbą Bezpieczeństwa swoje działania. Argumentował: „Pozwoli mu to na wypracowanie dla siebie dogodnej pozycji wyjściowej, a jednocześnie uniknie ewentualnej odpowiedzialności karnej, przyczyniając się do zapobieżenia powstawania napięć społecznych, strajków i akcji protestacyjnych”. Niezgodzki zdecydowanie odmówił, powołując się na statut związku zakładający jego niezależność od władz. Nie dał się też przekonać esbekowi do zmiany swojego stanowiska. Mało tego – jak odnotował funkcjonariusz – „Dodał, że wyklucza możliwość innych spotkań, niż wezwanie do komendy”, a także, iż „takiej propozycji, aby nam udzielać informacji nie może przyjąć w ogóle”. Jednocześnie zadeklarował, że zgłosi się na każde wezwanie i „tylko na wezwanie”. I, że „Nie zakłada, aby zmienić stanowisko”. Odmówił również podpisania deklaracji lojalności uzasadniając to tym, że „nie może podpisać się pod oświadczeniem stwierdzającym, że zaprzestanie działalności sprzecznej z prawem, gdyż takiej działalności nie prowadził. Natomiast bez sensu jest podpisywanie oświadczenia, że będzie przestrzegał prawo. Zawsze przestrzegał prawo i zamierza tak czynić nadal. Stwierdzenie czegoś oczywistego podpisem jest takim bezsenssem, jak stwierdzenie, że >>księżyc świeci<<”.

Mimo odmowy podpisania lojalki został zwolniony. Według Stefana Talbierza „byłby skłonny podjąć dialog z przedstawicielem administracji”, ale tylko taki, „któryby praktycznie do niczego go nie obligował”. Jego zdaniem Paweł Niezgodzki chciał „stworzyć pozory, że jest represjonowany” i dlatego miało mu rzekomo zależeć na otrzymywaniu wezwań na komendę. Wynikać to miało z faktu, że „jest w środowisku byłych działaczy odsuwany od działalności” i „Wyrażane są nawet podejrzenia, że współpracuje z SB”. Funkcjonariusz – mimo postawy Niezgodzkiego – nie chciał zrezygnować z jego werbunku. Zaproponował kombinację operacyjną, która miała polegać na zatrzyma-

niu go wraz z drukami podziemnymi, co miało z kolei skłonić Pawła Niezgodzkiego – zagrożonego wyrokiem – do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa. Gdyby to się nie udało, proponował „całkowicie wyizolować” go ze środowiska.

Jednak decyzja przełożonych Talbierza była inna – kontrola operacyjna Pawła Niezgodzkiego, a w przypadku podjęcia przez niego działań niezgodnych z prawem aresztowanie. Kontrola ta, prowadzona przy wykorzystaniu tajnych współpracowników, wykazała, że w wyniku nieufności wobec niego środowiska korowskiego nie miał (mimo podejmowanych przez siebie prób) możliwości włączenia się w działalność podziemną. Tym bardziej, że odsunęli się od niego przedstawiciele frakcji „prawdziwych Polaków” w Regionie Mazowsze. Choć – co warto przypomnieć – już po wspomnianej „rozmowie” Służba Bezpieczeństwa uzyskała informację, że miał rzekomo wydawać (przy współpracy Barbary Nowogórskiej) „Tygodnik Wojenny”, wg SB – niewielkie liczące cztery strony piśmko podziemne. Wobec informacji o zaniechaniu przez niego „antysocjalistycznej działalności” Talbierz we wrześniu 1984 r. stwierdzał: „W chwili obecnej kandydat całkowicie utracił kontakt z opozycją (poprzez bojkotowanie go) i praktycznie nie ma żadnych możliwości operacyjnych”. I w tej sytuacji proponował: „Uwzględniając powyższe okoliczności i to, że kandydat odmówił współpracy z SB, należy zakończyć opracowanie i materiały złożyć w archiwum [...] Natomiast Niezgodzkiego objąć kontrolą operacyjną w ramach kwestionariusza z uwagi na to, że może on podjąć działalność antysocjalistyczną w sprzyjających okolicznościach”.

Jego opinię podzielili przełożeni. W związku z czym od 10 września 1984 r. Paweł Niezgodzki był rozpracowywany – przez ponad trzy lata, do 5 lutego 1988 r. – w ramach kwestionariusza ewidencyjnego kryptonim „Paweł”. Tak na marginesie, konieczność jego prowadzenia uzasadniano nie tylko obawami, że Niezgodzki może podjąć „wrogie działania”, ale też jego negatywnym stosunkiem do stanu wojennego, a także tym, że w czasie legalnego funkcjonowania NSZZ „Solidarność” w latach 1980-1981 „prezentował wrogą postawę polityczną, aktywnie pracując na rzecz Regionu [Mazowsze – GM] i tym, że „jest zwolennikiem pluralizmu związkowego”. W trakcie rozpracowania nie stwierdzono jednak, aby angażował się w działalność opozycyjną – skupił się na działalności zawodowej i swoim życiu prywatnym. Jak zatem widać, wbrew do dzisiaj krążącym – głównie wśród jego politycznych przeciwników w związku – pogłoskom, nigdy nie podjął współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa. Nigdy też – chyba – nie doczekał się przeprosin z powodu tych niesłusznych oskarżeń. Przynajmniej publicznych. A w końcu odrzucił esbecką ofertę współpracy przeciwko swoim związkowym antagonistom...

## Podziemny dolar z Kutna...

Szczepan Rudka

...to jedna z wielu cegiełek, jakie wydały konspiracyjne struktury opozycji antykomunistycznej po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku.

Walor wyemitowała Regionalna Komisja Wykonawcza NSZZ „Solidarność” Ziemi Kutnowskiej, która powstała 26 października 1986 roku. Funkcjonowała ponad dwa lata, a jej członkami – jak podaje Jacek Pawłowicz (*„Nieznani bohaterowie. Leksykon opozycji antykomunistycznej w województwie płockim 1980 – 1989, część II, Organizacje opozycji antykomunistycznej”*, Płock 1998) – w różnych okresach byli: Zbigniew Kamiński, Grzegorz Pasiński, Władysław Walos, Tadeusz Wawrzyńczak i Mariusz Wieczorkowski).

Związani z nią opozycjoniści starali się zakładać tajne komórki Związku, zwłaszcza w zakładach pracy. Prowadzili kolportaż wydawnictw bezdebitowych, nanosili antykomunistyczne napisy na murach. Przyczynili się do sukcesu bojkotu referendum przeprowadzonego przez władze PRL 29 listopada 1987 roku. Komisja wydawała „Gazetę Podziemną”, na łamach której opisano między innymi sprawę skatowanego na śmierć przez funkcjonariuszy MSW Mirosława Bednarka z Gledzianówka k. Witoni. Redagowali ją, jak można przeczytać w wydany w 1992 r. katalogu „*Grafika podziemna Teresy i Mariusza Wieczorkowskich*”, Ewa Krzysztofiak, Andrzej Olewnik, Mariusz Wieczorkowski (redaktor naczelny) i Teresa Wieczorkowska, przy współpracy z Michałem Grajkowskim i Martyną Grajkowską.

Działacze kutnowskiej „Solidarności” postanowili też przywołać pamięć o Stanisławie Jasiukowiczu, związanym z Ziemią Kutnowską, którego rodzina osiadła w Chodowie, położonym w zachodniej części Ziemi Kutnowskiej, obok Krośniewic: „*wybitnym działaczu społecznym i politycznym, ministrze i z-cy Delegata Rządu RP na Kraj – napisano w uchwale RKW NSZZ „Solidarność” Ziemi Kutnowskiej – który obok d-cy AK gen. [Leopolda] Okulickiego i Delegata Rządu RP [Jana Stanisława] Jankowskiego, stał się trzecią śmiertelną ofiarą moskiewskiego procesu 16 przywódców. Dr. Stanisław Jasiukowicz – człowiek bez grobu – skazany został także na niepamięć, na „białą plamę”. (...) 8 grudnia 1987 r. mija 105 rocznica urodzin Stanisława Jasiukowicza.*

Nawiązując do tej daty „Solidarność” Ziemi Kutnowskiej postanowiła przypomnieć dr. Jasiukowicza – postać znaczącą w XX-to wiecznej historii Polski i ściśle związaną z najbliższą nam historią regionalną.

By móc zrealizować wymieniony cel jego pomysłodawcy postanowili: wznieść na Ziemi Kutnowskiej pomnik dr. Stanisława Jasiukowicza... (oraz) wprowadzić w obieg Poczty „Solidarność” okolicznościowy znaczek z okazji 105 rocznicy urodzin dr. Stanisława Jasiukowicza, przeznaczając uzyskany tą drogą dochód na budowę pomnika.



Pierwsza strona trzynastego numeru „Gazety Podziemnej”, w większości poświęconego Stanisławowi Jasiukowiczowi. Opisano w nim także sprawę zabójstwa Mirosława Bednarka przez funkcjonariuszy MO.

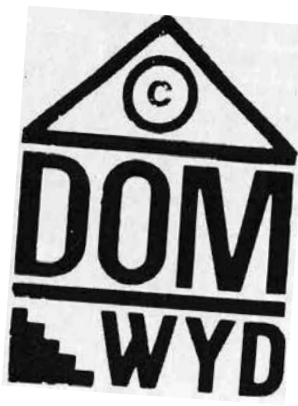
Obok wspomnianego znaczka postanowiono też wydać koperty okolicznościowe oraz banknot wzorowany na dolarze USA. Druki te zaprojektował Andrzej Mariusz Wiczorkowski przy współpracy z żoną Teresą. Założyli oni i prowadzili w latach 1984-89 Podziemne Wydawnictwo DOM, w którym powstawały prace graficzne (między innymi koperty i znaczki, rysunki satyryczne i ulotki) publikowane w drugim obiegu.

Spektakularnym przedsięwzięciem była zrealizowana przez nich „Akcja Rycyna”. W jej ramach wydano i kolportowano wśród członków PZPR i ZSMP spreparowane pismo „Głos Komunisty”, którego rzekomym wydawcą był Komitet Okręgowy Partii „Wolnych Komunistów” w Płocku.

Wiosną 1987 roku, jak napisano w katalogu wystawy „Grafika podziemna Teresy i Mariusza Wiczorkowskich”: „P.W. DOM na zlecenie przewodniczącego RKW „S” Ziemi Kutnowskiej „Romana” (Władysława Walosa) rozpoczęło prace nad kutnowskimi znaczkami Poczty Podziemnej i banknotem typu „podziemny dolar” o nominale 200 zł. Projekty były gotowe i zatwierdzone przez RKW już latem 1987 roku.

Znak graficzny P.W. DOM

„Makiety przygotowane zostały – czytamy dalej – dla maszyny kserograficznej, na której w jednej z państwowych firm w Warszawie drukowana była „na lewo” nasza gazeta. Jednakże z przyczyn bezpieczeństwa pod koniec lata „punkt” odmówił dalszego druku. Makiety trafiły do tajnej drukarni MKK (Międzyzakładowego Komitetu Koordynacyjnego NSZZ „S”) „Wola”, która przejęła druk kutnowskiej gazety, ale zbyt precyzyjny rysunek nie dawał przenieść się przy pomocy urządzenia offsetowego „Woli”. Rozpoczęła się długa wędrówka matryc, aż do Wrocławia, gdzie po wydru-



kowaniu serii próbnych urwał się kontakt z drukarzem. Konflikt, który podzielił kutnowską RKW, nie sprzyjał staraniom o odzyskanie banknotu.”

Spór – jak wyjaśnia Jacek Pawłowicz w przywoływanej już książce – zaczął się w drugiej połowie 1988 roku i podzielił działaczy RKW na zwolenników i przeciwników rozpoczęcia przez NSZZ „S” jawnej działalności. Jego apogeum nastąpiło w lutym 1989, gdy powstała funkcjonująca oficjalnie Tymczasowa Międzyzakładowa Komisja NSZZ „S” Ziemi Kutnowskiej.

„Ostatecznie jedynie niewielka seria próbna znaczków i kutnowskiego „dolara” dotarła do P.W.DOM (...) i druki te nie odegrały roli finansowej, a jedynie propagandową.” – piszą autorzy katalogu.

Druki te zostały powielone w Zakładzie Produkcji Aparatury Elektronicznej INCO, mieszczącym się we Wrocławiu przy ulicy ul. Tarnogąskiej 11/13. Jednym z niewielu przedsiębiorstw w Polsce, które było wówczas stać i miało przyzwolenie władz na zakup zachodnich kserografów. Sprowadzenie takich urządzeń – co na szerszą skalę nastąpiło dopiero od roku 1990 – spowodowało prawdziwą rewolucję w polskiej małej poligrafii. Do tej pory do celów reprograficznych wykorzystywano przede wszystkim polskie kserografy Pyłorys KS2 Prexer, które pod względem wydajności i jakości były gorsze od ich zachodnich odpowiedników. Do wspomnianego zakładu INCO trafiły urządzenia japońskiej firmy Kyocera-Mita. Obsługiwał je Jerzy Łajstowicz, który – przez nikogo nie niepokojony – powielał różne wersje kutnowskiego dolara oraz znaczki Poczty Podziemnej „Solidarność” Kutno (w arkuszach i bloczkach).

Próbne wydruki banknotu zostały wykonane jednostronnie na zwykłym, białym papierze maszynowym. Do powielenia jego docelowej wersji wykorzystano arkusze w kremowym kolorze. Kutnowski dolar wydano w sześciu seriach, każdą z nich na awersie oznaczono jedną z pierwszych liter alfabetu: od A do F. Obok nich odbijano numeratorem sześciocyfrową liczbę.



Awers kutnowskiego dolara

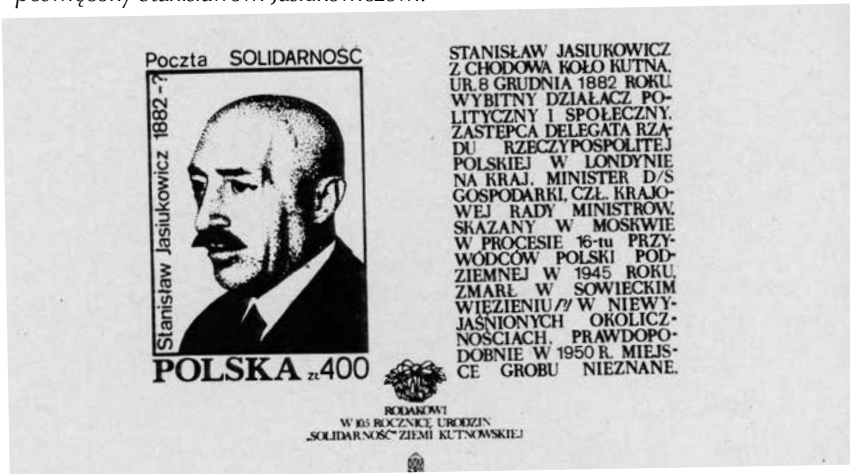




*Rewers kutnowskiego dolara*

Zakładano, że banknot zostanie wydany w nakładzie pięciu tysięcy sztuk. Czy tak się stało? Nie sposób dziś ustalić. Prawdopodobnie ukazało się około 200 tych walorów w sześciu seriach.

*Jeden z dwóch numerowanych bloków Poczty Podziemnej „Solidarność” Kutno, poświęcony Stanisławowi Jasiukowiczowi.*



Banknot z Kutna był jednym z co najmniej kilkunastu cegiełek opozycji antykomunistycznej wzorowanych na dolarach USA. Waluta ta kojarzyła się z wolnością i dobrobytem Zachodu. Była w PRL drugą, nieoficjalną, twardą walutą, mocniejszą od złotówki, za którą można było wszystko kupić, a przez to bardzo pożądaną. Kutnowski walor oraz wydane razem z nim druki filatelistyczne należą bezsprzecznie do jednych z najlepiej zaprojektowanych i powielonych wydawnictw opozycji antykomunistycznej.

## Starszy Pan z AK

Krystyna Antoszkiewicz

Rok 1983, może 1984, mieszkanie Starszego Pana, żołnierza AK, powstańca warszawskiego i właściciela sporego mieszkania w centrum Warszawy, w którym mieszkał samotnie, pod dochodzącą opieką rodziny.

Starszy Pan, zorientowawszy się, że jeden z jego wnuków działa w Podziemiu, zaproponował swoje mieszkanie na hurtownię bibuły. Chłopcy z Grup Oporu „Solidarni”, z ich szefem Teosiem Klincewiczem, pseudonim „Rafał” byli zachwyceni, świetny punkt, duże mieszkanie. Wszystko zostało umówione, hasło – odzew, kolejne hasło – odzew, to było zastanawiające, ale uznano, że Starszy Pan, weteran wie co robi. Nakład przyjechał, Pan przyjął cały nakład, umówiono odbiór za kilka dni. Ustalono kolejną sekwencję haseł i odzewów, znów piętrowe, ale chłopcy uznali, że Starszy Pan, w końcu weteran, wie co robi. Przyjechali odbiorcy, prawidłowo wykonali hasło, bez odzewu, spróbowali powtórnie, bez efektu. Odjechali. Przekazali wiadomość, że nie odebrali i czekali na sygnał do prawidłowego odbioru.

Dwa dni później alarmująca wiadomość od rodziny, Starszy Pan zabarykadował się w domu, nie wychodzi, nie odbiera telefonów, przestał wpuszczać do domu rodzinę, nie wiadomo, czy ma jedzenie, czy bierze leki, za kilka dni długo oczekiwana wizyta u specjalisty. Zrobiło się nieciekawie...

Sprawa dotarła do szefa, czyli Teosia. Postanowiono „odbić” nakład. Zaprzyjaźniony ślusarz pojechał na wizję lokalną, ustalono jakie zamki w drzwiach ma Starszy Pan. Kupiono i zdobyto identyczne. Przygotowano transport, dziupkę na odwiezienie całego nakładu. Przytomna osoba zwróciła uwagę, że Starszy Pan może z wrażenia dostać zawału, do ekipy dołączył lekarz, umówiono się z członkiem rodziny, żeby nie przstraszyć sąsiadów.

Akcja trwała krótko. Ślusarz otworzył zamki, chłopcy opróżniali mieszkanie, lekarz się przydał, na szczęście nie do zawału, ale do podania środków uspokajających, rodzina też. Zamontowano nowe zamki, a na futrynie zewnętrznej zrobiono znaczek – żeby pamiętać „Nigdy, żadnych dziupli!!!”

# Przeczytane w windzie

## – Tygodnik Wojenny

- nr 4 (21.01.1982) Nie pokona orła wrona, nawet i opancerzona
- nr 6 (4.02.1982) PZPR do ZSRR
- nr 7 (11.02.1982) Wron won za Don
- nr 10 (5.03.1982) Uwolnić Lecha, wsadzić Wojciecha
- nr 14-15 (9.04.1982) Okonie do wód! (w Pewexie): Wron is wrong
- nr 20 (27.05.1982) Wron do Wronek
- nr 22 (10.06.1982) Okoń nie koń, długo nie pociągnie
- nr 23 (17.06.1982) Wron won na poligon
- nr 25 (1.07.1982) PZPR do kubła! (w śmietniku)
- nr 26 (8.07.1982) Wrona do schrona (w śmietniku)
- nr 29 (12.08.1982) Partio ty zmoro zginiesz jak Aldo Moro
- nr 33 (9.09.1982) Rakowski do synów!
- nr 35 (7.10.1982) Edward – wróć! Pomożemy!
- nr 36 (4.10.1982) Wron won!
- nr 38 (28.10.1982) Wronie związki na Powązki
- nr 40 (1.11.1982) Uwaga! Wrona Prontkuje!
- nr 43 (9.12.1982) Przyjdzie krecha na Wojciecha
- nr 44-46 (23.12.1982) Wrona – d.E.Gierek (przeczytane na czekoladzie)
- nr 48 (20.01.1983) TW – tak! TV – Nie! (przeczytane w Radiokomitecie)
- nr 50 (10.03.1983) Zamienię KC na WC
- nr 51 (24.02.1983) Nie ma cwaniaka na Bujaka
- nr 52 (10.03.1983) Zgoda buduje, WRONa rujnuje
- nr 53 (24.03.1983) Wrona szaleje, wszystko drożeje
- nr 56 (21.04.1983) Najlepsza wrona jest upieczona
- nr 57 (28.04.1983) Kupowanie gorzały, to składka na pały
- nr 59 (19.05.1983) Pron to schron dla Wron
- nr 61 (2.06.1983) Gazem do socjalizmu
- nr 66 (15.09.1983) Czołgiem bliżej. MFR
- nr 68 (13.10.1983) Pronem dalej
- nr 69 (20.10.1983) Ple, ple, plenum
- nr 70 (4.11.1983) Pracujące soboty, robotnicy – roboty, więzienia, groby, pała, to Polska Generała (po wizycie Rakowskiego w stoczni)
- nr 71 (17.11.1983) Rząd jest rakotwórczy
- nr 72 (1.12.1983) Ceny wyżej – sierpień bliżej
- nr 73 – 74 (23.12.1983) Wrona z kokiem (u fryzjera)

- nr 75 (14.01.1984) Pronem do urn!  
 nr 76 (20.01.1984) Wolność dla KORu sprawą honoru  
 nr 77 (2.02.1984) Głosowałeś na Pron-listę i wybrałeś komunistę  
 nr 78 (17.02.1984) Chcesz mieć Kraj Rad? Głosuj do rad  
 nr 79 (2.03.1984) Tylko cykory idą na wybory  
 nr 80 (17.03.1984) Tylko durny idzie do urny  
 nr 81 (2.04.1984) Kocham Lecha  
 nr 82 (15.04.1984) Kto durny  
 nr 83 (30.04.1984) Głupie cię idzie na pochód z Jaruzelem!  
 nr 85-86 (28.05.1984) Jaruzelskiego do urny  
 nr 87-88 (15.06. 1984) Jaruzelski do urny!  
 nr 89 (26.06.1984) Winda nieczynna, dźwigowy na rybach (wybory do rad narodowych)  
 nr 92 (12.09.1984) Zamienię Wojciecha na Lecha  
 nr 94 (6.10.1984) Urban na banicję

„Tygodnik Wojenny” nr 5 „ZNANY artysta – filmowiec Czesław Petelski w niepokojem oczekuje opinii o swym wystąpieniu telewizyjnym w dniu 17.01. Adres: Warszawa, ul. Zdrojowa 59 lub tel. 42-06-32.”

„Tygodnik Wojenny” nr 8 (18.02.1982) „AKCJA „PORNO”. W „Polkolorze” komisarz wojskowy do robotnika jedzącego kanapkę pod zdjęciem gołej panienki: „Wy możecie jeść przy tym świństwie?”. Robotnik: „Panie, ja kolację jem przy Dzienniku TV i też jakoś idzie.” Tego samego dnia Obrona Cywilna zerwała wszystkie zdjęcia gołych pańienek. A co z Dziennikiem TV?”

„Tygodnik Wojenny” nr 9 (25.02.1982) „Z OSTATNIEJ CHWILI! W związku ze znanym wszystkim Polakom hasłem „Zima wasza. Wiosna nasza” WRONa podobno zamierza już niedługo wydać zakaz wstępu do lasu!”

„Tygodnik Wojenny” nr 12-13 (bez daty, bo zaginęła winieta) „KĄCIK PORAD SERCOWYCH czyli Rakowski o: Breżniewie: „On kocha Polskę. Rozumie Polskę”. O swej jedynej miłości (Pyt.: „Pan bardzo kocha Rosjan, nieprawdaż? Rakowski: Oczywiście, i to nie tylko z powodów ekonomicznych. Część moich najlepszych przyjaciół mieszka w Moskwie; spędziłem cudowne noce z nimi, rozmawiając przy wódce.” O sobie: „Jak wiadomo, nawet anioł staje się dziwką, jeżeli niekontrolowany dostaje się na świecznik władzy.” (na podst. Wywiadu Oriany Fallaci „Washington Post” 21.02)“

# Basia

Krystyna Antoszkiewicz

Druk i kolportaż „Tygodnika Mazowsze” działał następująco, przygotowany numer był powielany na kliszach do druku (dodatkowo mikrofilmy były przemycane na Zachód i tam czytane np. w Wolnej Europie). Na miejscu równolegle docierały do różnych drukarni, gotowe nakłady rozwożono do hurtowni, tam dzielono – do półhurtowni, z nich do ćwierć... i stamtąd były rozprowadzane do detalistów. Ten system był na tyle sprawny, że nie zaliczył właściwie wpadek na najwyższym poziomie. Niebagatelną rolę odegrało też to, że TM był prowadzony przez kobiety. Podobny system starano się zastosowywać w kolportażu książek i innych wydawnictw. W każdym razie u Basi Błaszczuk, mojej nieżyjącej już przyjaciółki, liczącej ponad 180 cm blondynki, na ul. Góralskiej na warszawskiej Woli, była ćwierćhurtownia wydawnictw książkowych.

Przyjechała kolejna partia „bibuły”, detaliści poumawiani na odpowiednie pory. Sygnałowe pukania umówione. Zwykle też wiadomo było mniej-więcej, kto będzie. Tego dnia miała przyjść drobniutka brunetka. Panie się wcześniej nie znały, ale brunetka wiedziała, że spotka wysoką blondynkę. Dzień wcześniej, nagle..., Basia, wtedy pracownik Centrali „Cepelii”, dostała od swojego szefa polecenie zastępstwa delegacji na południowy kraniec Polski, natychmiast. Nic nie dało się przełożyć, ani delegacji, ani odbioru.

Basia z duszą na ramieniu wsiadła wieczorem do nocnego pociągu i pojechała...

Na posterunku został jej partner Krzyś, nazwijmy go „Rumcajs”, bo tak mniej więcej wyglądał. Niższy od Basi o głowę, czarny, z czarną brodą, mały, żylasty, wygadany i zadziorny. Jeśli pomagał Basi, to tylko przynieść cięższe paczki lub kitrać je na szafie, w bezpośrednich przekazaniach nie brał udziału i z zasady się nie pokazywał.

Punktualnie, o odpowiedniej porze, odpowiednie pukanie, może troszkę głośniejsze niż zwykle, ale może to nerwy...

Rumcajs otwiera drzwi...

Po drugiej stronie Wiking, olbrzym prawie dwa metry wzrostu, ruda czupryna, wielka ruda broda, odpowiednia samara – no monstrum. Panowie mierzą się groźnie wzrokiem. Pierwszy rezon odzyskuje Rumcajs

– Hm, rozumiem, że jest Pan tą drobniutką brunetką?

Błysk zrozumienia w oczach.

– Ach, a ja jestem tą wysoką blondynką. Proszę, niech Pan wejdzie.

## Pisma satyryczne

- Agentura. Pismo satyryczne, Łódź 1987, ukazało się 3 numery
- Bicze Podziemne. Nieperiodyczne pismo satyryczne redagowane przez zespół „Wolnej Kultury”, Wyd. „Komentarz”, Wrocław 1985
- Bok, studenckie pismo satyryczno – literackie, NZS SGGW, Warszawa 1981
- Kret. Satyryczno-polityczny nieregularnik studencki, wyd. studentów Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 1982
- Nocne Teksty Kabaretu „Afera”. Studenckie pismo satyryczne, 1981
- Organ, pismo satyr. Wyd. ze stycznia 1978 (pierwsze podziemne pismo satyryczne, ukazał się prawdopodobnie tylko jeden numer)
- Piard szmatławiec młodych kpiarzy, Gdańsk 1981
- Pegaz. Gdańskie pismo przeciwwagowe (humorystyczne), Gdańsk, 1984– 1985
- Pełzający Manipulo. Pismo satyryczne do użytku wewnątrzjazdowego. Biuro Prasowe Zjazdu, Gdańsk 1981
- Pomruk. Pismo satyryczne do użytku wewnętrznego, Łódź 1981
- Przewodnik po Biomedycusie. Biuletyn Informacyjny Socjalistycznego Związku Satyryków Polskich, Białystok 1981
- Smok Wawelski. Pismo humorystyczne, Kraków 1989
- Soliter. Podziemne pismo satyryczne. Wyd. „Słowo”, Warszawa 1983
- Strachy na Lachy. Pismo satyryczne, 1980

opr. js.

„Sygnał” nr 71, listopad 1984 Kraków

„OGŁOSZENIA...

TOWARZYSKIE

Chrześcijańskiego liberała, bez nałogów, pozna kulturalna, spokojna.

Ekstremę niepodległościową n a g w a ł t poznam. Fotooferty mile widziane.

„Tygodnik Wojenny” nr 3 (14.01.1982) „Redakcja „Tygodnika” wspólnie z MSW ogłasza konkurs: JAK ZAKOŃCZYĆ STAN WOJENNY? Nagrody: urlopy w atrakcyjnych miejscowościach wypoczynkowych - Jaworze, Drawsko, Białoleka, Wiśnicz oraz publikacja w „Monitorze Polskim”. Prace konkursowe prosimy nadsyłać na adres: Wojciech JARUZELSKI, 02-705 W-wa, ul. Ikara 5”



# Działo się...

## anegdoty z życia knujących

\* \* \*

Niektórzy uważają, że bezpieka nie była w stanie zniszczyć podziemia z powodu... bałaganu w tymże. I chyba coś było na rzeczy. Bo jak namierzyć bandę ludzi, którzy mylą miejsca, godziny, zapominają haseł, spóźniają się na spotkania albo wcale na nie nie przychodzą?

Niedawno powstał „Tygodnik Wojenny”. 1982 r. Zima, śnieg, mróz. Puławską w stronę Śródmieścia jechała tramwajem moja żona Ewa. Na przystanku Morskie Oko widzi tupiącego tam, zmrożonego Piotra Szuberta (Małego), członka redakcji i szefa kolportażu „Tygodnika”, Widać z daleka, że czeka na kogoś, kto się mocno spóźnia.

Kolejny przystanek. A tam stoję ja w podobnym stanie wściekłego oczekiwania.

Ewa skojarzyła natychmiast te dwa fakty i wyskoczyła z tramwaju.

- Czy ty się przypadkiem nie umówiłeś z Małym?
- Umówiłem. Czekam prawie godzinę, a bałwana nie ma.
- Nie ma, bo on czeka przy Morskim Oku...

I tak, dzięki tej niespodziewanej dla wszystkich interwencji Ewy, udało nam się spotkać. Nie udało nam się za to nigdy dojść, kto pomylił miejsca. Ja czy Mały? Ale czy to ważne? Grunt, że umówione spotkanie doszło do skutku. js.

\* \* \*

Janusz R.Kowalczyk „Wracając do moich baranów”, Warszawa 2012

„Od dawna chciałem posmakować druku na łamach podziemnej prasy. W swojej niebotycznej naiwności próbowałem to przeprowadzić za pośrednictwem Jurka Szmi-  
da (późniejszy prezes Garmond Press). Który był moim głównym kontaktem z nielegalnymi oficynami. Tak się bowiem złożyło, że nasze rodzinne mieszkanie służyło mu za skrytkę i punkt przerzutowy bodaj połowy możliwej bibuły, jaka z różnych stron kra-  
ju i zza granicy pojawiała się w Krakowie. Bez przerwy kręcili się u nas młodzi ludzie z plecakami, a Jurek siedział, dysponował, notował, rozliczał. Zdarzało się, że i mnie gdzieś wysłał z towarem. Jednym słowem: konspira.

– Stary, nie wydrukowali ci tego – przybierał bolesny wyraz twarzy. – Musisz zrozumieć: wpadła drukarnia.

Rozumiałem. Przykra sprawa. Ale kiedy okazało się, że tych drukarni wpadło już pięć czy sześć, zacząłem się nad sobą poważnie zastanawiać. Człowieku, daj sobie spokój, przynosisz im pecha.

Dlatego kolejny tekst postanowiłem puścić inną drogą. Korzystając z kontaktów warszawskich, pchnąłem coś do druku przez Janka Strękowskiego.

Nigdy nie zapomnę twarzy Jurka, gdy pojawił się u mnie w domu. Mieniła się wszystkimi kolorami tęczy. Od zieleni, przez fiolet, do czerwieni.

– Człowieku, jak mogłeś nam coś takiego zrobić? – potrząsał moim tekstem zamieszczonym w „Bez Dekretu”. – Czy ty sobie nie zdajesz sprawy, na co nas narażasz? Jeszcze to podpisujesz swoim imieniem i nazwiskiem... Przecież esbecja może tu zaraz kipisz zrobić.

W mig zrozumiałem, co jest grane, dziwnie jednak nie miałem ani cienia skruchy. Sam się o to prosił, fantazując o wpadających drukarniach. (...)

Jurek powinien był mi szczerze powiedzieć, że mój dom jako skrzynka kontaktowa jest ważniejszy dla tak zwanej Sprawy niż moje nazwisko na łamach podziemnej prasy. (...) Stało się. Zacząłem publikować w podziemiu. Jurek skrzynki bynajmniej nie zmienił. I tylko drukarnie przestały spadać.”

*(warto dodać, że „Bez Dekretu”, w którym umieściłem teksty Janusza, wychodziło w jego rodzinnym Krakowie! js.)*

\* \* \*

Henryk Wujec był częstym gościem w domu Joanny Papuzińskiej-Beksiak, ponieważ knuł z jej mężem Januszem Beksiakiem. Został nawet ojcem chrzestnym ich syna. Któregoś dnia przyszedł do nich najedzony do syta, otóż w obawie przed przeszukaniem przez milicję, która go zatrzymała, zjadł wszystkie nieprawomyślne papiery, jakie miał przy sobie.

– I po co ja się tyle tego nałykałem? – narzekał.

Milicja akurat tym razem go nie zrewidowała.

*Ze wspomnień profesor Joanny Papuzińskiej  
spisała M. Strękowska-Zaremba*

\* \* \*

Bardzo świetni ludzie, bardzo sympatyczni to robili. Jeden z nich, tzw. Zioloj (Andrzej Zieliński – js) opowiadał mi taką anegdotę, że robili właśnie nakład „Robotnika” i skończyła im się pasta Komfort. No i chociaż była zasada, że nie wychodzi się z lokalu konspiracyjnego, no to on wyszedł do kiosku kupić – w kioskach można było pastę Komfort...

No i kioskarz: Proszę bardzo.

Po jakimś czasie znowu się skończyła. Znowu przyszedł. I znowu. I za trzecim razem ten mówi: Panie, panie! Co jest grane? Panie, po raz trzeci pan przychodzisz po Komfort, a jesteś pan coraz bardziej brudny!

*Henryk Wujec, Drugi obieg wydawniczy (Culture.pl)*

\* \* \*

Opowiadał mi kiedyś Erazm Ciołek. Był stan wojenny, dzwoni telefon. Dzwonią z redakcji „Żyjmy Dłużej”, proszą żeby wziął jakieś zdjęcia. Nie zdziwił się, bo fotografował m.in. kiedyś narkomanów. Zaproponowali spotkanie w kawiarni „Morskie Oko”. Jednym z ulubionych lokali, nie wiedzieć dlaczego, i konspiratorów i esbeków. Erazm pojechał. Wchodzi do wnętrza. Z daleka od stolika wstaje dwóch panów wyglądających na inny tytuł. Podchodzą do Ciołka, który domyślając się, z kim ma do czynienia, pyta: Panowie z „Żyjmy Dłużej”? – Tak tak... żyjemy dłużej. I: chachacha! zanot. js.

\* \* \*

A teraz moja historia. Tuż po ogłoszeniu stanu wojennego, w kilka dni od mojej ucieczki z domu w Zalesiu, o piątej rano pojawił się na ulicy duży fiat (125p), który dla niepoznaki zaparkował... bramę wcześniej, przy płocie mojego sąsiada. Sąsiad był szewcem i jak to bywało w PRL-u nie zajmował się szyciem butów, ale handlował przydzielaną do szycia tychże skórą. Akurat dzień wcześniej przeprowadził udaną transakcję i miał w domu ponad 20 tys. zł (prawie dwie pensje ówczesne), na co nie miał odpowiednich papierów. No i biedak, kiedy dostrzegł o tak wczesnej porze samochód z czterema smutnymi w środku, skojarzył to z tą transakcją. W panice schował więc pieniądze do słoika, który włożył do wygaszonego już, ale gorącego pieca centralnego ogrzewania i czekał na wizytę, która nie nastąpiła, bowiem panowie udali się z wizytą po sąsiedzku.

Kiedy sąsiad zorientował się, że nie on jest celem wizyty, wyciągnął z pieca słoik, ale okazało się, że piec był zbyt gorący i pieniądze przepadły.

To jeszcze nie koniec tej historii. Sąsiad długo miał o tę stratę pretensję do mnie. – No bo, panie Janku, jak przyjeżdżają po pana, to powinni stać pod pańską bramą, a nie moją! To chyba logiczne!

– Logiczne – powiedziałem i obiecałem solennie w imieniu ścigającej mnie bezpieki, że to się więcej nie powtórzy. js.

\* \* \*

Historia z ubekami pod domem sąsiada miała jednak swój dalszy ciąg. Bo oni nie wiedzieć czemu przywiązali się bardzo do tego miejsca i duży fiat z czterema smutnymi w środku pozostał w pobliżu mojego domu, czyli przy płocie sąsiada, przez kolejnych 5 miesięcy, co oczywiście przeszkadzało w robieniu interesów. Wydawało się, że na smutnych panów śpiących w dużym fiacie, czy grających z nudów w pokera w oczekiwaniu na pojawienie się mnie w obserwowanym domu, nie ma mocnych. Ale okazało się, że jest na nich sposób. Sąsiad szewc miał liczną (czwórka maluchów) gromadkę dzieci, w wieku od 2 do 6 lat. A dzieci jak to dzieci, interesowały się stojącym przy płocie samochodem, zaglądały przez zaparowane szyby, stukwały w karo-

serię, trąbiły, wrzeszczały. Tego esbekom było za wiele. Próbowali je przeganiać, ale dzieci wciąż wracały. No i tego panowie z fiata nie wytrzymali. Powoli zaczęli oddalać się od mojego (a zarazem sąsiada) domu. Aż w końcu wylądowali na równoległej ulicy, skąd już nie widać było, ani tego co się dzieje na mojej, ani na posesji sąsiada.

js

\* \* \*

Stan wojenny. Internat. Odwiedziny. Do mojego kolegi z czasów jeszcze KOR, Andrzeja Zozuli przyjechała żona Marysia z koleżanką. A wpuszczano tylko członków rodziny.

Panie podchodzą do okienka. Strażnik pyta: – Kto?

– Żona – odpowiada Marysia.

– Wchodzić!

Podchodzi koleżanka.

– Kto?

– Konkubina – odpowiada koleżanka.

– Wchodzić!

not. js.

\* \* \*

Była jesień 1983 r. Dostałem kolejne wezwanie do Mostowskich, czyli Komendy Stołecznej MO. Prawidłowo wypełnione, postanowiłem więc tam się udać, mając nadzieję na dowiedzenie się czegoś na temat wiedzy безпеki o mnie i „Tygodniku Wojennym”. Przesłuchanie wyglądało standardowo, podałem swoje dane, a potem odmawiałem odpowiedzi na kolejne pytania. W końcu esbek się znudził. Odmawia pan zeznań? Oczywiście powiedziałem, że niczego nie odmawiam i... proszę pytać. Po czym znów odmawiałem odpowiedzi. Widziałem, że esbek ma już mnie dość, wiercił się, zerkał na zegarek. W końcu powiedział, no dobra, muszę coś załatwić, poczeka pan na mnie. I posadził mnie na krzeselku na korytarzu, a sam gdzieś znikł. Siedziałem tak godzinę, może dwie? Wyjść nie mogłem, bo w bramie zabrano mi dowód. Tymczasem na korytarzu toczyło się życie, Biegali esbecy, niektórzy nie wyglądali na takowych, co mnie nawet zdziwiło. Nosili jakieś dobra, zakupy, jedzenie, jakieś pudła (domyślałem się, że gdzieś na dole była kantyna serwująca te dobra).

Tak im się opatrzyłem, że w pewnym momencie jeden z biegnących korytarzem spytał mnie nawet zafrasowany: – Kolego, nie spadła mi tu gdzieś kartka? – Niestety, kolego – odpowiedziałem. W końcu „mój” ubek powrócił. Cały szczęśliwy, targając oburącz 12 tomów Encyklopedii Powszechnej. Nie do zdobycia w normalny sposób. Tak był szczęśliwy, że zapomniał nawet o domaganiu się ode mnie podpisu pod protokołem przesłuchania.

js.

\* \* \*

Problemu z kupieniem papieru nie było albowiem ten czarny rynek na papier istniał w PRL-u i miał się bardzo dobrze. Pamiętam, że jak przychodziłem do takiego bardzo skorumpowanego sprzedawcy papieru w hurtowni na Bema, to mówił: – Eee, pan to tak mało ode mnie bierze i pan to zawsze się targuje. Przychodzi tu do mnie taki ksiądz, proszę pana, to on bierze ciężarówkę i płaci... prosto z sutanny wyjmuje.

*Witold Łuczywo, zanot. js.*

\* \* \*

Janusz Onyszkiewicz załatwił nam lokal do drukowania, to była pracownia jego zmarłej żony, na ulicy Okrzei, w takim podwórku, klasycznym, praskim podwórku z Panną Marią w kapliczce na środku. I pod tą kapliczką zawsze siedziała grupa meneli i piła tanie wino. No i myśmy zawsze mieli dylemat, czy wnosić po kilka ryz papieru w plecakach, ale to wtedy dużo kursów, czy po prostu w jednym dużym worku wnieść wszystko na raz. Pamiętam taki wielki marynarski wór, do którego wrzucaliśmy ten papier i zataczając się, ledwie staliśmy na nogach, takie to było potwornie ciężkie, przechodziliśmy przez to podwórko. No, a za parę dni z tym samym worem.

Bardzo się obawialiśmy czy te menele jednak nie doniosą, ale oni podobno na swoich nie donosili. I pamiętam jak taki menel popijał to wino, my idziemy tak ledwie trzymając się na nogach z tym potwornie ciężkim worem i on mówi: – Znowu niosą trupa.

*Witold Łuczywo, zanot. js.*

\* \* \*

Andrzej Górski nie wygląda na Don Juana. W Milanówce znaleźliśmy mu lokal do drukowania u jakiejś solistki baletu. I on tam się zainstalował. Potem się okazuje, że jej były mąż był potwornie o nią zazdrosny i raz tam zastał Andrzeja Górskiego i był pewien, że to jest kochanek tej, tej baletnicy no i... ukrywający się kochanek tej baletnicy. No i doniósł to na policję. No i pamiętam jak siedzieliśmy u znajomych, graliśmy w karty, piliśmy wódeczkę, patrzymy w telewizor a tam pokazują film, to znaczy relację z policyjnej akcji: likwidacja podziemnej drukarni w Milanówku. Andrzej patrzy i mówi: Boże, to przecież moja drukarnia! [śmiech] Szczęśliwie nie poczekali tam na niego, no bo byśmy, byśmy stracili drukarza, który był cenniejszy niż, niż maszyna i papier.

*Witold Łuczywo, zanot. js.*

\* \* \*

W Śródmieściu przez pierwsze miesiące bez przerwy wszystkich zatrzymywali, rewidowali, legitymowali. Dlatego nasza konspira rozgrywała się głównie na wielkich osiedlach mieszkaniowych poza Śródmieściem. Ukrywaliśmy się głównie u młodej warszawskiej inteligencji, naszych rówieśników, myśmy wtedy mieli po trzydzieści, trzydzieści parę, dwadzieścia parę lat. Zmienialiśmy lokalizację, już nie pamiętam, co dwa mie-

siące, co dwa tygodnie, jakoś bardzo regularnie. I trzeba było wtedy prznosić masę bibuły z miejsca na miejsce. To wymyśliliśmy, że będziemy udawać kobiety ciąży. I Grażynka Weiss, nieżyjąca już żona Janusza Weissa, poszyła nam ciążowe sukienki z takimi specjalnymi workami pod spodem, w których trzymało się tę bibułę. No i my, trzy kobiety, wkroczyłyśmy kiedyś do Marka Janickiego, który mieszkał przy placu Unii Lubelskiej. Trzy kobiety w ciąży! On mało co nie zemdlął: – Czy będziecie tu rodzić?

*Helena Łuczywo, zanot. js.*

\* \* \*

Wykorzystałem moment, kiedy PRON ogłosił amnestię. Tylko postanowiłem wyjść dzień po. Bo wykalkulowałem sobie, że policja nie zamknie mnie dzień po terminie amnestii. Wyobrażałem sobie już tytuły w „Trybunie Ludu”, że amnestia sprawiła, że całe podziemie się ujawniło, że już normalizacja, no a tu następnego dnia łapią kogoś, kogo trzeba zamknąć, no to przecież nie zamkną mnie, prawda? Zrobi się chryja, będą żądać uwolnienia mnie, a przecież całe podziemie zlikwidowane. Propagandowo byłoby to fatalnie. No i z tym postanowienie idę sobie ulicą i spotykam Janusza Szpotańskiego i mu mówię o tym swoim pomysle. A on mówi: – Słuchaj, oni po ciebie nie przyjadą, oni już nie mają do tego serca.

I rzeczywiście, zjawiłem się w domu, siedzę, pies z kulawą nogą nie przychodzi po mnie. Dopiero następnego dnia zadzwoniłem do Andrzeja Celińskiego i mówię: – Andrzej zrób coś, bo tu siedzę, czekam na policję i jej nie ma. Już za pół godziny byli. Mieli dobry podsłuch telefoniczny. Wzięli mnie do Pałacu Mostowskich.

Nigdy w życiu nie widziałem tylu pułkowników UB na raz. Było ich tam czterech. Ja mówię, no to panowie, nie ma co, zamknijcie mnie, niech się chociaż wyśpię. Oni do mnie: – Panie Witku, tyle na pana czekaliśmy, pogadajmy sobie. No i tak siedzimy, gadamy, mija noc, nad ranem oni mówią: – Proszę pana, wy tyle piszecie złego, że my tu mamy tak wspaniale w tym pałacu, pójdzie pan z nami na śniadanko, sam się pan przekona, jak my tu skromnie żyjemy. No i siedzę, jem pasztetową z tymi pułkownikami i nagle wpada jeszcze jeden jakiś pułkownik SB, niesie gazetę i mówi: – Panie Witku, mamy kłopot z głową, PRON przedłużył amnestię!

Oni odetchnęli z ulgą, że nie musieli mnie zamknąć, że mogli mnie puścić. I spokojnie następnego dnia rano wyszedłem sobie do domu.

*Witold Łuczywo, zanot. js*

\* \* \*

Knułyśmy wtedy ... okolice Gwiazdzistej Klaudyny. To były czasy „Tygodnika Mazowsze”, i ktoś nam powiedział z sąsiadów, że coś rzucili do sklepu. Nie pamiętam, buty albo może tenisówki. Dosyć, że z Helenką Łuczywo pobiegłyśmy do tego sklepu, a tam po prostu trzech albo czterech ubeków! I oni mówią: – Ale panie się nie denerwuj,



my tu jesteśmy prywatnie. I ustawili się po te buty. Jacyś ubecy, którzy nas znali. Nie chcieli nic wiedzieć, buty chcieli kupić.

*Joanna Szczęsna, zanot. js.*

\* \* \*

Troszeczkę jest tak, że oni się z czasem demoralizowali. Mieli świadomość... mówię o końcu lat siedemdziesiątym, że oni ciężko pracują, śnieg, słońca muszą być na tej ulicy i nic z tego nie wynika. Oni nas zatrzymują, a potem władze polityczne zwalniają. Jak kiedyś trafiłem po raz kolejny na Rakowiecką do więzienia, to już nawet klawisz mówi: – Panie Mirosławie – proszę zwrócić uwagę – „panie Mirosławie”, tak w więzieniu się nie mówi do osadzonego. – Panie Mirosławie, a teraz to na długo?

– Szanowny panie, a skąd ja mogę wiedzieć? Zamykać nie musieli, ale wypuścić będą musieli. – Słuszna racja – odrzekł klawisz.

*Mirosław Chojecki, zanot. js.*

\* \* \*

Cały ten lokal na dole został przygotowany w ten sposób, że ściany zostały uszczelnione akustycznie. Wszystkie rury, które tam przechodziły też, ponieważ baliśmy się, że będzie tutaj w czasie pracy trochę głośno. Tym bardziej, że nad moim mieszkaniem mieszkał były wiceminister urzędu bezpieczeństwa. Zresztą okazało się potem, że był naszym przyjacielem, ponieważ współpracował z moim z kolei przyjacielem, Francuzem polskiego pochodzenia, który w tym moim lokalu zorganizował jeszcze inną instytucję. Mianowicie pewnego dnia Henryk przyszedł do mnie i mówi: – Słuchaj, ja mam tutaj pewien biznes, nie chciałbym wynajmować lokalu gdzieś w mieście, bo są podsłuchy, a tutaj, wiesz, od czasu do czasu przysłoby parę osób, powiedzmy na godzinę, żeby sobie porozmawiać. Ja mówię: – Dobra, no to przyprowadź. Co się okazało?

Ten biznes polegał na tym, że on handlował bronią. Kupował tutaj sprzęt polskiej produkcji: czołgi, oczywiście jakieś ścigacze, kałasznikowy i radzieckie rakiety ziemia-powietrze, ziemia-ziemia i tak dalej. I wszystko to szło do Arabii Saudyjskiej. Całe statki płynęły stąd i to była działalność, jak się okazało, konspiracyjno-jawna. Zaczęli tutaj przychodzić panowie, którzy brali udział w tych posiedzeniach: dwóch generałów Polskiej Ludowej, jacyś zakwefieni Arabowie, jacyś radzieccy obywatele. Potem się dowiedziałem, że to byli ambasadorowie różnych krajów. I tak to trwało dwa lata. Dlaczego o tym wspominam? Ponieważ nasza drukarnia podlegała takiemu samemu prawu jak inne, które pracowały w tym czasie w Polsce. Powiedzmy, że po kilku miesiącach bezpieka likwidowała te drukarnie. A nasza pracowała dwa i pół roku bez problemów. Ja się w pewnym momencie nawet obawiałem, że my pracujemy dla bezpieki, ponieważ tak długo to trwało. A to ta działalność Henryka była parasolem dla naszej drukarni.

*Zbigniew Maleszewski, zanot. js.*

## Publiczność czytająca wydawnictwa drugiego obiegu. Problem skali

Józef Śreniowski

W naszej części Europy, aż po Akademięgorodok w Nowosybirsku, zdarzyło się wiele zjawisk ujmowanych słowem samizdat, które potrafiły zadziwić świat, gdy o nich usłyszał. Fenomen wschodnioeuropejskiego samizdatu w skali, jaką osiągnął w latach 80. XX wieku, nie ma sobie równych. Niestety, wciąż pozostał zjawiskiem poznanym stosunkowo ogólnie; rozpoznane są tylko kontury oraz niektóre jego szczegóły. Warto zatem wskazać na te cechy, które są do tej pory nierozpoznane. Niezaprzeczalny jest fakt, że samizdat przechodził różne drogi i stadia rozwoju, a zatem warto się spierać o jego periodyzację, klasyfikację czy typologizację. Nie zmienia to samej natury porządkowanego fenomenu i nie rozmywa go w innych obiegach wydawniczych czy kulturowych. Samizdat jest bowiem zjawiskiem, którego istota polega na przekazywaniu treści bez cenzury, tej spisanej w słowach, wyrażanej w pieśniach, w symbolach, na scenie czy – najrzadziej pewnie – w nieakceptowanych przez władzę obrazach.

Wydanie licznych monografii historycznych, dotyczących zarówno redakcji jak i zawartości tytułów niezależnego słowa, wnosi zazwyczaj kolejne, nowe, często cenne obserwacje, niestety odnoszące się do pojedynczych inicjatyw, działalności grup osób lub środowisk, z których pismo wyszło. Dając opis poszczególnych wyizolowanych łańcuchów zdarzeń, powoduje się w większości wypadków utratę z pola widzenia całości, jaką samizdat tworzył w niektórych krajach w określonym czasie. Podobnych pozycji wydawniczych znajdziemy na polskim rynku co najmniej kilkadziesiąt. Do takich pozycji autorstwa wielu bądź pojedynczego autora zaliczyć można na przykład: *„Drugi obieg w PRL na tle samizdatu w państwach bloku sowieckiego po 1956 roku”*, pod red. P. Gasztolda-Senia, N. Jarskiej, J. Olszka, wydany w Warszawie w 2016 r. Natomiast znacznie mniejsze są osiągnięcia w zakresie fenomenu samizdatu jako całości. Można to uzasadniać modą na stronienie od sądów syntetycznych, ponieważ jako by całość zjawiska trudno obiektywnie spostrzec, zwłaszcza gdy pozostały wyłącznie rozproszone fragmenty albo pojedyncze ślady.

Przedmiotem licznych studiów są samizdatowe gazety, a zdarza się, iż wręcz zawarte w nich pojedyncze artykuły czy wyselekcjonowane polemiki, a także wydawnictwa periodyczne, seryjne czy książkowe, często grupy i redakcje poszczególnych tytułów „bibuły”, ale tylko niekiedy drukarze czy osoby zajmujące się technicznymi aspektami produkcji wolnego słowa. W jeszcze mniejszym stopniu obiektem zainteresowania są środowiska kolporterów i czytelników prasy niezależnej. W Polsce w apogeum rozwoju „bibuły” w roli kolporterów działających w wielu sieciach dystrybucyjnych angażowało się kilkaset tysięcy osób. Dzięki nim wolne słowo mogło docierać do kilku milio-

nów ludzi. Kim byli, jaką drogę przeszła tak liczna grupa kolporterów, w zasadzie nie wiadomo. „Encyklopedia Solidarności” podaje na przykład, że każda z występujących tam postaci zajmowała się również kolportażem prasy niezależnej, co utrudnia zdefiniowanie roli kolportera jako osobnego zjawiska w świecie „bibuły”.

Można tutaj przywołać pewną animację pokazującą, jak działał mechanizm rozwinętego kolportażu; ważną o tyle, że mamy do czynienia z kinetyką, a nie statycznym zjawiskiem, które można schematycznie naszkicować. Ten mechanizm nazywam „kolportażową przekładnią planetarną”. Pojawia się on w pewnych warunkach samorzutnie na rozkręconym „ryнку bibuły”. Zależy z jednej strony od skali nakładów, z drugiej zaś od zapotrzebowania na wolne słowo, od chłonności odbiorców, a także od siły, jaką miały kolportowane treści i symbole. Oba te wektory – skala nakładów i skala odbioru – regulują skalę i organizację kolportażu, czyli systemu dystrybucji. Działa tu sprzężenie zwrotne, albowiem to potrzeby odbiorcy wyznaczają wielkość nakładów, a wielkość tych ostatnich decyduje z kolei o rozległości środowisk czytelniczych.

Skala odbioru treści, w polskich warunkach znacznie zwielokrotniona przez czytanie niezależnych gazet na falach eteru, zależy bez wątpienia od rozkolportowanych łącznych nakładów. W badaniach słuchalności RWE w latach 80. w Polsce audycja: „Przeгляд prasy krajowej” zajmowała trzecie miejsce po „Faktach-wydarzeniach-opiniach” oraz „Panoramie dnia” i była słuchana stale przez kilka milionów osób. Nie prowadzono dotąd studiów nad tym, jakiej recepcji te treści podlegały, co działało silniej lub w jakimś stopniu formacyjnie na czytelników, jakie reakcje uruchamiało, jakie wywoływało zmiany w myśleniu i języku po pewnym czasie. Mówiąc hasłowo: jak zjawisko to wywodziło nas z symbolicznego roku 1984 do świata wolnego od „nowomowy” i „dwójmyślenia”, zdefiniowanych kanonicznie przez George’a Orwella w „Roku 1984”. Wydaje się, że w polskich warunkach proces ten zaczął się wcześniej niż samizdat lat 70. Zdaniem autora, proces ten pojawił się w drugiej połowie lat 60., wyszedł na jaw w polskim marcu 1968 roku i mimo braku nośników, powielaczy czy kserografów rozwijał się poprzez studencki teatr, kino moralnego niepokoju, działalność bardów i kabaretów lat 70., a także w pierwszych maszynopisach bardzo wąskiego obiegu niezależnych publikacji. To był nowy język na długo przed symboliczną datą 1984, dający możliwości rozstania się na zawsze z zakłamaniem i abstrakcją nowomowy. Miał za to wiele wspólnego z mówieniem w sposób niezależny i krytyczny, mówieniem nawiązującym do zerwanej tradycji, często poszukującym postawienia spraw na nowo, skoro świat się zmieniał.

To przejście, jeśli się dokonywało, nie następowało rzecz jasna w próżni, bo przestrzeń publiczna nie składała się wyłącznie z samizdatu. Nie składała się też jedynie ze zjawisk, które trzeba określić szerzej jako opinię publiczną w późnym komunizmie lat 80. Do tych lat w świecie, a nie w samym obozie sowieckim odnosi się tekst Marka Czyżewskiego z 2002 roku „Opinia publiczna czy opublikowane nastroje? O nie-

których warunkach społeczeństwa obywatelskiego”, „Kultura i Społeczeństwo” 2002, nr 3. Autor przedstawia poznawcze dylematy studiowania zjawiska opinii publicznej i historyczne zmiany tego fenomenu, dyktujące badaczom kolejne podejścia do przestrzeni opinii publicznej, z jaką mają do czynienia w danym czasie. Autor odnosi się do opinii publicznej lat 80. Nasuwa się jednak pytanie, jak wydawnictwa bez cenzury (treści) i ich dystrybucja (zjawiska społeczne) formowały ową opinię, jaki miały na nią wpływ: przemożny czy tylko częściowy. Czy zadowalały się wyłącznie jedną opinią, zajmując jedną część sceny, pozostałą oddając oficjalnej żurnalistyce i propagandzie, czy miały wpływ na część sceny zajmowaną przez zbrojnego w cenzurę przeciwnika. Bardzo brakuje studium nad polską opinią po śmierci ks. Jerzego Popiełuszki, która bez wątpienia stanowi wewnętrzną cezurę lat 80. w Polsce. Inne ujęcia ówczesnej opinii publicznej, zwłaszcza dotyczące szarej strefy życia społecznego, wydają się równie ważne poznawczo.

\* \* \*

Pora skupić zainteresowania na okresie wychodzenia z symbolicznego roku 1984, które w jednych środowiskach zaczęło się bardzo dawno, w innych później i zapewne w związku z wolną prasą i niecenzurowaną książką. Publikacje te miały swój czar i polor jak zakazane owoce, ale miały też głębszy sens, albowiem wchodziły w krwioobieg kultury, zmieniały język, odbierały natomiast maskującą, pełną hipokryzji dwuznaczność i dialektyczne, dowolne nicowania treści. Język prasy PRL był rozpięty między dopuszczonymi do rozpowszechnienia tekstami w katolickim „Tygodniku Powszechnym”, tekstami w ateistycznej „Polityce” oraz – na przeciwnym biegunie – w „Żołnierzu Wolności” czy organach instancji partyjnych. Niemało poświęcono mu prac począwszy, co najmniej, od lat 70. Można jednak tę rozległą panoramę skrócić, powtórzywszy za Aleksandrem Watem, że kiedy było trzeba, w poczynaniach władz górę brał język Lenina, który był językiem specyficznych znaczeń – „sygnałów do akcji”. Niezależna prasa nie zajmowała się wprost tym językiem, coraz mniej zresztą skutecznym, skoro władza do jego wsparcia musiała użyć pałek i czołgów.

Są jeszcze inne ważne wymiary fenomenowi polskiego samizdatu z tego okresu. Odnoszą się one nie tylko do samych niezależnych publikacji, lecz także do budowanej przez nie sfery publicznej. Chodzi o publiczność czytelniczą, o rodzaj form i więzi społecznych zadziergniętych za pośrednictwem wolnego obiegu informacji i symboli. Kategoria „publiczności czytającej” mniej autora interesuje, natomiast opinia publiczna w tradycyjnym sensie (niemającym nic wspólnego z demoskopijnymi sondażami opinii) oraz rodzaje więzi i podmiotów przez nie spojonych wydają się szczególnie ciekawe i dotąd niezbadane w związku z całością drugiego obiegu. Opinia publiczna, zawsze pluralistyczna, bo złożona z wielu poglądów środowiskowych współwystępujących w jej ramach, ścierających się w codziennych i niecodziennych sporach, jest moim zdaniem fenomenem historycznym, co znaczy, że w każdym czasie inaczej się

przedstawia, jedne sprawy czyni przedmiotem badań, inne natomiast marginalizuje czy pozostawia poza głównym forum zainteresowania. Rzecz jasna, opinia taka w sferze mediów tradycyjnych, a samizdat do nich należy, nie mając masowego dostępu do radia i filmu, tym bardziej do tv, ma inną naturę niż opinia upowszechniana poprzez zmonopolizowane przez władzę środki masowego przekazu.

\* \* \*

Rozwój niezależnej opinii w Polsce lat 80. ma bez wątpienia swoje etapy i cezury. Niewykluczone, że od wprowadzenia stanu wojennego i symbolu tamtych czasów, jakim jest śmierć górników w kopalni „Wujek” 16 grudnia 1982 roku, główną, graniczną datą tamtego dziesięciolecia jest śmierć księdza Popieluszki 19 października 1984 roku i nieprzewidziane przez krąg sprawców następstwa tego wydarzenia, rzec można za René Girardem – wydarzenia zamykającego jeden porządek i inicjującego kolejny czas. Trzeba również dostrzec zmianę generacyjną, która nastąpiła pod koniec lat 80. W sierpniu 1980 roku robotnicy i przedstawiciele wielu innych środowisk ruszyli pod sztandarem wspólnotowej etyki „Solidarności”. Tymczasem uczestnicy strajków z 1988 roku przeciwnie, zaprzeczyli tamtemu przesłaniu, chcąc zmiany dla siebie, bez oglądania się na słabszych czy negując społeczną solidarność. Mówił o tym M. Muskat podczas zjazdu socjologicznego w Rzeszowie w 2000 roku (patrz: M. Muskat, *„Solidarność (1980–2000) sukces w oczach świata, klęska w oczach Polaków”*, w: *„Solidarność dwadzieścia lat później”*, red. R. Bäckeri et al., Kraków 2001). To był inny podmiot polskiej zmiany.

Dzisiaj jest trudniej sięgać do ówczesnej recepcji wolnego słowa, by ustalić jak ono działało, jaka była skala odbioru treści i jakie opinie wywoływały te treści, jak one się krzyżowały czy ścierały, ponieważ brakuje dostępnych i miarodajnych źródeł. Wydaje się, że wgląd pośredni w to, co się w Polsce wówczas działo w życiu społecznym, w niezależnej sferze publicznej, jest możliwy, kiedy zabierze się do tego wielu autorów zainteresowanych samizdatem. Powiedziałbym, że czas „życia na niby”, jak w swym eseju zaproponował nazwać go K. Wyka (*„Wędrując po tematach”*, t. 1–3. Kraków 1971), przywołany ponownie dekretem o stanie wojennym, zepchnął 70% życia gospodarczego i 80% życia społecznego w szarą strefę. Nie ma powodu kontestować tych zjawisk, bo lata 80., nieodległe przecież, okazały się czarną dziurą ze sztafazem oficjalnej statystyki, tym bardziej nieczytelnej. Gdy mowa o opinii publicznej w Polsce lat 80. warto nie tracić z oczu faktu, że tworzące samizdat środowiska niezależne w pozostałych krajach obozu sowieckiego rozstrzygały wówczas inne dylematy, inaczej stawały cezury czasowe czy myślowe. Oczywiście skala tych zjawisk nie pozostaje bez znaczenia dla wpływu jaki mogły – poprzez samizdat – odciskać na całej sferze publicznej w poszczególnych państwach czy republikach.

W wielu regionach Polski kolportaż wolnego słowa wspomagał rozmaite działania i struktury, jakie się tam uratowały lub budowały na nowo po 13 grudnia 1981 roku.

Warto zauważyć, że w wielu miejscach sieci kolporterskie były jedynymi strukturami organizacyjnymi. Obserwacje odnoszące się do kolportażu dużej skali, zwłaszcza w wielkich miastach, w zestawieniu z kameralnym obiegiem bibuły w mniejszych ośrodkach, mniejszych środowiskach, na prowincji czy na przykład w Czechosłowacji, gdzie same nakłady były skromniejsze (patrz poświęcone temu dwa studia w pracy „Czas Bibuły. Studia i materiały”, t. 4, red. R. Wróblewski, Wrocław 2017), nasunęły mi tytuł tego wystąpienia. Z niego wypływa teza, że skala nakładów i skala kolportażu zasadniczo różnicują naturę odbioru treści, a bardziej jeszcze zjawiska, więzi i społeczności, do których te treści docierają. Zapewne jest podobnie w sferze kultury tradycyjnej i kameralnej, jeśli się ją zestawi ze światem kultury masowej.

Krystyna Śreniowska, recenzując książkę Włodzimierza Domagałskiego o „*Biuletynie Łódzkim*”, użyła znamienego pojęcia inteligencja fabryczna, zapewne analogiczne do terminu inteligencja wiejska. Nie jest to jedyne nowe zjawisko spowodowane przez duży i różnorodny kolportaż, kiedy wyłania się nieobecna wcześniej kategoria elity odbiorców samizdatu, liderów opinii, a często – liderów swych środowisk, w trakcie dystrybucji wolnego słowa coraz bardziej myślowo wyrobionych. Zmieniali oni swój status społeczny z codziennego, pracowniczego, na inteligencki. Nie jest wykluczone, że spośród rozmaitych teorii opinii publicznej dla polskiej sytuacji lat 80. najtrafniejsza jest ta, w myśl której prasa nie działa na swych czytelników wprost, lecz za pośrednictwem postaw, jakie wobec niej zajmują środowiskowi liderzy opinii. Nie jestem pewien, czy różne typy publiczności samizdatu lat 80. wyczerpują się w zakresie tradycyjnego pojęcia odbiorców (czytelników), czy raczej chodzi o więzi i struktury znacznie przekraczające te ramy. Nie wiadomo też, czy porównanie do kultury masowej jest szczególnie trafne, jeśli bowiem od połowy lat 80. obserwujemy wyraźny rozkwit inicjatyw młodego pokolenia, którego przedstawiciele zakładają własne, kontestujące i ironiczne pisemka, miast czytać główną narrację pism solidarnościowych. Pierwotna, duża skala odbioru ulega podziałowi na mnóstwo środowisk pism niskonakładowych, czasem bliższych komiksom niż gazetom. Masowi odbiorcy wycofują się. Inni – wybierają programy z magnetowidów lub pierwszych anten satelitarnych, zaprzestając zachłannego czytania „bibuły”. Wolą *Rambo* niż spory o Polskę.

Brak ujęć całości zjawiska sprawia, że nie znalazłem dobrego materiału, który ilustrowałby moją hipotezę o tym, że różna ilościowo skala nakładów wywołuje różne jakościowo zjawiska. Hipoteza ta podlega oczywiście swobodnej weryfikacji lub falsyfikacji, jeśli taki materiał powstanie.



O Nowej to Hucie...

## Nowa Huta. Miasto gniewu i nadziei

Budowa Nowej Huty była jednym z założeń tzw. planu sześcioletniego, w ramach którego Polska zwana „Ludową” miała stać się państwem „ludu pracującego miast i wsi”. Już mniej oficjalnie: Nowa Huta miała być w zamierzeniu komunistów wzorcowym osiedlem przyszłości. Miejscem pracy i odpoczynku klasy robotniczej. Jednocześnie dzielnicą, gdzie nie ma miejsca dla Boga i Kościoła.

Budowa Nowej Huty ruszyła w połowie 1949 roku. Pod Kraków zaczęli przybywać robotnicy, którzy liczyli na otrzymanie mieszkania i pracy w dużym kombinacie metalurgicznym, który rozpoczął produkcję w 1954 roku. I rzeczywiście, wielu budowniczych dzielnicy i samego kombinatu zamieszkało w Nowej Hucie. W całej dzielnicy (przyłączonej administracyjnie do Krakowa w 1951 roku) żyło na początku lat 60. XX wieku ponad 100 tysięcy ludzi.

Nowa Huta była jednak przedsięwzięciem niezwykle równie z bardziej prozaicznego powodu. Powstała na podstawie z góry ustalonej koncepcji architektonicznej. Jej autorem był Tadeusz Ptaszycy, który wślawił się m.in powojenną odbudową zniszczonego Wrocławia. Rozplanowano lokalizację budynków mieszkalnych, urzędów, szkół. Zaprojektowany wówczas układ urbanistyczny został zrealizowany z niezwykle rozmachem. Domy mieszkalne, gmachy użyteczności publicznej, szerokie aleje – wszystko to musiało robić niezwykle wrażenie.

### **Arka Pana, Kościół pw. Matki Bożej Królowej Polski**

W Bieńczykach znajduje się jedna z najciekawszych architektonicznie świątyń Nowej Huty – kościół pw. Matki Bożej Królowej Polski, zwany „Arką Pana”.

Już w sierpniu 1980 r. w owym kościele członkowie Chrześcijańskiej Wspólnoty Ludzi Pracy prowadzili głódówkę w intencji strajkujących robotników Wybrzeża.

Jeszcze większą rolę „Arka Pana” odegrała po wprowadzeniu stanu wojennego. 1 maja 1982 r. „Solidarność”, w asyście kilkunastu tysięcy wiernych, powierzyła Kościołowi pod opiekę swe sztandary. Od 13 czerwca 1982 r. w „Arce Pana” odbywały się zaś comiesięczne nabożeństwa, w których brały udział tysiące mieszkańców Nowej Huty i Krakowa. Ich uczestnicy często byli atakowani przez ZOMO, a do najgwałtowniejszych zajść doszło w drugą rocznicę podpisania Porozumień Sierpniowych (31 sierpnia 1982 r.).

Duże znaczenie „Arki Pana” wiązało się w znacznej mierze z osobą księdza Władysława Palmowskiego, który od wprowadzenia stanu wojennego zaangażował się w pomoc represjonowanym i w odbudowę podziemnych struktur „Solidarności”. Zanim w 1983 r. ks. Palmowskiego przeniesiono do innej parafii, zdołał stworzyć wraz ze Stanisławem Malarą Społeczny Fundusz Pomocy Pracowniczej, który aż do 1989 r. kontynuował

działalność związkową i zrzeszał ok. 7 tys. pracowników z Nowej Huty, płacących regularnie składki, co stanowiło ewenement na skalę ogólnopolską.

### **Obrona Krzyża**

27 kwietnia 1960 roku mieszkańcy krakowskiej dzielnicy robotniczej upomnieli się o prawo do swojego kościoła i stanęli w obronie jego najświętszego symbolu. Władzom komunistycznym tłumienie protestu zajęło blisko dwa dni.

Konflikt o krzyż w Nowej Hucie miał swój początek w decyzji administracyjnej. 27 stycznia 1957 roku krakowskie władze, a konkretnie Urząd do spraw Wyznań, wydały zgodę na budowę pierwszego kościoła w samym sercu wzorcowej robotniczej dzielnicy.

Już 17 marca 1957 roku w miejscu planowanej budowy postawiono symboliczny drewniany krzyż, a arcybiskup Eugeniusz Baziak poświęcił plac. Niestety, 14 października 1959 roku krakowska kuria (której biskupem pomocniczym był wówczas Karol Wojtyła) otrzymała pisemną odpowiedź z Prezydium Rady Narodowej miasta Krakowa o wycofaniu pozytywnej decyzji związanej z budową świątyni.

Niedługo potem władze zablokowały również konto bankowe, na którym z przeznaczeniem na planowaną budowę zdeponowano blisko dwa miliony złotych zebrane od wiernych przez Komitet Budowy Kościoła.

8 lutego 1960 roku, także administracyjnie, rozwiązano komitet, a zebrane przez niego pieniądze zdecydowano przeznaczyć na tzw. Fundusz Budowy Szkół. Na terenie, gdzie pierwotnie miał powstać kościół, zaplanowano bowiem budowę budynku w ramach akcji: „1000 szkół na Tysiąclecie Państwa Polskiego”.

W połowie kwietnia 1960 roku od proboszcza parafii w Bieńczycach, który zarządził terenem i tymczasową kaplicą w drewnianym baraku zażądano usunięcia krzyża z placu budowy przyszłej szkoły.

26 kwietnia 1960 roku w samo południe w Komitecie Dzielnicowym PZPR dla Nowej Huty podjęto decyzję o usunięciu krzyża. Dwie godziny później Prezydium Dzielnicowe Rady Narodowej ustaliło logistyczne plany całej operacji, którą zamierzano przeprowadzić 27 kwietnia 1960 roku rano. Co istotne, o planowanej akcji nie zawiadomiono Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

### **Przebieg wydarzeń**

Środowy ranek 27 kwietnia 1960 roku był chłodny. W nocy spadł deszcz. Około godziny 8 rano grupa robotników udała się na miejsce, gdzie od ponad trzech lat stał krzyż. Robotnicy rozpoczęły zleconą pracę, której zwieńczeniem miało być usunięcie znieprawdzonego przez komunistów symbolu Kościoła. W miarę upływu czasu wokół pracujących zaczęła jednak zbierać się tłum.

Jak wspominał po latach jeden z uczestników demonstracji, krzyża nie pozwolono usunąć, ponownie wkopano go w ziemię, obłożono setkami kwiatów i zapalono świece. Wokół niego zebrała się grupa około tysiąca rozmodlonych i śpiewających ludzi. Wśród protestujących kręcili się tajniacy, którzy robili zdjęcia z ukrytych aparatów

fotograficznych (w celu ewentualnej późniejszej identyfikacji uczestników demonstracji) oraz „znaczyli kredą krzyże na plecach najbardziej aktywnych uczestników zająć”.

Tłumu nie przerażała informacja o zbliżających się „od strony Krakowa” oddziałach milicji. Komenda Wojewódzka MO wysłała do Nowej Huty dwa plutony 2 kompanii ZOMO. Początkowo funkcjonariusze ostanieli teren demonstracji.

Dopiero w wyniku starć z tłumem i chaotycznych nieskoordynowanych ataków ZOMO, około godziny 16.30 rozpoczęła się regularna wymiana ciosów: część demonstrantów dotarła w okolice placu Centralnego. Natomiast o godzinie 20 zaatakowano modlący się pod krzyżem kilkutysięczny tłum, głównie kobiet i dzieci. Użyto gazu łzawiącego, armatek wodnych i pałek. Ludzie w panice chowali się w okolicznych bramach. Walki trwały do godziny 3 nad ranem. Brutalną akcją pacyfikacji dowodził osobiście (z ramienia Komitetu Centralnego PZPR) Zenon Kliszko, który przybył z Warszawy do Krakowa 27 kwietnia 1960 roku wieczorem.

W trakcie i po zakończeniu pacyfikacji aresztowano kilkuset uczestników zająć. Jeden z nich tak wspominał po latach obławę, do której doszło w jednym z hoteli robotniczych:

„Z czwartego piętra prowadzili nas na dół, a na każdym stopniu stał zbir i walił kołbą lub pałą z całej siły. Na dole pod schodami była duża kałuża krwi. Ściągali ludzi z dachów i innych schowków i katowali niemiłosiernie. Na Siemiradzkiego, [w budynku komendy miejskiej] zrobili zdjęcia, zdjęli odciski palców. Na Mogilskiej [w budynku komendy wojewódzkiej], gdzie z kolei nas przywieziono, ustawili [nas] wszystkich w szeregu i znowu bili”.

Podczas zająć w Nowej Hucie rannych zostało ponad 180 milicjantów, w tym 15 ciężko. Liczba rannych cywili do dziś nie jest znana. Ze szczątkowych informacji wynika jedynie, że do szpitali na terenie Krakowa i Nowej Huty trafiło ponad 20 osób. Najprawdopodobniej było ich jednak znacznie więcej. Wiadomo też, że tylko do słynnego krakowskiego więzienia przy ulicy Montelupich trafiło około 150 uczestników zająć. Posypały się wyroki, kolegia, mandaty. Demonstrację w obronie krzyża władze oficjalnie nazwały „chuligańskimi wybrykami”.

Dzięki odważnej postawie mieszkańców i ich zdecydowaniu krzyż pozostał na swoim miejscu, a ulica przy której stoi, nosi dzisiaj nazwę Obrońców Krzyża, na pamiątkę wypadków z 1960 r. Jednak starania o budowę kościoła w Nowej Hucie nie ustawały. Władze zezwoliły na powstanie nowej świątyni dopiero w 1967 roku. Ostatecznie kościół stanął w innym miejscu, choć w niedalekiej odległości od krzyża, o który kilka lat wcześniej toczyły się walki.

W 1969 r. arcybiskup krakowski Karol Wojtyła wmurował pod świątynię kamień węgielny, подарowany przez papieża Pawła VI, a pochodzący z bazyliki św. Piotra. We wznoszeniu kościoła pomagały dary osób z całej Polski i zza granicy, jednak budowlę (wzorowaną na kaplicy w Rochamp według projektu Le Corbusiera) udało się ukończyć dopiero w maju 1977 roku. Świątynię pod wezwaniem Matki Bożej Królowej Pol-

ski, ze względu na swój kształt nazywaną Arką Pana, poświęcił kardynał Karol Wojtyła, który kilkanaście miesięcy później został papieżem.

Piotr Litka

## Aleja Róż, pomnik – symbol zniewolenia

28 kwietnia 1973 r. w Alei Róż odsłonięto pomnik Lenina. „Wódz rewolucji” przetrwał w tym miejscu 16 lat, a jego żywot nie był usłany różami.

W maju 1969 r. ogłoszony został konkurs Związku Polskich Artystów Plastyków na opracowanie nowohuckiego pomnika Włodzimierza Lenina. Zwyciężył projekt prof. Mariana Koniecznego, wówczas rektora krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Pomnik, który 17 kwietnia 1973 r. stanął w reprezentacyjnym miejscu Nowej Huty, w Alei Róż, był największym tego rodzaju upamiętnieniem „wodza rewolucji” w Polsce. Ciemna, ogromna postać krocząca z założonymi do tyłu rękami przypominała mieszkańcom ogromnego goryla z amerykańskiego filmu „King Kong”. Sama figura była wysoka na 6,5 metra i ważyła siedem ton, zaś całość z granitowym postumentem ważyła aż 174 tony.

Komunistyczne władze województwa, miasta i dzielnicy z „wielką pompą” przygotowały odsłonięcie pomnika, zapraszając na 28 kwietnia 1973 r. dygnitarzy sowieckich i krajowych, z wicepremierem Piotrem Jaroszewiczem na czele. Wśród wielu atrakcji artystycznych przewidziano specjalny spektakl plenerowy pt. „Myśl prosta jak czyn” w reżyserii Krzysztofa Jasińskiego, dyrektora teatru „STU”. W obecności kilkudziesięciu tysięcy osób symbol zniewolenia Polski został odsłonięty.

Poza członkami partii co jakiś czas zbierającymi się przy pomniku w celu złożenia kwiatów, monument nie miał w Nowej Hucie fanów. Nie dość, że był symbolem zniewolenia Polski, a Lenin odpowiadał za miliony ofiar totalitarnego systemu, który stworzył, to jeszcze, aby sfinansować pomnik, partyjni decydenci postanowili ograbić hutników z wypracowanych przez nich premii i trzynastych pensji. Nic dziwnego zatem, że pewnego ranka znaleziono pozostawiony przy pomniku stary, zdezelowany rower, dziurawe buty i przyczepioną kartkę z niecenzuralnym stwierdzeniem: „Masz tu rower, ubierz buty i wyp... z Nowej Huty”.

Z czasem siła perswazji zwiększała się. W nocy z 17 na 18 kwietnia 1979 r. pod pomnik podłożono ładunek wybuchowy. Eksplozja powybiła szyby w oknach okolicznych mieszkań i jedynie uszkodziła piętę bolszewickiego „King Konga”. Do dzisiaj nie zostało w pełni wyjaśnione, jak doszło do zamachu i kto był jego autorem. Służba Bezpieczeństwa przesłuchała ponad 5500 osób, jednak sprawca nie został odnaleziony. Głównemu podejrzanemu, Tadeuszowi Winczewskiemu (vel Bronisławowi Cybuchowi) nie udowodniono winy w tej sprawie, ale został skazany na śmierć i stracony w 1982 r. za zabójstwo milicjanta.

Po latach do zorganizowania zamachu przyznał się Andrzej Szewczuwaniec, przywódca strajku w Kombinacie HiL w 1988 r. Ponieważ jednak był dość kontrowersyjną postacią, z jednej strony powątpiewano w jego wersję wydarzeń, a z drugiej podej-

rzewano zainspirowanie zamachu przez SB, która chciała uniemożliwić w ten sposób wizytę Jana Pawła II w Nowej Hucie.

## Bez respektu

Aby zapobiec kolejnym „wyrazom uwielbienia” dla „wodza rewolucji” zdecydowano się postawić w sąsiedztwie pomnika budkę, w której czuwał 24 godziny na dobę funkcjonariusz MO. Po wprowadzeniu stanu wojennego przez komunistyczny reżim, w dniach patriotycznych rocznic lub świąt robotniczych było to niezbyt bezpieczne dla milicjanta miejsce, bo niemal każda antykomunistyczna manifestacja kończyła się próbą zdobycia i podpalenia pomnika. Wcześniej zdobywana była zwykle milicyjna budka, a funkcjonariusz nierzadko musiał się ewakuować ogołocony z munduru, wierzchniej odzieży i nieco poobijany.

Szczególnie młodzież nowohucka nie miała litości dla symbolu totalitarnego systemu. Po zmianach, jakie następowały w wyniku rozmów okrągłostołowych i upadku systemu w kolejnych krajach bloku tzw. demokracji ludowej, młodzi krakowianie nie mogli znieść, iż w centralnym miejscu walczonej dzielnicy wciąż jest symbol uzależnienia od obcego mocarstwa. Jesienią 1989 r. nowohucka i krakowska Federacja Młodzieży Walczącej, domagając się przyspieszenia reform, dekomunizacji i desowietyzacji państwa, organizowała happeningi pod pomnikiem Lenina. Przeradzały się one w zacięte walki z oddziałami prewencji MO. Mimo prób przemalowania, podpalania i obalenia, jakie podejmowano 6, 22, 29 listopada oraz 6 grudnia, pomnik wciąż stał na miejscu.

Sytuacji nie uspokoiły próby rozmów z młodzieżą podjęte przez posłów Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego i działaczy NSZZ „Solidarność” Mieczysława Gila, Edwarda Nowaka oraz ministra Aleksandra Halla, którego słowa wręcz zaogniły sytuację. FMW zapowiedziała kolejną demonstrację na 13 grudnia 1989 r. w 8. rocznicę wprowadzenia stanu wojennego. Nie doszło do niej jednak, gdyż w nocy 10 grudnia pomnik został zdemontowany i umieszczony w forcie we Wróblowicach. Po trzech latach kupił go za 100 tys. dolarów szwedzki biznesmen Bengt Erlandsson i umieścić w stworzonym przez siebie muzeum osobliwości w Värnamo w Szwecji.

*Andrzej Malik*

(za: „Krótki żywot pomnika Lenina w Nowej Hucie”, [www.przystanekhistoria.pl](http://www.przystanekhistoria.pl))

## Bogdan Włosik

Bogdan Włosik to niewinna ofiara stanu wojennego. Jego śmierć wywołała kilkuniedniowe demonstracje, brutalnie tłumione przez komunistyczne władze, z kulminacyjnym marszem żałobnym w dniu jego pogrzebu. Zabójca, funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa, został ukarany dopiero w 1991 r.



13 października 1982 r. w Nowej Hucie Milicja Obywatelska wraz z ZOMO i Służbą Bezpieczeństwa byli od rana w pełnej gotowości. Jak co miesiąc, ulicami robotniczej dzielnicy Krakowa, miała przejść manifestacja potępiająca wprowadzenie stanu wojennego. Kwestią potęgującą strach władzy ludowej przed gniewem robotników, była podjęta przez Sejm PRL pięć dni wcześniej, 8 października, decyzja o delegalizacji Wolnych Związków Zawodowych NSZZ „Solidarność”.

Uczeń III klasy Technikum wieczorowego i pracownik Wydziału Walcowni Blach Zimnych Huty im. Lenina, był zaangażowany w działalność opozycyjną już od 1980 r. Wstąpił wówczas do „Solidarności”, uczestniczył także w strajku okupacyjnym po wprowadzeniu stanu wojennego. 13 października Włosik, wraz z setkami kolegów z kombinatu i tysiącami mieszkańców Nowej Huty, wziął udział w antykomunistycznej manifestacji. Szedł na jej czele, niosąc tablicę z portretem Lecha Wałęsy. Bogdan nie uczestniczył w walkach ulicznych, które rozgorzały po brutalnej próbie rozbicia marszu przez organa bezpieczeństwa. Wrócił do domu, zjadł posiłek i około godz. 18 wyszedł, by wziąć udział w nabożeństwie w bieńczyckim kościele Matki Bożej Królowej Polski.

Ten rejon Nowej Huty był daleko od miejsca starcia robotników z bezpieczeńką i nie wiadomo, dlaczego kpt. SB Andrzej Augustyn przebywał w tym miejscu. Niestety, jego prowokacyjne działania doprowadziły finalnie do śmiertelnego postrzału Bogdana Włosika. Augustyn strzelił do pierwszej osoby idącej w jego kierunku.

W zachowanej notatce możemy przeczytać: „[oficer] wyciągnął pistolet i z bliskiej odległości strzelił do niego trafiając w brzuch. Ranny natychmiast upadł, a oficer oddał się spokojnym krokiem do nieoznakowanego radiowozu”. Śmiertelnie ranny Bogdan wyszedł w karetce „Komuniści mnie zabili...”.

Bogdan Włosik został przewieziony początkowo do szpitala przy ul. Kopernika, tam jednak nie został przyjęty i karetka pojechała z nim do szpitala wojskowego.

Ok. godziny 21.15 Włosik zmarł na stole operacyjnym. Informacja o jego śmierci stała się znana tysiącom ludzi, którzy zintensyfikowali akcję protestacyjną. ZOMO odpowiedziało kolejnymi brutalnymi atakami na Nowohucian, atakowano nawet osoby modlące się w kościołach w intencji zmarłego.

Pogrzeb odbył się 20 października i stał się wielką patriotyczną manifestacją, w której wzięło udział 20 tys. osób. Wydarzenia w Nowej Hucie z 13 października i śmierć Bogdana Włosika porównywano ze śmiercią Zbyszka Godlewskiego – najsłynniejszej z ofiar Grudnia 1970.

Sprawca śmierci Włosika pracował w SB do 1987 r., do 1989 r. nie poniósł odpowiedzialności za swój czyn. Użycie broni przeciwko Bogdanowi Włosikowi zostało uznane za działanie w obronie koniecznej. Rodzice nie zgodzili się z tą decyzją, wnieśli zażalenie, które nie zostało uwzględnione. Mimo to nie zrezygnowali z dochodzenia prawdy i dzięki ich staraniom w 1991 r. Andrzej Augustyn został skazany na 8 lat więzienia, a w kolejnym roku sąd zastrzył wyrok do 10 lat. Wyrok został mu skrócony, za dobre sprawowanie, wyszedł na wolność po upływie 5 lat.

## Fragment z raportu por. Aleksandra Mleczo Naczelnika Wydziału Kadr KW MO.

1. Należy podkreślić, że kpt. Augustyn pracuje w sekcji nowohuckiej systematycznie narażony na zagrożenie z uwagi na nieomal powszechną znajomość funkcjonariuszy przez załogę HiL, stały udział w zabezpieczeniach różnego rodzaju imprez, w działaniach represyjnych na terenie dz. Nowa Huta jak również fakt, iż większość pracowników sekcji mieszka na terenie tej dzielnicy.

2. Sytuacja jak w pkt. 1 jak również ciężkie uszkodzenia ciała, jakim ulegli funkcjonariusze m.in. tut. Wydziału spowodowały że od pewnego czasu szczególnie w sekcji nowohuckiej narastała psychoza zagrożenia przejawiająca się w stwierdzeniach, że nie wezmą udziału w zabezpieczeniach bez broni. O powyższym meldowaliśmy drogą służbową.

3. Osobiście widziałem w nocy z 13/14 bm., że większość funkcjonariuszy biorących udział w zabezpieczeniu zarówno z Wydziału V jak również innych Wydziałów SB była uzbrojona. Stwierdziłem to naocznie w windzie, na kolacji i z osobistych wypowiedzi. Powyższe świadczy że wspomniana psychoza dotyczyła nie tylko sekcji nowohuckiej, lecz miała charakter powszechny.

## Bastion Nowa Huta – Ryszard Smagur

Po fiasku czterogodzinnego strajku generalnego, który podziemna „Solidarność” chciała zorganizować 10 listopada 1982 r., komunistycznej juncie gen. Wojciecha Jaruzelskiego wydawało się, że opozycja została zneutralizowana. Rada Państwa podjęła decyzję o zawieszeniu stanu wojennego od 31 grudnia 1982 r. Jednocześnie Sejm przyjął jednak ustawy nadające władzom nadzwyczajne uprawnienia. Zaostrzono także przepisy kodeksu karnego, dotyczące osób „podejmujących działania w celu wywołania niepokoju społecznego”.

Najcięższe walki wybuchły w Nowej Hucie. Przygotowania do „zabezpieczenia” dzielnicy komenda wojewódzka MO w Krakowie rozpoczęła już 28 kwietnia. Do Krakowa przybyły m.in. dwie kompanie ROMO z Opola. 1 maja siły prewencji MO w Krakowie liczyły 1149 funkcjonariuszy (dwa bataliony ZOMO Kraków, pluton specjalny, cztery kompanie ROMO Kraków oraz kompania OSMO Kraków), dysponujących 27 pojazdami lekkimi i 46 ciężkimi (m.in. 10 armatek wodnych i sześć transporterów opancerzonych).

Po mszy w kościele Matki Bożej Królowej Polski, wychodzący ze świątyni wierni uformowali potężny pochód, liczący około 10-15 tys. osób. Na skrzyżowaniu ulic Kocmyrzowskiej i Majakowskiego napotkali pierwszą milicyjną blokadę. Kordon zomowców rozstał się jednak i manifestanci przeszli dalej. Na wysokości Krzyża Nowohuckiego rosnąca liczebnie demonstracja – na pl. Centralnym było już 20-30 tys. osób – została

zaatakowana przez armatkę wodną. W ciepły majowy dzień strumienie wody nie zrobiły na nikim większego wrażenia. Pod naporem manifestantów rozstąpił się następny kordon ZOMO.

Na pl. Centralnym pochód został zaatakowany strumieniami wody z kilku armatek. W tłum poleciały petardy z gazem łzawiącym, poszły w ruch pałki szturmujących zomowców. Kilka kilometrów dalej, w pobliżu nowohuckiego zalewu siły milicyjne natarły na tłum idący od bramy głównej kombinatu HiL. Uczestnicy kilkusetosobowego Marszu Hutników po zacieklej walce wręcz z funkcjonariuszami ZOMO zostali rozproszeni, ale wkrótce przyłączyli się do walk na pl. Centralnym. Starcia rozlały się na całą dzielnicę. Powstało kilka barykad, m.in. obok kina „Świt” na os. Teatralnym, na rondzie Kocmyrzowskim, na al. Planu 6-letniego oraz przy Teatrze Ludowym.

### Zastrzelony przez milicjanta

Kolumny pojazdów ZOMO stosowały wypróbowaną we wcześniejszych starciach taktykę wstrzeliwania petard z gazem łzawiącym w mijane osiedla, na których gromadziły się grupy gapiów. Nagminne było strzelanie wprost do ludzi, wbrew instrukcjom używania ręcznych wyrzutni granatów łzawiących, które nakazywały celowanie w górę pod odpowiednim kątem.

Po godz. 17 na os. Krakowiaków zginął Ryszard Smagur, introligator w Spółdzielni „Starodruk”. Zmarł w wyniku postrzału w krtań nabojem z raketnicy, wystrzelonym przez milicjanta w mundurze polowym, jadącego nysą. Jak wynikało z relacji świadków, Smagur nie był uczestnikiem walk. Z żoną i dzieckiem w wózku szedł w odwiedziny do rodziców, mieszkających na os. Krakowiaków.

Funkcjonariusz strzelał w linii prostej, celując z pistoletu sygnałowego wprost w Smagurę. Ranny oderwał od ciała żarzący się pocisk i upadł krztusząc się krwią wypływającą z głębokiej rany. Ludzie próbowali go ratować po przeniesieniu na trawnik w okolicach restauracji „Teatralna”. Zespół pierwszej karetki, która pojawiła się dopiero po 15 minutach nie był w stanie udzielić pomocy, wezwano więc karetkę reanimacyjną. Po dziesięciominutowej próbie reanimacji lekarz stwierdził zgon.

Ponieważ milicja nie mogła sobie poradzić z manifestantami, do Nowej Huty wezwano posiłki. Przyjechało 375 funkcjonariuszy ZOMO z Katowic. Mimo to na niektórych osiedlach walki trwały do późnych godzin nocnych. W ich wyniku po stronie milicyjnej 10 funkcjonariuszy zostało ciężko rannych, 34 łżej, a 80 lekko. Nazajutrz władze sprowadziły do Krakowa kolejne posiłki ZOMO z Bielska-Białej, Kielc i Nowego Sącza, obawiając się eskalacji walk w święto Konstytucji 3 Maja.

Pogotowie ratunkowe udzieliło pomocy 20 demonstrantom, spośród których osiem osób wymagało hospitalizacji, zaś 11 łżej rannych, po opatrzeniu, zostało zwolnionych do domów (wśród nich były trzy osoby zatrute gazami łzawiącymi we własnych mieszkaniach, a także żona Ryszarda Smagura, która w wyniku szoku straciła przytomność).

KW MO w Krakowie poniosła znaczące straty w sprzęcie. Zniszczonych zostało 31 pojazdów, zaś funkcjonariusze ZOMO „zagubili” 30 czapek polowych, 15 par okularów, 24 pałki szturmowe, pięć pałek służbowych, 25 ręcznych miotaczy gazu, siedem par rękawiczek skórzanych, magazynek ręcznej wyrzutni gazu łzawiącego i służbową latarkę. Ponadto rozbito 13 tarcz, 20 kasków, jedną „radiostację nasobną” i cztery przyłbice.

Zatrzymano 54 osoby, wśród nich dwie kobiety, 30 robotników (13 z HiL), jednego niepracującego, dziewięciu uczniów, sześciu studentów.

## Matactwa w śledztwie

Od początku śledztwa dowództwo krakowskiej MO rozpoczęło mataczenie, aby uniemożliwić wyjaśnienie śmierci Smagura. 2 maja podczas odprawy sztabowej zastępcy komendanta wojewódzkiego ds. MO, płk. Jurczak, mówił: „Ogłędziny nie potwierdzają wersji uduszenia od granatu łzawiącego. Ślady rtęci w przełyku, wskazują na to, że osobnik ten stosował jakiś materiał wybuchowy skonstruowany przez siebie”.

Prokurator Zbigniew Stańczewski przyjął błędne założenie, że Smagur został trafiony granatem łzawiącym. Pominął zeznania kilku świadków, którzy sugerowali, że był to pocisk z pistoletu sygnałowego. Zlekceważono także wyniki badań przeprowadzonych przez Instytut Ekspertyz Sądowych w Krakowie. Według nich w ranie i płucach zabitego nie stwierdzono chloroacetofenonu, podstawowego składnika granatów łzawiących. Prokurator robił wszystko, by stwierdzić, iż „nie jest możliwe odnalezienie sprawcy”. Gdyby uznał, że strzelano z pistoletu sygnałowego, grono potencjalnych sprawców byłoby znacznie zawężone, ponieważ taką broń mieli wyłącznie dowodzący poszczególnymi oddziałami ZOMO. Jeden ze świadków twierdził wręcz, że strzelający z milicyjnej nysy funkcjonariusz był porucznikiem.

*Andrzej Malik*

*(za: „Niepokorna Nowa Huta”, „Sowiniec” nr 40)*

## Brama główna – Kombinatu Metalurgicznego

Zatrudniający w 1980 r. blisko 40 tys. pracowników kombinat był ściśle kontrolowany przez władze. Komuniści za wszelką cenę nie chcieli dopuścić do wybuchu protestu w Nowej Hucie. Mimo to już w drugiej połowie sierpnia 1980 r. w HiL rozpoczęły się pierwsze strajki, wyrażające poparcie dla protestujących na Wybrzeżu, zaś w pierwszym tygodniu września rozpoczęto działania zmierzające do stworzenia Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych w oparciu o Porozumienia Gdańskie. Od tego momentu Nowa Huta stała się jednym z najważniejszych i najsilniejszych bastionów „Solidarności” w Polsce. W Hucie im. Lenina powstała najliczniejsza w Polsce organizacja zakładowa „Solidarności” – Komisja Robotnicza Hutników, zrzeszająca w grudniu 1980 r. już 34 tys. pracowników kombinatu. To także w sali teatralnej w budynku

administracyjnym HiL we wrześniu 1980 r. powołano do życia MKZ Kraków, będący załącznikiem Regionu Małopolskiego NSZZ „Solidarność”. „Solidarność” Nowej Huty, którą od marca 1981 r. kierował Mieczysław Gil, odegrała znaczącą rolę w przemianach społeczno-gospodarczych w Krakowie i w Polsce. Historię KRH przypomina dziś odsłonięta w 2013 r. tablica na bramie głównej huty, na której zapisano najważniejsze wydarzenia z lat 1980-1989. Brama ta była świadkiem historii nowohuckiej „Solidarności”, w tym przede wszystkim strajków. Po wprowadzeniu stanu wojennego huta stała się centralnym ośrodkiem oporu w Małopolsce. To właśnie na jej terenie doszło do największego ze strajków, rozpoczętego 13 grudnia 1981 r. i zakończonego rozbiem przez oddziały ZOMO nad ranem 16 grudnia 1981 r. Mimo atmosfery zastraszania oraz skazania przywódców strajku, Edwarda Nowaka i Mieczysława Gila, na kary więzienia, przystąpiono do odbudowy struktur związkowych, na których czele stanęli „hutnicy” Stanisław Handzlik, Władysław Hardek i Jan Ciesielski. W 1988 r. brama kombinatu po raz kolejny zapisała się w owym ponurym rozdziale historii, gdy późną wiosną doszło pod nią do brutalnej pacyfikacji strajku kwietniowo-majowego. Była to ostatnia taka akcja ZOMO w PRL. To właśnie strajk w HiL w 1988 r. rozpoczął ostateczny proces demontażu systemu pojałtańskiego w Polsce i w Europie.

## Aleja Solidarności

Ulica w Krakowie w Nowej Hucie mająca początek przy Placu Centralnym, a koniec na skrzyżowaniu z ul. Ujastek (przy ArcelorMittal Poland SA). Jedna z głównych arterii Nowej Huty. Początkowo nosiła nazwę Alei Przodowników Pracy, w 1958 r. przemianowana na Aleję Włodzimierza Lenina, a od 1991 r. na Aleję Solidarności. W latach 1982-1989 miejsce 32 pokojowych marszów hutników w stronę Placu Centralnego, które często były atakowane i rozbijane przez ZOMO. Pierwszy marsz zorganizowano 30 kwietnia 1982 r. Po raz ostatni marsz został zorganizowany 1 maja 1989 r. i wiódł z centrum Nowej Huty do kombinatu, symbolizując powrót odrodzonej „Solidarności” do huty.

## Tablica TKRH na os. Centrum B 9

Na osiedlu Centrum B w pobliżu znajdującego się tam wówczas biura „Orbisu” 19 września 1982 r. z inicjatywy Stanisława Malary i Marka Szczupaka, doszło do spotkania, które dało początek największej podziemnej strukturze „Solidarności” w Polsce – Tajnej Komisji Robotniczej Hutników, kierowanej aż do 1988 r. przez Macieja Macha. TKRH koordynowała akcje protestacyjne, organizację uroczystości, działalność wydawniczą oraz socjalną, ściśle współpracując m.in. z Duszpasterstwem Hutników i Społecznym Funduszem Pomocy Pracowniczej. W 1988 r. członkowie TKRH weszli w skład komitetu strajkowego w HiL, a wraz z odrodzeniem „S” w hucie w 1989 r. zakończyli swoją działalność. Powstanie TKRH upamiętnia tablica na bloku nr 9, autorstwa J. Stokłosa, odsłonięta 21 września 2012 r.

## Plac Centralny Pomnik Solidarności „Bądź wierny. Idź.”

Pomnik postawiono w 1999 r. przed halą walcowni zgniatacz Huty im. Tadeusza Sendzimira, wydziału w którym powstała najsilniejsza organizacja NSZZ „Solidarność” w Kombinacie, gdzie w 1988 r. miał siedzibę komitet strajkowy, a potem znajdowała się Izba Pamięci poświęcona hutniczej „Solidarności”. W 2005 r., po prywatyzacji HTS, w związku z planami zburzenia zgniatacza, przeniesiono go na Plac Centralny gdzie został ponownie uroczystie odsłonięty. Pomnik odsłonił: jeden z przywódców pierwszych strajków w hucie Kazimierz Fugiel, przewodniczący Komisji Robotniczej Hutników Władysław Kielian i Zdzisław Siudak pracownik zgniatacza. Monument poświęcił metropolita gdański abp Tadeusz Gocłowski i metropolita krakowski abp Stanisław Dziwisz. Pomnik ma formę stalowej litery V, osadzonej na cokole (pierwotnie z cegieł). Umieszczono na niej jedenaście tablic z ważnymi w dziejach Nowej Huty datami, poczynając od 1960 r. i obrony krzyża, przez datę wyboru Karola Wojtyły i daty jego pobytów w Nowej Hucie, datę powstania „Solidarności” i inne. U podstawy umieszczono orła w koronie. Poniżej, na cokole znajdują się cztery tablice upamiętniające: obronę krzyża nowohuckiego, wybór Karola Wojtyły na papieża, wydarzenia grudniowe w Gdańsku w 1970 i powstanie „Solidarności” w 1980 oraz czwarta, upamiętniająca powstanie NSZZ „Solidarność” w Nowej Hucie. Pod tablicami napis: „Solidarność”. U podstawy pomnika znajduje się tablica informująca, że jest on poświęcony *„pamięci uczestników pierwszych zrywów solidarnościowych i wszystkich tych bezimiennych, którzy jako pierwsi w okresie powojennym stanęli do walki w obronie wiary, praw pracowniczych i godności ludzkiej”*. „Bądź wierny. Idź.” to przesłanie Pana Cogito, postaci z cyklu wierszy Zbigniewa Herberta.

## Solidarnościowe Pomniki na Szklanych Domach

**Pomnik ks. Jerzego Popiełuszki**

**Pomnik 25-lecia „Solidarności” i odrodzenia Samorządu**

**Pomnik Prasy Podziemnej**

Możecie się ze mną nie zgadzać, ale ja myślę, że tego szczególnego miejsca na mapie Nowej Huty nie wolno ominąć.

Czy dla „Solidarności” nie jest ważny i godny pomnik 25-lecia jej powstania?

Czy pomnik patrona „Solidarności” ks. Jerzego Popiełuszki (nota bene powstały ze składek społecznych, a przewodniczącym komitetu był nie kto inny jak właśnie przewodniczący Małopolskiej „Solidarności”) będąc w tym miejscu można opuścić? Zdecydowanie nie.



## Czym jest i co upamiętnia pomnik niezależnej prasy podziemnej?

Pomnik to betonowa bryła, którą od góry rozrywają i kruszą wykute w brązie, podziemne gazety. Poniżej z betonu wypływa pojedyncza kartka z napisem: „*Niezlomnym w słowie*”. Jest pierwszym w Polsce pomnikiem prasy podziemnej i hołdem dla wszystkich redaktorów, drukarzy i kolporterów bibuły. Został odsłonięty w dniu 30 września 2007 roku przez dawną redakcję „*Hutnika*”, jego red. naczelnego Wojciecha Marchewczyka, marszałka województwa małopolskiego Marka Nawarę i szefa małopolskiej „*Solidarności*” Wojciecha Grzeszka. Rzeźba jest dziełem Czesława Dźwigaja.

Pomnik ten upamiętnia wszystkich, którzy w latach 1982-1989 walczyli o wolność i prawdę, pisząc, redagując, zbierając informacje, składając, drukując, zdobywając papier, maszyny i farby, a także dystrybuując podziemne pisma, z których słynęła Nowa Huta. To właśnie dzięki tym często anonimowym osobom, które narażając siebie i swoje rodziny podjęły walkę z komunistyczną propagandą, opór społeczny w latach 80 dobiegł zwycięskiego końca.

## Dzień Drukarza

### Skąd myśmy wzięli tyle papieru?

Jak co roku, w ostatni weekend maja drukarze i kolporterzy prasy podziemnej spotykają się w Krakowie – Nowej Hucie.

– Pomnik jest hołdem dla tych, którzy walczyli o „wolne słowo” w PRL.

O wymowie pomnika, zaprojektowanego przez prof. Czesława Dźwigaja opowiadał Leszek Jaranowski – drukarz „*Hutnika*” – największej podziemnej gazety w Małopolsce.

– Rulony niezależnych gazet rozbijają beton charakteryzujący system komunistyczny. Widzimy tytuły krakowskie, nowohuckie – mówił Leszek Jaranowski. – Bo, wbrew temu co się sądzi o drukach konspiracyjnych, było ich w rzeczywistości sporo, przeszło 3 tysiące tytułów i spore nakłady...

Leszek Jaranowski opowiadał o swoim spotkaniu z uczniami szkoły średniej w Sandomerzu, którzy praktycznie zmusili go do konkretnego wyliczenia globalnego nakładu tych wydawnictw, zaczął więc przeliczać ilość tytułów, nakłady, częstotliwość, okres wydawania. A przeliczeniowe rzyzy papieru zaczął układać w stos porównywalny z warszawskim pałacem kultury i zdał sobie sprawę, że ten stos przerósł sowiecką budowlę.

– I wtedy – mówił – sam sobie zadałem pytanie: skąd myśmy wzięli tyle papieru, którego w czasach PRL zawsze brakowało, jak wszystkiego w tamtym systemie?

\*\*\*

Większość maszyn drukarskich z okresu PRL-u już nie istnieje. --

– Egzemplarze, które ocalały pokazują młodym ludziom jak tworzono pisma podziemne, popularnie zwane „bibułą”. Urządzenia poligraficzne z tamtych lat albo trafiły na złom, albo do muzeów. Ja takie maszyny jeszcze mam i chętnie pokazuję je mło-

dym ludziom. A także cały proces przełamywania monopolu komunistycznego poprzez prezentowanie prawdziwej informacji – dodaje Leszek Jaranowski.

## BIBUŁA

### „Wolność drukowana na powielaczach”

13-14 XII 1981 współorganizator strajku w WSK PZL, przew. Komitetu Strajkowego; od 1982 członek TKZ w WSK PZL, do 1984 jako przedstawiciel WSK PZL współpracownik MKS Nowa Huta, nast. RKW/RKS Małopolska. 1982-1989 działacz podziemnego ruchu wydawniczego: kolporter wydawnictw podziemnych, organizator sieci i punktów kolportażu (m.in. „Serwis Informacyjny RKW/RKS”, „Aktualności RKW/RKS”, „Hutnik”, „Solidarność Grzegorzeczka”, „Mała Polska”, „Solidarność Hutników”, „Paragraf”, „Bez Dekretu”, „Tygodnik Mazowsze”, „Arka”, książki NOWej i Biblioteki Obserwatora Wojennego), redaktor, autor, organizator transportu i lokali, drukarz, dostawca sprzętu poligraficznego; w 1982 pomysłodawca, założyciel, drukarz, autor i redaktor pisma „Miscellanea”; 1982-1983 drukarz „Serwisu Informacyjnego RKW/RKS”, „Aktualności RKW/RKS”, 1982-1984 współzałożyciel i drukarz „Jesteśmy-Będziemy”, pisma Ruchu Oporu „S” WSK PZL, wiosna 1983-1989 redaktor i drukarz „Hutnika”; również dostawca sprzętu i materiałów poligraficznych, organizator transportu i lokali. Założyciel, organizator, prowadzący biblioteki wydawnictw podziemnych, m.in. 1982-1983 biblioteki TKZ w WSK PZL, 1985-1989 w PAN, 1985-1989 przy Konfraterni Robotniczej w parafii św. Maksymiliana Kolbego w Krakowie-Mistrzejowicach. 5 XI 1982-3 II 1983 powołany do Wojskowego Obozu Specjalnego w Czerwonym Borze; zwolniony z pracy; w 1983 bez zatrudnienia, nast. zatrudniony nieformalnie jako robotnik w prywatnym zakładzie produkcji pustaków, sprzedawca w sklepie Veritas, 1984-1985 zatrudniony w Przedsiębiorstwie Budownictwa Hydrotechnicznego i Wodociągów Energetycznych Hydropol Oddział Kraków przy budowie zapory w Dobczycach, 1985-1989 pracownik techn. w Instytucie Podstaw Metalurgii PAN.

Od 1986 członek Ruchu Odwaga i Prawda im. ks. Jerzego Popiełuszki (m. in. z Jackiem Smagowiczem, Kazimierzem Korabińskim i Antonim Piekalkiewiczem). 1982-1985 wielokrotnie zatrzymywany, przesłuchiwany. 1985-1986 współpracownik Pomarańczowej Alternatywy (współorganizator happeningów), 1987-1989 Federacji Młodzieży Walczącej (organizator szkoleń druku). W V 1988 po pacyfikacji strajku w HiL ukrywał członków KS (m.in. Tadeusza Szczypczyńskiego); sygnatariusz Porozumienia Niezależnych Organizacji Małopolski, zawartego w kościele oo. Dominikanów w Krakowie.

W 1989 współautor (z Krzysztofem Kornasiem i J. Smagowiczem) oświadczenia przeciwko rozmowom przy Okrągłym Stole; uczestnik kampanii wyborczej KO „S”: druk ulotek, plakatowanie; 1989-1990 pracownik Sekcji Informacji ZR „S” Małopol-

ska, w 1990 w Sekcji Informacji Komisji Robotniczej Hutników „S”, 1990-1991 w Sekcji Informacji KZ „S” Krakowskich Zakładów Przemysłu Tytoniowego. 1991 – XII 2011 właściciel drukarni DarPoint. W III 2012 współorganizator, uczestnik głódówki w kościele św. Stanisława Kostki w Krakowie przeciwko degradacji polskiej edukacji, następnie członek Obywatelskiej Komisji Edukacji Narodowej, współzałożyciel stowarzyszenia Ruch Edukacji Narodowej.

*Leszek Jaranowski. Odznaczony m.in. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (2009), Krzyżem Solidarności Walczącej (2010).*

## Współpraca

Szanowni Państwo, od pamiętnego i znamienego roku 1988, który rozpoczął „Wiosnę Solidarności” początkowo w Polsce, a w niedługim czasie i poza granicami naszego kraju, istniała potrzeba rzetelnego udokumentowania wydarzeń i zachodzących w szybkim tempie przemian. Opisywanie spraw z historii najnowszej wymaga upływu sporej ilości czasu, aby wygasły emocje bezpośrednich uczestników tych wydarzeń. Lata mijały, emocje przygasły, coraz więcej dokumentów wychodziło na światło dzienne, a żadne kompleksowo ujęte opracowania dotyczące czasów naszej wspólnej walki o prawa człowieka, swobody obywatelskie i godne życie nie powstawały. Tu i ówdzie pojawiały się wzmianki odnoszące się do przedmiotu sprawy, ale zwykle były one powierzchowne i nie opisywały ani heroizmu robotników, ani nie ukazywały istoty tamtej walki.

W 2008 roku powstało Ogólnopolskie Stowarzyszenie Represjonowanych w Wojskowych Obozach Specjalnych. Jednym z podstawowych celów statutowych stowarzyszenia jest szerzenie wśród ludzi młodych tej wiedzy. Zbierane przez nas dokumenty i relacje dotyczące najnowszej historii Polski, po opracowaniu ich przy pomocy nowoczesnych technik zarówno medialnych jak i plastycznych udostępniamy szkołom w postaci interaktywnych spotkań z młodzieżą. Wygląda, że znowu przyszedł czas, aby wziąć nasze sprawy w nasze ręce. Tym razem idzie o pamięć historyczną, prawdziwość przekazów, a tym samym o nasze korzenie i tożsamość. Nikt za nas tego nie zrobi i nikt nie zrobi tego lepiej od żywych, bezpośrednich uczestników i świadków tamtego czasu.

Programy szkolne przeładowane są tak wielką ilością materiału poznawczego, że brakuje w nich czasu na omówienie okresu ostatniego przełomu. W tym miejscu przychodzimy z pomocą. Nasze projekty edukacyjne spotkały się z pełną aprobatą Ministerstwa Edukacji Narodowej. Założyliśmy stronę internetową, która szybko stała się jedynym istniejącym w przestrzeni internetowej portalem o tej tematyce. Poświęcony on jest walce o Niepodległą, ze szczególnym uwzględnieniem historii podziemnej „Solidarności” w Krakowie.

Zarówno Nowa Huta jak i kombinat metalurgiczny, który stanowił wtedy bastion „Solidarności” walczącej, i na który oglądał się cały świat, zajmują właściwą ilość prze-

strzeni portalu. Wraz ze zdobywanymi materiałami i po ich opracowaniu przestrzeń ta ciągle ulega powiększeniu. Z istnienia takiego miejsca korzystają wszyscy bez wyjątku. Instytucje takie jak: IPN, Biuro Bezpieczeństwa Narodowego, Europejskie Centrum Solidarności, Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego, Biblioteka Jagiellońska czy Narodowe Centrum Kultury często powołują się na informacje pochodzące z tego portalu. Instytucje zagraniczne takie jak: Instytut Józefa Piłsudskiego w Ameryce, Polonia Amerykańska, Polonia Kanadyjska, Polonia Australijska w sposób ciągły współpracują i korzystają z tej strony. Często korzystają i odwołują się w swoich pracach dyplomatycznych magistranci i doktoranci. Praca i poświęcenie wyraźnie więc nie idzie na marne.



Dzień Drukarza – Nowa Huta 31 maja 2024

foto © Magdalena Maliszewska

# BAJKA O SMOKU NIEWAWELSKIM

napisana bez wiedzy i zgody K.M.



Tekst, wydany pierwotnie przez Niezależne Pismo Dzieci „Okienko” w podziemnym wydawnictwie KOS w 1987 roku, przedrukowujemy za: J. Papużyńska, Zbuntowane słowa, Łódź 2019. Za zgodą Autorki, choć nadal bez wiedzy i zgody... K.M.

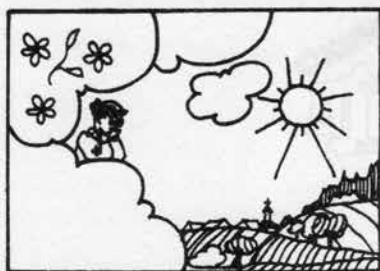




Sławny Kornel Makuszyński,  
który bardzo kochał dzieci,  
zmarł niestety, dosyć dawno,  
w roku pięćdziesiątym trzecim.



Od tej pory mieszka w raju  
i przygląda się ciekawie,  
co się dzieje w polskim kraju,  
w Zakopanem czy w Warszawie.



Z góry widać dużo lepiej,  
doskonale wiecie o tym,  
więc pan Kornel wnet zrozumiał  
polskie sprawy i kłopoty.



Zas najbardziej go zmartwiło,  
że na ziemskim tym padole  
jego drogie, polskie dzieci  
nierzakarmią bujdą w szkole.



Przeto złapał się za głowę:  
- Co ja widzę?! Co ja słyszę?!  
Chyba chwycę znów za pióro  
i do dzieci swych napiszę.



A gdy książkę tę napisał,  
to ją oddał w nasze ręce,  
myśmy ją wydrukowali  
na podziemnej drukarence.





Drukarenka jest uboga  
i kolorów w niej nie stało,  
niech więc każdy kredki chwytą  
i obrazki barwi śmiało.



A ten, kto już pomalował,  
niech literki pilnie czyta.  
Jeśli czegoś nie zrozumie,  
mamy, taty niech zapyta.



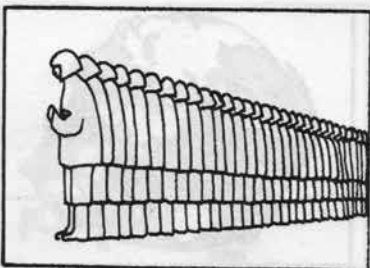
Przed wiekami, przed dawnymi  
żyło dzielnych zuchów trzech.  
Byli braćmi rodzonymi.  
Zwali się: Rus, Czech i Lech.



Wielu jeszcze innych braci  
żyło w licznej tej rodzinie.  
Brat - Białorus zadumany,  
brat - zadziorny Ukrainiec...



Pamiętacie, że ci bracia  
wyruszyli niegdyś w knieje?  
Może warto by zobaczyć,  
co się dzisiaj z nimi dzieje?



- Przecież dawno już pomarli! -  
wszyscy chórem zakrzykniecie.  
Prawda, prawda oczywista!  
Lecz ich dzieci żyją przecie.



Nad ziemiami Słowian-braci  
błyska dzisiaj krwawa łuna,  
bo u Rusa - smok zamieszkał,  
co na imię ma Komuna.



Kto chce poznać smoczą władzę,  
niech rozejrzy się dokoła:  
jego znakiem jest kolejka,  
co się wije jak wąż boa.



Z ust mu płyną piękne słówka,  
lecz kto ich uważnie słuca,  
pozna zaraz, że to okaz  
szkaradnego jest kłamczucha.



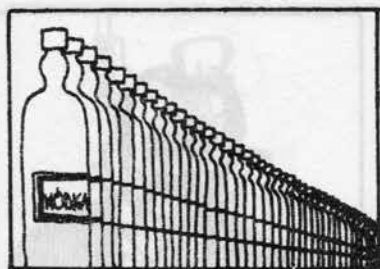
Choć wciąż mówi o pokoju,  
prawda taka jest, niestety,  
że uwielbia karabiny,  
czołgi, bomby i rakiety.



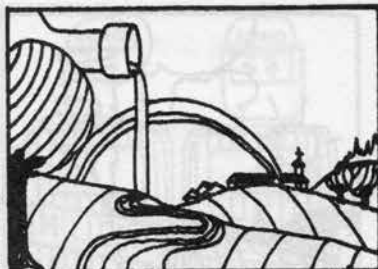
Chociaż mówi o braterstwie,  
lecz zagarnął bratnie kraje  
i wciąż nowych ofiar szuka,  
i przeniży się nie naje.



Wszystkie plony ludzkiej pracy  
smok przeznaczca na armaty -  
toteż ludzie biedę klepią,  
choć kraj mógłby być bogaty.



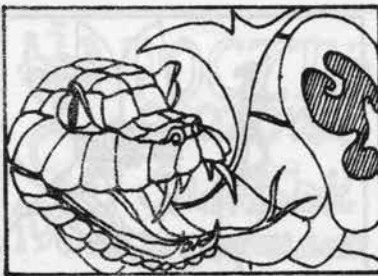
Smok ten wielkim jest chytrusem,  
by osiągnąć lepsze skutki,  
dobrał sobie pomocnika,  
co się zwie Pół litra wódki.



Kto pijany, rzecz wiadoma,  
ten się łatwo nabrać daje,  
więc wódczana rzeka płynie  
poprzez wszystkie smocze kraje.



Na przepięknej ziemi Rusa,  
tam, gdzie płynie rzeka Oka,  
wielu ludzi uwierzyło  
w oszukańcze słowa smoka.



Rus potęgę wielką zdobył,  
myśli, że jest panem świata,  
lecz naprawdę słuCHA smoka  
i własnego gnębi brata.

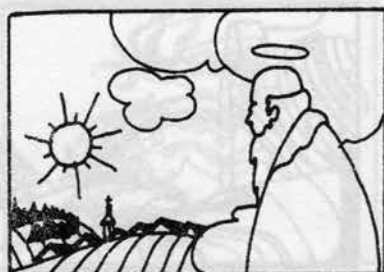


I dlatego tam, gdzie kiedyś  
żył wesoło ród Lechowy,  
dzisiaj smutni chodzą ludzie  
i spuszczone mają głowy.

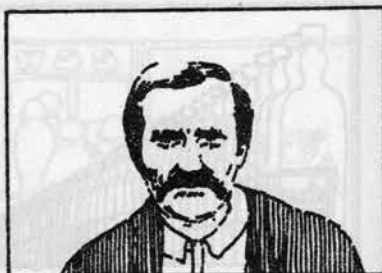


Smok narodów podbił wiele,  
siejąc wkoło jad czerwony.  
A choć jedni wciąż się bronią,  
inni - biją mu pokłony.





Smutny Pan Bóg patrzy z góry,  
ale trochę się uśmiecha,  
bo zobaczył, że Polacy  
mają już nowego Lecha.



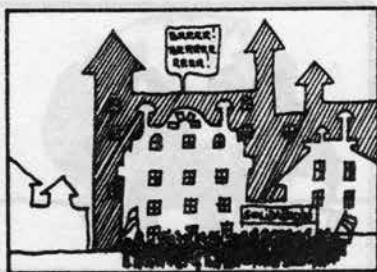
Pan Wałęsa, co ma wasy  
i co liczne ma dzieciśka,  
postanowił, że już Polskę  
czas smokowi wyrwać z pyska.



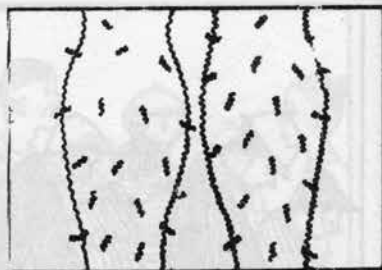
On zjednoczył swych rodaków  
pod „Solidarności” znakiem,  
a dopomógł mu w tym papież,  
który także jest Polakiem.



Inni także pomagali,  
a że były ich miliony,  
więc powstała „Solidarność”,  
bo się przeląkł smok czerwony.



Gdy krzyknęli wielkim głosem:  
- Dość już kłamstwa! Dość już biedy! -  
to przebrzydły smok w swym zamku  
z przerażenia zadrział wtedy.



Wysłał przeto generała,  
co był, biedak, bardzo brzydki,  
a tchórzliwy tak, że stale  
drżał mu ze strachu łydki.



Bał się smoka, bał Polaków,  
bał się nawet słońca blasku,  
toteż nosił okulary  
czarne - jak na tym obrazku.



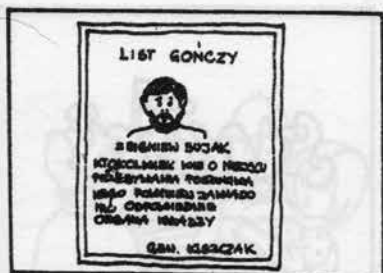
Ten generał zebrał wojsko,  
czołgi, działa oraz ZOMO,  
które ma ogromne pałki,  
no a po co? - to wiadomo!



Napadł on na „Solidarność”  
pod osłoną nocy cienia  
i najlepszych synów Polski  
pozamykał do więzienia.



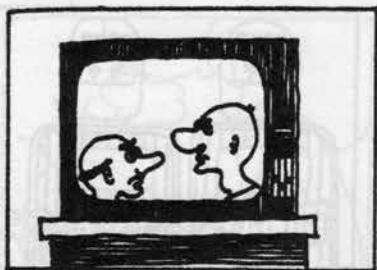
Wszystkich chciałby pozamykać,  
ale to się nie udało,  
bo ich było takie mnóstwo,  
że mu cel nie wystarczało.



Inni znowu mu uciekli,  
więc wciąż ganiał za Bujakiem,  
lecz przez przeszło cztery lata  
musiał się obchodzić smakiem.



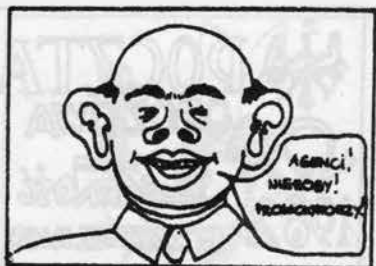
No a kiedy go zawiodły  
kraty, pałki i łańcuchy,  
rzekł generał: - Pomóż, smoku! -  
I smok przysłał swe kłamczuchy.



Są to stwory bardzo groźne,  
bo potrafią co wieczora  
nawet w przyzwoitym domu  
wpełznąć do telewizora.



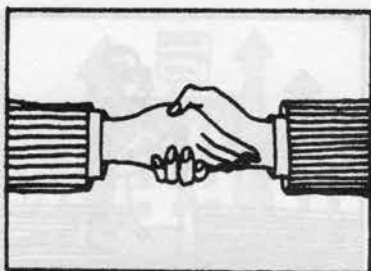
Zasiadają na ekranie  
i z niewinną całkiem miną  
piękne słowo „Solidarność”  
brudzą swoją wstrętną śliną.



Że agenci, że nieroby  
i że wojny chcieli wreszcie,  
że jest przez nich w Polsce bieda -  
lecz wy, dzieci, w to nie wiercie.



- Zaraz, zaraz! - dzieci krzykną -  
„Solidarność” - cóż to znaczy?  
Takich słów nie uczą w szkole,  
niech pan pisarz wytłumaczy!



- „Solidarność”, moi mili,  
rozpoczyna się od tego,  
że za wszystkich jeden staje,  
no a wszyscy za jednego.



Lecz to jeszcze nie wystarczy  
(drań draniowi też pomaga),  
„Solidarność” to uczciwość,  
prawdowość i odwaga.

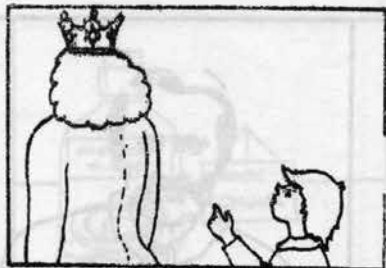




„Solidarność” nie chce wojny,  
o podbojach też nie marzy,  
chce, by Polak w swoim kraju  
sam rozsądnie gospodarzył.



Więc gdy będą przy was o niej  
obrzydlive mówić rzeczy,  
kto odważny - ten niech wstanie  
i niech śmiało wnet zaprzeczy.



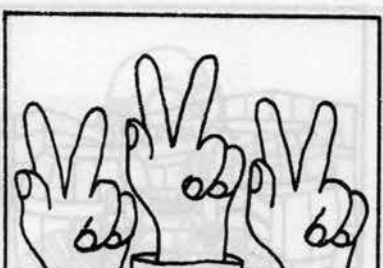
Żeby prawdę głośno mówić,  
trzeba sporo mieć odwagi,  
jak ten chłopczyk, co się nie bał  
głośno rzec, że król jest nagi.



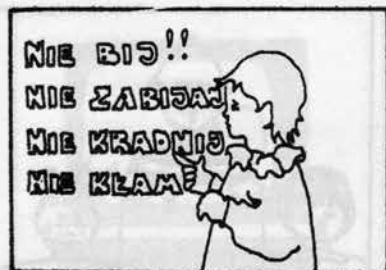
A wy, mądre polskie dzieci,  
co rośniecie z każdym rokiem,  
nabierajcie też odwagi,  
by rozprawić się ze smokiem.



- Zaraz, zaraz! - dzieci krzykną,  
Wielkie będą z tym kłopoty!  
Skąd weźmiemy te armaty,  
bomby, czołgi, samoloty?



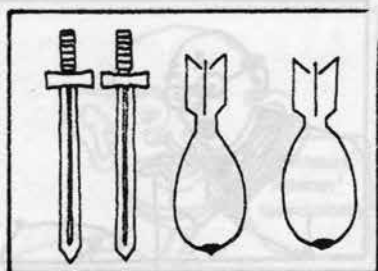
- Skąd tych pałek nabierzemy,  
co nas ZOMO nimi wali?  
Mamy tylko gołe ręce  
i jesteśmy słabi, mali!



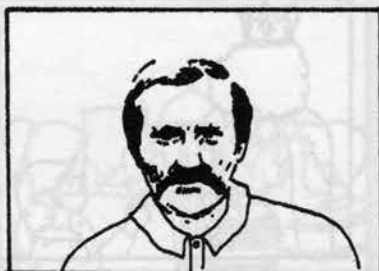
A w dodatku - bić, zabijać to jest sposób barbarzyński. Tego chyba nam nie radzi zacyt Kornel Makuszyński?



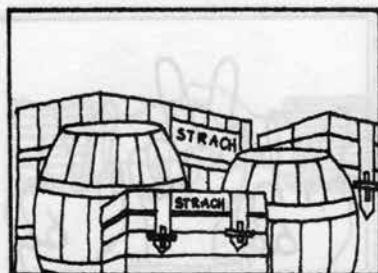
- Ach, jesteście tak roztropne, że w ogromnym trwam podziwie! Lecz mi dajcie dojść do głosu i słuchajcie mnie cierpliwie.



Smoka tego nie zabiją ani bomby, ani miecze, trzeba tak z nim postępować jak Wajęsa mądry rzece.



Bo powiada Lech Wajęsa - Smoka się nie bójmy wcale, tylko walczmy z nim cierpliwie, solidarnie i wytrwale.



Poznaliśmy sekret smoka, on się ludzkim strachem karmi, pełne kufry, beczki, skrzynie ma go w wielkiej swej spiżarni.



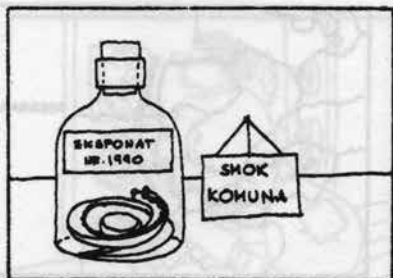
Inne jego smakołyki to zawiści i przekupstwa, oszukaństwa, kłótnie, swary i beznamięsne, tepe głupstwa.



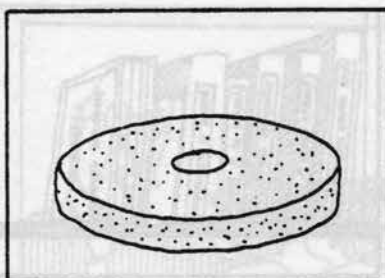
Póki karmią go ludziska,  
smok nadyma się i rośnie,  
lecz gdy strawy mu zabraknie,  
wtedy skurczy się żałośnie.



Straci kolor jadowity,  
straci siły, straci ducha  
i na łożu w swoim zamku  
padnie słaby jak ta mucha.



Odtąd w jakimś tam muzeum  
będzie sobie stał w butelce,  
a kto przyjdzie i popatrzy,  
ten się będzie dziwił wielce.



Wszystkim ludziom wtedy z serca  
spadnie wielki kamień młyński,  
czego życzę wam gorąco,  
jakem Kornel Makuszyński.

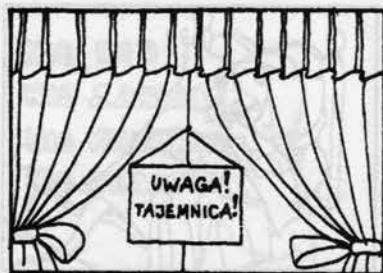


- Pięknie, ładnie - dzieci mrukną,  
- Lecz to z bajek są przykłady,  
a my chcemy od pisarza  
rzeczywistej jakiejś rady!



- Ach, ratunku! - pisarz jęknie.  
- Czego jeszcze, dzieci, chcecie?  
Toćże ja bajazem jestem,  
no i w niebie siedzę przecie.

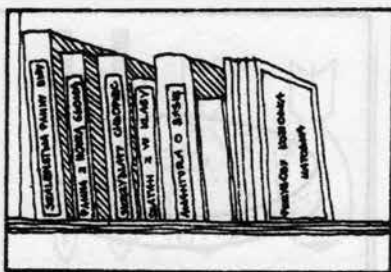




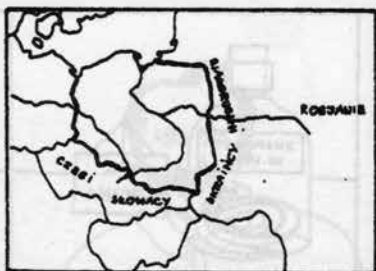
Tego zaś, co widne w niebie,  
Pan Bóg zdradzić nie pozwoli:  
na cóż byliby wtedy rozum,  
co by przyszło z wolnej woli?



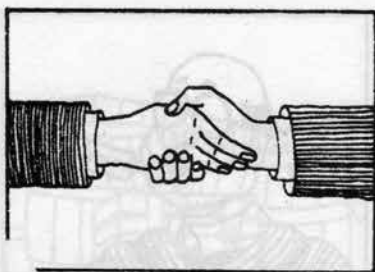
Lecz słów dodam jeszcze parę,  
skoroście tak tego chcieli.  
Tylko potem się nie skarżcie,  
że prawilem wam morały!



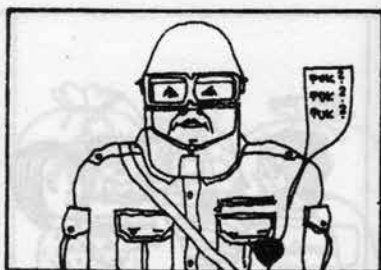
Ja, choć skromny pisarzyna,  
całe życie, moi złoci,  
gadałem wam w książkach swoich  
o miłości i dobroci.



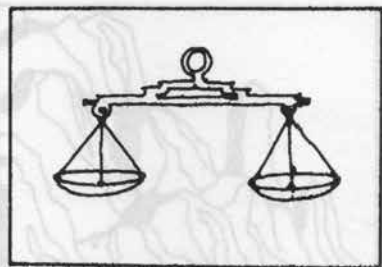
A więc wszędzie jej szukajcie,  
i nie tylko na swej ziemi.  
Obok są słowiańscy bracia,  
solidarni bądźcie z nimi.



A i ci, z którymi zawsze  
miecz nas dzielił i niezgoda,  
może też się staną braćmi,  
jeśli im się rękę poda?



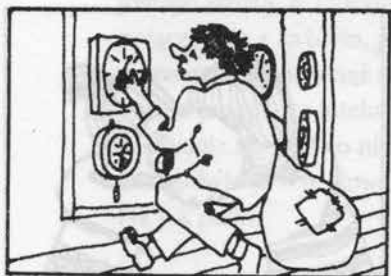
Nawet pod mundurem ZOMO  
także ludzkie serce stuka.  
Może drogę doń odnajdzie  
ten, co jej wytrwale szuka?



Mądrzy także być musicie,  
smocze kłamstwa niech nie ujdą,  
a nie zawsze łatwo poznać,  
co jest prawdą, a co bujdą.



A ponieważ smok przemudny  
wciąż pogania nas do pracy,  
czasem ktoś na pomysł wpada,  
że najmądrsi są próżniacy.



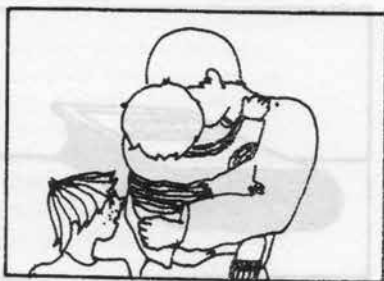
A gdy z pracy naszej plonów  
smok ograbia nas nieładnie,  
może ktoś wymyślić sobie,  
że ten mądry to też kradnie.



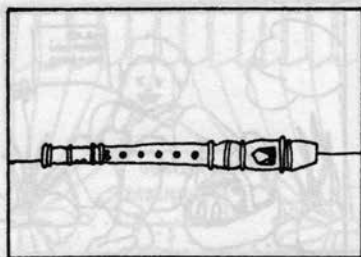
Polskiej uczcie się historii,  
co się w mądrych książkach mieści.  
Uczcie się jej z pieśni, z legend  
i z rodzinnych opowieści.



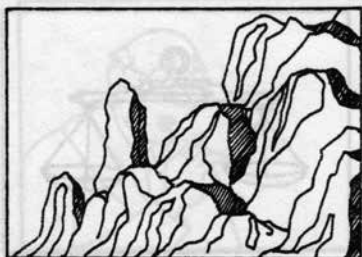
A choć próżno by kto szukał  
w swoim szkolnym podręczniku  
o Bujaku czy Kuroniu,  
Frasyniuku czy Michniku,



niechaj każde polskie dziecko  
nosi w sercu ich nazwiska,  
a gdy spotka ich przypadkiem,  
niech ode mnie ich uściska!



Nieraz twierdzą durnie smężni,  
że kto dobrym być się stara,  
ten jest gapa, niedołęga,  
cieple kluski i fujara.



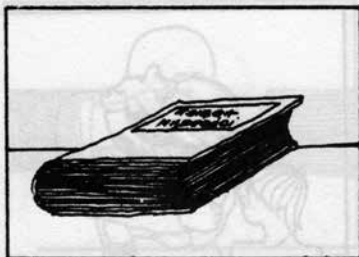
Ale jest na odwrót właśnie,  
bowiem w tym jest prawda cała:  
aby „zło zwyciężać dobrem”,  
trzeba mocnym być jak skała.



Bądźcie mężni i weseli,  
śmiejcie się z całego brzucha,  
bo smokowi wędną uszy,  
gdy takiego śmiechu słyca.



Gdy rodzice są stroskani,  
przytłoczeni zgryzot rzeszą,  
niech im dzieci dopomoga,  
rozwesela i pocieszą.



Kończę na tym, bowiem z pewnej  
bardzo mądrej wiem rozprawki,  
że od wielu zbyt morałów  
dzieci mogą dostać czkawki.



Dodam także, że i mnie już  
od pisania boli ręka.  
A kto jeszcze chce coś wiedzieć,  
niech zagląda do „Okienka”.



# Zimny wiatr

## Zimny wiatr (fragm. powieści)

Magdalena Maliszewska

(...)

Mróż był nieco mniejszy niż przez kilka ostatnich dni, ale zaczął padać drobny, mokry śnieg, którym zimny wiatr raz za razem miotał we wszystkie strony. Ciemne, skłębione chmury zdawały się wisieć tuż nad wierzchołkami drzew, a zbite w gromady pod krzakami zmarznęte, nastroszone gołębie wyglądały na śniegu jak kupki brudnego pierza.

Ostatnie kilka godzin spędzili, zdejmując wiszące tu od połowy listopada flagi, plakaty i transparenty. Zniknęły przyczepione do kraty kartonowe rysunki i karykatury, wymalowany na papierze pakunkowym program wykładów Wolnego Uniwersytetu i wielki transparent z napisem: Solidarni z radomską WSI. [26 X 1981 r. w radomskiej Wyższej Szkole Inżynierskiej odbyło się otwarte zebranie członków zakładowej „Solidarności” poświęcone ujawnieniu tła i przebiegu konfliktu rektor (prof. dr hab. Michał Hebda) – NSZZ „Solidarność”. Zebranie zakończyło się uchwałą o przystąpieniu do strajku okupacyjnego. W listopadzie krakowscy studenci podjęli strajk solidarnościowy ze studentami z Radomia.] Nie krzyczały już z tektury wymalowane czarną farbą hasła „Hebda łeb da!”, „Studenci żądają!”, „Strajk okupacyjny trwa!” i „TV łże!”. Wcześniej musieli spakować wszystkie dokumenty strajkowe, resztki plakatów i ulotek, zabezpieczyć sprzęt grający i projektor, sprzątnąć sale, poustawiać stoły i krzesła, wynieść stopy śmieci, posegregować i rozdać wychodzącym z gmachu resztki zapasów żywności. Właściwie powinien zrobić to Darek ze swoimi ludźmi, bo przecież był szefem służby porządkowej. No... w zasadzie tylko zastępcą szefa. Ale kiedy wczoraj po południu okazało się, że strajk został zawieszony, wszyscy jego pomocnicy nagle szybko gdzieś się ulotnili. I wtedy wściekły Darek pojawił się w sali 36, żeby poprosić przyjaciół o pomoc w sprzątaniu strajkowego bałaganu ku cichej satysfakcji Jurka. Cichej, ale jednak wyraźnej. Kto znał ich dłużej, łatwo mógł dostrzec między nimi jakąś dziwną rywalizację, która czasem objawiała się tylko słowną przepychanką, ale niekiedy przyjmowała postać poważnego sporu o wartości i zasady postępowania czy nawet walki o „rząd dusz” tej ich małej, rozpolitykowanej przyjacielskiej grupki.

Harowali całą noc, wynosząc worki ze śmieciami i zbierając po salach zapełnione petami słoiki, wciśnięte pod kaloryfery butelki po piwie i bezpieczne szczoteczki do zębów, a nawet porzucone w kątach resztki kanapek i zużyte prezerwatywy. Znajdowali zapomniane swetry, podkoszulki i skarpety, porzucone w pośpiechu koce i śpiwory, dziurawe materace i termosy z resztkami kawy. Na dodatek Maciek nie pozwolił im tak po prostu zerwać i wyrzucić do kosza strajkowej dekoracji budynku. Musieli to wszystko ostrożnie odcinać, odklejać, zdejmować, a potem pieczołowicie składać. A teraz z plecakami, karimatami i całym tym strajkowym archiwum znaleźli się przed

Collegium Novum. Zrobiło się tu dziwnie pusto i cicho. Nie było już na Plantach grupek dyskutujących młodych ludzi, nie było straży studenckiej przed bramą, roznosicielei ulotek z paczkami ani biegających z wielkimi rulonami i kubelkami z klejem plakiarzy. Nie było kolejki odwiedzających ani tłumku obławianych ciężkimi siatami krakowian, którzy ciągnęli tu każdego ranka z prowiantem, aby wesprzeć strajkujących studentów. Nie było już wianuszka ciekawskich, którzy codziennie wędrowali pod Novum po najświeższe wiadomości i aktualne biuletyny strajkowe. Brakowało gwaru rozmów prowadzonych przez kratę, głośnych dyskusji stojących pod arkadami palaczy i okrzyków wychylających się przez furtkę porządkowych. Na kracie pozostał tylko krzywo przyklejony taśmą, wyrysowany wczoraj przez kogoś naprędce plakat z czarnymi koślawymi literami: Strajk zawieszony.

Darek rękawem kurtki zgarnął śnieg z ławki pod pomnikiem Kopernika, położył tam swój stary, zielony drelichowy plecak oraz złożony w kostkę transparent i wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Wyfukał sporta i odwrócił się plecami do wiatru, osłaniając wątły ognik zapalki. Lodowaty podmuch szarpnął gałęziami drzew i zrzucił na niego chmurę białego puchu.

Anna otuliła się szczelnie starym ciężkim kożuchem, który matka wcisnęła jej w czasie ostatniej wizyty w domu, poprawiła pod szyją czerwony szalik i naciągnęła głębiej na oczy zrobioną przez ciotkę na drutach grubą wełnianą czapę z wywiniętym brzegiem. Kolejny mocny powiew wiatru uniósł w powietrze śnieżną szadź z dachu pobliskiego Collegium Witkowskiego i rzucił jej w twarz twarde, ostre grudki szronu.

– Wyglądasz zupełnie jak taki żółw z bajki! – parsknął śmiechem Rafał, rozcierając czerwone od mrozu ręce. Jak zwykle nie miał rękawiczek, a niedbale założony szalik zwiślał mu gdzieś na plecach.

– Ty lepiej popatrz w lustro, to się przekonasz, jak Szkopy wyobrażały sobie prawdziwego „polnische bandit” – prychnęła dziewczyna, ale odwróciła się do niego plecami i szybko zdjęła okulary. Wsunęła je do kieszeni kożucha, a potem jeszcze poprawiła wysuwający się spod czapki luźno zapleciony, gruby, ciemny warkocz. Rafał patrzył na to coraz bardziej rozbawiony i pomyślał, że Łukasz ma chyba rację, kiedy czasem żartuje sobie z jej próżności.

– Do roboty, lenie!

Anna aż podskoczyła wystraszona. Odwróciła się szybko i zobaczyła starszego niskiego mężczyznę zakutanego w kraciasty szalik i czapkę z nausznikami, która opadała mu na oczy. Podszedł niemal bezszelestnie po świeżym śniegu i teraz krzyczał, stojąc na środku placu tuż obok niej.

– Strajkowania się wam zachciało, nieroby! Do kopalni was powinni wysłać, do kilofów, obiboki! Darmozjady pieprzone! Rozwydrzone bachory!

Dziewczynę kompletnie zamurowało, za to Darek poderwał się gwałtownie i zrobił kilka szybkich kroków w stronę mężczyzny. Ręka go świerbiła, jednak powstrzymał się

z trudem i powiedział tylko głośno i dobitnie, ale zadziwiająco spokojnie jak na niego:

– Idź swoją drogą, człowieku! Dobrze ci radzę!

Usłyszeli głuchy trzask bramy. Na schodach pojawili się Maciek i Jurek ze zwojami papierów pod pachami. Uniwersytecki woźny wyszedł z budynku w samej koszuli i zamknął za nimi na klucz furtkę w metalowej kratce na zewnętrznych schodach, a potem zniknął w budynku, zabierając drabinę.

– Chodźcie już, kurwa! Co się tak guzdrzecie? – Darek strzelił niedopałkiem w sterkę przybrudzonego śniegu i sięgnął po plecak. Włożył zwinięty transparent do środka i przytrzymując kolanem klapę, szarpał się ze sprzączką.

– Czego się rzucasz? – Jurek podszedł wolnym krokiem i patrzył na niego, zadzierając głowę. Był o dobre 20 centymetrów niższy od Darka, ale nie przeszkadzało mu to patrzeć na kolegę z wyższością.

– Bo to wszystko chuja warte. Siedzieliśmy tutaj tyle czasu, żeby coś ugrać, a teraz się okazało, że ktoś sobie wymyślił, że zawieszamy strajk i... wszystko poszło się jebać.

– A Hebda dalej jest rektorem... – mruknął Rafał.

– Mógłbyś przestać kłąć. Uszy już puchną od tych twoich bluzgów – Maciek położył swój rozsypujący się zwój papierów na ławce i bez pośpiechu zaczął go układać od nowa.

– To się ze mną nie zadawaj, panicyzku krakowski! – Darek dopiero teraz poczuł wzrastającą wściekłość na „kapitulację”, za jaką uważał zawieszenie studenckiego strajku, i na ugodowców, którzy do tego doprowadzili. W dodatku miał na sobie cienką jeansową kurtkę, w której przyjechał do Krakowa na początku października. Wprawdzie ubrał pod nią dwa grube swetry, ale gdy po raz pierwszy od dwóch tygodni wyszedł z budynku na dziesięciostopniowy mróz, miał wrażenie, że trafił na Syberię.

– Trzeba było dać się wybrać do komitetu strajkowego i przekonać ludzi do swoich racji, a nie tylko na bramce wystawać, wódki szukać w plecakach i prowokatorów tropić, to może byś teraz miał inny rezultat głosowania – zauważył Jurek spokojnym głosem. Przełożył wielki rulon papierów pod drugie ramię i poprawił okulary.

– Kociół garnkowi przygadywał! Ty też się jakoś nie kwapiłeś do działania w NZS-ie! Wolałeś robić prywatne wykłady dla wybranych! – warknął Darek, przestępując z nogi na nogę, nie wiadomo – z zimna czy ze zdenerwowania.

– Ale ja teraz nie mam do nikogo pretensji, że ktoś za mnie zdecydował o zawieszeniu strajku – odparował szybko Jerzy, musiał jednak przyznać, że Darek celnie go ugodził. Przez jakiś czas wydawało mu się, że kariera w strukturach NZS-u, to coś akurat dla niego. Szybko jednak przekonał się, że popisywanie się erudycją przed grupką wpatrzonych w niego przyjaciół to coś zupełnie innego niż przemawianie na wielogodzinnych wiecach i zebraniach przed tłumem obcych ludzi, hałaśliwych, przekrzykujących się wzajemnie, a często nawet agresywnych. Tracił wątek, gdy wszyscy naraz wrzeszczeli, wrywali się do głosu, wchodzili mu w słowo, rzucali mięsem i co chwilę

zmieniali temat. Nie znosił dymu, tłoku, hałasu i przekleństw. Czerwienił się, zaciął, pocił i w końcu zrezygnował, bojąc się okryć śmiesznością swoje szanowane w Krakowie nazwisko. Stanowczo nie był typem trybuna, raczej już gawędziarza.

– Strajkować trzeba do oporu, a nie do zawieszenia! – Darek już się nakręcił i nie dawał za wygraną.

– Mieliśmy tu zostać do wiosny? – Maciek pokiwał głową z politowaniem i pieczołowicie obwiązał swój wielki rulon kawałkiem sznurka, a potem jeszcze owinął zdjętym z szyi szalikiem.

– A choćby nawet! – warknął Darek zaczepnie. – Chociażby po to, żeby pokazać, że studenci w Krakowie mają jaja.

– Ciekawe, czy siedziałbyś tu w czasie świąt? – zaśmiał się ironicznie Jerzy.

– Jasne, że tak, maminsynku pieprzony!

– Dajcie już spokój! – wtrąciła się Anna. – Gadaliśmy o tym całą noc. Nic nowego nie wymyślimy. W poniedziałek wracamy na uczelnię, a potem się zobaczy.

– Nigdy nie będzie już takiej mobilizacji! – warknął Darek.

– To co robimy, panowie, bo zimno? Szybka piłka: „Zwis” czy „Kolorowa”? – zapytał Rafał ze zniecierpliwieniem w głosie. Lubił ze wszystkimi żyć w zgodzie i strasznie go denerwowało, gdy ktoś niepotrzebnie wszczynął awantury. A buty, w których chodził piąty sezon, od dawna już przemakały i właśnie przed chwilą poczuł na stopach lodowatą wilgoć roztopionego śniegu. Ale nie miał zamiaru o tym wspominać, bo co na temat dziurawych butów mogli wiedzieć jego wychuchani przez mamusie koledzy z roku.

– A może jednak „Mozaika”? – ożywił się Maciek.

– Daj spokój, okropnie niewygodne te ich barowe stołki – zaprotestowała Anna, coraz energiczniej przytupując po zmrożonym śniegu obcasami kozaków.

– Ale za to moglibyśmy posłuchać sobie fajnej muzyki – Maciek uśmiechnął się do dziewczyny i poglądził kruczo czarną brodę.

– Lepiej „Asik” – Jurek tym razem nie miał ochoty ciągnąć sprzeczki z Darkiem. Był zbyt zmęczony całonocnym sprzątaniem i dwiema nieprzespanymi nocami. Bo zanim doszło do decyzji komitetu strajkowego, wszyscy pogrążyli się w nocnych dyskusjach na temat przyszłości i sensu studenckiego protestu. Zaproponował więc tylko:

– Weźcie te moje papierzyska, a ja skoczę do Zarządu Regionu po nową prasę i najświeższe nowiny. Przyniosę też coś dla was.

– To oni tam siedzą w sobotę? – zdziwiła się Anna, której też już zaczynało być bardzo zimno, mimo maminego kożucha.

– Jasne, kierowcy i cały dział techniczny. Pakują „Gońca” [„Goniec Małopolski” – regionalne czasopismo NSZZ „Solidarność” Małopolska w Krakowie, redagowane przez zespół Sekcji Informacji pod kierunkiem Roberta Kaczmarka w okresie od listopada 1980 do grudnia 1981 r.] i przygotowują do wysyłki. Czekać na mnie w „Asie”.

– A ty, Anusia, to naprawdę chcesz się gdzieś włóczyć bez swego rycerza z Przeworska? No, nie wierzę! On już od ciebie tak całkiem uciekł? Już zagłaskałaś go na śmierć?  
– Darek pochylił się w jej stronę z drwiącym uśmiechem.

Anna była wściekła na Łukasza, ale nie dała się sprowokować. Chciała się odgryźć, ale nie dała rady zachować powagi. Parsknęła śmiechem i popukała go po głowie trzymanym w ręce rulonem. „Czy jakikolwiek rycerz mógłby być takim introwertykiem? Albo czy taki introwertyk mógłby zostać rycerzem? I kto tu kogo zagłaskuje na śmierć?” – pomyślała i wyobraziła sobie Łukasza w czarnej zbroi. Też miała kiepski humor, ale z zupełnie innego powodu niż Darek. Nie była specjalnie rozczarowana zawieszeniem strajku. Ostatecznie jak długo można spać na materacu, z którego uchodzi powietrze, myć się w umywalce we wspólnej łazience i jeść w kółko takie same kanapki. Ale jeszcze rano miała nadzieję, że skoro nie będą już musieli siedzieć w Novum na strajku, to spędzą z Łukaszem weekend u niej na Krowoderskiej, nareszcie sami, bez tłumu ludzi naokoło. No, może nie całkiem sami, bo z ciotką za ścianą, ale ciotka potrafiła być naprawdę w porządku: dyskretna, gościnna i niekłopotliwa. Że wybiorą kilka płyt i przytuleni będą słuchać romansów Wertyńskiego, ballad Okudźawy albo piosenek Piaf, popijając aromatyczną, oszczędzaną na wyjątkowe okazje, przyslaną z Wiednia herbatę, objadając się plackiem z jabłkami, a może nawet degustując nalewki z tajnych zapasów ciotki. A potem obejrzą razem jakiś film w Kinie Nocnym. Przecież tylko raz w tygodniu, w soboty, późną nocą można było oglądać w telewizji prawdziwe zachodnie kryminały z „górną półką” i amerykańskie westerny, na które wszyscy czekali. Że w niedzielę pójdą razem na mszę do świętej Agnieszki albo do Dominikanów, a potem na zimowy spacer wiślanymi bulwarami po skrzypiącym śniegu, aż do parku na Dąbiu. Albo w drugą stronę – do klasztoru Norbertanek. Po drodze rozgrzeją się czerwonym barszczem w „Słoneczku” albo grzany winem w „Smoczej Jamie”. Będą karmić fąbędzie przy tamie, rzucać się śnieżkami, głaskać wszystkie spotkane psy i omijać skwapliwie polityczne tematy. A wracając przez centrum, poszukają starych napisów i ciekawych detali na fasadach budynków i w podwórkach kamienic. Ale okazało się, że Łukasz jeszcze w październiku obiecał mamie, że na pewno przyjedzie na osiemdziesiąte urodziny babci, i uparł się, że musi wyjechać wcześniej rano. Lojalnie pomógł im ogarnąć w nocy największy bałagan, ale potem szybko się zebrał, żeby zdążyć na pierwszy pociąg. Była zła, że jej o tym nie uprzedził, i próbowała zatrzymać go choćby do południa, ale jak zwykle był nieugięty. Tak się spieszył, że w zasadzie nie zdążyli się pożegnać. Już się przyzwyczała, że Łukasz nie zwykł zmieniać planów z błahych powodów, ale właśnie dlatego poczuła się teraz, jakby ona była dla niego tylko takim „błahym powodem”. I tym bardziej nie miała ochoty na samotne sobotnie popołudnie. Chociaż pewnie i tak skończy się tym, że będzie musiała sama oglądać Kino Nocne.

– Przestań się na wszystkich wyżywać, Darek! To nie my zawiesiliśmy strajk – powiedziała, starając się, żeby zabrzmiało to ostro, bo Darek czasem działał jej na nerwy



swoją napastliwością, zawziętością i arogancją. – A do „Asa” właśnie chętnie pójde. Też jestem ciekawa, co słycać w „Solidarności”.

– Wezmę to – zadeklarował Rafał, patrząc smętnie na stos papierów pozostawiony przez Jurka na ławce. – Tylko skoczę po jakąś bułkę do „Barcelony”.

Publiczny bar mleczny „Uniwersytecki”, nie wiadomo dlaczego zwany przez wszystkich „Barcelona”, [Na miejscu kultowego baru „Barcelona” na rogu ul. Straszewskiego i Piłsudskiego stoi dziś nowy budynek biurowo-apartamentowy.] wiele razy ratował go, gdy wykłady przeciągały się do późna, a kasy było mało. Za osiemnaście złotych można tam było zjeść wielką, świeżą bułkę z pastą jajeczną. Dobrze było mieć jeszcze pięć pięćdziesiąt na kubek mleka, ale odkąd pomógł dziewczynom z kuchni wnosić na zaplecze ciężkie pojemniki z pieczywem, tak się z nimi zakumplował, że dodawały mu to mleko całkiem za darmo.

– W takim razie my to zabieramy i idziemy. Nie będziemy tu marznąć! Dogonisz nas! – Anna machnęła ręką w stronę mającego w perspektywie ulicy kopca Kościuszki i uśmiechając się znacząco do Darka, popatrzyła wymownie na stos papierów.

– Chwila! Nie tak szybko, ja też jestem już głodny! – Darek ruszył za Rafałem, zastanawiając się, jak to możliwe, że te delikatne i wrażliwe „panny z dworców” są zawsze tak mało empatyczne. Przecież Rafał pewnie jak zwykle nie ma na bułkę z kielbasą albo chociaż z salcesonem i znów będzie musiał żreć tę ohydłą pastę jajeczną. Zaraz jednak zawrócił:

– Chcesz coś, Maciek? A ty, Ania?

Maciek pokręcił głową, a Anna wydeła wargi:

– Mnie nic nie kupuj. Łukasz zrobił mi śniadanie przed wyjazdem. Rycerze też się czasem na coś przydają – zauważyła z przekąsem i mrugnęła porozumiewawczo do Maćka.

– Ech, baby, baby i te wasze romantyczne bzdety – machnął ręką Darek i pobiegł za Rafałem.

„As Pik” – bar kawowy przy Garncarskiej – był jednym z ich ulubionych lokali. Często się tam umawiali lub wpadali wspólnie na kawę, szczególnie w „okienkach” między zajęciami. Było tu czysto – co nie o wszystkich lokalach, nawet w ścisłym centrum, można było powiedzieć – i zwykle dość luźno. Uliczka, choć boczna, cicha i mało uczęszczana, była jednocześnie „w pobliżu wszystkiego” – Biblioteki Jagiellońskiej, uniwersytetu, akademika „Żaczek”, przystanku autobusu jadącego na Miasteczko Studenckie, placów ziemniaczanych w barze mlecznym „Górnik” prawie tak tanich jak ziemniaki, z których je zrobiono, cukierni z najlepszymi pączkami w całym Krakowie, a nawet jedyne panoramiczne kina w mieście i dobrego klubu jazzowego. Jeśli ktoś był zainteresowany, miał stąd niedaleko także do głównego gmachu Muzeum Narodowego, teatru „Grotoska” i kościoła sióstr sercanek. Zawsze można tu było spotkać kogoś znajomego i dzięki temu wysepić papierosa, pożyczyć 50 złotych na obiad w „Górniku” czy wypić darmowe piwo. No i było stąd bardzo blisko do Jurka i do Maćka.

Kawiarnia była bardzo skromnie urządzona, ale schludna, jasna i przestronna. Piwo tanie, a kawa... no, cóż, dało się ją wypić. Najlepszą kawę w mieście serwowano oczywiście na Jana w „Rio” i na Gołębiej w „Mozaice”, ale tam zawsze kłębił się tłum i chociaż miło było w tym tłumie spotkać znanych aktorów, pisarzy, malarzy, dziennikarzy czy naukowców, to jednak nie dało się tam spokojnie porozmawiać.

Biura Zarządu Regionu małopolskiej „Solidarności” były oddalone od ich ulubionego lokalu zaledwie o kilkaset metrów, jednak Jerzy pojawił się w „Asie” dopiero po godzinie, za to z grubym plikiem gazet pod pachą.

– Kupiłem ci herbatę, ale chyba już wystygła – Maciek przysunął w jego stronę jedną pełną szklankę stojącą na stole.

– Trudno – machnął ręką Jerzy.

– A może chcesz coś mocniejszego na rozgrzewkę? – Darek ruchem głowy wskazał stojący pomiędzy szklankami i butelkami z piwem, pusty już kieliszek. W lokalach takich jak „As Pik”, czyli w barach kawowych, nie podawano wysokoprocentowych alkoholi, ale jak wszędzie, tak i tu wiele rzeczy można było dostać spod lady.

– Daj spokój. Nie zmarzłem. Zobaczcie, co przyniosłem – Jerzy nie potrafił ukryć radości, że udało mu się zdobyć po kilka egzemplarzy każdego tytułu, szczególnie że niektóre z tych gazet ciężko było dostać gdziekolwiek. Szybko zrobił porządek na stole i rzucił na niego przyniesioną prasę.

– Irek mówi, że dobrze trafiłem, bo wczoraj odebrali „Gońca” z drukarni. Może znów coś napisali o strajkach studenckich.

– Niezły tytuł na pierwszej stronie: „Zbliża się konfrontacja” – zauważył Maciek.

Pochylili się w ciszy nad najnowszym numerem „Gońca Małopolskiego”, pachnącym jeszcze farbą, nowym „Tysolem”, czyli „Tygodnikiem Solidarność”, „Głosem Nowej Huty”, przedrukowującym w odcinkach *Etykę Solidarności* księdza Tischnera, i solidarnościowymi pisemkami z różnych stron kraju. Jurek miał też w plecaku najnowszy numer „Gazety Krakowskiej”, po którą zwykle musiał stać w długiej kolejce pod kioskiem „Ruchu”, ale po krótkim wahaniu postanowił go nie wyciągać. Bał się, że ktoś spróbuje wycygnąć od niego gazetę, a przecież obiecał sobie, że spędzi dzisiejszy wieczór, czytając sobotni „Magazyn” – reporterski dodatek do „Krakowskiej” – i słuchając Głosu Ameryki. Już się cieszył na ten wieczór. Przez chwilę panowała cisza przerywana tylko szelestem kartek, ale w końcu Jurek nie wytrzymał:

– Posłuchajcie tylko – powiedział i nie zwracając uwagi na to, że każdy zatopiony jest we własnej lekturze, zaczął czytać: – „Na politycznej szachownicy wszystkie figury już dawno zostały roztawione. Rozgrywka już się zaczęła. I nie to jest najgorsze, że po naszej stronie są same pionki, ale to, że strona rządowa może w każdej chwili zmienić reguły tej gry. Obydwie strony utknęły w pacie wzajemnej pretensji i oskarżeń, obserwując się z nieufnością i próbując choćby domyślić się kolejnego ruchu przeciwnika. Kierownictwo związku ma za sobą dziesięciomilionową rzeszę członków, co jest

zarazem ich siłą, jak i obciążeniem. Po drugiej stronie stoi władza, która ma w rękach wszystkie atuty i po której wszystkiego można się spodziewać. Czy uda się z tego patu wyjść na prostą i nie roztrzaskać o niezliczone rafy na drodze do porozumienia?”.

– Dobry jest... no, naprawdę jest dobry – z uznaniem pokiwał głową Maciek.

– To ten Marek z antykwariatu? – spytał Rafał.

– Tak, Marek Leski. W lecie zaczął pisać do „Gońca” i od razu okazało się, że ma świetne pióro. Bardzo lubię te jego analizy sytuacji.

– A ty, Jurek, nic im nie podrzucasz? Coś ci już przecież kiedyś wydrukowali.

– Tylko raz, artykuł o powstaniu Armii Krajowej. A teraz umówiłem się, że napiszę jakiś krótki tekst o strajku, takie reminiscencje postrajkowe. Ale takiego pióra jak Marek, to... ja z pewnością nie mam – dodał z rzadką u niego skromnością.

– No, genialne! Po prostu genialne! – prychnął niespodziewanie Darek. – Albo nas wystrzelają, albo nas nie wystrzelają! Jak zauważymy, że zaczęli strzelać, to się dowiemy, co oni kombinowali. Ale wtedy to będziemy już w czarnej dupie. Ot i cała filozofia. Nie potrzeba do tego waszego geniusza pióra, żeby wiedzieć, że cokolwiek byśmy nie zrobili, to i tak dupa z tyłu, bo zawsze mogą zacząć do nas strzelać.

– Jasne! Strzelać. Z kałachów – ironizował Jerzy. – Ale ty czasem pitolisz, Darek!

– Bo się ciebie będą pytać! – warknął chłopak, odchylając się na krześle.

– Darek, dałbyś już spokój z tym strzelaniem! Ty masz chyba jakąś obsesję. Nikt z nas nie kocha komunistów, ale... jest jakaś granica demonizowania ich i czarnowidztwa. Na pewno nikt teraz do nikogo nie zacznie strzelać – Maciek był jak zwykle opanowany i nieco flegmatyczny.

– Jeżeli uda się spacyfikować radykałów po obydwu stronach...

– Takich radykałów jak Darek – parsknęła śmiechem Anna.

– ... to powinno się udać ominąć także i tę rafę – dokończył Jerzy i sięgnął po szklankę z zimną herbatą.

– I ty to mówisz? – Darek popatrzył na niego z pogardliwym wyrazem twarzy. – Taki dyżurny pesymista?

– Co ma do tego mój pesymizm? To po prostu trzeźwa analiza tego, na co może się zdobyć ta ekipa. Za słabi są, za słabi... No, chyba że Rosjanie wejdą, ale to bardzo mało prawdopodobne. To już nie te czasy. Rosyjskie kacapy mają teraz własne kłopoty. Zresztą nawet oni się zreformowali i wołają... bardziej cywilizowane metody wpływu.

– Zreformowali? Komunizm jest niereformowalny, najwyżej makijaż może sobie zrobić – skrzywił się Darek. – Jeszcze się zdziwicie!

– Dałbyś już spokój! Ani Budapeszt, ani nawet Czechosłowacja już się na pewno nie powtórzą. Nie mogą się powtórzyć. Nie w tym miejscu, do którego doszliśmy.

– A gdzie doszliśmy? No, gdzie? – Darek znów poczuł ogarniającą go wściekłość. – Do zawieszenia strajku, który można było wygrać! Małopolska „Solidarność” też ma tylko pogotowie strajkowe, zamiast po prostu zrobić strajk ostrzegawczy. Najpierw goto-

wość strajkowa, przygotowania, gadanie, mobilizacja, a potem i tak będzie jak zwykle, czyli Lech ich spacyfikuje i chuj z tego wyjdzie.

– Spokojnie! W lutym przecież też na UJ zaczęło się najpierw od pogotowia strajkowego. I co? I przecież mamy NZS – wtrącił znad kufła Rafał.

Wszyscy pozostali wybuchnęli śmiechem. Zdecydowanie to nie Anna była tu blondynką z kawałów.

– Rafał, nie pitoł „gupot”. Gównu by dało to pogotowie strajkowe, gdyby Łódź nie zaczęła okupacji, *[Mowa o strajkach studenckich w Łodzi w styczniu i lutym 1981 r. w sprawie rejestracji Niezależnego Zrzeszenia Studentów.]* nie pamiętasz? Teraz też gównu z tego wyjdzie, zobaczycie.

– Ale w razie czego, gdyby jednak się namyślili i odwiesili, to dekorację mamy już gotową. Tylko rozwiesić na Novum – mrugnął Maciek i pojednawczo stuknął się z Darkiem swoją butelką wawelskiego.

– Te, archiwista! Po co ty właściwie targasz te śmieci ze sobą? Przecież wiadomo, że nawet jeśli strajk zostanie odwieszony, to wszystkie te informacje będą już nieaktualne. Po co ci ta makulatura?

– Zapomniałeś, co mówił pan Władysław, jak był u nas na strajku z wykładem o KPN-ie? Odwilże zawsze trwają krótko, bardzo krótko. A potem komuniści szybko piszą swoją własną wersję historii. I część ludzi zapomina, jak było naprawdę. Dlatego trzeba wszystko dokumentować. A to są najprawdziwsze dokumenty życia społecznego. Kiedyś będą bezcenne, zobaczycie.

– Dajże spokój z tymi szpargałami. Wcześniej ci zgniją w piwnicy – skrzywił się Darek.

– Nie zgniją – wtrąciła się Anna. – Ustaliliśmy rano z Maćkiem, że zanosimy to do mnie na Krowoderską.

– A u ciebie w piwnicy jest sucho? – zaniepokoił się Maciek, choć już wcześniej dwa razy ją o to pytał.

– Jak na Saharze – rozeźmiała się dziewczyna. – A dlaczego to niby u was jest mokro?

– Środkiem ulicy Retoryka, tam gdzie teraz jest zieleniec, płynęła kiedyś Rudawa, dlatego nasze piwnice bez przerwy zalewa podskórna woda – wyjaśnił Jurek, sąsiad Maćka.

– Jak to Rudawa? – zdziwiła się Anna. – Przecież Rudawa wpada do Wisły gdzieś koło klasztoru Norbertanek. To chyba ze dwa kilometry od Retoryki.

– A, tak, tak, Rudawa! Dużo się jeszcze musisz dowiedzieć o Krakowie, panno z Bochni – zaśmiał się Jerzy. – Podrzucę ci parę książek.

„Z tego Jurka to jednak straszny bufon – pomyślała Anna. – Panna z Bochni, też coś!”

Ubodło ją to określenie, choć oczywiście niczego nie dała po sobie poznać. Ta zadra cały czas w niej tkwiła i pewnie nigdy się z tego nie wyleczy. Bo przecież powinna była urodzić się w Krakowie! Gdyby rodzice nie uciekli na prowincję, to codziennie miałyby do dyspozycji te wszystkie muzea, kina, galerie i biblioteki i nie musiałyby teraz nadrabiać zaległości. Chodziłyby do „piątki”, jak ojciec i ciotka, albo do „dwójki” jak dzia-

dek i mogłaby teraz włączyć się do każdej dyskusji i nadażyć za każdym poruszonym tematem. A tak musiała zapamiętywać tytuły książek, których nie знаła, i artykułów w czasopiśmie, o których nie miała pojęcia, a potem wyszukiwać je w bibliotekach lub w księgozbiorach znajomych. W Bochni tak niewiele się działo, że od przyjazdu do Krakowa cały czas czuła się lekko oszołomiona, jakby wychodząc z ciemnej, ciasnej komórki znalazła się nagle na zalanej słońcem polanie. I teraz już nic jej stąd nie ruszy. Portret dziadka na ścianie i wszystkie krakowskie rodzinne pamiątki w mieszkaniu ciotki były najlepszym dowodem na to, że jest tak samo krakowska jak Jerzy.

– To kończcie piwo i chodźcie. Dzisiaj sobota, więc ciocia Irena na pewno upiekła swoje popisowe marchewkowe ciasto.

– Sobota...? – Rafał odłożył pusty kufel, otarł usta i nagle podskoczył na krześle, jakby sobie coś przypomniał. – Ale który właściwie dziś jest?

– No, jasne. Jedyne szczęśliwy w tym gronie – Darek popatrzył na kolegę z pogardliwym uśmiechem. – Rafatek, który nie liczy czasu. Dwunasty, dwunasty grudnia, kolego szczęśliwy. Acha, jakbyś zapomniał to 1981 roku.

– Cholera, powinienem być pojechać z Łukaszem.

– A co, twoja babcia też ma dzisiaj urodziny? – ironizował dalej Darek.

– Nie, ale jeśli jutro jest trzynasty grudnia, to znaczy, że są imieniny ciotki Łucji, mojej chrzestnej matki.

– Zdązysz jeszcze, a teraz pomóż nam zanieść to maćkowe gówno na Krowoderską.

– Ty też idziesz do Anki, Darek? – zapytał Jerzy jakoś tak przymilnie, co Darkowi od razu wydało się podejrzane.

– A co?

– No, bo skoro wszyscy się wybieracie na Krowoderską, to ja bym wam dał też mój pakunek i od razu poszedł do domu. Po co tam robić sztuczny tłok?

– Nie ściemniaj, palancie! Po prostu masz nas już dosyć – zaśmiał się Darek.

– Chwilowo mam dość wszystkiego – przyznał Jurek zmęczonym głosem. Ziewnął i pomyślał, że nawet nie chce mu się odpowiadać na zaczepki Darka, ale zaraz potem znów odzyskał zwykłą pewność siebie:

– Ostatecznie harowałem za ciebie przy sprzątanii Novum, to ty teraz możesz zanieść za mnie te papierzyska.

Darek marzył o tym, żeby się w końcu wykąpać, przebrać i zrobić coś, co zmyje gorycz strajkowej porażki. Na przykład zdobyć jakiś szczyt. Albo spędzić wieczór z dziewczyną. Nie miał akurat pod ręką dziewczyny ani nawet żadna nie przychodziła mu do głowy, zostały więc tylko góry. One są dobre na wszystko, lepsze nawet niż dziewczyny. Miał już na końcu języka kolejną złośliwość, ale przypomniał sobie, że gdyby nie pomoc Jurka, nigdy nie udałoby mu się zmobilizować do porządków takiej dużej ekipy i nadal tkwiłby jeszcze w pustym gmachu, zbierając niedopite butelki, porzucone skarpetki bez pary, nadgryzione jabłka i zeschnięte kanapki.

– No, ok. Przejdę się – powiedział lekko, choć poczuł dreszcze na samą myśl o wyjściu z ciepłej kawiarni i łażeniu po mieście.

– Ciotka na pewno nie będzie miała nic przeciw temu? – zreflektował się Maciek. Zanim jednak Anna zdążyła odpowiedzieć, Darek parsknął śmiechem.

– Pewnie się przestraszy, gdy zamiast swojego ulubionego, schludnego i gładziutkiego rycerzyka z kindersztubą zobaczy takich trzech zarośniętych troglodytów.

– Mów za siebie – żachnął się Maciek.

– Dobrze sobie! Popatrz w lustro!

Maciek w czasie strajku wyhodował imponującą czarną brodę, która nadała mu wygląd poczciwego Rumcajsa z lasu. *[Postać z popularnej wówczas bajki emitowanej w telewizyjnym cyklu wieczorynek.]* Pozostali wyglądali jeszcze gorzej. Nieogoleni i rozczochrani robili wrażenie, jakby nie myli się od tygodni. Darek od października chodził w jednych spodniach i swetrze i zdawał sobie sprawę, jak pachnie i wygląda. Codziennie obiecywał sobie, że przebiegnie się do „Żaczka” po świeże ubranie, ale zawsze coś mu wypadło: a to dyżur na „bramce”, a to zastępstwo przy drukowaniu ulotek, a to projekcja ciekawego filmu albo spotkanie z jakimś gościem specjalnym z zewnątrz. Rafał miał zwykle wywalone na takie rzeczy, ale i on poczuł się głupio na myśl, że pokaże się w takim stanie zawsze przedwojennie eleganckiej ciotce Anny.

Nie było jeszcze południa, ale wiszące nad Krakowem ciemne, śniegowe chmury sprawiały wrażenie, że zaraz zapadnie noc. Jerzy skręcił od razu w stronę Retoryki, ale po kilku krokach odwrócił się jeszcze i zawołał za nimi:

– Anka! Przypomnij ciotce, że jutro jest odsłonięcie katyńskiej tablicy u świętej Agnieszki!

– Dobra... ale ona na pewno świetnie pamięta! O tym by nie zapomiała! – odpowiedziała, przekrzykując wiatr.

– Zapisz sobie albo lepiej zawiąż supetek na chusteczce – Darek nie mógł odmówić sobie małej złośliwości.

Anna zignorowała tę aluzję do swojego zapominalstwa i roztrzepania.

– Wystarczy, że ty będziesz pamiętał.

– Dajcie już spokój, do cholery! Co was dzisiaj ugryzło? – Rafał podbiegł do najbliższej sterty śniegu, szybko ulepił śnieżkę i rzucił ją w stronę Anny.

– Jak to co? Tęsknimy za twoimi opowieściami o dziewczynach z Przeworska.

\* \* \*

Odnaleźli się już na pierwszym roku studiów, na początku „karnawału Solidarności”, który wtedy nazywano jeszcze zwyczajnie „kolejną odwilżą”, chociaż nie wszyscy z nich byli tak naprawdę pierwszorocznikami. Najpierw Anna natknęła się na korytarzu Collegium Witkowskiego na Jerzego. Stał przed tablicą ogłoszeń i uważnie czytał informacje dla studentów pierwszego roku. Zdziwiło ją to, bo pamiętała go z kilku kościelnych uroczystości, na które zabrała ją babcia, i wiedziała, że jest od niej o kilka lat starszy. Przypomniała sobie kruchą starszą panią, którą zawsze trzymał pod ramię,



i opowieści ciotki o jego ojcu, majorze AK. Jerzy przy wszystkich poprzednich spotkaniach robił na niej wrażenie wyniosłego, zarozumiałego i nieprzystępnego smutasa. I zawsze jej się wydawało, że patrzy na wszystkich z góry. Chciała go minąć bez słowa, pewna, że jej nie pamięta, a jeśli pamięta – to i tak się nie odezwie. Ale Jerzy dostrzegł ją i pierwszy zagadał. Nie tylko ją poznał, ale wyglądał na szczerze uradowanego spotkaniem. Od razu zaczął opowiadać o ostatnim roku, który spędził u stryja w Rzymie, pracując i włóczęgając się po galeriach i muzeach. A kiedy Anna pochwaliła się, że dzięki przyjaciółce ciotki ma wejście na „resy” [Książki ze zbioru zastrzeżonego Biblioteki Jagiellońskiej, które udostępniano tylko na specjalne pozwolenie dyrektora, np. pracownikom naukowym. W zbiorze „Res” przechowywano głównie polską literaturę emigracyjną (m. in. publikacje Instytutu Literackiego w Paryżu, np. książki M. Hłaski, C. Miłosza i W. Gombrowicza) oraz książki autorów krajowych, którzy związali się z opozycją albo podpisali jakiś apel.] do Biblioteki Jagiellońskiej, od razu zaproponował, że będzie jej przewodnikiem po wszystkich ważnych miejscach. Ciągnęła się za nim legenda ojca, na którego najpierw polowali Niemcy, a potem ubecja i który sześć lat przesiedział w stalinowskim więzieniu. Historia majora była coraz bardziej popularna, bo wciąż przypominana w różnych odwilżowych publikacjach. Ale mówiło się także, po cichu i w tajemnicy, że Jerzy ma świetne kontakty z ludźmi z dawnego Studenckiego Komitetu Solidarności. Te rzekome eskaesowskie znajomości otwierały mu teraz wszystkie drzwi, choć tak naprawdę z SKS-em łączyły go tylko dyskusje z niektórymi działaczami komitetu i to prowadzone bardzo długo po majowych wydarzeniach z 1977 roku. Potem dołączył do nich Maciek, najlepszy przyjaciel i sąsiad Jerzego, wnosząc swoje specyficzne żarty, które Jerzy nie wiadomo dlaczego nazywał dowcipami z Kulparkowa. [Dzielnica Lwowa, w której znajdował się znany w dwudziestolecie międzywojennym szpital dla psychicznie chorych.] Później Anna dowiedziała się, że ojciec Maćka przyjechał do Krakowa ze Lwowa dopiero z ostatnią partią repatriantów w 1956 roku i nigdy nie pozbył się charakterystycznego kresowego zaśpiewu. Maciek przyprowadził swoją nową dziewczynę, Karolinę, z którą błyskawicznie wpadł, więc tuż po Wielkanocy bawili się na weselu w Dobczycach. A potem zaczął się koło nich kręcić Darek, zadziorny, czasem nawet wulgarny i nieprzejednany, z którym Jerzy uwielbiał się spierać. Jak w zwierciadle odbijały się w ich kłótniach spory między „gołębiami” a „jastrzębiami” z NZS-u i konflikty solidarnościowych „ugodowców” z „ekstremą”. Marzena, z którą Anna zakumplowała się jeszcze na kursie przygotowawczym, cały czas pokpiwała sobie z tego „emeryckiego klubu dyskusyjnego”, ale szybko wsiąknęła w ich towarzystwo. A po lutowym strajku dołączył do nich Łukasz i jego skłonny do wygłupów przyjaciel z dzieciństwa – Rafał.

Wspólnie zachłysłeni się reglamentowaną przez komunistów i w gruncie rzeczy bardzo ograniczoną wolnością, która wydała im się prawie namiastką raj. Wymieniali się nagraniami z Festiwalu Piosenki Prawdziwej, kasetami z piosenkami Kaczmarskie-

go, Kryła, Garczarka, Kelusa, płytami Okudźawy, Brela i Wysockiego, informacjami z nasłuchów Wolnej Europy, Głosu Ameryki i Deutsche Welle. Podrzucali sobie przemycane z Zachodu książki i polecali te, które wychodziły na fali odwilży, a które cenzura jakimś cudem przepuściła, jak Bułhakowa czy „Miazgę” Andrzejewskiego. Włączyli się wspólnie po knajpach, zanurzali się z lubością w nocne życie Krakowa i odkrywali coraz to nowe miejsca, gdzie można było nie tylko posłuchać muzyki i wypić coś innego niż piwo „Barbakan”, ale także poznać ciekawych ludzi i spędzić noc na dyskusji o historii i najnowszych wydarzeniach.

I snuli plany. Jerzy zamierzał się zahaczyć w Zarządzie Regionu „Solidarności”, najlepiej oczywiście w Dziale Informacji. Łukasz chciał zostać na uczelni i zająć się teorią fraktali, a wcześniej załapać na półroczne stypendium we Lwowie, na najlepszym w bloku wschodnim wydziale matematyki.

Darek miał zamiar wyjechać na rok do pracy za granicę i pokazać rodzicom, że da sobie radę bez ich pomocy. Bezskutecznie starał się o wizę do Stanów Zjednoczonych i w końcu machnął ręką. Zatrudnił się przy robotach wysokościowych i postanowił najpierw skończyć studia. Zresztą za dużo się działo, żeby miał teraz z tego zrezygnować, więc uznał, że uciec przy okazji jakiejś wycieczki na Zachód może przecież w każdej chwili. Rafał nie zamierzał nigdzie wyjeżdżać, ale był tak zlakniony studenckiego życia, tak wciąż niesyty Krakowa i różnych jego atrakcji, że w kółko go gdzieś nosiło. Prawie codziennie próbował wyciągać ich na koncert do odkrytego przez siebie klubu, imprezę na Miasteczku, wystawę w pałacu Pugetów, dyskotekę „Pod Przewiązką” albo wykład o literaturze emigracyjnej w KIK-u. A przecież były jeszcze spotkania z legionistami, patriotyczne uroczystości na Wawelu i pod kopcem Piłsudskiego, koncerty w kościołach czy projekcje „pułkowników”, czyli filmów zatrzymanych wcześniej przez cenzurę. I dyskusje o historii z panem Władysławem, który zawsze potrafił okiełznać ich entuzjazm i w kilku słowach dotrzeć do istoty problemu, nie pozwalając na meandrowanie dyskusji i dygresje niezwiązane z sednem sprawy. Pokazywał im paradoksy, o jakich nie mieli pojęcia, zwracał uwagę na farbowane lisy, na tych, którzy postanowili teraz, gdy odwaga staniała, stać się solidarnościowymi przywódcami, chociaż nie rzucili jeszcze czerwonej legitymacji, ani nie przestali chodzić na spotkania partyjne. Przestrzegał przed zbytnim optymizmem i zalecał dokumentowanie wszystkiego, bo kiedyś może ktoś spróbuje im wmówić, że było całkiem inaczej. Pokazywał też stare artykuły, kompromitujące tych, których oni mieli za odważnych szermierzy pióra.

Tak ich to wszystko pochłonęło, że sami byli zdziwieni, kiedy udało im się w komplecie znaleźć na drugim roku. Rafał upierał się, że to jego modlitwy do świętej Rity, patronki spraw beznadziejnych, im pomogły, w co akurat było dość łatwo uwierzyć, bo przecież nie zrobili zupełnie nic, żeby zdać egzaminy. Oblewali to długo i obficie i rozjechali się na wakacje, a w październiku od nowa wpadli w wir wydarzeń. Bo zanim

jeszcze na dobre zaczął się rok akademicki, już ogłoszono na uczelniach pogotowie strajkowe, a kilka dni później strajk solidarnościowy ze studentami radomskiej Wyższej Szkoły Inżynieryjnej, którzy protestowali przeciwko niedemokratycznemu wyborowi rektora ich uczelni.

(...)

Darek z Rafałem wyszli ostatni. Powoli zapadał wczesny zimowy zmierzch. Rafał westchnął ciężko i poprawił plecak, a potem włożył ręce do kieszeni kusego i przyciasnego płaszcza, który wyglądał, jakby zaraz miały się w nim poobrywać wszystkie guziki.

„Chyba mu kupię rękawiczki na Gwiazdkę” – pomyślał Darek.

Przez chwilę szli szybko w milczeniu, ale już na Sławkowskiej Rafał się zasapał i zaczął marudzić po swojemu.

– Cholera, czemu nie pojechałem z Łukaszem?

– Żeby zjeść marchewkowe ciasto? – podsunął Darek.

– No, racja.

– Więc teraz nie marudź. Chyba do tego waszego Przeworska jest więcej niż jeden pociąg dziennie?

– Teraz po piwie, placku i obiedzie to mi się już nic nie chce, ale będę musiał się jakoś pozbierać. Ciotka Łucja nie darowałaaby mi, gdybym nie dotarł na jej imieniny.

– To jedź rano – wzruszył ramionami Darek.

– Nie mogę rano, bo ciotka zawsze zaprasza wszystkich wcześniej, na obiad. O której bym musiał wstać, żeby tam być na trzynastą! Osobowy wlecze się prawie 4 godziny.

– A nie umówiłeś się przypadkiem jutro z tą twoją... – zastanowił się przez chwilę, bo nigdy nie nadążał za Rafałem w kwestii jego kolejnych dziewczyn – ...Alinką?

– Anetką – poprawił Rafał i mrugnął do kolegi. – No, faktycznie umówiłem się, ale jak kocha, to poczeka.

„Co te dupy w nim widzą, że tak do niego lgną?” – pomyślał Darek z zawiścią, nieustannie zadziwiony tym, że Rafał zawsze, jak na zawołanie, miał pod ręką jakąś atrakcyjną dziewczynę. Nie przypuszczał nawet, że kolega też mu czegoś zazdrości: dystansu, luzu i pewności siebie. Darkowi nie przyszłoby to do głowy, bo tak jak wszyscy, którzy znali dobrodusznego i z pozoru niczym się nieprzejmującego olbrzyma, był przekonany, że akurat tych cech wcale mu nie brakuje.

Na Sławkowskiej Rafał zaczął grzebać w kieszeniach i rzucił do Darka:

– Poczekaj chwilę!

Skręcił w stronę kościoła świętego Marka. Tam na chodniku, pod gólgotą na ścianie prezbiterium, siedziała zawsze, dzień i noc, stara żebraczka opatulona kilkunastoma warstwami odzieży. Te wszystkie warstwy tak zlały się ze sobą, że wydawało się, iż siedzi w jednym wielkim, brudnym ziemistym kokonie. Rafał włożył monetę w wysuniętą z wnętrza kokona rękę w potarganej czarnej rękawiczce.

– Za dużo masz kasy? – warknął do niego Darek, gdy Rafał już się z nim zrównał.

– Co mi pomoże 5 złotych? Zawsze dają coś tej pani. Każdy powinien mieć swojego ubożego, którego wspiera i który się za niego modli.

– Wiesz, ty byś się nadał do tego krakowskiego towarzystwa snobów. Oni też na pewno mają takich „swoich ubogich” – rzucił Darek kpiąco, ale Rafał tylko wzruszył ramionami.

Przechodząc przez pustoszejący Rynek, zauważyli u wylotu Wiślniej wysokiego, lekko przygarbionego starszego mężczyznę.

– O! Zobacz! To chyba pan Stasiu wraca do domu – ucieszył się Rafał. – Poczekaj chwilę, dogonię go i spytam, czy nie została mu jakaś „Gazeta Krakowska”. Kupić też dla ciebie?

– Nie – machnął ręką Darek. – Tej makulatury, co Jurek przyniósł, to mi do świąt starczy.

Pan Stanisław, szczupły, żyłasty staruszek z sumiastym wąsem, był żywym, mobilnym kioskiem „Ruchu” i od lat z powodzeniem uzupełniał braki w zaopatrzeniu w prasę. Codziennie rano odwiedzał położone w pobliżu Rynku redakcje, w znany tylko sobie sposób zdobywał tam bezpłatne egzemplarze gazet z puli reklamowej, a potem sprzedawał je, krążąc po centrum miasta. Trzymał gazety ułożone równo na przedramieniu, jak kelner serwetki, i spacerował powoli po ulicach, zatrzymywany co chwilę przez klientów.

– Patrz! Udało mi się, bo miał ostatni egzemplarz „Tygodnika Powszechnego” – emocjonował się Rafał, chowając gazetę do plecaka. – Dam jutro ciotce. Ucieszy się, bo w Przeworsku „Tygodnik” jest nie do kupienia. Szkoda tylko, że nie miał ani jednej „Krakowskiej”.

– A nie przeszkadza ci ten napis na winiecie? – Darek wydał pogardliwie usta. – Przecież „Krakowska” to nadal „Dziennik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej”.

– Oj tam, oj tam, najważniejsze, co jest w środku – Rafał zarzucił plecak na ramiona i obciągnął kusy płaszcz. Czerwone od mrozu ręce usiłował bez skutku ukryć w rękawach.

– A mnie ten napis odstrasza. Nie mam zamiaru ulegać zbiorowej psychozie i zacząć czytać partyjną gazetę tylko dlatego, że ukazało się w niej kilka dobrych artykułów. Poczekam aż napiszą o generale „Nilu” albo o księdzu Gurgaczu.

Rafał znów w zruszył ramionami. Potrafił cieszyć się z drobiazgów, a „karnawał Solidarności” był dla niego prezentem od losu, którego się w ogóle nie spodziewał i z którego nieustannie się radował. Nie rozumiał, dlaczego Darek wciąż szuka jakiejś dziury w całym.

Ruszyli w stronę Plant i zatrzymali się na chwilę na Gołębiej przed „Napłotnikiem”, najpopularniejszą ujętowską tablicą ogłoszeniową, zawieszoną na murze zamykającym od tyłu dziedziniec Collegium Kółłataja. Zawsze można tu było znaleźć aktualności studenckie i solidarnościowe, najświeższe informacje o koncertach, wykładach, spotkaniach, patriotycznych uroczystościach czy niezależnych obchodach zakazanych świąt. Ogłoszenia NZS-u wisiały obok biuletynów strajkowych, manifestów politycz-

nych, prywatnych złożonych w kostkę liścików, plakatów zapowiadających przeróżne imprezy i informacji o odwołanych zajęciach.

– Dobrze, że Maćkowi nie przyszło do głowy, żeby to wszystko też zarchiwizować – zażartował Rafał, a potem wskazał palcem jedną z wiszących na „Napłotniku” kartek. – Zobacz, siedemnastego jest w Mariackim msza za ofiary Grudnia '70. Jedenasta rocznica już. Może pójdziemy, na pewno będzie pięknie.

„I jeszcze ta jego prosta, głęboka wiara. Czasem chciałbym się z nim zamienić” – pomyślał Darek i westchnął.

– Porobisz trochę zdjęć, a potem będzie można zjeść tataru pod „Trzema Rybkami” – kusił niezmordowany Rafał.

Darek pomyślał, że kiedy już w końcu umyje się, wyśpi i odpocznie, wołałby iść na jakiś dobry koncert pod „Przewiązkę”. [*Popularny klub studencki.*] Albo do kina, na Czas Apokalipsy lub Parszywą dwunastkę. A nie na mszę do Mariackiego. A może na ostatni film Tarkowskiego, najlepiej z jakąś fajną dziewczyną. Po tylu tygodniach spędzonych w Novum był spragniony kawałka zwyczajnego życia, możliwie jak najdalszego od polityki, martyrologii i walki z komuną. Tylko skąd wziąć tę „fajną dziewczynę”? W dodatku taką, która będzie chciała oglądać Tarkowskiego. Odkąd nie wyszło mu z Marzeną, za każdym razem kiepsko trafiał. Jak tylko coś się zaczynało, zaraz musiało się spięryć. Chyba mu pecha przyniosła. A jeśli już samotnie, to najlepiej pojechać choćby na jeden dzień w Tatry i zrobić jakąś zimową drogę. Może nie od razu Orlą, bo dawno nie ćwiczył, ale na przykład Ornak albo Kondracką Przełęcz. To by mu na pewno dobrze zrobiło po siedzeniu przez tyle tygodni w jednym miejscu.

– Dajże ty mi życ, chłopie. Do siedemnastego jeszcze kawał czasu – odpowiedział zirytowanym głosem. – Skąd mam wiedzieć, co będę wtedy robił. Co to ja wróżka jestem? Zresztą skąd weźmiesz kasę, bo na tatarze na pewno by się nie skończyło.

– Oj tam, oj tam, pożycz się od kogoś. Od Anki na przykład. Skoro tak skupuje te bony, to pewnie coś jej jeszcze zostało ze stypendium.

Darek oderwał wzrok od tablicy z ogłoszeniami i pomyślał, że Gołębia w zapadającym zmroku i z tańczącymi na wietrze wielkimi płatkami śniegu wygląda trochę jak z obrazów Fałata. Albo Wyspiańskiego. Właśnie zapłonęły uliczne latarnie i ich ciepłe światło nadało uliczce impresjonistycznej miękkości. Szybkim ruchem zdjął plecak, pogrzebał w nim chwilę i wyciągnął starego, wysłużonego zenita.

Zrobił parę zdjęć, starając się ustawić ostrość na wirujące płatki, aby drugi plan był rozmyty jak u impresjonistów. Już miał schować aparat, gdy Rafał przytrzymał go za rękę.

– Wiesz co, stary, tak mi przyszło do głowy... nie pożyczylbyś mi tego aparatu na dwa dni? Zrobiłbym jutro kilka zdjęć na imieninach ciotki. Rodzina będzie się cieszyć, bo u nas nikt nie ma aparatu.

Darek popatrzył na trzymanego w ręce zenita, potem na Rafała, a później znów na aparat.

– No, dobra – powiedział niechętnie, zły na siebie, że nie potrafi odmówić. – Tylko uważaj na niego.

Ponownie znaleźli się przed pograżonym w ciemności gmachem Collegium Novum. Obok kartki z napisem „Strajk zawieszony” ktoś powiesił drugą, na której nabazgrało dwa słowa: „Komuna won!”.

„Won! Won komuna i wszyscy ugodowcy!” – pomyślał Darek i szybko odwrócił się na pięcie, żeby nie patrzeć w ciemne prostokąty okien.

Gdy ruszyli szybkim krokiem w stronę przejścia dla pieszych, pod murem kamienicy po drugiej stronie ulicy przemknął jakiś cień. Darkowi wydało się, że rozpoznał sylwetkę jednego z kapusiów, przed którymi ostrzegał go w czasie strajku zaprzyżniony woźny z Collegium Witkowskiego. Podobno przez całą dobę obserwowali na zmianę okolice Novum.

„Po co te padalce jeszcze tu sterczą, skoro strajk się skończył? – Przez padający śnieg wpatrywał się w mrok pod ścianami, ale cień gdzieś zniknął. – Wydawało mi się. To pewnie ze zmęczenia...”

– No, chodźże szybciej! – zatrzymał się koło „Barcelony” i zniecierpliwiony odwrócił głowę w stronę Rafała.

– Wiesz, gdybym pojechał z Łukaszem, teraz byłbym już na miejscu i jadł kolację z rodziną – nawijał niezmordowany Rafał. – A moja bratowa to robi takie zapiekanki makaronowe na kolację, mówię ci, prima sort. Nic się u niej nie zmarnuje i zawsze jest coś dobrego.

– Ale trujesz. Dobrze, że ja tu skręcam.

– Nie idziesz do akademika? – zdziwił się Rafał.

– Nie. A ty pewnie i tak wylądujesz w łóżku Alinki i nigdzie nie pojedziesz.

– Anetki – poprawił go cierpliwie Rafał. – Więcej wiary, człowieku!

– Ależ ja wierzę, mocno wierzę... w twój słaby charakter.

Rafał ani myślał obrażać się o takie głupoty.

– Oj tam, oj tam. Jeszcze się kiedyś zdziwisz – oznajmił z szerokim uśmiechem i pomachał Darkowi czerwoną od mrozu ręką. – Do zobaczenia w poniedziałek na ćwiczeniach. A gdzie ty właściwie idziesz?

– Szukać wczorajszego dnia.

(...)

Anna wiele razy zastanawiała się później, czy jej życie i życie kilku innych osób wyglądałoby tak samo, gdyby wtedy nie spotkała na korytarzu Piotra. Wsiadłaby do przepełnionego pociągu i sobotnim wieczorem zjadła z rodzicami kolację. Pewnie wcześniej poszliby spać, a niedzielnym porankiem długo nie wiedzieli, co się stało, aż w końcu któryś z sąsiadów zastukałby do drzwi z nowinami. A potem matka na pewno użyłaby wszystkich sił i każdego rodzaju nacisków, aby jak najdłużej zatrzymać ją w Bochni, z daleka od Krakowa i wszystkich jego niebezpieczeństw. Przecież zawieszono zajęcia na uczelniach, więc po co miałyby



wracać? Kto wie, może nawet nie byłoby „Kuriera”. Gdyby wróciła do Krakowa dopiero po wznowieniu zajęć na uczelniach, to może wcale nie wkręciłaby się w produkowanie ulotek i może nie miałyby okazji zarazić tym swoich kolegów. Nikt nie musiałby wyjeżdżać z kraju, ktoś może by żył, a ona po latach nie spędzałaby samotnych wieczorów przed telewizorem.

Na schodach usłyszała zgrzyt klucza w zamku, a potem zobaczyła rozzczochraną głowę Piotra wyłaniającą się zza drzwi na pierwszym piętrze.

– Hej, studentka! Podobno już nie strajkujecie.

– Cześć, Piotrek! Zawiesiliśmy, dlatego mogę pojechać odwiedzić staruszków, chociaż strasznie mi się nie chce. Ale ciotka dymi, jak to ona. W dodatku Łukasz pojechał do domu – westchnęła, spodziewając się jakichś słów wsparcia od Piotra, ale on chyba nawet nie usłyszał, co powiedziała.

– Wiesz, coś niedobrego się dzieje! Kumpel z Huty opowiadał dzisiaj w pracy, że straszne nagromadzenie mundurów wokół kombinatu. ZOMO, milicja, wojsko. Podobno ordynatorzy w „Żeromskim” dostali polecenie, żeby natychmiast wypisywać wszystkich chorych, którzy tylko mogą się ruszać. I nie przyjmować nikogo nowego, chyba że w zagrożeniu życia. Wyrzucają ludzi do domów ze wszystkich oddziałów, jakby chcieli sobie miejsce w szpitalu zrobić. Ciekawe, dla kogo? A lekarzom i pielęgniarkom cofnęli dzisiaj wszystkie urlopy. Nawet tym, którzy są po dniówce, wypisali dodatkowe dyżury. Coś chyba szykują. I to coś dużego.

– Ale co?

– Nie wiem – chłopak popatrzył na nią bezradnie – ale ostrzeż może tych swoich kumpi z NZS-u. Niech zadowolą, co mogą, i najlepiej sami gdzieś zapadną na wszelki wypadek.

Anna poprawiła torbę na ramieniu i wzruszyła ramionami.

– Hm, pewnie to znów jakiś fałszywy alarm, jak w marcu po kryzysie bydgoskim. Postoją i pojedą. Pamiętasz, co się wtedy mówiło? Że zaraz będzie stan wyjątkowy, że Rusczy wejdą, że stoją już gotowi wzdłuż granicy. I w końcu nic się nie wydarzyło.

– Ale teraz szpitale mają cały czas ostry dyżur, jakby spodziewali się... rannych albo co – Piotr podrapał się po głowie. – Myślę, że tym razem zaatakują. Ostro zaatakują. Nie wiem jak, ale coś szykują.

– A ty co zamierzasz?

– Pozawiaadamałem, kogo mogłem, i wyczyściłem mieszkanie na wszelki wypadek. Jutro mam na pierwszą zmianę, na szóstą, więc może do tego czasu coś się wyjaśni.

– W razie czego wszystko stanie. Przecież w Małopolsce jest gotowość strajkowa.

– No, już nie ma – skrzywił się Piotr.

– Jak to nie ma? – zdziwiła się i oparta o poręcz czekała na wyjaśnienia.

– Nie oglądaliście „Kroniki”?

– Nie, trochę się przepychaliśmy, bo ciotka się uparła, żebym pojechała na niedzielną do domu. A co mówili?

– Jakiś facet z Zarządu Regionu, chyba to był Kuzaj, powiedział w „Kronice”, że pogotowie strajkowe zawieszono. Zupełnie jak ten wasz strajk studencki. Ciekawe, komu na tym zależy?

„No, i może się okazać, że to cynik i kpiarz Darek miał rację. Czy zawsze cynicy i kpiarze są najbliższą prawdą?” – pomyślała Anna.

– Dzięki! – pomachała Piotrowi, zbiegając po schodach. Skręciła w lewo, w stronę placu Słowiańskiego, choć nie lubiła tamtędy chodzić wieczorami, odkąd jakiś niecierpliwy poszukiwacz erotycznych przyjemności, krążący wokół placu w swoim fiacie 125p z przyciemnionymi szybami, zatrzymał się obok niej, otworzył okno i zapytał o cenę. Ale to była najkrótsza droga na dworzec. Już z daleka zobaczyła spacerujące niespiesznie pod murami kamienic panie w różnym wieku, zadziwiając lekko ubrane jak na tak mroźny wieczór. Kiedy podeszła bliżej, zauważyła, że średnia wieku jakoś dziwnie się dzisiaj podwyższyła. Być może młodsze „dziewczynki” już pojechały gdzieś z klientami albo wolały zrezygnować z zarobku, niż stać na mrozie. Chyba jednak nie był to dobry dzień w tym biznesie, bo w okolicach placu nie widać było ani jednego samochodu. Przeszła przez pustą o tej godzinie Długa, ale po kilku krokach zatrzymała się, a potem zawróciła. Jej ponowne pojawienie się na placu od razu zwróciło uwagę spacerujących pań. Zauważyła ich wrogie spojrzenia, wzięły ją pewnie za młodszą konkurentkę – „cichodajkę”. Marzena opowiedziała jej kiedyś, że niektóre studentki próbowały sobie tutaj dorabiać, podbierając klientów stałym bywalczyiom tego miejsca. Ponoć dopiero jakaś brutalna interwencja jednego z alfonsów ostudziła zapały „cichodajek”. Słuchając tej historii, nie bez osłupienia zresztą, Anna nareszcie zrozumiała, dlaczego te panie zawsze patrzyły na nią tak wrogo, kiedy przechodziła tędy wieczorami. Teraz też jedna z nich – w białym kożusku, czarnych kabaretkach i krótkiej spódniczce w tygrysi wzorek – ruszyła w jej stronę z wściekłym wyrazem twarzy, ale w tej samej chwili od strony Długiej wjechał na plac mały fiat. Anna przyspieszyła kroku i wróciła na Krowoderską, nie poszła jednak w stronę domu, tylko skręciła w lewo, w kierunku Plant. W ciągu sekundy postanowiła, że w drodze na dworzec wstąpi jeszcze do Jurka. Miała z sobą jedynie lekką torbę, jechała przecież tylko na dwa dni, więc nie zmęczy jej nieco dłuższa droga. Może informacje od Piotra okażą się ważne i Jerzy będzie chciał je komuś przekazać? Może w Zarządzie Regionu powinni się o tym dowiedzieć? Ostatecznie pociągi do Bochni odchodzą co godzinę.

Ulice już opustoszały, jak zwykle w sobotnie wieczory. Przed Delikatesami przy Rynku stała jeszcze krótka kolejka, w której przeważali spragnieni posiadacze kartek na wódkę, ale pozostałe sklepy były już zamknięte. Zmarznięci dorożkarze zabijali ręce o ramiona i ukradkiem pociągali z ukrytych pod kożuchami piersiówek. Liczyli, że za jakieś dwie-trzy godziny zmęczeni bywalcy okolicznych lokali będą chcieli zaimponować towarzyszącym im kobietom i zamówią przejażdżkę do Bronowic albo na Wolę Justowską. Jakieś hałaśliwe towarzystwo wysiadało z taksówki przed „Hawelką”. Kobie-

ty w półbutach, nerwowo chichocząc, przeskakowały pryzmy śniegu i zamrożnięte kałuże, a mężczyźni pospiesznie zapinali płaszcze, wołając coś do nich ze śmiechem.

Anna zatrzymała się na kilka minut przed jasno oświetloną witryną Pewexu, choć żeby do niej dojść, musiała okrążyć Rynek. Na szczęście mróz i grudniowy wczesny zmrok wystraszyły nawet cinkciarzy, którzy zwykle od rana do wieczora kręcili się tutaj i przed bankiem na rogu Szewskiej. Nie lubiła, gdy ją zaczepiali. Podchodzili blisko, często zionąc alkoholem, i pytali zachrypniętym szeptem: „Trzeba coś? Dolar, bony?”. Odkąd była tu po raz pierwszy z Marzeną, lubiła wstępować do Pewexu, nawet kiedy nie miała przy sobie ani jednego centa. Stawała na chwilę przy ladzie, wdychając pomieszane ze sobą zapachy luksusowych perfum, herbat o przedziwnych aromatach, kąpielowych mydełek i zagranicznego tytoniu. Jak w dzieciństwie zapach kawy, pomarańczy i czekoladek w Delikatesach, tak teraz woń luksusowych towarów w Pewexie stał się dla niej małym okienkiem, przez które mogła zajrzeć do innego, wolnego świata. A widok półek wypełnionych towarami w kolorowych opakowaniach sprawiał, że potem jakoś łatwiej było jej wyjść na szarą krakowską ulicę. Jeśli sklep był zamknięty, przyglądała się towarom na wystawie: barwnym pudełeczkom z angielskimi i francuskimi napisami, których zawartości próbowała się domyślać, małym buteleczkom alkoholi o obco brzmiących nazwach, flakonikom perfum o wymyślnych kształtach, nawet pudełkom papierosów egzotycznych marek i słoiczkom z kremami. Teraz też tak się zapatrzyła w te wesołe, kolorowe pudełka, w słoiczki i buteleczki intrygujące angielskimi napisami, że zapomniała i o Bochni, i o Piotrze. Wydawało się jej, że nawet przez szybę czuje dyskretny zapach mydełek i perfum.

Dopiero jakaś nagła szamotanina i podniesione głosy w sąsiadującej z Pewexem bramie przywróciły ją do rzeczywistości. Wzdrygnęła się i nie patrząc za siebie, ruszyła szybkim krokiem przez Rynek jedną z wydeptanych w śniegu ścieżek.

(...)

– Herbata... gorzka – pani Wanda postawiła przed synem filiżankę i miała taką minę, jakby się wstydziła, że nie jest wystarczająco zapobiegliwa, aby na komunistycznej Saharze wyczarować oazę. – Chciałam wykupić w „Jubilacie” cukier na kartki, ale skończył się, zanim doszłam do lady. Nie miałam już siły iść do innego sklepu i drugi raz stać w kolejce.

– Nie szkodzi, mamuś – Jerzy pobierał dokładnie wszystkie okruszyny spomiędzy oczek szydełkowego obrusa i z trudem stłumił ziewanie. – Wypiję niesłodzoną.

– Obiecałeś mi kiedyś, że pójdziesz do Zarządu Regionu, pamiętasz? Krysia mówiła, że nadal rozdają tam te dary z zagranicy. Może cukier też mają. I masło. Albo ten czerwony ser, który ostatnio przyniosła nam Karolinka do skosztowania.

Jerzy popatrzył na filiżankę ze złożonym brzegiem. Porcelana była tak cienka, że światło lampy stojącej na komodzie przenikało przez nią i tworzyło delikatne refleksy na spodeczku. Wiele razy mówił matce, że woli herbatę w zwykłym, dużym kubku,

ale ona tak się upierała, że w końcu przestał o tym wspominać. „Komuniści czy nie komuniści, trzeba się trzymać i nie schodzić do poziomu porcelitu. Tym bardziej trzeba się trzymać, im więcej jest wokół komuny” – powiedziała któregoś dnia. Wyglądało to na snobizm, ale Jerzy wiedział, że to jej sposób zatrzymania choćby iluzji dawnych pięknych czasów, kiedy była młoda i żył jeszcze ojciec. Własny, autorski, skromny pomysł jego matki na walkę z wszechogarniającą komunistyczną brzydota, bylejakością, szarością i tandetą.

– Wątpię, żeby mieli cukier. A nie poszedłem, bo siedziałem w Novum, przecież wiesz.

– No, właśnie... – westchnęła matka i przysiadła obok niego na sąsiednim fotelu. Zawsze siedziała wyprostowana, nie dotykając plecami oparcia, bo w dzieciństwie nauczono ją, że oparcie nie służy do tego, żeby dama się o nie opierała, a jest po to, żeby służba miała za co złapać. W głębokim fotelu wyglądała jak staruszka, choć przecież dopiero niedawno skończyła sześćdziesiąt lat.

– Mamuś, przecież ty popierasz to, co robimy. Skąd ten cierpki ton?

– Osiągnęliście coś? – spytała z ledwo wyczuwalnym wyrzutem. – Nic. A jakbyś przez ten czas uczył się łaciny albo angielskiego, to byłby z tego większy pożytek. Ale ojciec... on na pewno by cię poparł – dodała pojednawczo, uśmiechając się do syna.

Jerzemu zrobiło się żal drobnej siwiejącej kobiety, która większość swojego życia poświęciła innym, pielęgnowaniu niedołącznej teściowej, chorego męża, opiece nad akowskimi wdowami, a teraz całymi dniami siedziała sama w tym ciemnym mieszkaniu. Tym bardziej, że stchórzył i jednak nie przyznał się, że był w „Solidarności”, i nawet nie przyszło mu do głowy zajmować się tak przyziemnymi sprawami jak masło czy cukier. Rozmawiali o zawieszonym studenckim strajku, o posiedzeniu Komisji Krajowej w Gdańsku, o jego planowanym artykule i nowym numerze „Gońca”.

Zawstydzony cmoknął matkę w policzek.

– Obiecuję, że w poniedziałek pójde do Zarządu – powiedział ciepło i na wszelki wypadek nie wspomniał o tym, że jeśli nawet mają tam cukier z darów, to pewnie rozdają go tylko członkom „Solidarności”. Przyszło mu do głowy, że poprosi o pomoc Zbyszka i może coś mu dadzą po znajomości, a jak nie, to w ostateczności kupi kilogram cukru od spekulantów na Kleparzu, choćby nawet po dziesięciokrotnie wyższej cenie. – Ale teraz idę już spać, bo jestem skonany. O, cholera! Kogo tam niesie?!

W progu stała Anna z torbą podróżną na ramieniu. Zaaferowana powtórzyła mu w skrócie wszystko, co usłyszała od Piotra.

– I przysłała tu tylko z tego powodu? Naprawdę? – Jurek trochę nerwowo poprawił okulary. Rzadko się irytował, a jego stoicki spokój był przysłowiowy, ale miał za sobą dwie prawie całkiem nieprzespane noce i był już cholernie zmęczony.

– Tak, specjalnie. Nie wiadomo, co oni szykują. Może jakiś stan wyjątkowy. Może trzeba by było kogoś zawiadomić?

W głębi długiego korytarza pojawiła się drobna sylwetka pani Wandy. Siwe włosy, zwykle upięte w stylowy koczek, teraz miała zaplecione w warkocz, a właściwie krótki, chudy warkoczyk, jak u małej dziewczynki.

– Co się stało?

– Anka wszczyna jakieś bezsensowne nocne alarmy, bo podobno gdzieś wokół Huty rozstawili wojsko. Znów komuchy robią swoje pokazówki. Zastraszania narodu ciąg dalszy.

– Dobrze, że przyszedł, Aniu. No, nie trzymaj dziewczyny w progu – pani Wanda posłała synowi spojrzenie z gatunku: „Nie tak cię wychowałam”. – Chodź, dziecko, chodź, napij się z nami herbaty, bo pewnie zmarzłaś. Chyba że bardzo się spieszysz.

Anna się zawahała. Powinna iść na dworzec, ale przecież nic się nie stanie, jeśli pojedzie tym o dwudziestej pierwszej. To w końcu tylko czterdzieści pięć minut jazdy. A w nocnym pociągu nie będzie takiego tłoku.

– Nie aż tak bardzo, żebym nie mogła napić się z wami herbaty – odpowiedziała z uśmiechem.

– Bez cukru – rzucił Jurek, mając nadzieję, że to zniechęci Annę do nocnej wizyty.

– Nie szkodzi. Ale już dość późno, więc nie chciałabym przeszkadzać...

– Nie przeszkadzasz – pani Wanda uśmiechnęła się do dziewczyny swoim szczerym, jakby trochę nieśmiałym uśmiechem, i gestem zaprosiła ją do środka. – Wiesz, że i tak nie mogę spać i siedzę do późna przy Wolnej Europie. I poszukam, może mam gdzieś jeszcze sok malinowy.

– Ja nie słodzę herbaty, ale sok malinowy to co innego.

– Może od ciebie dowiem się więcej o strajku, bo Jurek nie jest dzisiaj zbyt rozmowny. Jerzy niechętnie odsunął się i wpuścił Annę do środka. Tym bardziej niechętnie, że przecież jeszcze przed chwilą matce nie chciało się poszukać tego soku do herbaty dla niego.

– Ach, mamuś, nawet nie miałem siły opowiadać, tym bardziej, że tak bez efektów ustąpiliśmy – rzucił tłumiąc ziewanie.

– Włączymy Wolną Europę, może powiedzą coś nowego – mówiła pani Wanda, idąc przed nimi do salonu.

– Słuchałem przed kolacją Głosu Ameryki i nawet zasnąłem przy nim, ale nic ciekawego nie mówili. W każdym razie nic o żadnej koncentracji wojska ani o stanie wyjątkowym.

– No, może mówili, jak spałeś? – mruknęła do niego Anna.

Jurek włączył radio i przez dłuższą chwilę wsłuchali się w trzaski i buczenia, poprzez które z trudem docierały do nich jedynie pojedyncze słowa. W końcu Jerzy dał za wygraną.

Anna bardzo dobrze czuła się u Jurka i jego mamy. Może dlatego, że ich mieszkanie przypominało to przy Krowoderskiej, w którym mieszkała od przeszło roku. Też było pełne pamiątek przeszłości, starej porcelany, książek, obrazów i zdjęć. Było tylko ciemniejsze, nie tak przestronne, dużo bardziej zagracone i zaniedbane. I mieszkały tu zawsze jakieś koty, co łatwo było poznać po zapachu. Niektórym to przeszkadzało, ale Jurek – przeciwnik wszelkich używek – odpowiadał im zawsze, że woli zapach

kotów niż smród papierosów. Anna od początku cudownie rozumiała się z panią Wandą. Na pewno dużo lepiej niż z własną matką. Zupełnie jakby ktoś ją podmienił w dzieciństwie. Zawsze miała wrażenie, że pani Wanda jest podobna do niej: tak samo niepraktyczna, tak samo pogodnie beztraska i równie empatyczna i wrażliwa. Jej matka, wiecznie skupiona na problemach codzienności, nerwowa i dostrzegająca we wszystkim tylko problemy, wydawała się jej ulepiona z jakiejś innej gliny. Czasem nawet zastanawiała się, dlaczego właściwie ojciec się z nią ożenił. Co mogło wrażliwego młodego człowieka z nieco flegmatycznym charakterem i duszą artysty pociągnąć w stronę praktycznej do bólu pielęgniarki o chłopskich twardych rysach, pełnej wewnętrznego niepokoju, który wydawał się aż wibrować w powietrzu. A potem miała wyrzuty sumienia, jakby takie myśli były jakimś rodzajem nieolojalności w stosunku do mamy.

– Może warto by było pochować wszystko, co ważne? – głośno zastanawiał się Jerzy, któremu udzieliło się w końcu zaniepokojenie Anny. Skorzystał z tego, że dziewczyna poszła umyć ręce i zniknął w swoim pokoju. Pozbierał po drodze wszystkie przyniesione ze strajku niezależne wydawnictwa i szybko ukrył w znanym tylko sobie miejscu. Nie miał zamiaru ujawniać przed dziewczyną tajnej skrytki, a tym bardziej przyznać się do tego, że jej słowa wzbudziły w nim niepokój. Zaczął się nawet zastanawiać, gdzie powinien iść z przekazanymi przez nią wiadomościami, ale w końcu stwierdził, że nie będzie straszyć ludzi po nocy.

– A może trzeba zrobić jakieś zapasy? – pani Wanda postawiła przed Anną filiżankę z herbatą i słoiczek z sokiem, a sama przycupnęła na fotelu naprzeciwko niej. – Choć mleka i chleba. Ale jutro przecież wszystko będzie zamknięte.

– Myślisz, mamó, że nas głodem chcą wziąć? – Jerzy pojawił się w drzwiach zadowolony z szybkiej akcji.

– No, głodem to już nas biorą od dawna. I jeszcze wmawiają, że pustki w sklepach to wina przestojów w pracy! Komunistyczne odwracanie kota ogonem. Ale teraz jakby wszystko przyspieszyło. Może szykują jakiś stan wyjątkowy?

– Przecież oni tak straszą już od wiosny! – machnął ręką Jurek. – Myślisz, że zrobiliby to właśnie teraz, kiedy w Gdańsku trwają obrady Komisji Krajowej „Solidarności”? Przecież w takiej sytuacji to już pewnie wszyscy wyszliby na ulice. Mieliby tu powstanie! (...)

Darek nie chciał, by wuj myślał, że odwiedza go tylko wtedy, kiedy chce wyżalić się na ojca. Obiecał sobie kiedyś, że będzie się pilnował, ale i tym razem rozmowa zesłała mimochodem na ten sam „odwieczny” temat.

– Wiesz, co mi ostatnio powiedział? Że woli jednego zabitego obszarnika od stu głodnych chłopskich dzieci i że gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Wyobrażasz sobie? Jak jakiś tępy aparatczyk z czasów stalinowskich wyszkolony przez kagiebiistów.

Ojciec miał dużo takich powiedzonek i chętnie się nimi posługiwał w rozmowach z Darkiem. Jakby go prowokował czy drażnił. A może tylko sprawdzał, jak długo wytrzyma i czy nadal będzie przyjeżdżał do matki i siostr.



– Ja już nie tylko nie mogę z nim rozmawiać spokojnie, ja już nawet nie mogę go słuchać. Dla niego nawet to, że ludzie mają buty, jest powodem, żeby wychwalać pod niebiosa partię, Komitet Centralny i Jaruzelskiego. Brakuje jeszcze, żeby dziękował towarzyszowi Breżniewowi i KPZR. Nieważne, że te buty są brzydkie jak noc i byle jak zrobione, nieważne, że zaraz się rozlecą, nieważne, że trzeba po nie stać pięć godzin i kupować na kartki. Najważniejsze, że dzieci z Bojanowa chodzą do szkoły w swoich własnych butach.

– Nie dziw się. On jest z takiej przedwojennej biedy, że w końcu to się zmieniło w jakąś obsesję sprawiedliwości społecznej. Teraz mu się wydaje, że nic lepszego niż komunizm nie mogło nas wszystkich spotkać. No i musisz przyznać, że z tego punktu widzenia ma jakąś tam swoją rację. Ostatecznie wszyscy w Polsce mają teraz buty. Na kartki, ale mają.

– Ty go jeszcze bronisz? – oburzył się Darek, choć jednocześnie przyszło mu do głowy, że komuś, kto wychował się w sierocińcu, pewnie łatwiej zrozumieć taką filozofię dziecięcych butów. – To nie jest żadna obsesja. To jego listek figowy, którym przysłania własną hipokryzję, kombinatorstwo i wygodnictwo. Bo tak naprawdę chodzi mu tylko o to, żeby zrobić kolejne polowanko z czerwoną hołotą.

– Nie bronię – westchnął wuj. – Tylko chcę ci pokazać, że ludzie mają różne motywacje. Twojemu ojcu wydaje się, że stoi po stronie mniejszego zła. Że suma tego dobra, tego malutkiego, tyciego dobra, ale pomnożonego przez kilka milionów par butów, tego dobra, że jakimś dziecku nie zmarzną nogi, równoważy wszystkie ich zbrodnie. Pozbierał sobie w głowie do kupy dobro z tych małych dziecięcych nówek, ciepłych, bezpiecznych i niez mokniętych, i wyszło mu, że szala się przechyliła na jego... na ich stronę, bo przecież takich dzieci, co przed wojną nie miałyby szansy na nowe buty, trochę jednak by się znalazło.

– No tak. But jako napęd historii. Czasem mi się wydaje, że wolalbyśmy chyba być sierotą.

Wuj Roman pokręcił głową, nie wiadomo z niedowierzaniem czy z dezaprobatą, ale powiedział tylko:

– Wiesz co, może zrobimy sobie coś na kolację.

Darek lubił taką prostotę życia, którą dawała mu ta nora i towarzystwo wuja. Tu nie było cennej porcelany, która mogłaby się stłuc, ani koronkowych obrusów, które mógłby przez nieuwagę zalać kawą. Nie trzeba było cały czas dobierać słów, ani uważać na to, co się mówi, jak u znajomych ze studiów. Można było czuć się zupełnie swobodnie, nie pamiętać o unikaniu przekleństw i nie pytać, czy można zapalić. Nie trzeba się było pilnować na każdym kroku, żeby nie strzelić jakiegoś głupstwa i nie okazać się ignorantem. Ani zastanawiać się, który widelec do czego pasuje, bo wuj miał tylko kilka sztucców.

Kiedy już siedzieli nad jajecznicą z cebulką, usmażoną na aromatycznym sale, wuj Roman się rozgadał, nie zważając na to, że w chłodnym pomieszczeniu potrawa szybko stygnie.

– Wiesz, chłopcze, mój ojciec czasami bił mnie pasem. Tylko wtedy jak zasłużyłem, ale ja nigdy nie byłem grzecznym dzieckiem, więc często... oj, często dawałem mu powody. Taki specjalny pas, tylko do tego używany, wisiał przy kuchennych drzwiach na gwoździu. I jak coś zbroilem, to dostawałem tym pasem. Musiałem iść do kuchni, ściągnąć spodnie i położyć się na taborecie z dupą wypiętą do góry.

Przerwał na chwilę, zgarnął resztkę jajecznicy z patelni na talerz Darka, a potem ukroił dwie kromki chleba i obydwie posmarował margaryną. Jedną z nich podał Darkowi, drugą położył na rogu swojego talerza.

– I wiesz, że później, w bidulu w Lublinie, to ja marzyłem o tym pasie i o tym laniu. Ile ja bym dał za to, żeby jeszcze chociaż raz zobaczyć, jak ojciec marszczy brwi, podchodzi do drzwi, wyciera ręce w spodnie, zdejmuje pas z gwoździu i odwraca się do mnie ze spokojną twarzą. Jak bardzo chciałem znów zobaczyć tę jego spokojną twarz. Bo on zawsze karał nas spokojnie i sprawiedliwie. Bez złości, bez wzburzenia, z jakimś dziwnym poczuciem konieczności, powinności i obowiązku. Kiedyś ci będzie brakować nawet tych kłótni z ojcem, nawet tego, co teraz cię denerwuje. Pomyślisz o tym i sam się będziesz dziwił, że takie bzdury doprowadzały cię do białej gorączki, że o takie pierdoły się z nim kłóciłeś.

– Oj, wujek – chciał powiedzieć jak do Rafała: „nie truj”, ale przełknął ślinę i dokończył – Sam wiesz, że to nie są pierdoły.

– Są, bo to tylko takie jego głupie gadanie bez znaczenia. Kiedyś to zrozumiesz i wspomnisz moje słowa.

– Może... może kiedyś, ale teraz strasznie mnie to wkurza. Jak ja nienawidzę tych partyjnych kacyków, którymi się otacza. Tych ich ubrudzonych bigosem czerwonych ryjów i ciemnych interesów załatwianych po polowaniach. Tego ich ciągłego knucia, kogo gdzie ustawić i komu jaki talon przydzielić. Myślę, że trzęsą Stalową i uważają się za panów świata, a są tylko zapijaczonymi aparatczykami, którym słoma z butów wychodzi. A matka im jeszcze bigosik gotuje. Szkoda, że to twoje radyjko jest takie kiepskie. Postuchalibyśmy, co mówią w Monachium.

(...)

Szafkowy zegar w kącie salonu wybił pół godziny. 21.30. Anna dopiła herbatę i pomyślała, że powinna wyjść, bo inaczej nie zdąży nawet na ten osobowy o 22.12. Pani Wanda, jakby podążając za tokiem jej myśli, zapytała z niepokojem w głosie:

– Ale ty, Aniu, mówiłaś przecież, że jedziesz do Bochni. A my cię tu zatrzymaliśmy. Zrobiło się już bardzo późno. Teraz będę się martwić, że pojedziesz tak po nocy.

Anna niefrasobliwie machnęła ręką. W jednej chwili podjęła decyzję, jakby czekała tylko na dogodny pretekst. Wcale nie pojedzie. „Ciotka będzie dymić, ale co tam. Jakoś ją udobrucham – pomyślała. – Może rano będzie nawet zadowolona, bo pójdziemy razem na mszę”.

– Miałam, ale jednak nie pojedę. Faktycznie jest już trochę za późno. Za to będę na jutrzejszych uroczystościach – zachichotała beztrosko, choć nieco się obawiała spotkania z ciotką i jej wymówek. Ale jeszcze bardziej nie miała ochoty wysłuchiwać prelekcji matki, że tak długo nie przyjeżdżała i jej skarg, że już całkiem o nich zapomniała. Zresztą niedługo święta, więc i tak przecież się zobaczą.

– A jak Irenka się czuje po tym zapaleniu płuc?

– Teraz już zupełnie dobrze. Ale zdecydowała się przejść na wcześniejszą emeryturę. Pani Wanda uśmiechnęła się łagodnie.

– A myślałam, że kocha tę swoją bibliotekę.

– Bo kochała... kocha... – odwzajemniła jej uśmiech Anna. – Ale jeszcze bardziej kocha te swoje katyńskie rodziny. Będzie miała więcej czasu na zbieranie pamiątek i nagrywanie wspomnień. Boi się, że inaczej nie zdąży nagrać wszystkich relacji.

– Ach, Irenka jest jeszcze młoda – zauważyła pani Wanda i westchnęła. Sama była z rocznika 1919 i różnica dziesięciu lat wydawała się jej teraz prawie pokoleniową przepaścią.

– Ale dużo pracy przed nią. Ciocia to traktuje jak jakąś swoją misję.

– A jak ona to w ogóle robi? Wszystko ręcznie spisuje?

– Nie, teraz już nie. Pan Ludwik przyniósł jej taki wielki szpulowy magnetofon. Nowoczesny, czterościeżkowy. Ma nawet wejście na mikrofon. Ciocia ma już nagrane dwie szpule, z osiem godzin opowieści chyba.

– To może, Aniu, po mszy i tej uroczystości przyjdziecie do nas z Irenką na obiad. Chciałam jej koniecznie coś pokazać. Nawet miałam do was dzwonić rano, ale skoro przysłaś, to przekaz, proszę, że was zapraszamy. Koniecznie!

– Znaleźliśmy ciekawe dokumenty. I to zupełnie przypadkowo, takim szczęśliwym trafem – Jerzy nareszcie się ożywił.

– Na pewno zainteresują Irenkę.

– Znaleźliście?

– Tak i to, wyobraź sobie, w domu. W specjalnie skonstruowanej skrytce. Gdyby nie to, że spadły mi okulary, chyba nigdy byśmy jej nie odkryli.

– W skrytce? – Anna aż podskoczyła ze zdziwienia. Ach, jak ona kochała takie tajemnicze, krakowskie historie. – A konkretnie? Gdzie ta skrytka?

– No, tego ci nie powiem, bo skrytka może się jeszcze przydać – Jerzy popatrzył na nią wyniośle. – Ale zaraz ci pokażę, co w niej znaleźliśmy.

Podszedł do regału z książkami i wyciągnął z szuflady szarą tekturową teczkę przetartą na brzegach. Położył ją na stole, odwiązał białe, lekko przybrudzone tasiemki i otworzył z taką miną, jakby prezentował Annie odnalezione właśnie klejnoty koronne albo fragmenty Bursztynowej Komnaty. Ostrożnie zaczął wyciągać na koronkową serwetę jej zawartość.

– Popatrz, Aniu, to legitymacja oficcerska Zygmunta – pani Irena wskazała Annie małą oprawioną w płótno książeczkę.

Stopniowo na stole pojawiały się kolejne przedmioty: niewielkie, poźółtkłe kartoniki z nagłówkiem „Armia Krajowa”, które okazały się formularzami zaświadczeń, kilka zdjęć, wycinki z gazet, jakieś odznaczenia na wyblakłych wstążkach. Jerzy wyciągnął z teczki kilkanaście egzemplarzy różnych numerów podziemnego „Biuletynu Informacyjnego” i prawie nieczytelne wojenne obwieszczenia. Na koniec na stole pojawiła się poszarzała ze starości, złożona na pół gazeta z wystrzępionymi brzegami.

– „Ilustrowany Kurier Polski” – przeczytała zaskoczona Anna.

Pamiętała, że taki tytuł nosiła wydawana w Krakowie okupacyjna niemiecka gadzinówka. Kiedy rozłożyła gazetę, zrozumiała, dlaczego ten właśnie numer znalazł się w skrytce majora. Poniżej tytułu zobaczyła wielkie biało-czarne zdjęcie i krzyczący bielą napis: „Oficerowie polscy ofiarami okrucieństw bolszewickich”. Domyśliła się, że to ten numer „Ilustrowanego Kuriera Polskiego”, w którym Niemcy opublikowali zdjęcia z ekshumacji w Katyniu. Mieli nadzieję, że ujawnienie sowieckich zbrodni spowoduje rozpad koalicji antyfaszystowskiej.

– To właśnie chciałam pokazać Irence. Ona pewnie widziała ten numer, ale myślę, że na pewno go nie ma. Przecież gadzinówek się wtedy nie kupowało. A Zygmunt pewnie miał rozkaz, żeby ukryć to w swoim archiwum jako dokumentację sowieckiej zbrodni. Paradoksy historii. Ci, co walczyli z Niemcami, musieli później ukrywać przed komunistami nie tylko polskie gazety podziemne, ale nawet takie szwabskie gadzinówki jak ta, jeśli tylko było w nich słowo o Katyniu.

„Boże mój, przecież to może być dziadek” – pomyślała Anna, nie mogąc złapać tchu. Popatrzyła na order Polonia Restituta na zapadniętej piersi, na zamarte w krzyku usta, na resztki rogatywki, które zwały się z zawiniętym na głowie, poskręcany workiem, na przesiąknięte błotem strzępy płaszcza i to, co zostało z munduru.

Drżącymi rękami ostrożnie przewracała kartki, oglądając dokładnie kolejne zdjęcia.

Pani Irena od razu zauważyła, jakie wrażenie zrobiły na Annie fotografie, i już zaczęła sobie wyrzucać, że pokazała jej gazetę.

– Ale jak ty teraz, dziecko, pójdziesz do domu po nocy? – spytała, wyjmując jej z rąk gadzinówkę.

– Ach, pani Wando, to żaden problem, przecież często chodzę nocą po Krakowie.

Anna otrząsnęła się już z oszołomienia i znów się uśmiechała.

– Jurek cię odprowadzi. A wracając, zamkniesz bramę, dobrze, synu?

– Oczywiście, mamusiu – odpowiedział Jerzy spokojnie, klnąc w myślach na wszystkie złe duchy, które przyprowadziły tu Ankę, przez co on teraz będzie musiał znów wyjść z domu i łaźić w nocy po mrozie.

Podnosiła swoją torbę z podłogi, gdy usłyszała jakiś dziwny hałas.

– Co to? Jakby coś spadło? – zmarszczyła brwi i zaczęła nasłuchiwać.

– Nic nie słyszałam. Pewnie Tusia znów coś strąciła – machnęła ręką pani Wanda.

– Dziwne... – Annie znów wydało się, że skądś dobiegają stłumione nawoływania przeplatane jakimś stukaniem.

– Czekaj, rzeczywiście – teraz i Jerzy usłyszał te odgłosy. – To chyba u Borowiczów. Ale remont jakiś robią po nocach czy co? – mruknął z irytacją.

„Jeszcze i to” – pomyślał, wyobrażając sobie bezsenność nad głową, coraz bardziej wściekłą na babską niecierpliwość serca, która każe kobietom dzielić się od razu wszystkimi nowinami i która przygnała tu Ankę po nocy.

– O tej godzinie? – zdziwiła się pani Wanda, kiedy w końcu i ona usłyszała stłumione hałasy dobiegające gdzieś z wyższego piętra, czy też z korytarza. – Może to kole-dy tego pijaka z poddasza robią awanturę.

– Albo jakieś ochlaptusy znów chcą się przespać na klatce – Jerzy wstrząsnął się na wspomnienie niedawnego wieczoru, gdy z pomocą Maćka musiał usuwać z przedsi-onka kamienicy dwóch mocno napitych i śmierdzących, ale na szczęście mało agresywnych wielbicieli mózgotrzepów.

Stukanie znów się powtórzyło. Tym razem było dużo wyraźniejsze i oczywiste się stało, że nie dobiega ani z poddasza, ani z samego dołu.

– To chyba na korytarzu. Ktoś tak późno coś przybija? – zdziwiła się pani Wanda i w tej samej chwili przytłumione stukanie zamieniło się w głośny łomot. Jednocześnie usłyszeli hałas z ulicy, jakieś nawoływania, szczęknięcie drzwi od samochodu, tupot butów, trzaskanie bramy. Ktoś biegał po schodach i coś wołał, a potem znów usłyszeli taki sam łomot i krótki, wysoki kobiecy krzyk. Znów tupanie, podniesione głosy, jakieś przekleństwa, a w końcu gdzieś na górze upadło coś ciężkiego, a huk rozniósł się po całym budynku.

– Co tam się dzieje, do cholery?!

Pobiegli w trójkę do przedpokoju. Jerzy pierwszy znalazł się przy drzwiach i szybko odkręcił zamek. Zanim jednak otworzył drzwi na oścież, coś tknęło go, żeby zerknąć na korytarz przez wizjer.

– Poczekaj, mamó – odsunął matkę, która już kładła rękę na klamce, i przytknął oko do „judasza”.

Tupot podkutych butów, gardłowe krzyki niosące się echem po korytarzu, lufy karabinów, wojskowe pasy, masa zielonych mundurów, wykrzywione agresją twarze, a pomiędzy tym wszystkim człowiek w jasnej, rozpiętej koszuli i narzuconym na ramiona kożuszkę. Poczul podchodzący do gardła strach i paniczną gonitwę myśli. Co powinien zrobić, co może zrobić w takiej sytuacji i co zrobiłby ojciec?

Odwrócił się od drzwi:

– Zabrali Władka.

Obie, Anna i pani Wanda, jednocześnie rzuciły się w stronę drzwi. Jurek błyskawicznie przekręcił zamek, a potem złapał je obydwie i przytrzymał z całej siły. Dużo później przyszło mu do głowy, że to chyba sam Bóg dał mu siłę i refleks, żeby tak szybko zareagować. Wołał sobie nie wyobrażać, co by się stało, gdyby jego kru-cha sześćdziesięcioletnia matka wybiegła naprzeciw bandzie uzbrojonej w karabi-

ny i łomy. A Anka narobiłaby na pewno takiego wrzasku, że ani chybi zabraliby także i ją. Albo ich wszystkich.

Stali w ciemnościach przedpokojem, a Jurek mocno przytulał je obie, Annę i matkę.

Anna szarpnęła się, a pani Wanda krzyknęła z wyrzutem:

– Trzeba coś zrobić!

Przytrzymał ją mocniej.

– Proszę cię. Nic nie zrobisz, nic nie zrobisz – szeptał jej do ucha, jakby bał się, że mogą ich usłyszeć przez drzwi. – Nic nie poradzisz...

Kiedy odgłosy na korytarzu ucichły i usłyszeli trzaśnięcie bramy wejściowej, razem podbiegli do okna. Przez białą tiulową firankę i zasłonę z wirujących śniegowych płatków dostrzegli dwa samochody – wojskowego gazika z plandeką i fiata 125 z napisem MO. Dwóch biegnących od strony bramy ludzi w mundurach, niosących ze sobą jakieś narzędzia, krzyczało coś do tych, którzy siedzieli już w samochodach. Na tylnym siedzeniu fiata mignęła im jasna koszula i niewyraźna sylwetka sąsiada.

Gdy tylko samochody ruszyły, pobiegli w trójkę na drugie piętro. Drzwi mieszkania Borowiczów, z dziurą po zamku, leżały oparte o ścianę. Na podłodze pełno było kawałków drewna i fragmentów rozbitego zamka. Przed tym wszystkim klęczała pani Krystyna w różowej koszuli z koronką i trzęsącymi się rękami zbierała odłamki i drzazgi na podółek. Anna z Jurkiem z trudem ją podnieśli. Cała dygotała i oddychała ciężko.

– Łomem jak gestapo... łomem... – powtarzała w kółko.

W tej samej chwili coś zgrzytnęło i otworzyły się drzwi mieszkania naprzeciwko. Maciek, Karolina i pani Emilia znaleźli się obok nich. Błada jak ściana Karolina trzymała na rękach Wiktorię, która trzęsła się od tłumionego płaczu. Pani Wanda otoczyła sąsiadkę ramieniem i z pomocą matki Maćka prawie siłą zabrała do siebie, żeby dać jakieś środki na uspokojenie. Jurek z Maćkiem postanowili podnieść drzwi i sprawdzić, czy da się je wstawić w zawiasy. Anna bez słowa wpełchnęła Karolinę z powrotem do mieszkania, a potem pomogła jej uspokoić Wiktorię. Kiedy mała w końcu zasnęła zmęczona płaczem, a roztrzęsiona Karolina trochę się uspokoiła, Anna wróciła na korytarz. Maciek i Jurek skończyli właśnie osadzać drzwi i sprzątali rozrzucone po podłodze fragmenty zamka i futryny.

Oprócz nich, nikt z sąsiadów nie pojawił się na korytarzu.

– Ciekawe, czy tak mocno śpią, czy tak bardzo się boją, czy może... – Maciek popatrzył w górę schodów.

– Nie graj chojraka, wszyscy się boimy – warknął Jurek.

– Ale co się dzieje? Co właściwie się dzieje? – zapytała Anna, ale nikt jej nie odpowiedział.

Razem zbiegli na pierwsze piętro. Pani Krystyna siedziała na brzegu krzesła nad niekniętą szklanką melisy i powtarzała w kółko:

– Łomem, jak jacyś bandyci, jak ci szubrawcy z gestapo... łomem... jak gestapo...

Matka Jurka, ze słuchawką telefoniczną przy uchu, nieporadnie próbowała ją pocieszać, jednocześnie wykręcając jeden numer za drugim i co chwilę stukając w widełki:



– Krysiu... to na pewno jakieś nieporozumienie... Jakaś pomyłka... Wszystko się wyjaśni i zaraz go wypuszczą... Napij się... napij się melisy, kochanie, póki ciepła – powtarzała z udawanym spokojem, ale głos jej wyraźnie drżał.

Cały czas miała jeszcze nadzieję, że uda się jej jednak do kogoś dodzwonić i dowiedzieć, co się dzieje.

– Nie dałam mu szalika – wyszeptła pani Krystyna i w końcu upiła łyk melisy ze szklanki. – Dlaczego ja mu nie dałam szalika?

– Nie działa! – pani Wanda rzuciła w końcu słuchawkę na widełki i bezradnie popatrzyła na syna.

Pobladła z emocji Emilia stała przy oknie oparta o parapet i uchylając firanki, dyskretnie wyglądała na ulicę. Gdy tylko przyjaciele weszli do pokoju, rzuciła się w stronę Maćka:

– Wandzia mówi, że wsadzili go do milicyjnego samochodu i odjechali. Nie wiadomo, gdzie go zabrali! A teraz widziałam kolumnę jakichś ciężarówek skręcającą w Piłsudskiego. Musicie się ukryć, bo po was też mogą przyjść!

– Och, mamo, daj spokój! Gdyby nas chcieli zabrać, wzięliby nas przecież razem z panem Władysławem – Maciek starał się, żeby jego głos brzmiał jak najbardziej bez troski, ale w żołądku czuł nieznośny ciężar. – „Pewnie to jakaś akcja przeciw KPN-owi, przecież ich przywódcy nadal siedzą” – pomyślał, ale nie ośmielił się powiedzieć tego głośno, żeby nie podgrzewać atmosfery. Poza tym nie był pewien, czy pani Krystyna wie cokolwiek o współpracy swojego męża z Konfederacją Polski Niepodległej.

Jurek przykucnął przy niskiej szafce, na której stały telewizor i radio. Włączył je jednocześnie i próbował złapać jakąś stację. Telewizor przez cały czas śnieżył, radio trzeszczało niemiłosiernie, ale na ekranie nie pojawił się żaden obraz, a wszystkie krajowe stacje radiowe milczały. Spróbował z Wolną Europą, a potem z Głosem Ameryki. Słychać było tylko trzaski, świsty i monotony szum głosów, ale nie dało się rozróżnić żadnych słów.

– Zagłuszają, sukinkoty! – mruknął, dalej nerwowo kręcąc gałkami starego „Pioniera”.

– Nie wiadomo, co się dzieje, nie wiadomo, co oni planują – nie ustępowała zdenerwowana pani Emilia. Szybkim krokiem wróciła do okna, wyglądnęła na ulicę, a potem znów podbiegła do syna. – Słyszysz? Nic nie działa, radio, telewizor, nawet telefony.

– Uspokój się, mamo. Może znów antena się przekrzywiła, jak ostatnio, kiedy musieliśmy z Jurkiem wchodzić na dach – Maciek nadal zmuszał się, żeby jego głos brzmiał spokojnie, chociaż sam nie wierzył w to, co mówi.

– Antena! – pełnym irytacji głosem odezwała się pani Wanda i z wyrzutem popatrzyła na Maćka. Nawet ona nie uwierzyła w takie naiwne wytłumaczenie. – A dlaczego wzięli Władka? – jeszcze raz podniosła słuchawkę telefonu i próbowała wykręcić numer, ale bez skutku. – Dali ci jakiś dokument?

– Nie – pani Krystyna westchnęła ciężko i popatrzyła na nią pełnym rozpaczy wzrokiem – Mówili o jakiejś decyzji, ale w końcu nic nie zostawili.

– A może ktoś się podobnie nazywa i pana Władysława wzięli przez pomyłkę? Pamiętacie, ktoś na strajku nam opowiadał, że ubecja szukała jego ojca na drugim końcu Krakowa, u zupełnie innych ludzi, którzy tylko nazywali się tak samo – próbowała się jeszcze oszukiwać Anna.

Jurek uderzył pięścią w obudowę „Neptuna” i z ciężkim westchnieniem odwrócił się w ich stronę.

– Słuchajcie, nie ma programu w radiu, nie ma telewizji, nie działają telefony. Może... – zawiesił głos, ale wszyscy obecni w pokoju pomyśleli o tym samym. Zapadła ciężka cisza, a potem tylko Jurek miał odwagę ją przerwać i powiedzieć głośno to, o czym wszyscy myśleli i czego się bali.

– Może... może to Sowietci weszli...

Pani Emilia odwróciła się od okna i nagle pobladła.

– I teraz będą chcieli całą opozycję wywieźć na Wschód... – przerwała, przerażona swoją wizją, i popatrzyła na nich szklistymi oczami.

– Emilka ma rację – przytaknęła słabym głosem pani Wanda, a Jurek miał wrażenie, że jego matka zaraz osunie się na podłogę. – Powinnicie się gdzieś ukryć, choćby tylko na tę jedną noc.

– Może oni zabierają alfabetycznie. My jesteśmy na „b” – odezwała się pani Krystyna, podnosząc głowę znad szklanki. Widać było, że bardzo się stara mówić spokojnie i powoli, ale głos jej się załamywał. – To dobry pomysł, żebyście nie nocowali w domach.

– Może u nas – zaproponowała Anna i jeszcze raz powtórzyła, co wieczorem opowiedział jej Piotr.

Pani Wanda machnęła ręką:

– Po ciebie, dziecko, też mogą przyjść. Też przecież działałaś w NZS-ie. Najlepiej zabierz Maćka i idźcie do Bronka – zwróciła się do syna. – A ty, Aniu, możesz zostać tutaj. Tu na pewno nie będą cię szukać.

– Ja przecież nie mogę zostawić rodziny – żachnął się Maciek.

– Jak cię zaborą i wywiozą na Syberię to... dopiero wtedy ich zostawisz! – wybuchnęła matka, ale przypomniawszy sobie o Krystynie i szybko się opanowała. Zerknęła w jej stronę, czy uwaga o Syberii nie wytrąciła jej z równowagi, ale ona siedziała pochylona nad stołem, kręcąc szklanką z melisą i wydawała się znów pogrążona w swoich myślach.

– Synu – powiedziała już łagodnie – przecież ja z nimi zostanę. Nic mi nie grozi. Oni pewnie mają jakiś spis działaczy, a Karolina przecież nigdzie się ostatnio nie udzielała, więc na pewno jej tam nie ma.

– A wiesz, że to całkiem dobry pomysł.

Maciek za długo znał Jerzego, żeby nie być pewnym, że coś się musi kryć za tą jego nagłą zmianą decyzji. A kiedy zobaczył, że przyjaciel mruga do niego porozumiewawczo i gestem wskazuje drzwi, domyślił się, co mu chodzi po głowie.

– Idziesz z nami, Anka?

Anna tylko pokręciła głową. Sama nie wiedziała, co powinna zrobić, ale włączenie się teraz po nocy nie wydawało się jej dobrym pomysłem.

Maciek i Jerzy wyszli szybko, żegnani przestrogiami pani Wandy, aby uważali na siebie i w miarę możliwości unikali otwartej przestrzeni.

– Cholera! – zaklął Maciek na schodach. – Szlag by trafił tych komunistów! Nie zdążyłem sobie nawet... no wiesz... z Karoliną. Cokolwiek planują, nie mogli z tym, cholera, poczekać do jutra?

– Trzeba się było spieszyć, ogierze.

– Łatwo ci mówić!

Zatrzymali się na rogu ulicy, poza zasięgiem wzroku matek, i spojrzeli na siebie. Porozumieli się zaledwie kilkoma gestami i spojrzzeniami, a potem rozdzielili. W ciszy nocy słychać było, jak zegar na ratuszu wybija północ, a potem odzywa się trębacz z wieży Mariackiej.

(...)

Rafał poprawił się na twardej ławce w poczekalni i wyciągnął z plecaka pożyczone od Jurka *Zdobycie władzy* Miłosza. Zaczął czytać książkę na strajku i w ostatniej chwili wsunął ją do plecaka, wychodząc z akademika.

Cudem zdążył na ostatni bezpośredni pociąg. Biegł peronem zdyszany i widział już, jak wskazówka na wiszącym przy torach zegarze przeskakuje na godzinę 20, a konduktor podnosi rękę, żeby dać znak do odjazdu. Do ostatniego wagonu brakowało mu jakichś piętnastu metrów i pewnie by nie zdążył, gdyby nie wózek bagażowy, który w tym momencie wjechał na peron. Konduktor opuścił rękę, bagażowi zajęli się ładowaniem paczek do wagonu pocztowego, a Rafał dopadł ostatnich drzwi i ciężko dysząc, ruszył na poszukiwanie wolnego miejsca. Szczęście go nie opuszczało, bo w przepelnionym zwykle pociągu do Przemyśla tym razem było dość luźno, być może dlatego, że była sobota. Tak go to wszystko ucieszyło, że od razu wyciągnął się jak długi na ławce w przedziale drugiej klasy, zjadł kupioną w barze „Smok” drożdżówkę i zaczął drzemać z głową na plecaku. Później wyrzucił sobie, że cieszył się za wcześnie i to przyniosło mu pecha. Tuż przed Tarnowem przebiegający korytarzem konduktor otworzył drzwi do przedziału i powiedział coś, co zabrzmiało jak: „Zamarło... wysiadać”. Pewnie powiedział coś więcej, ale obudzony z głębokiego snu Rafał tylko tyle zdążył usłyszeć. Domyślił się, że „zamarło” miało oznaczać „zamarzło”, ale wciąż nie wiedział, co to konkretnie oznacza dla niego. Sąsiedzi z przedziału obok powiedzieli mu, że tory popękały od mrozu i dlatego pociąg jedzie tylko do Tarnowa i tam zostanie odstawiony na bocznice. Może zresztą nie tory, tylko koło, ale towarzystwo z sąsiedniego przedziału wyglądało na mocno zmęczone podróżowaniem i nie przejęło się specjalnie tym komunikatem. Zresztą jechali właśnie do Tarnowa, więc dla nich nic się nie zmieniało. Niczego więcej nie można było się dowiedzieć, bo konduktor przebiegł wprawdzie jeszcze raz, w przeciwnym kierunku, ale był tak zaafierowany, że chyba nawet nie usłyszał pytań Rafała.

– Cholera, ale pech! – mruknął, zeskakując ze stopni pociągu na tarnowski peron.

Ale pech miał się dopiero zacząć. Najpierw okazało się, że spóźnił się parę minut na bezpośredni pociąg Kielce-Przemyśl i będzie musiał czekać na pospieszny z Wrocławia. Ale w informacji powiedzieli mu, że ten wrocławski może być spóźniony, co zresztą wydawało się potwierdzać, bo godzina jego przyjazdu dawno minęła.

Na sąsiedniej ławce chrapał ciężko jakiś mężczyzna w średnim wieku z dużą teczką i spracowanymi rękami. Oprócz nich w poczekalni nie było nikogo więcej. Przez chwilę kręciła się tu jeszcze niemłoda sprzątaczką. Miała kwiecistą chusteczkę zawiniętą na głowie i niebieski, pewnie służbowy fartuch. Przejechała posadzkę ścierką okręconą na miotle, wysypała do wiadra zawartość popielniczek i koszy na śmieci, przetarła poręcze i lady przy kasach, a potem rzuciła okiem na zegar, zamknęła na klucz drzwi do korytarza, gdzie mieściły się ubikacja i przechowalnia bagażu, i wyszła, zabierając narzędzia pracy.

Rafał rozpiął kurtkę i oparty łokciem o plecak zatopił się w lekturze. Przynajmniej taka jest korzyść z tego nieoczekiwanego postoju, że może w spokoju poczytać. W Krakowie cały czas mu coś przeszkadzało, a to randki, a to patriotyczne uroczystości, a to jakieś imprezy w akademiku albo wieczory z przyjaciółmi. A braków miał sporo, sam to wiedział najlepiej, choć skutecznie się maskował. Czasem było mu wstyd, że on – student historii – o tak wielu rzeczach nie miał wcześniej zielonego pojęcia i tak wiele spraw jest dla niego całkiem nowych. Tam, skąd pochodził, nie rozmawiało się o polityce. Tak, jakby w ogóle nie istniała. Rodzice odeszli młodo i niespodziewanie, jedno po drugim. Ojciec na zawał, matka na raka jajnika. Nie zdążył nawet porozmawiać z nimi o życiu, zapytać ich, w jakim kraju chcieliby żyć, jak oceniają PRL i czy naprawdę ten ustrój im się podoba, czy może tylko tak udają.

Nie rozmawiało się ani o polityce, ani o historii, za to dużo mówiło się o pracy i obowiązkach, a czasem też o różnych dobrach, które dzięki pracy można kupić. Na mówieniu zresztą zwykle się kończyło, bo na kupno już najczęściej brakowało pieniędzy. Gdy był w podstawówce, nie mieli jeszcze w domu lodówki ani pralki, a telewizor młodszy brat kupił całkiem niedawno za swoją pierwszą pensję. Czasem rodzice rozmawiali o życiu i o tym, że jednak po wojnie stało się lepsze. Nie były to wprost zachwyty nad PRL-em, zresztą rodzice zawsze byli powściągliwi i małomówni, ale czasem słyszał, jak rozmawiali o nowoczesnej szkole wybudowanej w sąsiedniej wsi, o nowym traktorze sąsiada albo o koloniach, na które pojechały dzieci szwagra. Nie byli materialistami, nie bardziej niż wszyscy naokoło, po prostu pamiętali przedwojenne czasy, gdy ich rodzice żyli jeszcze biedniej i pracowali jeszcze ciężiej, i dlatego teraz doceniali wszystkie, nawet te najdrobniejsze „zdobycze socjalizmu”. Chcieli, żeby ich syn miał lżejsze życie i jakieś zwykłe, porządne zajęcie – został listonoszem albo zdunem. Pewnie tak właśnie by się stało, gdyby pod koniec podstawówki nie przyszedł do klasy Rafała dziwny chłopiec. Skupiony, cichy, nieśmiały i bardzo spokojny, o fotograficznej

pamięci i zdolnościach matematycznych, który potrafił pięknie opowiadać o historii.

Rafał zdawał sobie sprawę, że nie jest tak inteligentny jak Łukasz i nie ma tak dobrej pamięci, ale nagle zaczęło mu zależeć. Zaparł się w sobie i zdał egzamin do liceum. Trzeba przyznać, że rodzice szybko odpuścili i nie upierali się przy własnej wizji jego przyszłości. Uznali chyba, że awans społeczny to też jedna ze „zdobyczy socjalizmu”, z której warto skorzystać. Niestety, nie dożyli już chwili, gdy listonosz przyniósł zawiadomienie o przyjęciu ich syna na studia. Na pewno pomogły mu w tym punkty za pochodzenie robotniczo-chłopskie, ale i tak wszyscy byli zaskoczeni, że mu się udało. Rafał był pierwszym studentem w rodzinie i jego bracia, gratulując mu, dziwili się za jego plecami, po co mu to potrzebne. Ci, którym w okolicy dobrze się powodziło, wcale nie mieli studiów. Mieli znajomości, pomysły na kręcenie kasy, dobre układy z tutejszymi partyniakami i to w zupełności wystarczało.

W Krakowie Rafał postanowił nie marnować czasu, bo sam zdawał sobie sprawę, że ma mnóstwo do nadrobienia w stosunku do kolegów z roku. I z początku nawet mu się udawało, ale potem zachłysnął się studenckim życiem, co kilka razy omal nie doprowadziło do zakończenia jego przygody ze studiowaniem historii.

Facet z teczką ziewnął i zaczął rozcierać ścierpniętą w czasie snu rękę. Potem otworzył oczy, rozglądnął się wokół i porozumiewawczo mrugnął do Rafała. Chłopak właśnie podniósł wzrok znad książki, żeby sprawdzić godzinę na zegarze, i zaczął zastanawiać się, o co chodzi temu dziwnemu gościowi, ale szybko zrozumiał, w czym rzecz. Mężczyzna otworzył swoją potężną teczkę, wyciągnął dwa zawiniątka i położył je na ławce pomiędzy sobą a Rafałem. W jednym z nich była owinięta w szary papier i szalik butelka bimbru, a w drugim zawinięte w zatłuszczoną gazetę pęto kiełbasy. Odwinął pieczołowicie obydwa zawiniątka, ułożył kiełbasę na zatłuszczonej gazecie, ostrożnie postawił butelkę na deskach ławki, a potem ponownie mrugnął do Rafała.

– Niech pan walnie jednego. Na taki mróz dobrze nam to robi.

Wyciągnął z teczki mały kieliszek z grubego szkła, a potem otwartą dłonią wybił korek w butelce.

Po godzinie nadal nie było nic wiadomo o żadnym pociągu. Wódka dawno się skończyła, a mężczyzna z teczką znów drzemał na ławce. Rafał poczuł, że zaczyna mu dokuczać pełny pęcherz. Pociągnął za klamkę drzwi prowadzących do toalety, ale przypomniał sobie, że przecież sprzątaczką je zamknęła. Wzdrygnął się na myśl, że będzie musiał odlać się gdzieś na zewnątrz na takim mrozie. Zerknął na chrapiącego mężczyznę z teczką, zapiął plecak, zarzucił go na ramiona i ruszył w stronę bocznego wyjścia z dworca. Przed budynkiem zauważył kręcący się patrol sokistów, więc minął go i poszedł w stronę leżącego w niewielkim obniżeniu obszernego placu, który zwykle służył za dziki parking. Poprawił plecak, przeskoczył przez niski murek oddzielający teren dworca od parkingu, podniósł głowę i stanął jak zamurowany.

– O, kurwa!

Cały plac pełen był wojskowych samochodów. Armatki wodne, budy z okratowanymi oknami, scoty i gaziki stały dość ciasno upchane obok starów z plandekami i transporterów opancerzonych. Pomiędzy nimi kręcili się umundurowani żołnierze z długą bronią, a obok jednego z gazików zauważył kilku milicjantów. Zsunął plecak na śnieg i trzęsącymi się rękami wyciągnął z niego pożyczonego od Darka zenita. Zarzucił plecak na ramię, a potem przeskakiwał od jednej latarni do drugiej, mając nadzieję, że w ich cieniu będzie choć trochę mniej widoczny. Zza każdej robił jedno lub dwa zdjęcia. Doszedł już prawie do końca placu, do wjazdu z drogi na teren parkingu i naciągał kliszę, aby zrobić ostatnie zdjęcia, gdy usłyszał za plecami jakiś hałas. Odwrócił się, ale nie zdążył schować aparatu. Tuż obok niego pojawił się żołnierz z karabinem i groźnym wyrazem twarzy.

– Dokumenty! – krzyknął, wrywając Rafałowi aparat z ręki.

– Przecież nic nie zrobiłem!

Na trzeźwo Rafał był zwykle miłym miśkiem, który z nikim się nie kłócił i lubił wszystkim ustępować. Ale po alkoholu wstępowała w niego jakaś buńczuczna, zadziorna upierdliwość, która nieuchronnie prowadziła do konfliktów. Tak było i tym razem. Bimber wypity na stacji, choć może nie było go zbyt wiele, w połączeniu z nawarstwiającym się od kilku dni zmęczeniem sprawiły, że od razu zaczął się gotować.

– Nic nie zrobiłem! – krzyknął. – I z jakiej racji zabierasz mój aparat?

– Spokój! Dokumenty, mówię!!!

Żołnierz przywołał innego mundurowego, który stał niedaleko, i obydwoj czekali, aż Rafał wygrzebie z kieszeni plecaka dowód osobisty. Pochylony nad plecakiem chłopak czuł, jak podnosi mu się ciśnienie, i w złości zaciskał zęby. Był jednak na tyle przytomny, że postanowił nie wyciągać legitymacji studenckiej. Może jełopy nie zauważą pieczątki uniwersytetu w dowodzie.

Rzeczywiście, ten, który go zatrzymał, skupił się na studiowaniu pierwszych stron dokumentu. Wcześniej oddał jednak zenita swojemu koledze. Ten z wyraźnym obrzydzeniem popatrzył na trzymany w ręku aparat.

– Dawaj go, razem z tamtymi – rzucił z pogardliwym wyrazem twarzy. – Co się tu będziemy doktoryzować na gnojku. Niech „naczialstwo” zdecyduje, co z nim zrobić. A dowód przestępstwa rekwirujemy – odwrócił się na pięcie i poszedł z aparatem w stronę stojącego w oddali milicyjnego fiata 125.

– Zabieraj to! – rozkazał sierżant Rafałowi, ruchem nogi wskazując plecak. – Ale migiem!

„Naczialstwo”! Rafał nie znosił rosyjskiego, pewnie dlatego, że od początku bardzo źle mu wchodził do głowy. Dźwięk tego języka zawsze działał na niego jak płachta na byka. Zamroczonemu alkoholem chłopakowi to rosyjskie słowo wydało się hasłem do działania. Teraz albo nigdy! Jeśli nic nie zrobi, to pewnie oskarżą go o szpiegostwo albo chuj wie o co!

Wyprostował się i jakby nigdy nic spokojnie założył plecak. Ze spuszczoną głową, jak ostatni łamaga, ruszył powoli w stronę wjazdu na parking. Kiedy był już blisko żołnie-



rza, rzucił się do przodu. Jedną ręką z całej siły popchnął mężczyznę, a drugą wyrwał mu z ręki swój dowód. Potem jeszcze, zupełnie odruchowo, poprawił butem, tak że żołnierz poleciał do tyłu i wpadł w pryzmę śniegu za swoimi plecami. Kilka sekund minęło, zanim zrozumiał, co się stało, kilka kolejnych gramolił się z zasy. I dopiero wtedy krzyknął donośnie:

– Stać!!! Stać!!!

Te sekundy wystarczyły, żeby Rafał wskoczył w kopny śnieg na prawo od wjazdu i razem z nim zsunął się po pochyłości. Teren obniżał się tutaj w stronę drogi, która przechodziła pod wiaduktem. W półobrocie, zjeżdżając w dół wraz z masą leżącego na niego śniegu, zdążył jeszcze zauważyć nadbiegające od strony parkingu dwie ciemne postacie.

– Stać!!! – darł się żołnierz, któremu udało się już wygrzebać z zasy, szarpiąc się z paskiem od założonej na plecach broni.

„Kurwa, a jak zacząć strzelać?” – przeleciało Rafałowi przez głowę i to dodało mu takiej energii, że wykorzystując pochyłość gruntu, prawie unosił się nad ziemią.

Zza pleców dobiegł go kolejny okrzyk: „Stój, bo strzelam!!!” i jednocześnie charakterystyczny szcęk przeładowywanej broni. Biegąc, co sił w nogach, czekał już tylko na strzał, ale zamiast niego usłyszał stłumione odległością przekleństwo:

– Co jest, kurwa! Łapać go, do kurwy nędzy! Żadnej strzelaniny mi tu nie urządzać! Jebane ofiermy!

Z odgłosów za plecami Rafał domyślił się, że żołnierze rzucili się w pościg. I pewnie by go bez trudu dogonili, bo nigdy nie był dobrym sprinterem, a tym razem dodatkowo przeszkadzał mu ciężki plecak, gdyby nie to, że trafił na dziurę w siatce. Opowiadał potem, że pamiętał, gdzie ona jest, bo chodził tamtędy na skróty do brata do jednostki, ale kłamał. Faktycznie chodził tamtędy, żeby skrócić sobie drogę, ale biegając, zupełnie zapomniał o tej cholernej dziurze. A gdyby nawet sobie przypomniał, to i tak nie pamiętał, gdzie ona dokładnie była. Zupełnie przypadkowo ręka wpadła mu w pustą przestrzeń, więc drugą ręką namacał krawędź siatki, sprawdził szerokość otworu, a potem zanurkował głową w wolną przestrzeń i mocno się odepchnął. Krzyki ścigających go były coraz bliżej, a światło ich latarek musnęło wierzchołki krzaków, więc rzucił się w chaszczę po drugiej stronie siatki, a potem pobiegł w stronę szosy. Goniący go mężczyźni zupełnie osłupieli. Nie mieli pojęcia o istnieniu dziury w ogrodzeniu i teraz zaskoczeni miotali się przed siatką, próbując się zorientować, gdzie zniknął uciekający przed nimi wielkolud.

– Kurwa, jak kamień w wodę! – machnął ręką sierżant i odwołał ludzi, którzy bezradnie biegali wzdłuż ogrodzenia, świecąc latarkami po krzakach.

(...)

Jurek postanowił najpierw pójść do pobliskiej siedziby Zarządu Regionu. Gdzie jak gdzie, ale tam na pewno będą wiedzieć, co się dzieje. Skręcił w prawo, przebiegł kil-

kadziesiąt metrów ulicą Smoleńską, a potem rozglądnął się szybko naokoło i ostrożnie wyjrzał zza rogu kamienicy przy alei Krasieńskiego. Od razu zrozumiał, że się spóźnił. Z daleka zobaczył samochody stojące przed wejściem do siedziby małopolskiej „Solidarności” i kręcących się wokół mężczyzn w kurtkach moro. Nie wiedział, czy to wojsko, czy jakieś służby specjalne, ale oczywiste było, że nie ma tam czego szukać. Stanął ukryty za załomem muru, w sporej odległości od siedziby zarządu. Nawet z tej odległości widać było otwartą bramę do budynku i sylwetki poruszających się wewnątrz ludzi.

„Boże mój, a co z chłopakami?” – pomyślał i poczuł dreszcz na plecach.

Przytulony do rynny obserwował, jak spod budynku odjeżdża „buda” z zakratowanymi oknami. W ciemności nie potrafił z daleka dostrzec, czy w środku ktoś jest, ale w tej chwili zrozumiał, że to nie przelewki. Po chwili odjechała także milicyjna nyska. Przed wejściem zostały dwie ciężarówki z plandekami. Kilku mężczyzn w kurtkach moro zaczęło pakować na nie wynoszone z budynku pudła. Wynosili i wynosili – większe i mniejsze, a potem jakieś maszyny i urządzenia. Jedno z pudeł upadło na chodnik. Ze środka wysypały się jakieś kartki – nie wiadomo dokumenty, nakład nowego numeru „Gońca”, czy może tylko czysty papier. Wiatr unosił je w powietrze i zanim ludziom w morach udało się posprzątać, cała ulica była nimi zasłana.

Cokolwiek się działo, widać było, że to zmasowana, zaplanowana i perfekcyjnie przygotowana akcja. I utrzymana w zupełnej tajemnicy. Przecież był w zarządzie kilka godzin wcześniej. Nikt tam niczego nie podejrzewał. Nie było też żadnych przecieków od „wtyczek”, które „Solidarność” miała w Komitecie Wojewódzkim PZPR, Komitecie Miejskim czy komitetach dzielnicowych. Zbyszek, kierowca z zarządu i kumpel Jurka z podstawówki, wspominał mu wprawdzie o jakichś podejrzanych obcych, którzy kręcili się od rana po drugim piętrze budynku, ale wszyscy traktowali to humorystycznie. „Już tu jedzie ekipa z kombinatu, żeby z nimi zrobić porządek” – żartował Zbyszek, odliczając dla niego pięć sztuk nowego numeru „Gońca Małopolskiego”. Teraz obecność obcych ludzi w budynku, w którym mieściły się biura zarządu, nabierała zupełnie innej wagi.

Jerzy stał przytulony do muru i czuł się tak, jakby miał zostać na zawsze na tej ulicy, na mrozie, śniegu i porywistym wietrze. Nie pamiętał nawet, ile czasu tam spędził. Ciemne postacie wynosiły do ciężarówek maszyny do pisania, szuflady z dokumentami, stosy teczek, książek, segregatorów. Kiedy później, nawet po wielu latach, myślał o tej chwili, pamiętał przede wszystkim dojmujące uczucie osamotnienia. Jakby tamtej mroźnej nocy został na świecie zupełnie sam. Jakby wszystkie więzi i relacje zostały nagle zniszczone. Jakby nie było już żadnej jedności ani żadnej wspólnoty. W końcu zdał sobie sprawę, że jest skostniały. Oblepione śniegiem buty zaczęły przemakać, wstrząsały nim dreszcze. Na dodatek zobaczył nadjeżdżający od strony mostu Dębnickiego radiowóz, który minął ciężarówkę przed siedzibą Zarządu Regionu i powoli zmierzał w jego stronę. Przyłgnął do ściany i pomyślał, że znów, jak w dzieciństwie,

chciałby być niewidzialny. Wydawało mu się, że samochód zwalnia, ale w końcu minął go i skręcił w ulicę Smoleńsk.

To go przywróciło do rzeczywistości. Uświadomił sobie, że musi iść dalej, ostrzec przynajmniej mieszkającego najbliżej Irka. Niedysiejsza przynależność do SKS-u stawała go w pierwszym szeregu zagrożonych. Westchnął, podniósł kołnierz palta i ruszył w stronę Włóczków, z otuchą patrząc na snującą się od strony Wisły mgłę, która dawała choć złudzenie bezpieczeństwa. Szedł, czujnie rozglądając się wokół i chowając w bramach za każdym razem, gdy słyszał zbliżający się samochód. Pamiętał opowieści ojca, że z narożnej kamienicy koło kina „Kijów” można bezpiecznie przejść podwórkami aż na Salwator, do wałów Rudawy, przecinając po drodze tylko dwie boczne uliczki. Teraz żałował, że nie słuchał go uważnie. Na placu Na Stawach było całkiem spokojnie, podobnie na Senatorskiej, ale gdy minął róg Kościuszki zobaczył w oddali kolumnę dużych samochodów, podobnych do starów. Na szczęście był już prawie na miejscu. Przebiegł szybko kilkanaście kroków i zanim samochody zdążyły się z nim zrównać, zniknął w bramie.

Zatrzymał się w ciemnej sieni i ze zdenerwowania nawet nie potrafił znaleźć kontaktu. Po omacku trafił na schody prowadzące na piętro, a potem namacał właściwe drzwi. Zapukał raz, potem drugi i trzeci. Stał oparty o ścianę, czując nieprzyjemne drżenie nóg. Już miał zrezygnować i odejść, gdy usłyszał zgrzyt zamka. W szparze uchylonych drzwi ukazała się zaspiana twarz Irka.

(...)

Rafał wybiegł na drogę, machając rękami i już miał odskoczyć, bo wydawało mu się, że samochód pojedzie dalej, ale żuk zatrzymał się tuż przed nim. Kierowca zobaczył go w ostatniej chwili i o mało nie wpadł w poślizg, bo trochę się zagapił, szukając stacji w rozstrojonym radiu marki Safari.

Najpierw się zdenerwował, bo zahamował dosłownie metr przed stojącym na środku i machającym gwałtownie autostopowiczem, ale potem pomyślał, że skoro już się zatrzymał na tym lodowisku, weźmie chłopaka. Przynajmniej będzie miał z kim pogadać, jeżeli radio szlag trafił.

– Wsiadaj, pan! – krzyknął do Rafała przez szparę w oknie. Bardziej nie chciał go otwierać, bo potem mogłoby się nie zamknąć. W starym skrzyniowym żuku cały czas coś się psuło. Wczoraj pękła gałka od biegów i ze skrzyni sterczał goły lewarek, a teraz znów przestało działać radio.

Rafał nie usłyszał zaproszenia. Podeszedł bliżej do kabiny i chciał coś powiedzieć, ale kierowca ze zniecierpliwieniem zamachał rękami, pokazując chłopakowi na migi, żeby wsiadł do środka. W bocznym lusterku zauważył wylaniające się z mroku światła jakiegoś pojazdu i nie chciał, żeby ktoś wjechał mu w dupę. Światła stopu czasem działały, częściej jednak nie.

– Wsiadaj, pan, wsiadaj – krzyknął głośniejszym głosem do szpary w oknie.

Rafał obiegł szoferkę i otworzył drzwi od strony pasażera.

– Wsiadaj, pan, wsiadaj, bo wieje – poganiał go kierowca, z niepokojem zerkając w boczne lustro.

Zmęczony ucieczką i przedzieraniem się przez zaspę, Rafał ostatkiem sił wdrapał się do szoferki.

– Jedzie pan przez Przeworsk? – zapytał.

– Panie, ja do samego Przemyśla zapierdalałem ze śrubami z Bydgoszczy przez te śniegi. A potem od razu z powrotem z płytami piłśniowymi – wrzucił bieg, poczekał, aż wyprzedzi go rozpędzona osobówka i powoli ruszył, dopychając lewą ręką szybę w uchylonym oknie. – A coś pan taki zdyszany? Diabeł pana gonii?

– Prawie! Coś dziwnego się dzieje. Wszędzie patrole wojskowe, pociągi odwołane, jakies budy z ludźmi jeżdżą, chyba z aresztowanymi. Stan wyjątkowy czy może jednak... – zawiesił głos, bo był zbyt przesądny, żeby wypowiedzieć słowa, które cisnęły mu się na usta.

– Panie – zachnął się kierowca. – Jeżdżę i rozmawiam z ludźmi i coraz bardziej mnie to wszystko wkurza. To całe gadanie... Jedni gadają, że ich tamci będą wieszać, drudzy, że zaraz tu Rosjanie wejdą i będą nas mordować. I robi się z tego histeria. Toż to chyba prowokatorzy wymyślają te wszystkie bajki. Prowokatorzy, którzy chcą nas skłócić i do jakiejś wojny domowej doprowadzić.

Rafał chciał opowiedzieć o tym, co widział w Tarnowie, ale stwierdził, że nie będzie się kłócić, skoro już tak mu się udało i dojedzie prosto do domu. Cały czas dręczyło go pytanie, czy zadziorny kapral zapamiętał jego dane z dowodu.

– Komuś bardzo zależy, żebyśmy sobie bez przerwy do oczu skakali. Pewnie Moskwa ludzi, jedną i drugą stroną podburza. Chcą, żebyśmy się tu sami pozabijali. U nas na zakładzie ci ze związków branżowych cały czas sobie skaczą do oczu z „Solidarnością”. I jedni drugim w kółko zarzucają, że są kapusiami. Toż to jaja jakieś! – ciągnął mężczyzna. – Najlepiej tego wszystkiego nie słuchać i robić swoje. Jest taka piosenka... Jak to idzie... Róbmy swoje – zanucił fałszywie. – Tego, no, cholera...

– Młynarskiego – odpowiedział Rafał.

– No, właśnie. Ja dużo muzyki słucham, jak jeżdżę. „Trójki” na przykład. Antena słaba, ale zwykle jakoś daje radę. Tylko teraz coś się całkiem spierdoliło.

– Też bym posłuchał – Rafał uśmiechnął się do kierowcy zaskoczony, że trafił na miłośnika „Trójki” i znawcę Młynarskiego. – Może antena się oblużowała. Zjedź pan gdzieś, to sprawdzę.

Po kilkuset metrach zobaczyli odśnieżony przystanek PKS. Kierowca skwapliwie skorzystał z okazji i zatrzymał się w zatoczce. Rafałowi nie chciało się wysiadać na mróz, ale pomyślał, że miło by było zdrzemnąć się w szoferce przy jakiejś dobrej muzyce.

Stojąc na stopniach, z trudem odkręcił antenę, przeczyścił gwint szalikiem, a potem uważnie i dokładnie przykręcił ją z powrotem, sprawdzając kilka razy, czy równo idzie.

– No, jak? – pochylił się w stronę szoferki.

– Nic.

Rafał jeszcze raz sięgnął do anteny i poruszał nią na wszystkie strony. Liczył, że może w którymś położeniu złapie zasięg.

– A teraz?

– Dupa! – odrzyknął mężczyzna.

Rafał wrócił na miejsce pasażera i zatrzasnął drzwi.

– Zakręcone dobrze. Nic nie poradzę. Może „Trójka” nie ma tu w ogóle zasięgu.

– Zwykle na tej trasie daje radę. Ale poczekaj pan, sprawdzę „Jedynkę”.

Ale na „Jedynce” też panowała głucha cisza.

– No, to nic nam nie zostaje, tylko gadać – rzucił kierowca, ruszając, a potem zerknął w stronę pasażera. – Student?

Rafał dopiero teraz powoli zaczął dochodzić do siebie. Zastanawiał się, czy lepiej przyznać się do studiowania, czy nie, ale w końcu pokiwał głową:

– Tak, student. Historii.

Kierowca gwizdnął przez zęby:

– Ciężki przedmiot. I niebezpieczny. Bo człowiek wie swoje, ale na egzaminie musi mówić to, co wykładowcy sobie życzą i jaka jest oficjalna wersja, nie?

– No, u nas na uniwersytecie na szczęście wykładowcy są w porządku. Ale może gdzieś indziej faktycznie tak jest.

Zobaczyli nadjeżdżającą z przeciwka ciężarówkę. Kiedy się z nią zrównali, zorientowali się, że to nie jedna ciężarówka, ale cała kolumna wojskowych samochodów. Silniki starów rzeziły na wzniesieniu, wiatr zwiewał śnieg z dachów kabin i brezentowych osłon nadwozi, a skórzane pasy mocujące plandeki stuknęły o burty.

– Ciekawe, co oni znów, kurwa, wymyślili – wyrwało się Rafałowi. Przypomniał sobie swoją przygodę sprzed godziny i znów poczuł niepokój na myśl, że mundurowi mają na niego zamiary.

– Może jakichś studentów jadą uspokoić. Tych ze szkoły pożarniczej z Radomia na przykład – kierowca zerknął w lusterko wsteczne i przez chwilę śledził wzrokiem oddalającą się kolumnę ciężkich wozów.

– Tych to już dziesięć dni temu spacyfikowali.

– Co pan powiesz! – zdziwił się kierowca i popatrzył na Rafała z niedowierzaniem.

– Nawet nie słyszałem. Ale człowiek cały czas w drodze albo na załadunku, a jak już wraca do domu, to myśli tylko o spaniu.

– Załatwili ich desantem z powietrza. Jak w jakimś amerykańskim filmie.

– Bo szkoła mundurowa to jednak nie przelewki – zauważył sentencjonalnie kierowca. – Zresztą... zawsze chyba lepiej się uczyć niż strajkować. Bo co przyjdzie ze strajkowania w naszym ustroju? Tylko kłopoty.

– I dlatego właśnie my w poniedziałek wracamy na uczelnię – Rafał podchwycił sentencjonalny ton swojego przypadkowego towarzysza podróży.

Zaczęła go ogarniać senność, ale zmusił się, żeby jeszcze przez chwilę odpowiadać na pytania kierowcy, coraz bardziej zasnym głosem. A w końcu głowa opadła mu na oparcie i zapadł w niespokojny sen, w którym znów uciekał przed goniącymi go żołnierzami, zapadając się w kopnym śniegu.

Obudziła go głośna muzyka. Nadal panowała ciemność, ale Rafałowi wydawało się, że niebo na wschodzie już się lekko rozjaśniło.

– Zasięg wrócił – ucieszył się kierowca i pokręcił gałką, żeby ściszyć radio. – Tylko dlaczego oni tak smętnie grają? Umarł ktoś czy co? Może ten ruski, ten ich... Breżniew?

– Chopina puszczają nad ranem? – zdziwił się Rafał i ziewnął. – Jak ktoś umarł, to chyba nie Breżniew, bo wtedy pewnie *Międzynarodówkę* by puszczali albo hymn ZSRR.

Dźwięki fortepianu umilkły nagle, więc obydwaj się ucieszyli, że usłyszą jakąś inną muzykę, ale zamiast tego rozległ się charakterystyczny głos generała Wojciecha Jaruzelskiego:

„Obywatelki i obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej! Zwracam się dziś do Was jako żołnierz i jako szef rządu polskiego. Zwracam się do Was w sprawach wagi najwyższej. Ojczyzna nasza znalazła się nad przepaścią. Dorobek wielu pokoleń, wzniesiony z popiołów polski dom ulega ruinie. Struktury państwa przestają działać. Gasnącej gospodarce zadawane są codziennie nowe ciosy. Warunki życia przytłaczają ludzi coraz większym ciężarem. Przez każdy zakład pracy, przez wiele polskich domów, przebiegają linie bolesnych podziałów”.

– Nosz, kurwa, co znowu się odpierdziela?! – zawołał kierowca i już nie wydawał się takim stoikiem jak wcześniej.

(...)

Anna spała krótko, niespokojnym snem, cały czas przewracając się z boku na bok i walcząc z dziwnym, utrudniającym oddychanie ciężarem, który czuła na piersiach. Obudziła się zlaną zimnym potem, z dziwnie trzepocącym sercem. Przez chwilę leżała na wznak, patrząc w sufit i usiłując sobie przypomnieć swój sen. Zanim jednak sobie przypomniała, znów zasnęła.

Obudziły ją dochodzące z przedpokojów odgłosy. Brzmiały jak szuranie odsuwanej komody, którą wieczorem zastawiły drzwi wejściowe. Zerwała się na równe nogi, bo przyszło jej do głowy, że ktoś próbuje się włamać do mieszkania. Szukając po omacku kontaktu, rozpoznała głos pani Krystyny:

– ...ale wojenny, na pewno wojenny? Może wyjątkowy.

Wybiegła z pokoju. W szparze drzwi na korytarz zobaczyła zapłakaną twarz Karoliny.

– Co się dzieje, Karolcia?

– Ania, oni zrobili jakiś stan wojenny... wojenny rozumiesz! Czyli wojna jest – załkała Karolina.

– Czekaj, Karolcia.

Z pomocą pani Krystyny odsunęła komodę na tyle, że Karolina mogła wejść do środka.

– Co się dzieje? Jaki stan wojenny? Skąd wiesz, przecież nic nie działało.



– Ale już działa. Mama nie mogła spać i włączyła telewizor. A tam ten ślepy spawacz [*Tak nazywano gen. Jaruzelskiego z powodu ciemnych okularów, które nosił.*] bredzi coś o stanie wojennym. Chodźcie zobaczyć. Zostawimy nasze drzwi otwarte, to będziemy słyszeć, jakby ktoś się tu kręcił.

W mieszkaniu Kosaczów błada jak ściana pani Emilia stała naprzeciwko telewizora, z którego ekranu generał beznamiętnym, suchym głosem oznajmiał właśnie: „Niech nikt jednak nie liczy na słabość lub wahanie. W imię interesu narodowego dokonano zapobiegawczo internowania grupy osób zagrażających bezpieczeństwu państwa. W grupie tej znajdują się ekstremalni działacze „Solidarności” oraz nielegalnych organizacji antypaństwowych”.

– Jak oni mogli? Ania, jak oni mogli? – zaskąkała Karolina i przytuliła się do jej ramienia.

– Czyli oni uznali, że Władek zagraża bezpieczeństwu państwa?... bezpieczeństwu państwa? – zapytała pani Krystyna z bezbrzeżnym zdziwieniem w głosie.

„Pełna lista zostanie opublikowana. Będziemy konsekwentnie oczyszczać polskie życie ze zła – bez względu na to, gdzie się ono rodzi”.

– Ale jak „stan wojenny”, to przeciw komu ta wojna?

– Przeciw narodowi...

„To chyba jakiś zły sen” – pomyślała Anna i przyszło jej do głowy, że powinna być w tej chwili na Krowoderskiej. Jednocześnie zdała sobie sprawę, że w głębi duszy zazdrości ciotce, która na pewno jeszcze o niczym nie wie i może spędzić kilka spokojnych godzin, nie patrząc w czarne okulary generała. Miała do siebie żal, że będzie musiała przerwać jej tę błogą nieświadomość, ale wiedziała, że najlepiej, aby ciotka nie była sama, kiedy włączy telewizor. Zerknęła na zegar nad drzwiami – dochodziła siódma.

– Muszę iść, pani Krystyno. Martwię się o ciocię. Niech lepiej dowie się ode mnie, zanim zobaczy tego spawacza w telewizji.

Przed bramą otoczyła ją lodowata, lepka mgła. W tej mgle ulica wydawała się jeszcze bardziej ciemna i ponura niż poprzedniego wieczoru. Ciemno było tu zawsze, a w niedzielne poranki zwykle też pustawo, ale nigdy tak pusto i smutno jak teraz. Anna miała wrażenie, że świeci się jeszcze mniej latarń niż zwykle, a te, które się świecą, dają dziwnie przytłumione światło. Nawet śnieg wydawał się jej nienaturalnie szary. Skrzyział pod butami, jakby coś zawodziło. Porywy wiatru huczącego w koronach ogołoconych z liści drzew parę razy wzięta za dźwięki zbliżających się milicyjnych syren. W pewnej chwili w głębi ulicy zamajaczyła jej jakby kolumna samochodów na sygnale, ale potem nie wiedziała już, czy rzeczywiście jechały z włączonymi „kogutami”, czy tylko tak jej się wydawało, bo jakieś migające neony odbiły się w witrynach po drugiej stronie ulicy.

Przed ciemnym i opustoszałym Collegium Novum zauważyła grupę ludzi. Gdy podeszła bliżej, okazało się, że to wojskowy patrol zatrzymał i legitymował kilka osób. Anna zwołniała i starała się uchwycić coś z ich rozmowy. Przyszło jej do głowy, że na wiadomość o stanie wojennym jakaś grupa strajkujących wcześniej studentów postanowiła

wrócić do Novum, aby kontynuować protest. W ciemności trudno jej było rozpoznać twarze pod zimowymi czapami, ale legitymowani wyglądali na młodych ludzi. Zwolniła jeszcze bardziej.

– Przechodzić, przechodzić! – krzyknął w jej stronę jeden z żołnierzy. Tak ją zaskoczyło, że stanęła jak wryta i ze strachu nie mogła zrobić nawet kroku. Żołnierz ruszył w jej kierunku.

– Spierdalaj, ale to już! – wrzasnął.

Dopiero to ją otrzeźwiło. Odwróciła się przerażona i zaczęła biec przed siebie, ślizgając się na świeżym śniegu. Wydawało się jej nawet przez chwilę, że żołnierz biegnie za nią, ale to było tylko echo jej kroków roznoszące się po pustej ulicy. Kątem oka zauważyła, że plakaty z „Napłotnika”, pozrywane i potargane, leżą w śniegu. Zdyszana dobiegła do rogu świętej Anny i tam, wyczerpana, przystanęła. Nie była w stanie iść dalej. Poczula, że pod ciężkim kożuchem jest cała mokra, bardziej chyba ze strachu niż z wysiłku. Zimne powietrze paliło ją w gardle. Odpoczywała oparta o ścianę, gdy nagle tuż przed nią z mgły wyłonił się chudy mężczyzna w ciemnym zimowym płaszczu i czarnym kapeluszu na głowie. Miał bladą twarz, jakby odplynęła z niej cała krew, i płonące gorączką oczy.

– *Finis Poloniae, finis Poloniae* – wyszeptał w jej stronę i poszedł dalej dziwnie chybliwym krokiem. Wydawało się, że zaraz wywróci go poryw wiatru. Po chwili nie była już pewna, czy naprawdę tam był, czy tylko jej się przywidział.

Na Rynku Głównym było zupełnie pusto. Anna nigdy jeszcze nie widziała tak pustego Rynku. Zawsze ktoś tu się kręcił, nawet w środku nocy. Przemknęła szybko obok Pałacu pod Baranami, Delikatesów i „Hawelki”. Dopiero na Sławkowskiej spotkała kilku przechodniów. Była już prawie na Plantach, gdy zobaczyła kolejny wojskowy patrol. Przyspieszyła kroku, mając nadzieję, że szybko go minie, ale jeden z żołnierzy uznał chyba za podejrzane, że nagle zaczęła się tak spieszyć.

– Stać! Dokumenty!

Próbowała odsunąć zamek błyskawiczny i wyciągnąć dowód, ale ręce jej się trzęsły i torba wylądowała na chodniku. Książki dla Adama i dla ojca, które miała na wierzchu, rozsypały się po śniegu. Żołnierz popatrzył najpierw na nią, a potem na leżące w brudnym śniegu książki. Kopnął jedną z nich.

– No i co, kurwa? Jak teraz wygląda ta wasza „Solidarność”!?

Drugi z żołnierzy, który sprawdzał dokumenty i siatkę jakiejś starszej kobiety, szybkim ruchem wcisnął staruszcze do rąk dowód osobisty i ruszył w ich stronę.

– Uspokój się, Marian! – poślizgnął się na zbitym śniegu i zahamował tuż obok swojego kolegi.

– Szeregowiec, baczność! Niech pani idzie, szybko! – warknął w stronę Anny, ale dziewczyna schyliła się, żeby pozbierać rozsypane książki. Wciąż jej wypadaly z trzęsących się rąk, a serce biło jak oszalałe. Kiedy udało się jej w końcu wepchnąć je do torby, poczuła, że jakaś silna ręka podnosi ją i pcha w ciemność.

– Idźże, kobieto!

(...)

Darek zatrzymał się przed bramą i rozglądnął niezdecydowany. Przez chwilę zastanawiał się, czy iść w lewo, w stronę mostu Dębnickiego, a stamtąd dotrzeć na AGH, czy może w prawo i pojechać tramwajem na dworzec, skąd za niecałą godzinę odjeżdża autobus do Stalowej Woli. W końcu stwierdził, że najlepiej zrobi, jak wpadnie do akademika po sprzęt, a potem od razu ruszy w góry. Wyobraził sobie, jak wychodzi z mgły na Kondratowej. Był pewien, że na wysokości 1300 metrów świeci słońce. Jeśli szybko się zbierze, to o jedenastej powinien być już w Kuźnicach. Przedzieranie się przez śnieg, zmęczenie wędrówką i widoki na szlaku dobrze mu zrobią po kapitulacji strajku.

„Do domu zawsze zdążę pojechać” – pomyślał, choć uwierało go trochę wspomnienie smutnych oczu Asi.

Stał na przystanku niedaleko mostu Dębnickiego, żeby podjechać ten kawałek do „Żaczka”, jednak przez dłuższą chwilę nie pojawił się żaden autobus. Nie mógł sprawdzić, o której będzie najbliższy kurs, bo ktoś zdarł rozkład jazdy z tabliczki na słupku. Na szczęście zielona kurtka okazała się lekka i nie przepuszczała wiatru, więc Darek ciepło pomyślał o pani Irenie. Rozglądnął się i wydało mu się, że na ulicach panuje jakaś dziwna pustka, ale potem przypomniał sobie, że przecież jest niedziela. Pewnie dlatego autobusy jeżdżą tak rzadko. A może z powodu mrozu w ogóle nie wyjechały na trasę?

– Cholera! – zaklął, zarzucił plecak na jedno ramię i ruszył w stronę mostu. Minęła go pusta taksówka, ale nie zatrzymał jej, bo jednak szkoda mu było kasy. Przed mostem zobaczył jakiś dziwny patrol. Mieli kurtki moro i w zasadzie – gdyby nie broń na ramieniu – z daleka wyglądali jak żołnierze na przepustce. Pomyślał nawet, że to dziwne, że teraz wojsko nosi spluwy na ulicach. Szedł jednak pewnym krokiem na wprost nich i już myślał, że przejdą obok i pójdą w swoją stronę, gdy nagle zrobili „w prawo zwrot”, jakby im się coś przypomniało.

Obstąpili go naokoło i zażądali dokumentów. Wydało mu się to trochę dziwne, ale postanowił nie dymić. Mieli zupełnie inne mundury, ale przyszło mu do głowy, że może to żołnierze z WSW, którzy podejrzewają, że jest na przepustce i zamiast wracać do koszar, włóczy się po mieście.

Dowódca patrolu zerknął w jego dowód, a potem wyciągnął z raportówki notes i zaczął coś sprawdzać, przerzucając kolejne kartki. W końcu schował notes, popatrzył na Darka badawczo i rzucił krótkie:

– Otworzyć plecak!

Darek patrzył zaskoczony, jak wojskowy grzebie w jego brudnych ciuchach. Włożył rękę głębiej, ale zanim namacał gazetki od Jerzego, musiał trafić ręką na wilgotną koszulę, która nie zdążyła wyschnąć przy piecu. Z wyraźnym niesmakiem cofnął rękę i wyprostował się, rzucając plecak na chodnik.

– Możesz iść – machnął ręką.

– Ale o co chodzi? Co się dzieje? – nie mógł zrozumieć Darek.  
 – Coś ty się, człowieku, z choinki urwał? Stan wojenny przecież jest. Idź do domu i włącz telewizor.

(...)

Annie nie udało się wejść niepostrzeżenie do mieszkania. Okazało się, że to nie ona przyniosła ciotce złe wieści. Pani Irena zwykle w niedzielę spała trochę dłużej, ale tym razem coś obudziło ją jeszcze przed świtem. Może niepokój przed czekającą ją uroczystością albo jakieś odgłosy zza okna. Kiedy Anna, starając się robić jak najmniej hałasu, otworzyła wejściowe drzwi, pani Irena jak skamieniała siedziała przed telewizorem w salonie. Bez słowa padły sobie w ramiona. W tej chwili nie było ważne, że Anna jej nie posłuchała i nie pojechała do Bochni, ani nawet, gdzie była i co robiła przez całą noc, tylko to, że żyje i jest bezpieczna. Ciotka wyglądała, jakby postarzała się od wczoraj o dziesięć lat.

Z ekranu telewizora po raz kolejny wygłaszał przemówienie generał Jaruzelski.

„Awanturnikom trzeba skrępować ręce, zanim wtrącą ojczyznę w otchłań bratobójczej walki”.

– Słyszysz, ciociu. Oni sami sobie zamierzają skrępować ręce – Anna przerwała przygnębiającą ciszę żartem, bo czuła, że sama zaczyna pograżać się w depresji.

Pani Irena co chwilę podchodziła do okna i wyglądała przez szparę między firankami. Teraz odwróciła się w stronę Anny i pokiwała głową:

– Bo w otchłań bratobójczej walki już nas wrzucili. A nie wiadomo, co jeszcze się wydarzy.

– Ale co to znaczy „stan wojenny”? – Anna przyniosła sobie z kuchni szklanek mleka i jakąś czerstwą drożdżówkę, ale nawet jej nie tknęła. – Jeśli „wojenny”, to chyba jednak Rosjanie przyszli nas wyzwolić od ekstremy z „Solidarności”!

Zamilkły obydwie, jakby przestraszone dźwiękiem tych słów.

– Wtedy pewnie nie Jaruzelski by przemawiał, tylko całkiem ktoś inny – powiedziała w końcu pani Irena, ale nie zabrzmiało to przekonująco. Znów odwróciła się w stronę okna i przez szparę zerknęła na ulicę. „Jakby wypatrywała rosyjskich czołgów” – pomyślała Anna.

– To dlaczego „stan wojenny”? – upierała się dziewczyna. – Czyli, że jest jakaś wojna.

– Komunisci nie są tacy głupi, jak nam się czasem wydaje, i dobrze wiedzą, że słowa mają magiczną moc. Słowo „wojna”, nawet jeśli się go użyje jako przymiotnika, ma porażającą siłę. Działa paraliżująco na wszystkich, i na starych, i na młodych. Pewnie chcą w ten sposób obezwładnić i zastraszyć wszystkie pokolenia „Solidarności”. Tym starszym ma podsunąć wspomnienia z młodości i dzieciństwa, do których nigdy nie chcieliby wrócić, tym młodszy – przypomnieć wszystkie przerażające rzeczy, o których czytali w wojennych książkach i podręcznikach do historii. A wszystkim – odebrać nadzieję, siłę, energię, chęć do walki i jakichkolwiek protestów. Bo przez czter-

dzieści lat wmawiali nam dzień w dzień, że wojna to najgorsze, co może się zdarzyć.

– Myślisz, że to tylko chytry wybieg tej ich wojskowej rady, żeby bardziej przestraszyć ludzi? Że to nie prawdziwa wojna?

– Prawdziwa. Ale myślę, że to nie Rosjanie nam ją wypowiedzieli, tylko beton z PZPR. Ciekawe, czy jutro będzie można kupić chociaż chleb i mleko? Nie mamy żadnych zapasów – ciotka znów poderwała się z krzesła i ruszyła w stronę okna. Przez kolejne dwie godziny zrobiła to jeszcze kilkanaście razy. Annie przyszło do głowy, że chce w ten sposób ukarać się za to, że niewystarczająco aktywnie zaangażowała się w „karnawale”. Oczywiście zapisała się do „Solidarności”, ale działalność w środowisku rodzin katyńskich zabierała jej tyle czasu, że w pewnej chwili stwierdziła, że „Solidarność” bez niej na pewno sobie poradzi.

„Nie poradziła sobie bez niej, ale przecież z nią też by sobie nie poradziła” – pomyślała i, przełamując własną niemoc i odrętwienie, zaproponowała:

– Może coś zjemy? I trzeba tu napalić.

Ale ciotka tylko machnęła ręką.

– Boże, co z Adamem?

– Ciociu, gdyby coś złego się stało, to na pewno byśmy się dowiedziały.

– Jak?

– Mama już by znalazła jakiś sposób. Telegram by wysłała.

– Jesteś pewna, że telegramy dochodzą?

W tej sytuacji nikt niczego nie mógł być pewny.

Przemówienie generała, najwyraźniej nagrane wcześniej, powtarzano w kółko wiele razy. Pomiędzy poszczególnymi odsłonami z odbiornika dobiegały dźwięki muzyki poważnej.

– Nawet Chopina wciągnęli do swojej brudnej rozgrywki!

W tym momencie usłyszały pukanie do drzwi, najpierw cichutkie, potem nieco głośniejsze. Obydwie pomyślały o tym samym i popatrzyły na siebie z niepokojem w oczach.

– Jezu mój... Może to po ciebie.

Kiedy jednak nic się nie wydarzyło, a za drzwiami nadal panowała uspokajająca cisza, Anna pomyślała, że milicja robiłaby więcej hałasu i już pewnie rozbijałaby zamki. Gdy w końcu otworzyła drzwi, ich sąsiadka, pani Halinka, stawiała właśnie stopę na pierwszym stopniu schodów prowadzących na trzecie piętro.

– Jesteście – westchnęła z ulgą i przygarnęła Annę do siebie. – Już się martwiłam o ciebie.

– Ja nie byłam nikim ważnym w NZS-ie. Tylko należałam.

– A wiadomo to, według jakiego klucza oni działają – zachnęła się kobieta. Wypuściła Annę z objęć i westchnęła. – A jeśli biorą ze względu na rodzinę?

„Faktycznie, to by wyjaśniało, dlaczego wzięli pana Władka. Ze względu na legendę jego brata” – pomyślała Anna. Nie wiedziała jednak o współpracy pana Władysła-

wa z KPN-em i przesyłanych przez Warszawę do Wolnej Europy komunikatach, w których opisywał konflikty i układy w Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Na dole głucho strzeliła zamykana przez kogoś brama.

– Nie rozmawiajmy tu – zreflektowała się pani Irena. – Chodź do nas na herbatę.

Weszły w trójkę do salonu, gdzie nadal na ekranie telewizora produkował się generał.

Pani Halina zostawiła swoje palto w rękach przyjaciółki i szybko, jeśli się wzięło pod uwagę jej tuszę, podbiegła do odbiornika. Wyłączyła go zdecydowanym ruchem.

– Błagam, nie katujcie się tym ślepym Pinochetem. Już nic nowego się nie dowiecie. Lepiej włączcie Wolną Europę. Teraz trzeba się zastanowić, co dalej.

Anna popatrzyła na panią Halinę z niedowierzaniem. Zwykle to ciotka była tą energiczną i nieugiętą.

– Jak możemy coś planować, jeśli nawet nie wiemy, kto nas tak urządził? – westchnęła. – Polska hołota czy przyjaciele ze wschodu?

– A co to za różnica? Trzeba przede wszystkim zbierać informacje o tym, co się dzieje – pani Halina zamilkła, jakby zastanawiając się nad czymś. – I dotrzeć do rodzin tych aresztowanych. Ludzie w kościele mówili, że ich... że wywożą ich gdzieś na wschód.

– Na wschód?

– Ludzie mówią, że do Sowietów. Że tam będą internowani. Jako zakładnicy. Irenka, czy to się kiedyś skończy? – spytała zduszonym głosem i westchnęła. – Który to już raz za naszego życia?

– Siadaj, kochana, napijesz się herbaty. Cała przemarzałaś. Zobacz, w siedemdziesiątym też w grudniu strzelali. Za kilka dni będzie rocznica.

– Przestańcie! – wtrąciła się obcesowo Anna. – Teraz nikt na szczęście nie strzela!

„Na razie?” – pomyślała pani Irena, ale nic nie powiedziała.

Wśluchały się razem w charakterystyczny, łatwo rozpoznawalny głos spikera Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa i z powodzi świstów i trzasków udawało im się wyłowić niektóre zdania:

„W całym kraju obowiązuje od północy stan wojenny zarządzony przez Wojskową Radę Ocalenia Narodowego. Oznajmił o tym szef PZPR i premier, Wojciech Jaruzelski w przemówieniu nadanym... wyznaczono komisarzy wojskowych na wszystkich szczeblach administracji państwowej. Publiczne połączenia telefoniczne i teleksowe z Warszawą zostały przerwane wczoraj późnym wieczorem... Jaruzelski ujawnił, że internowano pewną grupę ludzi, jak twierdził: zagrażających bezpieczeństwu państwa... zarzucił „Solidarności”, że nie zasiadła do wspólnego stołu obrad na temat porozumienia narodowego. Twierdził też, że istniało jawne dążenie... Dodał, że żadnego z polskich problemów nie można na dłuższą metę rozwiązać przemocą... dodał też, że doceniają patriotyczne stanowisko Kościoła... podkreślił znaczenie sojuszu ze Związkiem Radzieckim i... powiedział, że zarządzenia w Polsce nie zagrażają nikomu... ocalenie kraju przed chaosem i zachowanie socjalistycznych przesłanek odnowy... w tym refor-



my gospodarce... zawieszono działalność związków zawodowych. ...poczynając od dziś wszystkie stacje radiowe i rozgłoszenie telewizyjne będą miały scentralizowane programy. Lokalne stacje radiowe i telewizyjne zaprzestaną działalności..."

– Byłyście już w kościele?

– Nie, jeszcze nie.

Pani Halina w każdą niedzielę chodziła na ósmą do św. Floriana.

– Dopiero na mszy się dowiedziałam. Ale już idąc Filipa, zauważyłam, że pod kościołem stoi radiowóz. A potem ktoś opowiadał, że przyszli przed mszą do proboszcza i instruowali go, co może mówić na kazaniu. Wyobrażacie sobie? I tak modliliśmy się za ojczyznę i śpiewaliśmy *Boże, coś Polskę*. Ale radiowóz cały czas tam stał. – Z niedowierzaniem pokręciła głowę. – To wszystko jest jak zły sen.

Anna zdawała sobie sprawę, że to z jej strony śmieszna małość i żaloszny egocentryzm, ale cały czas prześladowała ją myśl, że przez tę wojnę Jaruzelskiego może bardzo długo nie zobaczyć się z Łukaszem.

(...)

Nad ranem Maćka obudziło walenie do drzwi. Na pograniczu jawy i snu przebiegło mu przez głowę, że przyszli po niego i po Jurka. Tylko jak ich tu znaleźli? Kiedy trochę oprzytomniał, usłyszał zza drzwi mocny męski głos:

– Bronek, otwórz, to ja, Edek!

Wysunął się ze śpiwora i poszedł obudzić pana Bronisława. W drzwiach zderzył się z Lidką.

– Może to jakiś podstęp? – zatrzymała go, kładąc mu dłoń na ramieniu. Była tak blisko, że przez chwilę nie potrafił myśleć o niczym innym, tylko o tej jej cieplej ręce.

– Nie, nie, to mój sąsiad, adiunkt z AGH – pan Bronisław też już się obudził i szedł w stronę drzwi, zawiązując w pośpiechu pasek szlafroka. Lidka szybko cofnęła rękę, a z pokoju wyrzwał rozczochrany i zaspany Jerzy:

– Co się dzieje?

Przybysz opowiadał coś półgłosem panu Bronisławowi, gestykulując nerwowo i co chwilę przerywając, żeby zaczerpnąć tchu. Niewiele z tego można było zrozumieć, dotarły do nich tylko słowa „stan” i „Jaruzelski”.

– Telewizor, włączcie telewizor! – zawołał w ich stronę pan Bronisław i dalej rozmawiał z mężczyzną oparty o framugę.

Maciek zniknął gdzieś, więc Jerzy z ciężkim westchnieniem podszedł do odbiornika. Co się jeszcze wydarzy tej okropnej nocy? Nie wiedział, ile spali, ale pewnie niewiele, bo za oknami nadal było ciemno. Pomimo ich głośnych protestów wujek Bronisław oddał jemu i Maćkowi swoją wersalkę, Lidkę umieścił w malutkim pokoiku, który służył mu za gabinet, a sam przeniósł się na polówkę do jeszcze mniejszej kuchni.

Ekran starego „Neptuna” przez chwilę śnieżył, a potem pojawiły się na nim jakieś nieregularne, szybko przesuwane się w górę pasy. Jerzy kilka razy potrząsnął zaczę-

pioną o regał anteną, aż w końcu zobaczył twarz generała Jaruzelskiego i usłyszał słowa, od których zrobiło mu się zimno.

„Wielki jest ciężar odpowiedzialności, jaka spada na mnie w tym dramatycznym momencie polskiej historii. Obowiązkiem moim jest wziąć tę odpowiedzialność – chodzi o przyszłość Polski, o którą moje pokolenie walczyło na wszystkich frontach wojny i której oddało najlepsze lata swego życia. Ogłaszam, że w dniu dzisiejszym ukonstytuowała się Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego. Rada Państwa, w zgodzie z postanowieniami Konstytucji, wprowadziła dziś o północy stan wojenny na obszarze całego kraju”.

Usłyszał za sobą coś jakby szloch czy głośne westchnienie. Obejrzał się. Lidka i Maciek stali tuż za jego plecami. Maciek nerwowo szarpał brodę, a Lidka znieruchomiała z twarzą ukrytą w dłoniach.

Wujek Broniek wszedł do pokoju i osunął się na tapczan, jakby zabrakło mu sił. W zupełnej ciszy, jak gdyby jeszcze niedowierzając, słuchali słów płynących z telewizora:

„W imię interesu narodowego dokonano zapobiegawczo internowania grupy osób zagrażających bezpieczeństwu państwa. W grupie tej znajdują się ekstremalni działacze „Solidarności” oraz nielegalnych organizacji antypaństwowych. Na polecenie Wojskowej Rady internowano również kilkadziesiąt osób, na których ciąży osobista odpowiedzialność za doprowadzenie w latach siedemdziesiątych do głębokiego kryzysu państwa”.

Maciek nerwowo przełknął ślinę, a Lidka przygryzła wargę aż do krwi.

– Cholera! Co teraz? Co robimy? – spytał Maciek i popatrzył pytająco na Jurka, jakby spodziewał się, że ten ma jakiś pomysł i przejmie inicjatywę.

Ale Lidka już się otrząsnęła z pierwszego szoku. Nie czekając na odpowiedź Jerzego, zawołała:

– Jak to co? Wracamy na uczelnię i wznawiamy strajk!

– I co? Będziemy strajkować we trójkę? Przecież ludzie już się rozjechali. Jak ich zawiadomimy, skoro telefony nie działają?

Pan Bronisław westchnął ciężko i klął w duchu na własną prawdomówność i prostonijnność, powiedział cicho:

– Na AGH nie rozwiązali strajku. Wczoraj studenci podjęli decyzję, że nadal strajkują, więc pewnie...

Lidka nie dała mu dokończyć:

– Słyszeliście? AGH strajkuje! Idziemy do nich!

Aż do tej chwili Jerzy miał nadzieję, że weekend z książką nie jest jeszcze bezpowrotnie stracony, że chociaż niedzielę uda się ocalić. Teraz musiał sobie postawić pytanie, co w takiej sytuacji zrobiłby ojciec. Westchnął i poprawił okulary. Odpowiedź była, niestety, zupełnie oczywista.

Maciek miał straszną ochotę wrócić do domu i w końcu, po trzech tygodniach nieobecności, przytulić się do Karoliny. Ale nie mógł przecież pokazać Lidce, że wymięka, bo pomyślałaby, że jest tchórzem.

– Wy macie śpiwory, ale dziewczynę trzeba jakoś wyekwipować – zauważył praktyczny wujek Bronisław. – Nie wiadomo, ile tam będziecie siedzieć.

– Nie ma problemu, ja się zmieszczę w jednym śpiworze z Maćkiem – rzuciła Lidka, a widząc skonsternowanie mężczyzn, wyjaśniła szybko: – Żartowałam przecież!

Pan Bronisław udał, że nie zwrócił uwagi na ten żart. Wyszedł z pokoju i po chwili wrócił z karimatą owiniętą w koc i ściągniętą ciasno paskiem, którego używał do zapinania starej walizki z zepsutym zamkiem.

– Nie mam niestety materaca dmuchanego, ale może to się nada. Tylko co ja wam dam? Karimatę mam tylko jedną.

– Nic nie musisz dawać. Jesteśmy dużymi chłopcami. Poradzimy sobie, mamy śpiwory. Zresztą nie myślę, żeby ktoś w tej sytuacji tam spał.

Lidka, nie wiadomo nawet kiedy, zrobiła kilka kanapek z żółtym serem i ogórkiem kiszonym, bo tylko to znalazła w lodówce pana Bronisława.

– W razie czego kryj nas przed wszystkimi naszymi kobietami – poprosił Jerzy, mając na myśli także rodzinę Maćka. – Na pewno mama tu przyjdzie sprawdzić, co się z nami dzieje. Albo przyśle Karolinę.

– Nie będę czekać, aż przyjdzie. Sam tam pójdę, żeby naprawić te drzwi u Borowiczów. I pomogę pani Krysi poukrywać, co się da. Nie wiadomo, co oni jeszcze będą wyczyniać.

Pożegnał ich znakiem krzyża i westchnął, zamykając drzwi. Pomyślał o tym, co jeszcze złego może się zdarzyć i o tym, że będzie musiał okłamać swoją siostrę.

Kiedy weszli pomiędzy ośnieżone drzewa Parku Krakowskiego, Lidka zrównała się z Maćkiem.

– Przepraszam cię. Że też ja zawsze muszę coś palnąć! Idiotycznie to wyszło. Pan Bronisław mógł sobie pomyśleć, że próbuję cię podrywać. Albo że chcę cię odbić Karolinie.

– I tak nie miałabyś żadnych szans – wypalił Maciek i od razu zrobiło mu się głupio. Nie powinien jej ranić. Przecież go nie rzuciła. Wspólnie podjęli decyzję o rozstaniu. Lidka wiecznie za czymś gnała, cały czas miała jakieś nowe plany i pomysły, a on za bardzo się męczył i frustrował, nie mogąc za nią nadążyć.

– I bardzo dobrze. Za to cię właśnie kochałam, że byłeś zawsze lojalny i wierny.

No, musiał przyznać, że nadal potrafiła kilkoma słowami rozłożyć go na łopatki.

Dziewczyna przyspieszyła kroku i nagle ni stąd, ni zowąd zaczęła nucić półgłosem:

– Hej, sokoły omijajcie góry, lasy, pola, doły...

Jurek postukał się po głowie, a Maciek zaczął dawać jej znaki, żeby przestała, bo przecież w każdej chwili może pojawić się jakiś patrol, ale Lidka w ogóle nie zareagowała.

– No, co sokoły, przecież idziemy w bój? – zażartowała, sama sobie dodając w ten sposób odwagi.

„Wariatka” – pomyślał Jerzy, ale potem przyszło mu do głowy, że każdy po swojemu walczy ze strachem. On miał własne rytuały, które może Lidce wydałyby się śmieszne.

– Jerzy, markietanki jakieś tu grasują – rzucił półgłosem Maciek. – Patrz pan, jakie dzielne dziewczuchy w tym Krakowie.

Było jeszcze coś, co Lidka lubiła u Maćka, poza lojalnością, wiernością i bijącym od niego spokojem. To jego poczucie humoru, o którym on sam mówił, że jest ze Zwierzynca. Starzy lwowiacy od razu jednak rozpoznawali, że to humor z Kulparkowa. Nie znała jego ojca, zresztą nawet Maciek słabo go pamiętał, ale domyślała się, że swoje oryginalne poczucie humoru musiał odziedziczyć właśnie po nim. I lubiła też to, jaki był w łóżku. Może dlatego, że wtedy nie miała jeszcze porównania. Ale teraz już ma, a wciąż tęskni za jego dotykiem. I nie może przestać o tym myśleć, kiedy Maciek jest tak blisko.

W hallu na parterze czteropiętrowego budynku, na którego fasadzie wisiał jeszcze transparent „Strajk trwa”, kłębił się tłum. Widać było, że wiadomość o stanie wojennym już tu dotarła. W przedsionku jakieś dwie dziewczyny łąkały przytulone do siebie. Ktoś próbował przemawiać, stojąc na schodach, ale jego głos niknął w ogólnym hałasie. Część osób miała na sobie wierzchnie okrycia, a w rękach torby i plecaki, ale niektórzy wyglądali, jakby nie zamierzali nigdzie się stąd ruszać.

Przystanęli przy portierni, rozglądając się bezradnie i szukając kogoś, od kogo mogli by się dowiedzieć, czy strajk nadal trwa, czy został rozwiązany, i co postanowiono w związku z sytuacją. Zaczepiali przechodzących, ale każdy mówił im co innego. W końcu ktoś skierował ich na trzecie piętro.

– Zobacz! To Darek – Maciek wskazał w stronę grupy ludzi tłoczących się w otwartych drzwiach do jednej z sal.

– Coś ty! Przywidziało ci się.

Ale Maćkowi znów mignęła w tłumie kędzierzawa głowa Darka.

– No, sam zobacz.

Przepchali się w jego stronę.

– No, chłopie, niedaleko ujechałeś.

– O, kopę lat! Co was przygnało, chłopaki? – zażartował Darek, ale popatrzył na kolegów z uznaniem. Nie spodziewał się, szczególnie po Jurku, że w takiej sytuacji po jednym strajku od razu zameldują się na drugim. Szczególnie, że teraz to już nie były przelewki. – Trochę się, kurwa, pozmieniał od wczoraj.

– No... Co się tu mówi? Myślicie, że zrobili to sami czy może poprosili przyjaciół z Moskwy o pomoc?

– Jeśli poprosili, to niech nas Pan Bóg ma w swojej opiece...

– Przyszliśmy was wesprzeć, ale ktoś na parterze mówił, że strajk już rozwiązany.

– Tak, rozwiązany – przyznał niechętnie Darek – ale tu się wszystko zmienia jak w kalejdoskopie. Ostatnia informacja jest taka, że kto chce, może zostać, a kto chce – iść do domu, ale nie wiem, czy jednak nie każą wszystkim się zbierać. Tak że chłopaki na razie znajdźcie sobie jakąś miejscówkę i zobaczymy, jakie będą ustalenia.

– My tu mamy też koleżankę – przypomniał sobie Maciek i zaczął rozglądać się za Lidką.  
 – Mnie szukasz? – dziewczyna wyglądneła zza pleców Darka. – Jestem Lidka. Przydamy się tu na coś?

Darek zastanawiał się przez chwilę.

– Żeby nie robić tu jeszcze większego bałaganu, możecie wrzucić swoje bety do którejś sali. I tak musimy czekać na jakieś ustalenia. A ty, Jerzy, powinienesz robić to, do czego się najlepiej nadajesz.

– To znaczy?

– Podtrzymywać ducha. Najlepiej budującymi przykładami z czasów okupacji i drugiej konspiracji. Jakimiś w miarę optymistycznymi. O Polskim Państwie Podziemnym, o akcjach, które się udały i o wszystkim, co może ich podnieść na duchu – ruchem głowy wskazał na kocujące pod ścianami dziewczyny. Blade z niewyspania, siedziały skulone nad swoimi plecakami, jakby zupełnie nie wiedziały, co mają teraz ze sobą zrobić. Obok nich stało kilku chłopaków nerwowo palących papierosy i rozglądających się wokół w napięciu i milczeniu, z dość nietęgimi minami.

Jurek pokiwał głową. Pomyślał, że to miłe, iż Darek docenił go w tej kwestii, ale podtrzymywanie ducha w takich ponurych okolicznościach pewnie byłoby za trudne nawet dla majora.

Darek nie byłby jednak sobą, gdyby nie wbił mu przy okazji jakiejsz szpili:

– Nareszcie się na coś przydadzą te wasze krakowskie rodzinne bajania.

Maciek z Darkiem wcisnęli się do sali, w której trwały burzliwe dyskusje nad tym, co powinno się i co można zrobić w takiej sytuacji, a Jerzy kręcił się po schodach i korytarzach, rozmawiając z ludźmi. Kogoś pocieszył, komuś dał swoją chusteczkę, innemu pomógł spakować plecak, jeszcze innemu podarował jedną z kanapek zrobionych przez Lidkę, a zapłakany dziewczynom w przedsiionku długo tłumaczył, że Zachód na pewno Polski nie zostawi. Nie miał jednak pomysłów, co odpowiadać na pytania „Co dalej?“, „Co teraz robić?“, „Czy to naprawdę wojna?“, „Co będzie z NZS-em?“ Nie zauważył nawet, kiedy zrobiło się jasno. Na parterze było już trochę luźniej. Część studentów poszła do domów, inni wyszli na zewnątrz i stali na schodach do budynku, rozprawiając o czymś z żywnieniem. Niektórzy nadal siedzieli pod ścianami albo kręcili się po korytarzach, czekając na ustalenia Komitetu Strajkowego. W pewnej chwili na schodach Jurka potrafił jakiś dryblas, który przeskakując po dwa stopnie biegł na górę, wołając:

– Autobusy już przyjechały! Kto chce jechać, musi się pospieszyć!

– Jakie autobusy? – szarpnął chłopaka za ramię z taką siłą, że omal obaj się nie przewrócili. W pierwszej chwili Jurek pomyślał, że z tych autobusów będą budować barykadę przy wjeździe na teren uczelni albo przed wejściem do C4 i ogarnął go strach.

– Autobusy z MPK przystali dla tych, którzy chcą jechać do huty – rzucił dryblas zdyszany głosem.

– Do huty? Huty Lenina? Po co? – zdziwił się Jurek, ale chłopak mu nie odpowiedział. Wyrwał się i pobiegł dalej, zostawiając go na szczycie schodów. Jerzy zaklął pod nosem i ruszył na poszukiwanie Darka. Kto jak kto, ale on na pewno wie, co się dzieje.

Znalazł go w sali, gdzie wcześniej zostawili bagaże. Klęczał na śpiworze, zbierając z podłogi wszystkie swoje manatki. Upychał je byle jak w plecaku, rozmawiając jednocześnie ze stojącym obok szczupłym chłopakiem. To właśnie Szymon przyniósł mu przed chwilą wiadomość o możliwości wyjazdu do kombinatu.

– Wiesz, o co chodzi z tymi autobusami? – spytał Jerzy, przerywając im rozmowę. Schylił się i pomógł Darkowi dociągnąć pasek od kłapy.

– Dzięki! Taki pomysł się urodził, że ci, co chcą dalej strajkować, mogą jechać w przeciwną stronę hutników – Darek podniósł się gwałtownie z podłogi.

– Komuś udało się nawiązać kontakt z MPK, a oni przysłali tu po nas autobusy – dorzucił Szymon zza pleców Jurka. – Idę po swoje rzeczy.

– To hutnicy nie dadzą sobie rady bez ciebie? – Jerzy czuł się już tak zmęczony brakiem snu, hałasem i ciągłą niepewnością, co się zdarzy dalej, że sarkazm włączył mu się automatycznie.

Darek zatrzymał się w pół gestu ze śpiworem trzymany przed sobą w obu rękach.

– Myśl trochę, kurwa! Przecież jak tu przyjadą, to nakryją nas kapeluszem. A tam można bronić się... tygodniami.

– Tygodniami powiadasz...? – Maciek stanął obok nich. Wiedział już o akcji wyjazdu do huty i zupełnie mu się to nie podobało. Przyłączenie się do AGH-owskiego strajku jeszcze mieściło mu się w głowie, nawet w obliczu możliwego zbrojnego ataku na budynki. Ale zamykanie się w kombinacie, w zupełnie nieznanym otoczeniu, i proszenie się o kłopoty, to już było stanowczo za dużo jak dla niego – nawet w takiej sytuacji.

– W każdym razie tam możemy się przydać – zauważył Darek. Przywiązał śpiwór do bocznej kieszeni i zarzucił plecak na jedno ramię.

– A gdzie indziej nie? – Maciek miał zgnębiony i niepewny wyraz twarzy. Nie chciał dezerterować jak tchórz, ale nie uśmiechało mu się czekać na pacyfikację huty. Przecież z robotnikami zawsze bardziej krwawo się rozprawiali niż ze studentami. Zresztą on powinien zaopiekować się Lidką.

– A jak hutę rozbiją, to przedrzesz się do kopalni „Piast”? – zakpił Jerzy.

– Przedrę się tam, gdzie będę mógł się przydać. Jedziecie czy nie? – zdenerwował się Darek.

Do sali zaglądnął ten sam dryblas, którego Jerzy spotkał na schodach.

– Jak ktoś chce jechać, to odjazd za dziesięć minut spod A1! – zawołał. Zza jego pleców wyłonił się Szymon.

– Idziesz? – zawołał do Darka, a nie słysząc odpowiedzi, podszedł do niego, roztrącając ludzi na boki, i powiedział niecierpliwie: – Trzeba się spieszyć, bo w każdej chwili mogą tu wjechać. Autobusy czekają. A wy, chłopaki?



Popatrzyli po sobie, jakby czekając wzajemnie, że to ten drugi podejmie decyzję, i w końcu żaden z nich się nie zdecydował, żeby jechać. Maciek przypuszczał, że i tak będzie musiał się długo tłumaczyć w domu, w jaki sposób i dlaczego znalazł się na agi-howskim strajku. Karolina z matką będą mu na pewno przez długie miesiące wspominać, że nie został u pana Bronka i nie wrócił od niego prosto do domu. Nie czuł się na siłach stawić im czoła w kolejnej sprawie. A Jerzy znów zadał sobie pytanie, co zrobiłby ojciec. I teraz już nie potrafił na nie jednoznacznie odpowiedzieć. Może major pojechałby do kombinatu i wspierał hutników, a może właśnie uznałby, że nie należy tak głupio się narażać i bardziej przyda się na zewnątrz. Jerzy wiedział jednak na pewno, że kombinat to nie miejsce dla niego i że prawdopodobnie nawet nie wiedziałby, co ma tam robić, jak się zachowywać i jak rozmawiać z tymi robotnikami.

Obaj złapali jednak w pośpiechu swoje kurtki i zbiegli na dół w ślad za Darkiem. Mimo mgły od razu dostrzegli kilka stojących przed A1 autobusów i tłumek ludzi wokół nich. Pojazdy były już prawie pełne, ale wciąż ktoś do nich wsiadał. Przed jednym z nich Darek rozprawiał o czymś z Szymonem.

– Trzymaj się i nie daj – Jerzy objął go niezdarnie i uściśkał. Głowę miał akurat na wysokości ramienia Darka, więc wyglądało to trochę komiczne. Jakby próbował się schronić pod jego opiekę.

Maciek poklepał Darka po plecach.

– Uważaj na siebie. I nie szarżuj!

– Spoko! Trzymajcie się obaj!

W tej chwili zobaczyli biegnącą od strony C4 Lidkę. Pod pachą ścisnęła pożyczoną od pana Bronisława karimatę owiniętą w koc, a na ramieniu huśtała się jej torba, którą zabrała z domu. Przystanęła obok nich zdyszana.

– Bałam się, że nie zdążę. Jadę z wami!

– To z Darkiem, nie z nami – wyjaśnił Jerzy i wydawało mu się, że w oczach dziewczyny zobaczył błysk zawodu.

– Chcecie tu czekać aż wjadą?

– A ty chcesz narażać się na ścieżkę zdrowia w kombinacie? Tam się nie będą patyczkować ze studentami. A twój brat mi głowę urwie, jak się dowie, że cię puściłem – zdenerwował się Maciek. Przez chwilę nawet zastanawiał się, czy w takiej sytuacji nie powinien pojechać razem z nią. Przecież to on wyciągnął ją z domu i teraz czuł się za nią odpowiedzialny. Długo sobie potem wyrzucał, że rozsądek podpowiedział mu co innego.

Lidka popatrzyła na Maćka i uśmiechnęła się. W jej zielonych oczach zobaczył isierkę dobrze mu znanego szaleństwa, które tak go kiedyś denerwowało, ale za którym podświadomie wciąż tęsknił.

– Nie urwie, nie urwie. Pomyśl sam, przecież gdybyśmy zostali tutaj, to bez problemu by nas wygarnęli. Tu się nawet mysz nie prześlizgnie, jeśli otoczą budynek. A w Hucie

jest większa szansa nie tylko na to, żeby się bronić, ale gdzieś się ukryć w razie czego i nie dać się złapać.

– No, do tego trzeba jeszcze znać kombinat – Maciek odsunął się, żeby wpuścić kolejnych wsiadających.

– Ja się szybko uczę – zbagatelizowała sprawę Lidka i mrugnęła do Maćka. Nie musiał wiedzieć, że dopiero teraz naprawdę zaczęła się bać.

Usłyszeli, że kierowca uruchomił silnik. Darek wskoczył na stopień i podał Lidce rękę.

– Nie martwcie się! – krzyknął, pokazując palcami znak „Victorii”. Robił dobrą minę, ale pod czaszka zaczęła kielkować mu myśl, że tam wszystko może się zdarzyć.

– Pamiętajcie, gwardia się nie poddaje! – zdążyła krzyknąć Lidka, zanim drzwi się zamknęły. W zabrudzonej szybie zobaczyli jeszcze, że dziewczyna dotknęła dwoma palcami swoich ciemnych loków, jakby salutując w ich stronę.

(...)

Trzy duże przegubowe autobusy odjechały z terenu AGH prawie całkowicie zapelnione, więc Darek ocenił, że na kombinat zdecydowało się pojechać trzysta, może nawet trzysta pięćdziesiąt osób. Głównie oczywiście chłopaki, ale wydawało mu się, że w jednym z autobusów mignęło mu kilka dziewczęcych twarzy. Z jego znajomych tylko Szymon, Bogdan i Jacek. No i Lidka, która od razu stała się maskotką całego ich autobusu.

Nad Krakowem nadal wisiała gęsta, lodowata mgła. W tej mgłę wszystko wydawało się trochę nierzeczywiste. Stojące na skrzyżowaniach scoty wyglądały dziwnie płasko, jakby były tylko teatralnymi dekoracjami, a kręcący się koło nich ludzie robili wrażenie niegroźnych statystów. Zupełnie jakby wszyscy, łącznie z pasażerami autobusów, brali udział w jakimś przedstawieniu, które zaraz się skończy. Dodając sobie animuszu, niektórzy zaczęli nawet żartować, że w mijanych patrolach muszą chyba służyć niewidomi, skoro przepuścili wszystkie autobusy bez kontrolowania. Dopiero koło aresztu śledczego, gdy ktoś z tyłu autobusu rzucił ochryplym głosem „Monte czeka na nas”, dotarła do nich cała groza sytuacji. Rozmowy przycichły, a Darek poczuł, jak odwrócona w stronę okna Lidka wzdrygnęła się i nerwowo przełknęła ślinę.

– Myślisz, że mogą strzelać? Jak w siedemdziesiątym? – zwróciła w jego stronę pobladałą twarz.

Ośmieliło go to. Przysunął się do dziewczyny i otoczył ją ramieniem.

– Jurek by ci powiedział, że to już nie czasy strzelania. Że komuna się zmieniła, zreformowała i woli bardziej cywilizowane metody.

Zauważyła jego kpiący ton i popatrzyła na niego badawczo.

– To Jurek, a ty?

– Ja bym powiedział: „Pożyjom, uwidim”. Co dziewczyna taka jak ty robi na Politechnice?

– A co facet – popatrzyła znacząco – taki jak ty, robi na historii, zamiast uczyć się budowy statków albo projektowania maszyn górniczych?

– No... wszyscy dobrzy historycy to byli mężczyźni.

– W takim razie witam następcę Pawła Jasienicy – uśmiechnęła się, jakby to przekomarzenie pomogło jej opanować strach.

Kiedy ich autobus zatrzymał się przy głównej bramie kombinatu, dwóch hutników z biało-czerwonymi opaskami wieszało właśnie transparent „Strajk okupacyjny”. Okazało się, że bycie maskotką jednak nie wystarczy. Ktoś już w czasie jazdy wspominał, że na teren kombinatu wpuszczani będą tylko mężczyźni, i teraz się to potwierdziło. Na nic zdały się prośby i przekonywania. Hutnicy ze Straży Robotniczej byli nieugięci.

– Takie dostaliśmy polecenie. Po co żeście ją w ogóle zabierali? – stwierdził beznamyślnie jeden ze stojących przy bramie robotników, który najwyraźniej miał tam najwięcej do powiedzenia. Darek wysiadł, żeby z nim negocjować, ale nawet on niczego nie wskórał. Wrócił do autobusu wściekły, naprędce próbując wymyślić jakieś rozwiązanie, bo kierowca zaczynał się już niecierpliwić.

– Znajdę jakąś dziurę w ogrodzeniu i przyjdę po ciebie. Musisz tylko znaleźć sobie na ten czas schronienie przed mrozem. Albo odwiozę cię z powrotem do pana Bronisława, a potem tu wrócę.

– Daj spokój. Do pana Bronisława mogę dojechać sama. Zobacz, tam stoi jakaś taksówka. Nie ma sensu, żebyśmy obydwójce kręcili się teraz po Krakowie.

– Miałem cię pilnować... Może jednak uda się jakoś przemycić cię do środka...

Lidka przygryzła dolną wargę:

– Nie. To bez sensu. Jeśli ustalili takie zasady, to nie będę im bruździć. Pojadę na Chopina i poczekam u pana Bronisława na rozwój wypadków. Może przydam się gdzieś indziej.

Odprowadził ją do taksówki i przytulił na pożegnanie. Uśmiechnęła się smutno i pocałowała go w policzek, co na tyle ośmieliło Darka, że najpierw szybko podsunął jej drugi policzek, a potem spróbował pocałować ją w usta. Odsunęła się od niego gwałtownie.

– Daj spokój – powiedziała to takim tonem, że od razu wiedział, że nie ma u niej żadnych szans. Domyślił się, kto dalej siedzi jej w głowie.

„Cholera, nie do wiary, że ona przez tyle lat się nie wyleczyła”.

Wrócił biegiem do autobusu, który mógł w końcu wjechać na teren kombinatu. Gdy ruszyli, ktoś z przodu przekazał informację, że jadą na Zgniatacz. [Wydział Walcowania Zgniatacz.] I że studentów rozrzucono po kilku wydziałach. Autobus jechał prawie pół godziny, mijając po drodze wielkie hale i budynki administracyjne, stojące na bocznicach wagony towarowe, cysterny, ogromne rusztowania i kominy. Przejeżdżali pod rurociągami, stalowymi wysięgnikami, dźwigami i łącznikami budynków. Darek przetarł ręką zaparowaną szybę i z ciekawością zerkał przez okno. Wcześniej nawet nie przypuszczał, że kombinat to tak ogromny teren. W rozpraszającej się mgłę wyglądał jak osobne futurystyczne miasto, nieprzyjazne i opustoszałe, bo na wewnętrznych ulicach było zupełnie pusto. W końcu autobus zatrzymał się przed piętrowym budynkiem, gdzie funkcjonowało Centrum Strajkowe. Potem okazało się, że to właśnie tutaj naj-

więcej się działo. To tu, na świetlicy Zgniatacza zawiązał się Komitet Strajkowy Hutników, to tu redagowano kolejne strajkowe komunikaty, to tu docierali kurierzy z innych strajkujących przedsiębiorstw i łącznicy z pozostałych wydziałów kombinatu, stąd też rozchodzili się w teren roznosiciele ulotek i plakatów.

Akurat skończyła się msza, więc od razu znaleźli się w tłumie robotników, którzy zasypali ich pytaniami o sytuację w Krakowie i na uczelniach, o nastroje wśród studentów i o los regionalnych działaczy „Solidarności”. Widać było, że przybycie tak dużej grupy studentów zrobiło na nich ogromne wrażenie.

– Gdyby wcześniej nie zawieszono strajków na innych uczelniach, to przyjechałoby nas tu nie trzystu, ale trzy tysiące. Albo nawet więcej – zakończył Darek opowieść o swojej porannej wędrówce przez miasto, nastrojach na AGH i o tym, co widział po drodze na ulicach Krakowa. Chciał podnieść na duchu swoich rozmówców, ale i sam wierzył, że tak właśnie by było.

Szymon lubił być blisko jedzenia i jeszcze bliżej picia, więc od razu zgłosił się do przygotowywania kanapek ze zgromadzonych przez strajkujących produktów. Ale robotnicy ze Zgniatacza, widząc jego gitarę, zaczęli od razu prosić go, żeby coś dla nich zagrał. Ze wszystkich stron posypały się tytuły, więc Szymon zamiast kroić chleb i robić kanapki, siedział na stole i brzdąkał na gitarze. Ktoś dołączył się, przygrywając na harmonijce ustnej, ktoś inny przyniósł prawdziwą harmonię. Wspólnie i trochę nierówno zaczęli grać *Żeby Polska była Polską*.

Darek nie znosił bezczynności, jakby bał się, że wtedy dopadną go koszmary z dzieciństwa. Przez chwilę słuchał śpiewających, nawet sam przyłączył się do chóru, ale potem zaczął szukać miejsca, gdzie mógłby się przydać. Zaczepił mężczyznę ze Straży Robotniczej i zaproponował swoją pomoc, bo przecież właśnie tym zajmował się przez ostatnie kilka tygodni w Collegium Novum. Ale Komitet Strajkowy niechętnie patrzył na przyjmowanie do straży studentów. „Skoro to Straż Robotnicza, to ma być robotnicza i koniec” – powiedział podobno któryś z członków Komitetu Strajkowego. Wersja oficjalna, którą mu przekazano, była taka, że nie chcą narażać młodych ludzi i puszczać ich na pierwszą linię, gdzie lada chwila może być niebezpiecznie. Ale Darek podejrzewał, że chodziło też o coś innego. Może ci ludzie z Komitetu Strajkowego obawiali się, że w razie czego młodzi szybko spękają? Albo wprost przeciwnie, może robotnicy bali się, żeby któryś ze studentów nie okazał się zbyt „wyrwany” i nie zaczął niepotrzebnie jakiejś „zadymy” z otaczającymi kombinat oddziałami. Darek machnął ręką i od razu znalazł sobie inne zajęcie: zgłosił się do roznoszenia ulotek. Zresztą wszyscy szukali sobie jakichś zajęć, żeby nie myśleć przez cały czas: „Wejdą czy nie wejdą” i nie dopuszczać do siebie zwątpienia. Wymyślali różne formy aktywności, najchętniej takie, przy których mogli być razem. Wspólne śpiewanie, głośne czytanie książek, odmawianie modlitw, gra w karty, nawet wspólne ćwiczenia gimnastyczne.

Ulotki, które roznosił Darek, miały krótki i wymowny tekst: „Żołnierzu, pamiętaj, że jesteś Polakiem”. Później drukowano też inne, ale te pierwsze najbardziej zapadły mu w pamięć. Hutnicy mieli nadzieję, że to przesłanie dotrze do członków oddziałów wojskowych stojących wokół kombinatu. Niektórzy nawet liczyli, że wojsko przyłączy się do robotników. Darek uważał to za mrzonki, ale uznał, że ulotki mogą przynieść jakieś pozytywne efekty, kiedy dojdzie już do szturmów. A że dojdzie – tego był pewien. I to najprawdopodobniej niedługo. A wtedy może temu, kto wcześniej widział taką ulotkę, zadrży ręka, gdy będzie miał pociągnąć za spust. Trzeba je było tylko rozrzucić wokół kombinatu, na przystankach tramwajowych i autobusowych, koło sklepów i stacji benzynowych, jak najbliżej pozycji żołnierzy.

– Przecież po wodę muszą gdzieś chodzić. I po papierosy – zaśmiał się łącznik, który przyniósł z hutniczej powielarni stosik takich ulotek. Miał podkrążone, przekrwione oczy i zmęczoną twarz, ale z uśmiechem rozdawał przyniesione przez kogoś z zakładów tytoniowych papierosy luzem i opowiadał kawały o WRON-ie i Jaruzelskim.

A to słyszeliście? Jaruzel stoi przed swoim portretem wiszącym na ścianie i zastanawia się: „Co to teraz będzie?”. Nagle portret odzywa się do niego: „Nic, mnie zdejmą, a ciebie powieszają”. (...).

### **Magdalena Maliszewska**

W latach 80., w trakcie studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim związała się z opozycją demokratyczną i niezależnym ruchem wydawniczym. Była m.in. uczestniczką Ruchu „Wolność i Pokój” i jednym z redaktorów ukazującego się na Śląsku, podziemnego pisma „Wybór”. W 1990 roku założyła pierwszą w Krakowie prywatną księgarnię „Orlando”, promującą niezależne wydawnictwa i pisarzy z kręgu opozycji. Od 1991 roku jest członkiem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, okazjonalnie publikując artykuły w prasie krajowej (m.in. w „Tygodniku Powszechnym”, „Znaku”, „Gazecie Wyborczej”) oraz zagranicznej (w „Kurierze Ateńskim”, „Relacjach”, „Magazynie Plus”). Działa też w Stowarzyszeniu NZS 1980 oraz Stowarzyszeniu Krakowski Klub Wtorkowy. Przez wiele lat prowadziła małą firmę reklamową specjalizującą się w promocji książek, redagowaniu tekstów i przygotowywaniu ich do druku. Przez 12 lat pełniła obowiązki radnej Dzielnicy II Grzegórzki w Krakowie. Jest współautorką napisanej wraz z Bereniką Rewicką, a wydanej w 2015 roku książki „Kobiety małopolskiej Solidarności”, składającej się z wywiadów z działaczkami opozycji antykomunistycznej.

„Zimny wiatr” Od wprowadzenia stanu wojennego minęło już 42 lata. I chociaż tamte czasy nadal wzbudzają emocje i spory, choć wydano już wiele opracowań historycznych, dokumentów i pamiątek, to jednak są prawie nieobecne w literaturze pięknej. Przez te 42 lata powstało zaledwie kilka powieści, których akcja rozgrywa się na początku lat 80., ale tłem żadnej z nich nie jest Kraków z tamtych czasów. Tę lukę wypełnia „Zimny wiatr” – powieść obyczajowa z wątkami sensacyjnymi i kryminalnymi, której akcja rozpoczyna się 12 grudnia, tuż po zakończeniu okupacyjnego strajku studenckiego w Collegium Novum, i prowadzi czytelnika przez pierwsze miesiące stanu wojennego, przywołując klimat tamtych dni, nastroje społeczne, radości i smutki, którymi żył wtedy Kraków, atmosferę dyskusji i konspiracyjnych spotkań oraz zapomniane już, a wtedy kultowe miejsca na mapie miasta. W życie bohaterów – studentów historii Uniwersytetu Jagiellońskiego – wplecione zostały prawdziwe wydarzenia, które rozgrywały się w Krakowie na początku stanu wojennego. W ich krakowskiej codzienności radość przeplata się ze smutkiem, humor z powagą i zadumą, a podziemna działalność z miłością i imprezowaniem. W tle pojawiają się nie tylko obozy internowania, ale także wojenne rodzinne tajemnice, okupacyjny Kraków, a nawet trudna historia polskich Kresów.

Tytuł książki, zaczerpnięty z piosenki Jacka Kaczmarskiego „Powrót”, jest symboliczny: to zarówno wiejący przez Polskę przez prawie 50 lat „zimny wiatr” komunizmu, „zimny wiatr” stanu wojennego, który na wiele lat zamroził w Polsce wolność i prawdę, jak i prawdziwy zimny wiatr, który wiał tamtej mroźnej grudniowej nocy.

Krótkie fragmenty „Zimnego wiatru” były wydrukowane w „Gazecie Obywatelskiej” oraz dwumiesięczniku „Arcana”. W grudniu 2022 roku książka otrzymała wyróżnienie w konkursie Instytutu Literatury „Pokolenie Solidarności”.

Autorka planuje dwie kolejne części cyklu powieściowego:

Cz.2. „Wszystkie drogi” – której akcja rozgrywać się będzie w czasie strajków kwietniowo/majowych 1988 r. w Kombinacie HiL i studenckich manifestacji solidarnościowych ze strajkującymi robotnikami. Pokazywać będzie dorosłe życie wcześniejszych bohaterów w świecie zdeprawowanym komunizmem i włączanie się do walki o wolną Polskę nowego pokolenia protestującej młodzieży z Federacji Młodzieży Walczącej oraz Ruchu Wolność i Pokój.

Cz.3. „Słowa ślad” – w zamykającej cykl części z akcją w latach 2009 – 2010, a więc rozgrywającej się już po transformacji ustrojowej, bohaterowie będą musieli się zmierzyć z prawdą o niektórych ze swoich przyjaciół, ujawnioną dzięki dokumentom zachowanym w IPN, a także z problemami, które niesie życie w świecie wolności gospodarczej.



# Spis treści

<b>Leszek Szaruga</b> .....	4
<b>Przedstawiciele</b> .....	7
Solidaritet Norge – Polen i przedstawicielstwa „Solidarności” .....	8
Reprezentowali nas zagranicą .....	11
Solidarność po norwesku .....	13
Norweska pomoc dla Solidarności w okresie stanu wojennego .....	22
Paweł Gajowniczek – PRZEDSTAWICIEL .....	27
Skrzynka pocztowa POB 47, Tokyo Japan 157 .....	41
„Solidarność” na emigracji – casus RFN .....	68
Francuska solidarność .....	74
Pomoc z Paryża .....	78
Paczki do Polski. Akcja w Kingston (Anglia) w 1982 r. ....	82
Prasa emigracyjna wspierająca opozycję i „Solidarność” .....	86
<b>Wojenne przypadki i wypadki</b> .....	93
Być narodowi użytecznym .....	94
Kongres monitorowany przez SB .....	94
Andrzeja Bobera przypadki, czyli od funkcjonariusza olsztyńskiej SB, po „solidarnościową ekstremę” .....	102
Wyposażyć internowanych w odbiorniki radiowe .....	108
Zapiski z 1982 roku .....	110
I straszno, i śmieszno... ..	122
Bimber w Białogórze .....	127
To były piękne dni.....	128
Tata „badylarz” .....	133
Paweł Niezgodzki, czyli człowiek, z którego zrobiono agenta SB. ....	134
Podziemny dolar z Kutna.....	140
Starszy Pan z AK .....	144
Przeczytane w windzie – Tygodnik Wojenny .....	145
Basia. ....	147
Pisma satyryczne .....	148
Działo się... anegdota z życia knujących .....	149
Publiczność czytająca wydawnictwa drugiego obiegu. ....	156
Problem skali .....	156
<b>O Nowej to Hucie</b> .....	161
Nowa Huta. Miasto gniewu i nadziei. ....	162
<b>Ballada o Smoku Niewawelskim</b> .....	177
<b>Zimny wiatr (fragm. powieści)</b> .....	191



WIELOKONNY W SŁOWIE

KONSTYTUKCJA  
WIELOKONNY W SŁOWIE  
KONKURSY PODZIEMNE  
1897 - 1899

KONSTYTUKCJA I STANOWISKA  
REDAKCYI HUMNICKI  
DZIEŃNIKOWA WIELOKONNY  
I HUMNICKI  
ORGANIZACJA KULTEGO  
KRAJOWE ZESPOLE WIELESIAKOW 1898